...browski

...YTA
...ZOMIE
...KÓW

II

MARJAN OSTROWSKI
Sędzia Sądu Najwyższego w Warszawie.

NA PRZEŁOMIE WIEKÓW

TOM II.

ZAPISKI Z LAT 1871—1928 NA TLE ÓWCZESNEJ DOBY DZIEJOWEJ MIAST BOCHNI, CZORTKOWA, GRUDZIĄDZA, HALICZA, JAROSŁAWIA, KOŁOMYI, KOPYCZYNIEC, LWOWA, POZNANIA, SAMBORA, STANISŁAWOWA I SOŁOTWINY

RĘKOPIS AUTORA.

Treść tomu drugiego:

Lwów

Krótkie wspomnienia studenta praw.

Lwów

1892 – 1897.

Lwów był stolicą całej południowo-wschodniej połaci Polski a zarazem naszą dumą i umiłowaniem, chlubą i macierzą grodów naszych. Ukochane miasto, niezdobyty bastjon narodowy, szaniec kultury łacińskiej na wschodzie, był Lwów za moich czasów środowiskiem myśli narodowej na całą Polskę; był przystanią, w której każdy polak czuł się u siebie w domu i oddychał pełną piersią życia narodowego, był miastem, w którem heroizm polski nigdy się nie załamał. Nasza ulubiona stolica przetrwała wszystkie srogie burze dziejowe a swoim rzadko w dziejach spotykanym hartem i męstwem dowiodła przed całym światem, że jest rdzennie polskiem miastem

i da Bóg na zawsze takiem pozostanie.›

W okresie, kiedy po maturze 1892 r. miałem pójść do Lwowa na Uniwersytet, stał Lwów na wspaniałej wyżynie kultury narodowej. Osiedlenie się we Lwowie było marzeniem młodych i starych, bogatych i biednych, każdy sobie obiecywał, że po zamieszkaniu we Lwowie popłynie mu życie miłym a wygodnym torem – i tak też było istotnie. Lwów, najpiękniejsze bezsprzecznie miasto w Polsce, miał w sobie silną atrakcję, na każdem miejscu znać było wysoki poziom kultury, cechował go powab i harmonja struktury, a to co najbardziej do polskiej duszy przemawiało, to było niezrównanie silne poczucie narodowe i przysłowiowa wprost zacność i serdeczność Lwowian.

Do tejto macierzy miast naszych, do ogniska oświaty i jasnego znicza ducha narodowego jechałem i ja, cieszac się szczerze w sercu, że wnet będę lwowianinem i stanę się niejako jednym z atomów tej naszej ulubionej polskiej opoki. Gdy pod koniec sierpnia 1892 stanąłem na gruncie lwowskim, radości mojej nie było końca, nie tylko że rozkosznie odczuwałem zrzucenie z siebie mozołów gimnazjalnych, ale uczułem się szczęśliwym, że w pięknym Lwowie na stałe pozostanę, całą duszę więc przylgnąłem do tego miasta, świat się do mnie uśmiechał, coraz to nowe w tem mieście odnachodziłem piękno, zdawało mi się, że w koło siebie

samo tylko szczęście widzę i radość, pragnąłem wtedy szczerze, aby mię los z tem miastem zespolił po koniec dni moich. Tak, bo Lwów pociągał wszystkich ku sobie czarowną siłą, a któż mógł silniej ten czar odczuć, jak nie syn podolskiej ziemi, dla którgj Lwów był metropolją i skarbnicą duchową.

Wśród tychto nastrojów przeszedłem ze szkół prowincjonalnych do wszechnicy stołecznej, z miast i miasteczek galicyjskich do dużego a pięknego miasta. Nie będę opisywał, jak wówczas Lwów wyglądał, na czem polegało jego ujmujące piękno, jacy w nim wtedy ludzie żyli i jakimi drogami szło życie społeczne, bo to jest widoczne z bardzo licznych pierwszorzędnych źródeł, które znakomite rzucają światło na całą tę epokę – ale we wspomnieniach moich ze Lwowa ograniczę się z konieczności tylko do bardzo krótkiego opisu moich przeżyć osobistych, które nie mogą mieć wartości ogólnej, a skreśliłem je jedynie dla ciągłości opowiadania.

*

Zdawało mi się pierwotnie, że zdanie matury jest jakby rozerwaniem skorupki poczwarczej, szarej, zimnej, nieruchomej, aby z niej barwnym motylem wzlecieć w tonie światła, kwiecia i wiosny. Ale tak się tylko zdawało, bo życie niosło co innego. Nie dla wszytkich

droga po maturze kwieciem się stała. Ku temu potrzeba było mieć silną podstawę materjalną i byt zapewniony. Tymczasem ojciec mój majątkowo na ów czas podupadł a pomoc jego dla mnie ograniczyć się musiała do skromnych acz ofiarnych z jego strony wysiłków, bo wtedy sam nie wiele, a nawet wcale miał mało. Potrzeba więc było oglądnąć się za pracą dla siebie i zarobić na własne utrzymanie. Ale nie tak to szło łatwo, bo Lwów, gdzie przyszło mi prawo studjować, posiadał mnóstwo takich jak ja poszukiwaczy, podaż lekcji nie dorównywała popytowi, a nie było dla akademików zgoła żadnych burs, czy domów, czy innych podobnych pomocniczych instytucji. Toteż efekt był ten, że materjalnie dobrze sytuowani plutokraci zapełniali szczelnie sale wykładowe z innych zaś studentów tylko ta część nieznaczna, którą stać było na możność utrzymania. Do tej części niestety ja nie mogłem należeć.

Matka byłaby szczęśliwa, gdybym był poszedł na teologię, ceniła bardzo ten stan, jednak ja nie poczuwałem się na siłach, bo w naszej archidyecezji lwowskiej księża łacińscy mieli ciężkie obowiązki jeżdżenia, zwłaszcza w zimie po licznych a daleko odległych gminach do chorych i na pogrzeby, co wielu przepłacało życiem, ja zaś jako niezbyt dobrego zdrowia, nie mogłem się podjąć tego zawodu. Od dawna więc obmyśliłem oddać się po maturze studjum prawniczemu.

Ściągnął się mój zacny ojciec jak mógł, wydobył 70 zł. austr., było to jak sądzę wszystko, co miał, dał mi na-

wet swoje odświętne ubranie, choć trochę na mnie za wolne, ale przynajmniej całe – i tak wyposażonego wyprawił ze Załucza do Lwowa. Puściłem się w drogę tusząc, że mam dość pieniędzy na początek, a przy znajomościach mojego starszego brata Dezyderego, wprawdzie we Lwowie nieobecnego, jednak przez jego kolegów i przyjaciół zdołam jakoś zdobyć miejsce i sposób do życia.

Mieszkała podówczas we Lwowie siostra mojego ojca Marcela, zamężna za Janem Klimowiczem. Mieszkanie mieli w rynku nr. 3. na mezaninie. Wujostwo mieli liczne dzieci, materjalnie średnio się im powodziło, wszyscy zaś byli ludźmi niezmiernie dobrymi i liczni ~~familijanci~~ familijanci, zjeżdzający do Lwowa mieli u Klimowiczów przystań gościnną. Korzystałem i ja z tej przystani i najpierw zjechałem do nich. Po kilku dniach ~~odszukałem~~ ukończonego prawnika Michała Drohomireckiego, stanisławowianina i obaj najęliśmy za 5 zł. aust. miesięcznie pokoik mały, od podwórza przy ul. Kochanowskiego nr. 4. Tam obaj zamieszkaliśmy, on miał djurnum u adwokata Aleksandra Rogalskiego i z tego się całkiem utrzymywał, ja zaś na razie dostałem lekcję u ucznia IV kl. gimn. Rozwadowskiego za 10 zł. mies. – Potem znalazłem sobie drugą lekcję u kupca Degena, którego uczyłem języka polskiego (bo umiał tylko po niemiecku) i od niego dostawałem 5 zł., razem więc 15 zł., co nie mogło starczyć na utrzymanie, więc dokładałem ze zapasowego funduszu ojca. Był to wrzesień 1892.

12.

Na początku października 1892 zapisałem się na Uniwersytet, otrzymałem kartę legitymacyjną i stałem się civis academicus. Uniwersytet mieścił się w starym gmachu obok kościoła św. Mikołaja. Było to dawne Kolegjum jezuickie i stanowiło duży, dwupiętrowy, czworoboczny budynek koszarowego wyglądu, o licznych a obszernych salach. Tego roku rektorem Uniwersytetu był ks. Marceli Paliwoda, a naszym dziekanem prawniczym słynny uczony, profesor Balzer. Na pierwszym roku wykładali prawo rzymskie profesor Piętak i profesor Szachowski. Piętak był znaną powszechnie we Lwowie osobistością, zwłaszcza że później był posłem ze Lwowa do parlamentu i ministrem. Wysoki, o spiczastym nosie, na głowie bujne, drutowate włosy jak u artysty, brodę miał krótko strzyżoną, szpakowatą, chodził szybko poważnemi krokami, biła zeń energia, rozsądek, stanowczość, jednego słowa nigdy na darmo nie mówił, przy egzaminach niezmiernie surowy, był prawdziwym postrachem prawników. Wykładał dobitnie, dokładnie, poprostu łopatą kładł do głowy. Pamiętam jak dziś, kiedy pierwszego dnia zaczętego roku szkolnego stanął na katedrze w XIV sali, gdzie odbywały się wykłady prawa I roku, rozpoczął lekcję od słów: Na samym wstępie nauk prawniczych spotykacie się panowie z obowiązkiem i radą ścisłej nauki prawa rzymskiego. Dalej mówił, dlaczego nauka prawa rzymskiego jest tak ważna i dlaczego od tego przedmiotu zaczyna się naukę prawa. W tym właśnie roku zmarła Piętakowi ukochana żona, chodził

w żałobie, a codziennie w godzinach popołudniowych z ulicy Garncarskiej zdążał przez Kamienną, Sanską, Piekarską na cmentarz tyczakowski na jej grób (w głębi cmentarza po prawej stronie od gł. wejścia), przy grobie kazał ustawić ławeczkę, na której siadywał i dumał nad mogiłą. Dzieci nie miał, ale przybrał cudze dziecko, kochał je i chował jak własne, za moich czasów była to panienka lat około dwunastu. Miał własny dom piętrowy przy ul. Garncarskiej, a obok niego piękny ogród kwiatowy, który pielęgnował ze zamiłowaniem, trwale w porze ciepłej w nim przesiadując. Po Mochnackim był w r. 1893 wybrany prezydentem miasta Lwowa prostą lecz nie kwalifikowaną większością, dlatego przyszło do drugiego wyboru, z którego nie wyszedł ani Pietak ani jego kontrkandydat lekarz Czyżewicz, ale prezydentem obrano kompromisowo adwokata Małachowskiego.

Drugim profesorem prawa rzymskiego był Stanisław Gzachowski, niezmiernie oryginalny człowiek. Pochodził z Warszawy i z powodu ruchu, poprzedzającego powstanie w r. 1863 musiał uchodzić do Francji, miał bowiem w Warszawie na Starem Mieście gorącą mowę publiczną przeciw Moskalom. We Francji po klęsce w r. 1870 podczas wzajemnego zwalczania się partji w samym Paryżu, omal życia nie utracił – ostatecznie losy zagnały go do Lwowa, gdzie został notarjuszem Uniwersytetu i habilitował się na docenta prawa rzymskiego. Następnie był nadzwyczajnym, potem zwyczajnym

profesorem tego przedmiotu. Niski, z dużą głową, o szlachetnych rysach, łysy, był człowiekiem wielkiej wiedzy i ogromnej inteligencji. Z wyglądu istny Sokrates. Wykład jego był przeplatany barwnemi obrazami z życia. Wśród młodzieży był bardzo popularny. Umarł we Lwowie i pamięć o nim w czci u potomnych została.

Trzecim profesorem prawa rzymskiego był hr. Leon Piniński, przesiadywał jednak przeważnie we Wiedniu, posłując do parlamentu, a następnie był namiestnikiem Galicji.

Dawne prawo niemieckie wykładał profesor Janowicz, ormianin, co zresztą widoczne było z jego oblicza, były adwokat lwowski. Byłto przedmiot zupełnie zbędny, pozostałość z germanizacyjnych czasów, toteż Janowicz sam mało do niego przywiązywał wagi, ale wydał swój wykład drukiem jako podręcznik, każdy student go sobie kupował, uczył się zeń i szedł z tem do egzaminu. Nieraz w zimie, zwłaszcza w dnie zawieji śnieżnych, kiedy Janowiczowi nie bardzo się chciało opowiadać o germańskich zabytkach, a nam jeszcze mniej tego słuchać, posyłał woźnego do sali wykładowej, by popatrzył, czy zebrało się dość słuchaczów. Gdy jednak tylko woźny pokazał się na progu, widzieliśmy co to oznacza i wołali: niema nas, niema!, każdy wprędce umykał ze sali i tego dnia wykładu nie było. Woźny składał relację, że z powodu zawieruchy studentów niema — profesor odchodził tegodnia do domu.

Prawo kościelne wykładał prof. Abraham. To, co we wspomnieniach o gimnazjum stanisławowskiem napisałem o Majchrowiczu — tosamo mogę napisać o Abrahamie. Wykładał i pytał, pytał i wykładał w pośpiechu — a czynił to w takiej mierze, jak gdyby nie istniało żadne inne nadto dla słuchaczy studjum

do str. 15.

14a

Lwow, 31/3 925.

Wielce Szanowny Panie
Prezesie!

Z najmilszą chęcią służę wyjaśnieniami w sprawie przeszłości Kopyczyniec i Sołotwiny. Niestety nie wiele udało mi się zebrać – chyba jedyne szczegóły zestawione w Słowniku geograficznym, które przesyłam w odpisie, z opuszczeniem ustępów odnoszących się do teraźniejszych stosunków tych miasteczek. Poleciłem szukać też dokumentów średniowiecznych – niestety nie znalazły się, są tylko krótkie wzmianki w aktach sądowych o Kopyczyńskich z Kopyczyniec występujących n.p. w sądzie; jeżeliby P. Prezesowi zależało na nich, mogę je dodatkowo nadesłać. W lustracyach z 16 w. wymienione są oczywiście także obie miejscowości, ale podane są tylko daty dotyczące ilości łanów, ludności i jej świadczeń – nie wiem, czy to P. Prezesowi potrzebne. Lustracye wydane są w Pawińskiego Źródłach dziejowych, w dziale „Polska 16 wieku", w to-

nie: Ruś.

Jeśli P. Prezes jeszcze jakich wyjaśnień potrzebuje, proszę Pasa. zwrócić się do mnie, najchętniej będę służył niemi, o ile to będzie możliwe.

Szczerze ucieszyłem się z tej sposobności zetknięcia się z moim uczniem dawniejszym, które mi przypomina dawniejsze lepsze czasy i odżywia dawne, zawsze dla mnie tyle miłe i święte węzły. Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

powolny sługa

O. Balzer.

prawa, tylko jego. Zamęczał datami, cytatami wydań itp.

Profesor Balzer wykładał dawne prawo polskie. Brunet, twarz podobna do Szajnochy, włosy czarne jak heban na bok rozczesane, miał prawą nogę w biodrze wykręconą, stąd idąc, kulał dotkliwie. Światłością swego umysłu był ozdobą Uniwersytetu lwowskiego jako człowiek pełen wiedzy, niezmordowanej pracy, niestrudzony badacz dziejów ojczystych. Cieszył się szczerym a powszechnym szacunkiem, był zaś sam niezmiernie skromny. Szczególnie wsławił się w swoim czasie zastępstwem polskiej strony w procesie o Morskie Oko z Węgrami. Kiedy w trzydzieści lat po ukończeniu Uniwersytetu zwróciłem się do tego profesora z prośbą o pewne daty historyczne, z całą gotowością mi ich udzielił a jego własnoręczny list, jako rzecz pamiątkową tu dołączam.

Gdy zacząłem chodzić na Uniwersytet lwowski, był jednym z profesorów teologii ks. Józef Bilczewski. Jasny blondyn, młody, twarz okrągła rumiana, zawsze nosił czarny miękki kapelusz o szerokich krysach. Jako właściwość zauważyłem u niego, że idąc długimi korytarzami Uniwersytetu, chodził zawsze w pobliżu ściany. Tento młodziutki podówczas profesor, kilkanaście lat później został arcybiskupem łacińskim we Lwowie, ku czemu wielce się przyczynił powyżej wspomniany profesor Piniński, ówczesny namiestnik Galicji, który w tym świątobliwym kapłanie poznał człowieka wielkiej miary.

Innym profesorem teologii był ks. Wałęga, również młody, twarz jak księżyc w pełni, nieco ospą poznaczona, rosły, o silnej budowie, jako profesor dogmatyki był suro-

wym, podobnie jak Piętak na prawach. Tento profesor Wałęga był później biskupem w Tarnowie.

Początkowo chodziłem codziennie na wykłady, bo lekcje prywatne nie stały temu na przeszkodzie. W sali wykładowej można było młodzież podzielić na 3 rodzaje: żydzi zalegali pierwsze ławy, każdy z nich przychodził z papierami; notował słowa profesora, uczył się forsownie (były wersje, że uczą się naprzód tego, co profesor ma wykładać), pytali się wzajemnie i pochłaniali naukę. Drugą kategorję tworzyła katolicka młodzież bogata, pięknie ubrana, chodząca na wykłady dla parady i dla zabicia czasu. Byłato warstwa zamknięta w sobie, stroniąca od plebejów, nosząca się wysoko. Wreszcie trzecia kategorja, to przelotne ptaki, młodzież uboga, ten i ów pojawiał się na kilka tygodni lub najwyżej na miesiąc na wykłady, słuchał z zainteresowaniem słów profesora, starał się wątek pochwycić, bo całości nie znał, wyjmował tam notesik z kieszeni, coś notował ołówkiem, jakby chciał koniecznie utrwalić w notatce słowa profesora, z których się musi potem zdawać sprawę przy ciężkim egzaminie. Ale byłyto tylko porywy tego biednego młodzieńca, zasoby materjalne wyczerpywały się rychło, musiał wracać do domu z pożyczonemi w Bibliotece słuchaczów prawa skryptami i uczyć się ze suchych zapisków. Ja skłaniałem się do tej trzeciej kategorji. Pieniądze od ojca otrzymane były na ukończeniu, począłem więc bardzo gorliwe starania czynić o jakieś popłatniejsze zajęcie. Schodziłem pół Lwowa po rozmaitych kancelarjach adwokackich a prawie wszędzie adwokat zobaczywszy mnie, sądził, że to klijent,

zbliżał się ku mnie elastycznym krokiem i z przyjaznym uśmiechem pytał, czem może służyć, lecz gdym go prosił o danie mi miejsca w jego kancelarji, robił twarz surową, uśmiech nagle znikał, odpowiedź była krótka i oschła, odwracał się odemnie i szedł do dalszego zajęcia przy swoim stole. Nazbierałem takich gorzkich odpowiedzi całe tuziny. Gdy z powodu bezowocnych poszukiwań byłem mocno zgnębiony, otworzyłem pewnego razu swój kufereczek i począłem w nim porządkować mój malutki majątek i dokumenty. Częsty przegląd tych drobiazgów czynił mi przyjemność, bo zdawało mi się, że przecież jeszcze nie jestem tak pozbawiony wszystkiego. Prawie w najkrytyczniejszym czasie, gdy gotówka ~~pra~~ niemal już była wyczerpana, przy takim przeglądzie swego mienia, znalazłem w jakiejś notatce banknot pięcioguldenowy tamże złożony a zupełnie zapomniany. Bardzo się tem ucieszyłem. Istny cud boży, weszła mi więc otucha do piersi. Jakoż stał się niebawem drugi cud. Dostał w Magistracie lwowskim zajęcie kancelaryjne student filozofii Teodor Kasperski, dawniej student w Stanisławowie, późniejszy proboszcz w Kasperowcach w powiecie zaleszczyckim. Kasperski odjechał na wieś na guwernerkę, ale nie chcąc tracić miejsca w Magistracie, dał tam na zastępcę swego Mikołaja Horodyskiego, prawnika. Gdy jednak i ten odjechał ze Lwowa, wstąpiłem na jego miejsce, pracowałem w ekspedycie magistrackim i pobierałem 30 zł. austr. na imię Kasperskiego. Była to suma jak na ówczesne stosunki wcale pokaźna, nawet zazdrości godna, ale też potrzeba było za nią pisać od rana do późnego wieczora (z przerwą obiadową). Choć więc pewniej stanąłem

na nogach, jednak o możności chodzenia na wykłady uniwersyteckie mowy być nie mogło. Lekcyę u Rozwadowskiego straciłem. W Magistracie wtedy był prezydentem Mochnacki, wiceprezydentem Marchwicki, tzw. pierwszym delegatem (tj. jakby drugim wiceprezydentem) Michalski; późniejszy prezydent miasta po Małachowskim.

—* **LWÓW. (Tragedja jakich mało.)** Są tragedje, które przekraczają najbujniejsze fantazje pisarzy. We Lwowie, znany jest dobrze, chudy, wysoki, nędznie ubrany, kolporter i żona jego sparaliżowana, na wózku sprzedająca gazety. Jest to Miko Małachowski, syn sławnego przed wojną i wielce zasłużonego byłego prezydenta miasta Lwowa, i żona jego, była chórzystka teatru Rozmaitości. Człowiek inteligentny, z maturą gimnazjalną, tuła się dziś po ulicach, ciągnąc wózek ukochanej, lecz sparaliżowanej żony.

Nawiasowo tylko dodam tu krótką notatkę dziennikarską z r. 1926, zawierającą wzmiankę o tragiedji, jaką przeżywał syn prezydenta Małachowskiego w temsamem mieście, w którem ojciec jego był adwokatem i pierwszym obywatelem.

Usadowiłem się więc w ratuszu lwowskim na trzeciem piętrze od strony domu Sobieskich i wśród dużego szeregu pracowników pracowałem przy stoliku. Był to tzw. ekspedyt, gdzie przepisywało się w czystopisie wszystkie referaty. Kierownikiem tego ekspedytu był starszy człowiek Dąbrowski, postać oryginalna, odwieczny magistratnik, przestarzały biurokrata, silnie nas popędzał, gromił, pomrukiwał po kątach, spoglądał wyniośle po wszystkich ~~kątach kątac~~ stołach i był po-

strachem pisarskiej rzeszy. Gdy tylko jakie nieznaczne podskrobanie zauważył na akcie, zwracał, krzycząc z niemiecka: oho – panie X., nichts draussen! nichts draussen! pisz pan jeszcze raz! Na mnie nie był łaskaw, ciągle mówiąc „co to panie dzieju – hm, ten tego, coto jakiś zastępca zastępcy djętarjusza! – to jeszcze za czasów mojego urzędowania nigdy się nie zdarzało." – Ale ja siedziałem cicho, pisałem „kawałki" magistrackie z możliwie najwiękrszą starannością, znosiłem wszystkie uwagi Dąbrowskiego, każde nichts draussen zaraz skwapliwie przepisywałem, składając winę na referenta, że niewyraźnie napisał referat. Tak nadszedł lipiec 1893, z jednej strony solą w oku Dąbrowskiego byłem jako jurysta i jako „zastępca zastępcy", z drugiej strony jakiś radny miejski począł przychodzić do biura Dąbrowskiego, zamykały się drzwi od biur dalszych i coś obaj tajemniczo szeptali, co uważać należało, że chodzi o wkręcenie kogoś do Magistratu, a wreszcie nie wielki był sens siedzieć we Lwowie, gorzko pracować na to, by pieniądze przejadać a nie móc nawet na godzinę wymknąć się na wykłady. Zaraz po ukończeniu roku uniwersyteckiego podziękowałem Dąbrowskiemu za pracę, pozbierałem na Uniwersytecie podpisy, a nakupiwszy za mozolnie oszczędzany grosz książek i skryptów prawniczych, pojechałem do domu rodziców do Załucza nad Zbruczem. Tak ukończyłem pierwszy rok prawa o herbacie przeważnie, nie zaznawszy Lwowa inaczej, jak chyba w jaką niedzielę. Czułem się wreszcie znękany wysiłkiem pracy zarobkowej. Było to

marnie przepędzony rok w życiu człowieka, ale stanowił konieczny szczebel do roku następnego, ważniejszego.

Po powrocie do domu począłem gorliwie się uczyć prawa do egzaminu, który się zdawało po drugim roku studjów. Ale ta nauka dlatego mi była niezmiernie miła, że po ogromnie długiej rozłące przebyłem niemal rok cały razem z rodzicami, bo właściwie, gdy po szóstym roku życia opuściłem dom rodziców, idąc do szkół, teraz dopiero znów doń wróciłem. Czułem się bardzo szczęśliwym w rodzicielskiem gronie. Dzień cały schodził mi na nauce, wieczorem wracał ojciec do domu, czytaliśmy wspólnie gazetę, gwarzyli, radzili, wspominali dawne czasy, roili na przyszłość. I tak mijał czas szybko, nadeszła wiosna 1894, znów mój zacny ojciec zebrał pokaźną sumkę 118 guldenów, wręczył mi ją i wyprawił do Lwowa, abym jeszcze przy końcu roku szkolnego pojawił się na Uniwersytecie, dokończył przygotowanie do egzaminu i zasiadł do zdawania.

Bawił wtedy we Lwowie mój starszy brat Szczęsny, bo odbywał jednoroczną służbę wojskową przy 30 pułku piechoty, a że koszary jego były przy ulicy Zamarstynowskiej, mieszkał w sąsiedztwie koszar z kolegą Rybickim przy ulicy Panieńskiej 12. Ja przybyłem do nich jako trzeci i zamieszkaliśmy razem, mając ładny pokój frontowy i schludną kuchnię. Odtąd chodziłem pilnie na wykłady, dowiadywałem się skrzętnie o wymaganiach przy egzaminie i uczyłem się z całych sił. Następnie, nie wiadomo mi dziś z jakiej przyczyny rozdzieliliśmy się z Rybickim, wyprowadziliśmy się z ul. Panieńskiej na ul. Ormiańską, gdzie zaszliśmy we

dwójkę z bratem pokój z oknami na ul. Skarbkowską (naprzeciw Seminarjum naucz. żeń.) – i tych kilka miesięcy, które spędziliśmy razem w braterskiej zgodzie i wzajemnej pomocy, pozostało mi na zawsze w miłej pamięci. I znów wziąłem się do pracy całą siłą, bo egzamin z dwóch lat praw był bardzo ciężki i mnóstwo prawników przy nim sromotnie padało. Pamiętam gdy raz już szarówką uczyłem się na oknie, zawołał ktoś na mnie z przeciwnej strony ul. Skarbkowskiej. Był to Hubert Linde, dawny cenzor bursy stanisławowskiej, naonczas urzędnik pocztowy we Lwowie. Żartując wołał: co tak studjujesz Marjanku, nie bój się będzie dobrze, będą Cię łatwo pytać! Aż oto niebawem przyszło to pytanie! Zgłosiłem się na pierwszy okres zdawania, ~~t~~ tj. przed ferjami, bo można było zdawać także po ferjach. Na tablicy uniwersyteckiej ogłoszono porządek zdawania pierwszego egzaminu prawniczego, gdzie widniało także moje nazwisko. I znów zabiło mi serce raźniej i niepokój spotęgował się w duszy – powróciłem do domu, robiąc, co ino w mojej mocy było, by osiągnąć pomyślny rezultat. Wreszcie nadszedł dzień mego egzaminu: środa 25 lipca ~~18~~ 1894, a więc tensam dzień w tygodniu, w jakim zdawałem maturę. W poprzedni wtorek wieczorem odszedł mój brat z oddziałem wojskowym na całą dobę na wartę do składów intendantury na Janowskiem przedmieściu, noc przed egzaminem spędziłem więc sam. Rano we środę gdym się obudził, zdawało mi się, że wszystkie nauki tworzą w mej głowie ogromny chaos, począłem więc

co ważniejsze pospiesznie przeglądać, tak iż już brakło mi czasu do zgotowania sobie śniadania, choć brat na odchodne wszystko mi przygotował. Skończyło się na tem, że wypiłem dwa surowe jaja i z tem odszedłem. Po przybyciu na Uniwersytet odnalazłem zaraz swoich towarzyszy niedoli, którzy razem ze mną mieli zdawać egzamin i oczekiwaliśmy z biciem serca na komisję. Nie zawsze pytali egzaminatorowie cisami (?) a od składu bardzo wiele zależało. Wreszcie zjawiła się Komisja, przewodniczący Piętak wskazał nam miejsca przy dużym, podobnym do bilardowego stole i począł się egzamin. Na trzech nas zdających, ja byłem trzeci z rzędu. Prawa rzymskiego pytał Piniński, a jak sam był człowiekiem bardzo rozumnym, tak też rozumnie pytał. Kościelnego prawa pytał Abraham, wymagając gruntownie, wreszcie niemieckiego prawa pytał Janowicz wcale względnie, dużo sam mówiąc. Przedmiotem egzaminu były te właśnie trzy prawa. Po jakich trzech godzinach egzaminu odeszła Komisja na naradę, po niedługiej pauzie pojawił się Piętak w sali, oddał nam nasze indeksy, a w każdym świadectwo i rzekł: Komisja uznała wszystkich trzech egzaminowanych za uzdatnionych. Powiew szczęścia przeszedł przez głowę, liczni koledzy znani i nieznani, słuchający egzaminu poczęli się cisnąć i gratulować, gratulował także i woźny przy drzwiach, za co pozostał mu srebrny gulden w ręce, bo nikt bez takiego guldena gratulacyjnego w kieszonce kamizelki nie wybierał się do egzaminu. Szczęśliwy, lekki, wolny od natłoczonych w głowie instytucji prawniczych opuściłem gmach uniwersytecki i zdawało mi się,

że wszyscy ludzie są weseli i uśmiechnięci i że moje szczęście dzieli każdy przechodzeń w mieście. Wszakże miałem poważne pravo za sobą. Pierwsza myśl była, podzielić się szczęśliwą wiadomością z bratem. Konnym tramwajem dojechałem do kościoła św. Anny a stamtąd poszedłem ku składom wojskowym, bo na Janowskiem tramwaju nie było. Na bramie przy budce stał żołnierz srogi z najeżonym bagnetem, broniąc mienia wojskowego. Po krótkiej rozmowie wpuścił mię na dziedziniec, zastawy wielką ilością budynków koszarowych ze składami. Już z daleka zobaczyłem w pośrodku domek niewielki, stanowiący strażnicę, a przed nim na prostej ławce pod oknem siedział mój brat i czytał jakąś książeczkę o ceglastej okładce ze znanej powszechnie biblioteki Reclama. Ucieszył się na mój widok, bo już samo moje przybycie zwiastowało dobry wynik. Usiedliśmy razem na owej ławce wojskowej, opowiedziałem mu przebieg egzaminu i po jakiej pół godzinie, pełen myśli złotych odszedłem do domu. Ciężki kamień spadł z moich piersi. Na pamiątkę tego szczęśliwego wyniku kupił mi brat całe dzieła Schillera, które posiadam dotąd. Gdy byłem uczniem gimnazjalnym, mówiło się zawsze, że matura jest najcięższym egzaminem państwowym. Jednakże w istocie tak nie było. Każdy egzamin prawniczy przewyższał kilkakrotnie swoim ciężarem i zakresem maturę. Przy tym pierwszym egzaminie padali prawnicy jak źdźbła pod kosą, czasami całemi serjami. Toteż kiedy na II roku sala wykładowa żadną miarą nie mogła pomieścić

słuchaczów, na III roku tylko szczupła garstka zasiadała do słuchania wykładów, może czwarta, może piąta część z poprzedniego roku.

W tymto roku 1894 urządzono we Lwowie słynną wystawę krajową na wzgórzach parku Stryjskiego (Kilińskiego). Cały Lwów rozbrzmiewał ciągle od nowozjeżdżających gości, wzgórze stryjskie roiło się od natłoku ludzkiego. Ja więc po czyzminie kilkakrotnie wystawę zwiedzałem. Największą atrakcją była wspaniała fontana, która wyrzucała jednocześnie kilkanaście strug wody w górę a wieczorem oświetlana była różnobarwnem światłem elektrycznem. Cysterna betonowa z posągami alegorycznemi miała dużą wartość artystyczną. Wtedy to powstała na placu wystawowym słynna panorama racławicka, dzieło malarza lwowskiego Jana Styki.


POWSZECHNA WYSTAWA KRAJOWA we LWOWIE w r. 1894.
pod protektoratem Najmiłościwszego Cesarza i Króla
FRANCISZKA JÓZEFA I.
BLOK 20.
BILET WSTĘPU
dla jednej osoby
NA PLAC WYSTAWY
ważny
na cały dzień i wieczór każdego dnia.
Cena 40 ct.
Bilet bez kuponu nieważny.

Oto są oryginalne bilety wstępu na wystawę krajową z r. 1894, dotąd zachowane.

*

Trzeci rok prawa spędziłem przeważnie w domu w Załuczu, bo podręczniki dla wszystkich przedmiotów były bardzo dobre i dokładne, można się było zarówno wygodnie uczyć w domu, jak i we Lwowie. Na czwartym roku wszakże prawie cały VIII semestr siedziałem we Lwowie, mieszkając u mego zacnego stryjecznego brata Erazma (ul. Batorego 24.), chodziłem codziennie na wykłady i niemal cały dzień przesiadywałem w Uniwersytecie. Wtedy dopiero po raz pierwszy pozwolono drugi egzamin prawniczy (tak zw. sądowy) zdawać przed ferjami, z czego korzystając zgłosiłem się u przewodniczącego tej komisji prezydenta Sądu Bancha, prosząc o dalszy termin, by módz jeszcze słabe miejsca ponadrabiać. „O to mię każdy prosi" – odrzekł Banch – dalsze dnie lipca są już obsadzone, mogę dać 16. lipca 1896". Zgodziłem się na to i gdy nadszedł dzień wyznaczony, znów zasiadłem do egzaminu z duszą na ramieniu, ale tym razem jeszcze szczęśliwiej mi poszło niż przy egzaminie poprzednim. Pytali w tej serji profesorowie Till, Balesits i prokurator Seredowski. Nie był jeszcze rok uniwersytecki ukończony, jeszcze koledzy moi chodzili na wykłady, ja zaś już szczęśliwie wyniązałem się z egzaminu a temsamem prawie że ukończyłem studja prawnicze ukończone, bo trzeci egzamin był nie prawniczy, lecz administracyjny.

Znów powróciłem do Załucza, dobrze odpocząłem, a ponieważ z dwoma egzaminami można już było wstąpić do służby państwowej, przeto odjechałem do Lwowa, aby rozpatrzyć się

i coś o sobie postanowić. Zajechałem znów we Lwowie do brata Erazma, gdzie tak on, jak i jego żona Hermina otaczali mię zawsze serdeczną opieką. Ponieważ Erazm był urzędnikiem Wydziału Krajowego (tj. władzy wykonawczej Sejmu Galicyjskiego), dlatego za jego poradą postanowiłem także ja wstąpić do Wydziału. Ale trudno było tam się dostać. Marszałkiem Sejmu i przełożonym Wydziału był wtedy hr. Stanisław Badeni, od niego zależało wszystko. Znalazłem jednakże i do niego drogę. Oto jednym z członków Wydziału Krajowego był dr. Hoszard, poseł na Sejm z powiatu bocheńskiego. Odniosłem się pisemnie do mego dyrektora gimnazjum w Bochni Żutkiewicza o pomoc. Ten mi odpisał (a było to ostatnie w życiu jego odezwanie się do mnie) że Hoszarda nie zna, ale zna go dobrze Trybulec, dawny burmistrz ~~bocheń~~ bocheński i ten pisze do Hoszarda list za mną. Tymczasem lepsze widoki otwarły się dla mnie przy władzach skarbowych. Zrobiłem podanie, poszedłem do ówczesnego prezydenta Korytowskiego i uzyskałem przyjęcie do władz skarbowych. Do Hoszarda jednak udałem się i podziękowałem za względy, bo tymczasem on już wyjednał mi przyjęcie u Badeniego, z którego ~~jednak~~ nie skorzystałem. Hoszard był pięknym typem. Staruszek o białej brodzie, zawsze chodził w polskiej czamarze ze swoim nieodstępnym żółtym pieskiem jamnikiem. U niego w biurze siedział ów piesek na biurku i dużo hałasu robił, gdy się kto obcy do biura pokazał.

Dnia 19. stycznia 1897 rozpocząłem moje pierwsze w życiu urzędowanie przy Administracji podatków we Lwowie przy Placu Cłowym. Naczelnikiem tejże był radca Wawrzkowicz,



Ogólny widok Lwowa.

30854 Z fot: D. Mazura, Lwów. Nakładem S. W. Niemojowskiego we Lwowie.

człowiek wysoki, rosły, barczysty, niezmiernie ruchliwy. Brakło mu urzędników, więc ucieszył się mną i wnet przydzielił mi łatwiejszą robotę, a to opodatkowanie czapkarzy, handełesów i jeszcze jakieś inne działy pracowników najmizerniejszej sorty. Siedziałem razem w jednem biurze z inspektorem Kamienobrodzkim i ten mię pouczał o całem urzędowaniu. Ledwie się zacząłem rozglądać w przepisach podatkowych, aż tu ogłoszono, że także Sąd przyjmuje prawników z dwoma egzaminami, trzeci zaś można zdać do sześciu miesięcy. Zapaliłem się do myśli przemiany skarbowości na sąd i po gruntownej naradzie z Drohomireckim, który tymczasem już był auskultantem sądowym, postanowiłem przejść do Sądu. Napisałem więc podanie w drodze służbowej i wniosłem przez ręce Wawrzkowicza. Odtąd zagniewał się on na mnie srodze, nie dawał mi nic do roboty, nie mówił nic do mnie, gdy przyszedł do biura, na mnie nie patrzył. Odetchnąłem, gdy dnia 15 marca 1897 przyszło uwolnienie mię. Tegoż dnia zgłosiłem się u prezydenta Sądu Baucha przy Placu Trybunalskim i zostałem przydzielony na praktykę do Sądu powiatowego Sekcja I we Lwowie (przy ul. Grodeckiej, przed Kościołem św. Anny).

Gdy się usadowiłem w Sądzie byłem stokroć zadowolony z tej przemiany. Inni ludzie, inna atmosfera, inny ton, inna praca, wogóle byłem wprost szczęśliwy. Niebawem otrzymałem adjutum 41 guldenów austr. miesięcznie, zamieszkałem z moim kolegą Golonką u Nowakowskich przy ul. Cichej, zdałem trzeci egzamin prawniczy i pracowałem w sądownictwie bardzo chętnie.

Tymczasem brat mój Dezydery został profesorem gimnazjum w Samborze i ożenił się. Mając w pamięci tyloletnie jego oddanie dla mnie, miłość braterską i pomoc szczerą w każdej potrzebie, postanowiłem przenieść się ze Lwowa do sądu w Samborze a temsamem zamieszkać z bratem w jednem mieście i nadal zespolić się z jego bratnią duszą.

Pod jesień 1897 udałem się do prezydenta sądu apelacyjnego Excelencji Tchórznickiego z prośbą o przeniesienie. Tchórznicki był niezłym administratorem, ale z niebywałą wyniosłością odnosił się do podwładnych i otaczał się średniowiecznym nimbem. Żaden monarcha nie patrzył tak z górnych wyżyn na prostego szeregowca, jak Tchórznicki spoglądał na auskultanta. Kiedy wyraziłem prośbę o przeniesienie do Sambora, zebrał mię z góry, że tam gdzie każdego przeznaczą, tam ma pracować, a nie przebierać w miejscach, kazał mi odejść i dalej pracować tam, gdzie jestem. Dziwnem mi się wydało zachowanie prezydenta, bo właśnie inni wypraszali się przed odejściem ze Lwowa na prowincję, ja dopiero pierwszy prosiłem o takie odejście i nie spodziewałem się odmowy. Zwątpiwszy więc w pomyślność audjencji, powróciłem nadal do Sekcji I i siedziałem na miejscu. Aż pewnego dnia niespodziewanie otrzymałem pismo o przeniesieniu do Sambora i o asygnowaniu 5 zł. zaliczki na koszta, z których po przybyciu na miejsce

miałem się wyliczyć.

Opuściłem tedy Lwów, aby doń nigdy już nie powrócić na stałe. Drogie, szczerze polskie miasto, które przez pracę w Magistracie lwowskim poznałem doskonale, znałem każdą uliczkę, każdy dom niemal i mnóstwo ludzi — Lwów stał się dla mnie odtąd tylko pamiątką i miłem wspomnieniem lat młodych, choć coprawda początkowo ciężko przebytych.

Wyjeżdżałem ze stolicy naszej z lekkiem sercem, nie zdając sobie wtedy sprawy z tego, co tracę, a w późniejszych latach nieraz tej dobrowolnej rozłąki żałowałem.

*

* *

Sambor

Wspomnienia kandydata sędziowskiego.

Sambor

. Lata 1897 do 1899.

Mając w pamięci przepiękny obraz podolskiego pobrzeża dniestrowego, byłem zadowolony, że jadę do Sambora, położonego nad Dniestrem. Sądziłem, że znów zobaczę na dniestrowych brzegach malownicze złomy skalne, zawrotne jary, przepaściste wertepy, pośród których posuwa się spokojna, szeroka rzeka w całym swoim wiekowym majestacie. Miałem nadzieję, że odtworzę ponownie te moje dziecięce czarowne wrażenia, jakie wyryte miałem w duszy z czasów pobytu w okolicach Okopów św. Trójcy, że usłyszę z nadbrzeżnych pól tęskną dumkę, płynącą z biegiem naszej rodzimej rzeki hen na przestronne, romantyczne Podole ku złomom Żwańca, Uszycy, Mohilewa, Jampola. Męczyło mi się po głowie, że możliwe powróci jeszcze ~~e~~ echo i odblysk tych moich lat szczęśliwych, jakie przeżyłem w zaraniu życia na łonie ślicznych okolic naddniestrzańskich na Podolu! Jechałem do Sambora prawie że rozmarzony, choć tajemnie tłoczyła się do piersi

przemocą jakaś żałość nieznośna, że opuszczam mury Lwowa, kto wie, czy nie na zawsze.

W rzeczywistości jednak Dniestr płynie zdala od Sambora, a brzegi jego nie mają wcale tego uroku, jak podolskie jary, niema w nich ni powabu, ni czaru, a zamiast tęsknej dumki podolskiej, słyszy się pod Samborem swary kłótliwych i pieniaczych mieszkańców niedalekich Kulczyc, którzy do historji przejść winni, jako najswarliwsza nacja na całem naddniestrzu (a bodaj czy i nie w całej Polsce).

*

Inaczej spisałby wspomnienia ze Sambora rodowity samborzanin, lub ktoś, kto długie w nim przebywał lata, a inaczej uczynię to ja, który mieszkałem w Samborze jedynie <u>16 miesięcy</u>, zwłaszcza, że spisuję te moje spostrzeżenia dopiero w 26 lat po opuszczeniu tego miasta. Musi nieć czytelnik mieć dla mnie wiele wyrozumiałości, zwłaszcza, że i tak siliłem się napisać wszystko to, co mi w pamięci pozostało.

Początkowo, gdy jeszcze w moim umyśle tkwił obraz Lwowa, wydał mi się, Sambor marny, mały, zapadły, prymitywny, ale z biegiem czasu, po zapoznaniu się z ludźmi i po zżyciu się z nimi, polubiłem to miasto, stało mi się ono miłe, swojskie, familijne, tak że ~~wyjeżdżając zeń~~ po wyjeździe zeń, sięgałem nieraz myślami do moich czasów samborskich, chętnie byłbym znów do Sambora powrócił, bom za nim żałował. Sambor miał

ludzi bardzo zacnych, prawych i przyjacielskich, z którymi pożycie było serdeczne. Lgnęli samborzanie do duszy jakby rodzina najbliższa i żal było szczerze z nimi się żegnać.

*

Pozostał mi dotąd w pamięci mój przyjazd do Sambora. Było pogodny, jasny dzień jesienny 1897 r., gdy pociąg osobowy od strony Drohobycza dojeżdżał do Sambora. Spojrzałem z ciekawością przez okno i zobaczyłem z oddali pierwszy raz w życiu Sambor, położony malowniczo na wzniesieniu. Czynił wrażenie średniowiecznego grodu, wieże kościołów i ratusza pięknie się rysowały na widnokręgu. Prócz brata nie znałem tam ani jednego człowieka, jechałem na niepewne losy, wyruszony z pięknej stolicy, z pośród gwarnego grona kolegów biurowych i z pośród dość licznego koła znajomych i przyjaciół. Jechałem, aby wsiąknąć w prowincję i stanąć w szarym szeregu pracowników sądowych. Wnet pociąg zatrzymał się na niewielkim lecz schludnym dworcu a w kilka minut później wiózł mię żydowin dorożkarz do hotelu Polakiewicza przy ulicy Przemyskiej. Nie wiele też hotel różnił się od sławnych „domów zajezdnych" w Kopyczyńcach. Poskładawszy w pokoju gościnnym tłumoki podróżne, wyszedłem popatrzeć na Sambor. Puls życia miejskiego koncentrował się w rynku, który się wcale harmonijnie przedstawiał. Pośród rynku stał zgrabny ratusz z kształtną wieżą z zegarem

wykonanym w całości ręką zegarmistrza samborskiego Żyborskiego. Z rynku rozbiegało się dziewięć ulic w różnych kierunkach. Tylko w rynku i w jego najbliższem sąsiedztwie były kamienice piętrowe, dalsze ulice miały parterowe domy z ogródkami i sadami. Rynek i pryncypalne ulice miały chodniki z płyt kamiennych, dalsze ulice były tylko szutrowane. Całe miasto nosiło na sobie cechy starości i archaizmu. Niedaleko dworca kolejowego ciągnął się niewielki park miejski, miał wycięte i szutrem wysypane aleje i nieco ławek do spoczynku. Był on miłem miejscem wytchnienia, ale dostęp doń był nieznośny, bo ulicą Lwowską, która stanowiła dojazd do kolei, a prochy ~~nieznośne~~ duszące unosiły się ciągle po całej ulicy i sięgały aż do kraju parku.

Przez pewną część miasta przepływała młynówka, odgałęziona sztucznie od Dniestru i skierowana do dużego młyna Tarnowskich na Blichu. Woda spadająca z kół obrotowych młyńskich szumiała na całe przedmieście, jakby wodospad jaki; a ponieważ w pobliżu mieszkałem, miałem go pełne uszy w dzień i w nocy.

Jego dnia oglądnąłem Sambor tylko pobieżnie, a dopiero nazajutrz rano więcej go poznałem, szukając dla siebie pokoju. Koło kościoła Bernardynów zeszedłem w dół ku Blichowi i zatrzymałem się obok kilku kamieniczek niedaleko młyna Tarnowskich. Ku mnie postąpiła jakaś kobieta skromnie ubrana i zapytała, czy nie szukam pokoju. Zdziwiłem się, że tak

odgadła moje intencje i wnet wynająłem u niej ładny słoneczny pokój za 5 guldenów austr. miesięcznie. Była to wdowa Błochowa, miała dwóch synów i jedną córkę, pracowita, ruchliwa, uczciwa i dobra, oddana trosce o dziatwę. Mając dach nad głową, przy pomocy brata kapiliśny w składzie mebli skromne urządzenie i stałem się odtąd mieszkańcem samborskim. Gdy pierwszą noc spałem w moim pokoju, wybuchł duży pożar na Blichu obok szpitala, całe miasto runęło na miejsce pożogi, zgiełk, krzyk, tłoczenie, łuna pod niebiosa biła a straż ogniowa pracowała gorączkowo. Było to kilkanaście domów za moim pomieszkaniem, więc popatrzyłem z daleka na to nieszczęście ludzkie i odszedłem na spoczynek.

Było mi jednak w pokoju głucho, więc kupiłem sobie skromny zegar ścienny o czarnych, okrągłych ramach, z wagami i odtąd sam nie byłem wśród ścian, bo zdawało mi się, że z tego mechanizmu zegarowego, odzywało się jakieś życie.

*

Naonczas był burmistrzem miasta Sambora adwokat Budrynowski. Gente Ruthenus, natione Polonus, starszy człowiek, bezdzietny, miły w obejściu, rozsądny w mowie, wygodny w życiu. Prócz adwokatury i burmistrzostwa, miał jeszcze jedno bardzo ważne stanowisko. Oto w okręgu samborskim (w nieznanych mi stronach) żył pewien magnat. Ten to miał córkę nieprawego pochodzenia, której matką była jego klucznica.

Magnat umierając, zapisał cały swój majątek owej córce. Dla niej właśnie opiekunem a zarazem zarządcą jej miljonowej fortuny był tensam adwokat Budzynowski. Kucznica ta wyszła zamąż za emerytowanego rotmistrza, on stał się więc ojczymem owej córeczki i gorąco zabiegał koło tego, aby go zrobiono opiekunem i co za tem idzie oddano mu zarząd olbrzymiego majątku. Ojczym ten miał za doradcę byłego adwokata lwowskiego Jaćkowskiego, zgłosił się raz w Sądzie obwodowym i oznajmił, co następuje. Podał, że to nie magnat, ale on sam jest ojcem owej bogatej panienki, a zataił to dotąd, bo miał wzgląd na swój stopień wojskowy. Obecnie jednak nie może już dłużej zadawać gwałtu własnemu sercu, sumienie mu nie daje spokoju, wyjawia więc wobec Sądu, że jest ojcem dziecka, chce je przysposobić jako swoje a w następstwie żąda oddania mu i dziecka (które było w Zakładzie wychowawczym we Lwowie) i zarządu jej majątku. Sąd nie przychylił się do próśb rotmistrza i podczas kiedy ja byłem auskultantem sądowym w Samborze, sprawa ta była głośna i zajmowała wiele posiedzeń sądowych. Budzynowscy oboje gorliwie zajęli się panienką, kształcili we Lwowie, na święta i na ferje brali ją do siebie do domu, w lecie wywozili do kąpiel, wogóle troszczyli się o nią, jak o własne dziecko. A z tem wszystkiem miał Budzynowski bodaj więcej zajęcia niż z burmistrzostwem i adwokaturą razem.

*

Proboszczem łacińskim był ks. Dornwald, staruszek, który mało ze swego domu się wyruszał, bo był domatorem. Proboszczem unickim był ks. Szczawiński, rusin na polskiej kulturze wzrosły, zacny człowiek i szanowany. Najbardziej zaś charaktery-

styczną postacią z księży był ks. Rabiej, katecheta szkół powszechnych, z polskiej podmiejskiej rodziny pochodzący. Przeszedł na obrządek grecki, został ruskim księdzem i z czasem stał się zażartym wrogiem wszystkiego, co polskie. Z biegiem dalszego czasu został po Szczawińskim ruskim proboszczem w Samborze, był demagogiem, żywiołowi polskiemu, z którego wyszedł, nieprzyjaznym. Rodzony jego brat był urzędnikiem policji samborskiej i został zawsze szczerym polakiem.

*

Starostą był Kieszkowski, człowiek stosunkowo młody, noszący się, jak zresztą w zwyczaju ówczesnym było, wyniośle, był jednak człowiekiem rozumnym i dobrym administratorem. Dyrektorem okręgu skarbowego był hr. Dzieduszycki, blondynek, niepokaźny, ojciec kilku córek, prowadził dom cichy, o wysokiej kulturze, powszechnie szanowany. Dyrektorem gimnazjum był Tomaszewski, bardzo ruchliwy, czynny, o szerokim horyzoncie umysłowym. Później był dyrektorem gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie i posłem do parlamentu, umarł we Lwowie około r. 1910. Pamiętne było jego ubieganie się o przeniesienie ze Sambora do Lwowa. Gimnazjum Franciszka Józefa uchodziło za wzorowe, wybierano więc na dyrektorów ludzi bardzo dzielnych. Gdy zawakowała posada, udał się Tomaszewski do Lwowa do namiestnika, przedkładając ustnie swoją prośbę. Nie wiem, kto wtedy był namiestnikiem (możliwe hr. Potocki), lecz wiem, że odpowiedział Tomaszewskiemu krótko: o tem mowy być nie może. Tomaszewski nie dał

za przegraną, a pomnąc, że za czasów akademickich był guwernerem w domu hr. Zamojskich w Zakopanem, po owej odmowie namiestnika wsiadł we Lwowie na pociąg i wprost pojechał do Zamojskich, przedstawiając rzecz całą. Zamojscy mieli ogromne wpływy w kraju. Więcej Tomaszewski nie zgłaszał się do namiestnika, ale w kilka dni po odwiedzinach Tomaszewskiego w Zakopanem, namiestnik licznym kandydatom na dyrekturę odpowiadał krótko: nie ma mowy o innym kandydacie, to miejsce uzyska Tomaszewski ze Sambora. Tak więc fortuna zmieniła się nagle z nieprzejednanego stanowiska namiestnika na najbardziej przychylne. Tym razem względy padły na człowieka niepoślednich zalet, który zadanie swoje spełnił chlubnie. Odszedł do Lwowa już po opuszczeniu przezemnie Sambora.

Wśród licznych nauczycieli miało samborskie gimnazjum kilka godnych pamięci osób. Profesor Paszkiewicz, starszy człowiek ze siwą brodą, znany był z tego, że bardzo się bał śmierci. Widywałem go kilka razy na pogrzebach, stawał tuż obok otwartego grobu i kiedy trumnę doń spuszczano na wieczny spoczynek, ~~Pasz~~ przystępował na samą krawędź grobu i patrzył do wnętrza, jakby chciał sprawdzić, czy istotnie jest się czego bać w grobie. Cofał się wnet ze zgnębionym wzrokiem. Profesor Krynicki ~~[illegible]~~ gente Ruthenus, natione Polonus, człowiek dobrej tuszy, twarz golona ze siwiejącym wąsem, często po Samborze chodził na przechadzkę powolnym krokiem z profesorską powagą. Był dwa razy żonaty, od pierwszej żony miał trzech starszych synów, od drugiej miał jednego, natenczas około 5ciu letniego

synka, którego kochał niezmiernie i całe lato nie widziało się Krynickiego na spacerze inaczej, jak tylko z tym synkiem. Profesorem przyrody był Laszkiewicz, rusin spokojnego temperamentu, całe życie myślał nad powiększeniem majątku, żył więc skromnie, miał swoją realność i ciągle w niej pracował. Polonistą był profesor Sołtys. Bardzo surowy, stąd młodzież bała się go i na jego bezwzględność sarkała. Średniego wzrostu, twarz golona, wąsy w dół opadające, trochę przysadkowaty, chodził z rozmachem, mając minę zawadjacką (jakby chciał powiedzieć: „co mi zrobisz"). W wielką sobotę 1898 poszedł Sołtys do kościoła farnego popatrzyć na boży grób, a gdy powracał, na schodach wchodowych kościoła padł martwy, tknięty apopleksją. Pogrzeb miał okazały, studenci nieśli trumnę na cmentarz przy ulicy Drohobyckiej, jednak był on już jednym z ostatnich tamże chowanych, bo kupiono i oparkaniono grunt od strony Biskowic na nowy cmentarz. Gdy jednak na tem nowem miejscu poczęto groby kopać, pokazało się, że grunt ma wiele wody podskórnej. Padł strach na Samborzan, że po śmierci muszą nie tylko w ciemnym ale i w mokrym leżeć grobie, więc pod rozmaitymi pozorami starano się znaleźć powód spoczywania jeszcze na starym cmentarzu, gdzie w grobie choć było zimno, ale przynajmniej sucho. Z dalszych profesorów wymienię dwóch, którzy mię w Stanisławowie uczyli, a byli to Szczepański i Mirtyński. Szczepański, niedoszły zięć profesora Świderskiego, ożenił się w Samborze z córką poważnego kupca Bukietyńskiego, Mirtyński zaś, były gospodarz bursy stanisławowskiej, mieszkał w domku przy ul. Drohobyckiej przy placyku za cmentarzem.

Nieraz się z nimi widywałem i wspominaliśmy stanisławowskie czasy. Młodym profesorem filologji w samborskiem gimnazjum był brat mój Dezydery. Wydarzył mu się podówczas oryginalny wypadek. Był on świeżo po ślubie i idąc raz ze szkoły do domu zagubił obrączkę ślubną. Dopiero po przybyciu do domu ~~zagub~~ spostrzegł zgubę i był tem niemile dotknięty, a aby młodej żony nie zasmucać, zataił to przed nią mówiąc, że obrączkę schował, by się nie niszczyła. Mnie o tem w tajemnicy wyznał, opowiedział to także profesorom. Pocieszał go wówczas profesor Szczepański, że i jemu tosamo się zdarzyło, gdy po ślubie nadeszła paka z naczyniem, on je wybierał i gdzieś w sianie pakunkowem obrączkę zagubił. Pomimo skrzętnego poszukiwania, niemal każde źdźbło z osobna rozbierano, obrączka się zatraciła. Miał więc i brat swoją obrączkę za zatraconą. Może w trzy do czterech miesiące potem zaprosił go proboszcz Ks. Dornwald do siebie. Nie mógł się domyśleć o co chodzi, lecz gdy przybył na probostwo, zagadnął go proboszcz, czy nie zgubił obrączki. Odrzekł twierdząco a okazaną mu przez proboszcza uznał za swoją. Pokazało się, że brat zagubił obrączkę na ul. Zielonej, szła jakaś służąca, znalazła ją i zabrała do siebie. Przy spowiedzi wyznała znalezienie, ksiądz kazał jej obrączkę przynieść i podanie na niej wyrytej poznał, że to musi być własnością brata. Tak oryginalnie odzyskał zgubę i odtąd strzegł jej staranniej.

Prócz gimnazjum było w Samborze seminarjum nauczycielskie męskie, którego dyrektorem był Kerekjarto, brat dyrektora gimnazjum stanisławowskiego i dość do niego podobny.

W tem to seminarjum był profesorem Kratochvila, poprzednio nauczyciel seminarjum w Stanisławowie. Bardzo przystojny i miły człowiek, przez młodzież kochany, rachliwy, pracujący społecznie z poświęceniem, został potem po latach następcą ~~Kra~~ Kerekjartą, a prócz osobistych przymiotów dopomogła mu do uzyskania miejsca dyrektora następująca sposobność. Kratochvila był zawołanym myśliwym i cieszył się przyjaźnią licznych zwolenników Toweckiego kunsztu. W okolicach Łąki pod Samborem miał jakiś magnat polski obszerne błotne przestrzenie, na których mnożyły się liczne stada dzikich kaczek. Tenże magnat urządził raz polowanie i zaprosił na nie któregoś z arcyksiążąt austrjackich, specjalnego amatora polowania na kaczki. Zaprosił na nie także i Kratochvilę i jemu oddał całe przewodnictwo w urządzeniu polowania. Kratochvila przeprowadził je doskonale a umiejętnie, arcyksiążę był z przebiegu łowów niezmiernie zadowolony, przy kolacji specjalnie za to Kratochvili dziękował, zaznacza, że Kratochvila jako człowiek ~~wielce~~ miły i dobrze ułożony wielce się arcyksięciu podobał. W rok lub w dwa lata po tem polowaniu zawakowało miejsce dyrektora seminarjum samborskiego. Kratochvila starał się o nie, ale miał także kontrkandydatów. Gdy zachodziło niebezpieczeństwo odmowy, udał się do owego magnata, ten odniósł się z prośbą do arcyksięcia, który bardzo dobrze przypomniał sobie miłego profesora, poparł go u władz centralnych i Kratochvila został dyrektorem. I znów taksamo jak o Tomaszewskim, można powiedzieć o Kratochvili, wybór padł na godnego kandydata, bo tak

młodzież jak i społeczeństwo przychylnie przyjęło dokonaną nominację.

Odbiegłem nieco od szkicu ogólnego, ale piszę co mi jeszcze z tych odległych lat w pamięci pozostało. Nieco więcej pamiętam o instytucji, w której pracowałem, tj. o sądzie. Nad młynówką na dole, obok młyna Tarnowskich dużą przestrzeń zajmował niegdyś jakiś klasztor żeński z kościołem. Klasztor dawno zniesiono a pozostały obszerny jednopiętrowy budynek i kościół przemieniono na sąd, dobudowując kilka podwórzowych budynków ~~sąd~~ i więzienie. Było to wszystko starą, niewygodną, ciemną, ciasną a zimną ruderą, nie nadającą się wcale na urząd, ale przecież przez długie lata służyła ona na sąd obwodowy. Podczas kiedy zgłosiłem się do Sądu samborskiego jako auskultant, był prezydentem sądu Adolf Sahanek (dawniejszy prokurator samborski), człowiek wielkich zdolności, mówca jakich mało było w kraju, średniej pracowitości, szlachetny w działaniu, rozbawiony w życiu, trafny w sądzie i sądzeniu, wyrozumiały w służbie, ludzki w obcowaniu. Słuszny, przystojny, brunet, lubiał żyć szeroko, cenił piękno i szedł z postępem wiedzy. Miał troje dzieci, córkę wydaną za rotmistrza Zawadzkiego i synów: Stanisława późniejszego wiceprezesa sądu w Kołomyi i Leszka, późniejszego adwokata w zachodniej Małopolsce. Prezydent Sahanek miał własną filozofię życiową, która zamykała się w maksymie wykorzystania krótkiego życia jak najintensywniej i umiejętnego wzięcia zeń wszystkiego tego, co górne, wzniosłe,

a miłe. Niezrównana pogoda ducha towarzyszyła mu przez wszystkie dnie jego żywota, a szczęście wszechstronne było trwałym jego udziałem. Nawet śmierć miał szczęśliwą, bo gdy dożył lat około 70, a żył na emeryturze we Lwowie, wstał pewnego ranka z łóżka, aby się ubierać, ale poczuł, że słabnie, co oznajmiwszy żonie, schylił się naprzód, wyciągnąwszy ręce przed siebie tak, iż niemal dosięgnął podłogi, oparł się o nią i ducha wyzionął.

Właśnie gdy byłem auskultantem w Samborze zaszła ~~zm~~ zmiana w osobie prezydenta. Ponieważ dotychczasowe miejsce prezydenta w VI klasie służbowej zwinięto a utworzono wyższe w V klasie, przeto Sahanek w VI klasie przeniósł się do Sanoka a do Sambora przyszedł Ambroży Janowski jako hofrat i prezydent sądu. Był to Rusin, człowiek starszy o siwej głowie i takiejże brodzie, punktualny, zapracowany, wpatrzony w akta, ścisły w służbie, nieco niecierpliwy, ogromnie drobiazgowy i sumienny. Obok hofrata mianowano wiceprezydenta Chylińskiego (którego brat był naczelnym redaktorem potężnego podówczas krakowskiego dziennika konserwatywnego „Czasu"). Chyliński był w obejściu sztywny, w poczuciu własnem wyniosły, zapracowany do upadłego, często niepotrzebnie zniecierpliwiony, mało miał miru u sędziów. Nadto miał sąd długi szereg starszych i młodszych sędziów. Najstarszym z nich był nadradca Słotwiński, poseł na Sejm z miasta Sambora. Staruszek miły, szlachetny, zdolny, o młodzieńczej świeżości umysłu, taktowny i niezmiernie poważny. Godzien był posiąść i największe godności sądowe, jednak z błahej przyczyny robiono mu przesadny zarzut o prawdziwą drobnostkę.

Oto, gdy był jeszcze naczelnikiem sądu w jakiemś miasteczku, ktoś, odsiadujący karę w areszcie prosił go o pozwolenie wyjścia na pół dnia, celem uczestniczenia w pogrzebie matki. Kary według prawa nie wolno było przerwać, jednakże Słotwiński w swej dobroci zezwolił więźniowi na przerwę. Doszło to do wiadomości władz i tak mu to wzięto za złe, że całe następne życie już miał zagrodzone do otrzymania naczelnego stanowiska. Nie przeszkodziło mu jednak w szacunku, jaki sobie powszechnie zjednał. Przeszedłszy na emeryturę w r. 1898 był dyrektorem miejskiej kasy oszczędności i zmarł otoczony czcią, jako człowiek bez skazy.

Z radców najstarszym był Karol Hanik, jak gołąb siwy, pracowity nad ludzką miarę, bolejący, że nie może wszystkiego wypracować, niezmiernie sumienny, ciągle siedział nad aktami, ~~pr~~ pierwszy do sądu przychodził, ostatni wychodził. Wyglądał chudo, a przecież żył długo i przeżył swoich rówieśników. W swej przesadnej sumienności unikał nawet wszelkich pozorów stronności i zakazał domownikom, aby między niczego od nikogo nie przyjmowali, choćby to pochodziło od osoby zaprzyjaźnionej. Gdy był dawniej naczelnikiem sądu w Buczaczu, był jego niedalekim sąsiadem starszy oficjał sądowy. Pewnego razu kazał oficjał w domu zabić tucznego wieprza i utartym zwyczajem sąsiedzkim trochę kiszek i kiełbas posłał znajomym a między nimi także Hanikowi. Żona znając surowy zakaz męża, napisała do niego do sądu kartkę, czy przysłane rzeczy przyjąć. Hanik w pospiechu mylnie

odczytał kartkę, zamiast czy przyjąć kiszki i kiełbasy, prze=czytał książki i kiełbasy. Odpisał: pierwsze przyjąć, dru=gie nie. Żona więc kiszki przyjęła, kiełbasy zwróciła. Gdy Hanik powrócił na objad i zjadł smacznie kiszki, zapytał żonę, ~~skąd je wzięła~~ gdzie je kupiła. Zdziwiona żona powo=łała się na kartkę, iż on sam przecież pozwolił je przyjąć od oficjała. Zmartwiony Hanik chodził kilka dni jak struty. Był to człowiek o nieskalanej uczciwości i wzorowej bezstron-ności.

Oryginalnym sędzią był radca Jakubowski. Wcale staszny, barczysty, dobrze zbudowany a jeszcze lepiej odżywiony, lat około 60, zawadjackiej miny, cięty w słowie, stanowczy w czynach, luzem chodzący kawaler, zamiłowany w wygo=dach domowych, niezależny i wolnomyślny, jako sędzia kar=ny był postrachem wszystkich, którzy w skutek oskarżenia przed sądem stawali, bo był bezwzględny i surowy. W r. 1899 przeszedł na emeryturę, wyjechał ze Sambora do Lwowa, oże=nił się i tamże życia dokonał niedługo po opuszczeniu służ-by ~~[illegible]~~ sądowej.

Zgoła innym typem był radca Zwistocki. Poprzednio nazywał się Heck, a choć wielu członków rodziny nosiło to nazwisko, on je spolszczył. Drobiazgowy i przykry, zamęczał sie=bie i zamęczał innych, był dobrym prawnikiem a nie cierpiał zdania odmiennego. Przyszedł do Sambora z Przemyśla i po dwu latach tamże powrócił. Na końcu życia był prezydentem sądu w Złoczowie, nigdzie jednak nie zjednał sobie sympatji.

Z pomiędzy innych wyróżniał się radca Leon Roszkiewicz, natenczas około 60 lat liczący. Syn ruskiego księdza z pod Stanisławowa, ożenił się z bar. Kannówną, córką wiceprezydenta apelacji lwowskiej, z czego zawsze był dumny, czasami nawet przesadnie. Choć był rusinem, dom prowadził polski. Miał trzy córki, z których średnia Zofja była najpiękniejszą panienką w Samborze a zarazem dumą i szczególnem ukochaniem swego ojca. Mając stypendjum rodzinne Kannych, ukończyła gimnazjum (co wtedy należało do bardzo rzadkich wypadków) a następnie poświęciła się studjom medycyny we Lwowie. Zawiązał się romans studencki między nią a studentem medycyny Germanem, synem znanego radcy szkolnego. Jakie były dzieje tego romansu, nie wiem, ale to pamiętam, że oboje zakochani postanowili wspólnie zginąć. Pojechali na Morze Adrjatyckie i z okrętu oboje wskoczyli do Adrjatyku, gdzie w toniach morskich wspólną śmierć znaleźli. Fala wyrzuciła na brzeg ~~mał~~ martwe zwłoki drojga nieszczęśliwych istot. To podcięło życie radcy Roszkiewicza, niebawem po stracie ukochanej córki i on życie zakończył.

Był jeszcze cały szereg innych radców w Sądzie okręgowym, tych jednak albo sobie nie przypominam, albo nic znamiennego o nich napisać nie umiem. Imiona ich: Janowski nieznośnie zapracowany, Józef Kohman klnący głośno na wszystko, Graf potulny a pobożny, Giżowski zdolny, energiczny, wolnomyślny, poseł do parlamentu, Włodzimierz Kozicki, młody

a dla wszystkich miły i popularny, dopiero co z Tarnopola przybyły. Radca Madejski odchodził wtedy na emeryturę, człowiek po sześćdziesiątce, godny, o wysokiej kulturze, miły i uprzejmy, rozwinął swą działalność w Towarzystwie Muzycznem, którego był prezesem. W domu miał nieszczęścia, bo od długich lat żona jego była sparaliżowana. Miéli dom własny przy ul. Tkackiej, z dużym ogrodem. Wszystkie dzieci Madejskich były miłe, dobre i kochające swoje koło rodzinne. Ale śmierć nielitościwa kosiła je bezwzględnie. Umarł chłopaczek, student gimnazjalny, wzorowe dziecko, i kilka lat potem umarł syn drugi, już jako radca sądowy, pomarli niebawem oboje Madejscy, dziś nie wiem, czy jeszcze kto został z nich żywy.

Sędziami śledczymi byli zdolny sędzia dr. Roman Czajkowski i starszy człowiek Wajdowicz. Ten ostatni miał narośle na głowie, tak zwane kaszaki. W stęchłem, ciemnem, niezmożnie dusznem biurze przesiadywał Wajdowicz długo poza godziny urzędowe, zamęczając siebie i ludzi, pisał bowiem niekończenie długie protokoły, tak, że potem bardzo mozolną było rzeczą odczytywać je godzinami przy załatwieniu odnośnej sprawy w prokuratorji. A dodam, że przydzielano mu sprawy proste i jasne, nie wymagające szczytniego mozołu.

Znamienną postacią w sądzie był dyrektor kancelarji tj. najstarszy sekretarz Łopuszański. Rosły, nalany w ciele, o dużych wąsach, o płowej głowie, lat około 60, wchodził zawsze w pożycie w grono sędziowskie, a nie żył ze sekretarzami, stąd ci go nie lubieli. Bardzo zdolny, wyrabiał łatwiejsze elaboraty

sędziowskie. Lubiał, aby go za jego pracę chwalono i sam się dość chwalił. Cenił bardzo towarzystwo męskie wesołe, a kiedy jeszcze Szkanek był prokuratorem, żyli w przyjaźni i niemal codziennie do późnej nocy się bawili. Opowiadał mi, jak doszedł do własnego domu przy ul. Tkackiej. Oto oszczędziwszy jakiś kapitalik, który był jego całym dorobkiem, postanowił postawić wszystko na jedną szalę. Posłał go do Wiednia, celem gry na giełdzie zbożowej. Około dwa tygodnie chodził jak w gorączce, bo jego losy rozgrywały się. Fortuna jednak mu się uśmiechnęła. Otrzymywał z Wiednia coraz pomyślniejsze wiadomości. Ze zapartym oddechem oczekiwał codziennie telegramu. Gdy uważał, że kapitał jego dostatecznie nabrzmiał, przerwał obrót na giełdzie i kazał sobie przysłać pieniądze, za które następnie postawił piękny dom murowany. Gdy to gruchło po mieście, żydzi cisnęli się do Łopuszańskiego jak do cudotwórcy, mając go za wielkiego znawcę stosunków giełdowych i zasięgali jego rady, na którą on, jako przygodny tylko szczęśliwiec nie potrafił odpowiedzieć. Żona jego była dyrektorką szkoły wydziałowej żeńskiej, bardzo poważna kobieta; a mieli trzy córki, wszystkie przystojne panny i jednego syna Antoniego, średnich zdolności. Nieraz bawiąc się z nami auskultantami mawiał Łopuszański: moi kochani, jam stary, niezadługo skończę życie, do was młodych przyszłość należy, pamiętajcie o moim chłopaczku Antosiu! Pomny na tę niejednokrotną prośbę, później przy jakiejś sposobności w Kołomyi popierałem osobiście jakąś sprawę sędziego Antoniego Łopuszańskiego, przez pamięć na jego ojca.

Zakończę ten pobieżny przegląd osób z dawnego Sądu obwodowego w Samborze wzmianką o postaci, której żadną miarą pominąć nie podobna. Był nim woźny prezydjalny Ujwary. Godny odblask woźnego Protazego, z tą odmianą, że Ujwary wywodził swój ród z madziarskiej ojczyzny. Chłop niezbyt rosły, ale silnie zbudowany, twarz ogorzała, nos nieco zdradzał znawstwo alkoholu, wąsy rudoszare zwisały jak dwie miotły, rezon wysłużonego podoficera od dragonów, siedział Ujwary w swoim pokoiku przeznaczonym dla woźnego prezydjalnego i nikt nie mógł z prezydentem sądu mówić, nie zgłosiwszy się wprzód do niego. Ubierał się w swój ulubiony mundur woźnego z dużemi, złotemi guzikami, pierś zdobił szeregiem medali i krzyżów zasługi, tak iż wydawał się na zewnątrz, jakby jakiś dygnitarz, od którego w sądzie wiele zależy. Gdy przychodzili bojki z gór ze żalem do prezydenta w jakiejś sprawie, wahali się w myśli, czy właśnie Ujwary, zdobny w takie złotości i ozdobiony dekoracjami honorowemi nie jest sam owym prezydentem, do którego tyle mil drogi wydeptali. Ujwary kazał prostaczkom, by mu opowiadali, jakie mają żale na sąd, ci rozgadywali się długo i szeroko, stojąc przed Ujwarym, rozsiadłym na starym fotelu. Gdy już opowieść dobiegała końca, a najczęściej chodziło o niezadowolenie z jakiegoś wyroku, który chyba zaczepić należało środkiem prawnym a ustne żale do prezydenta były bezcelowe, wtedy Ujwary wstawał z krzesła, wyprostowywał się mocno, twarz jego nabierała fioletowego zabarwienia i wołał do bojków:

dość tego! to wy odważacie się przyjść do mnie skarżyć na mego sędziego, czy wy wiecie co to znaczy i co robicie, niech was Bóg zachowa co będzie, jak ja się nagniewam! Tu zaczął szukać kartki i pytać kwerulantów o nazwiska, czem bojki przestraszeni odwracali się, i uchodzili coprędzej ze sądu, bojąc się ściągnięcia nietaski „prezydenta". Zwracano uwagę Ujwarego, że może mieć z tego powodu kłopoty, lecz on uspokajał, iż gdyby nie jego konferencje, miałby prezydent zbyt wiele pracy ze słuchaniem żalów bez sensu, on więc także zażalenia przebiera, a gdy zbada, że rzecz jest godna zaprzątnięcia prezydenta, dopiero wtedy dopuszcza interesowanych przed oblicze przełożonego, inaczej sam je załatwia odmownie, bo przecież prezydent nie będzie słuchał bojków, by po prawomocnym wyroku obniżył im karę za kradzież, lub aby prezydent sam pojechał w góry i popatrzył, że sąsiad wkosił się w łąkę, bo sędzia był na miejscu z geometrą, mierzyli, słuchali świadków i powiedzieli, że granica jest dobra, a prezydent ma ze Sambora pojechać i powiedzieć, że nie jest dobra — i takich spraw wiele innych.

*

Zamieszkawszy na skraju Blicha, poszedłem do sądu celem objęcia urzędowania. Zgłosiłem się do prezydenta Sahanka i zostałem przydzielony do Sądu powiatowego. Można było budynek tego sądu powiatowego fotografować i posłać do parlamentu, jako szczególne widowisko. Oto na górce niedaleko parafialnego kościoła w Samborze był niegdyś przed laty

wielu jakiś klasztor duży, ponury. W tymto wygasłym klasztorze mieściła się Dyrekcja Skarbowa. Tuż pod murem klasztornym była przybudówka a w niej ongiś pomieszczone były stajnie klasztorne. Otóż te właśnie stajnie, nie nadające się nawet na skład tytoniu, zamieniono na sąd powiatowy. Nędzna rudera parterowa, niska, ciemna, ze ścianami wewnętrznemi z desek pobielanych, z urządzeniem mniej niż szynkowem, była przybytkiem zymiaru sprawiedliwości. Wstyd było przekraczać próg w tej spelunce. Ale byłto właśnie ostatni rok pomieszczenia tam sądu, gdyż od nowego roku 1899 przeniesiono go do najętej kamienicy Medlingera przy ulicy Lwowskiej. Naczelnikiem sądu powiatowego w Samborze był wtedy radca Hayder Dyonizy. Miał żonę rusinkę, sam był polakiem, stąd dom jego był mieszany polsko-ruski. Drugim radcą w tym sądzie był Józef Kulczycki, rusin, kulawy na nogę, zdolny prawnik, godny człowiek, kawaler, długoletni poprzednio sędzia w Budzanowie na Podolu. Żył skromnie, a lubiał w lecie co niedzieli jeździć na wycieczkę. Zajeżdżała drabiniasta fura gospodarza z przedmieścia Porodowej, stawała przed kamienicą na złamaniu ul. Zielonej, gdzie Kulczycki mieszkał, zabierał na wóz auskultantów, ile się tylko dało pomieścić wśród drabin i jechało się gdzieś w okolicę. Raz i ja bratem udział w takiej wycieczce do Starego Sambora i Spasa, a wytało wyprawa niezmiernie wesoła, ochocza, śpiewna, sam zaś

zacny Kulczycki był szczęśliwy, widząc w koło siebie rozbawioną młodzież. Umarł nagle, żałowany przez wszystkich, jako człowiek bez skazy.

Trzecim sędzią był Benjamin Schwarz, mojżeszowej wiary, sprytny i tak oryginalny, że na długie lata pozostawił po sobie pamięć żartobliwą. Niewielki, cery oliwkowej, dużych oczu, czynił wrażenie hiszpana. Lubiał bardzo podkreślać swoje zdolności i cenić głośno swoją pracę. Właśnie od 1. stycznia 1898 weszła w życie nowa procedura cywilna i nowa ~~ordynacja~~ ordynacja egzekucyjna, a Schwarz miał oddział egzekucyjny. W rozmowie często zaznaczał: „wiesz pan, ja widzę, że nigdzie się nie robi egzekucyjnego tak dobrze, jak w Samborze"! Na długie lata potem, gdy się żartobliwie chciało podkreślić, że się coś robi dobrze, powtarzało się te samochwalcze słowa Schwarza. Palił permanentnie grube jak palec papierosy, które niemal nigdy nie wychodziły mu z ust. Mieszkał w parterowym domu realności z ogrodem, gdzieś w okolicy gimnazjum. Opowiadano, że przed mojem przybyciem do Sambora wydarzył się następujący wypadek. Był figlarz auskultant Kulczycki (imiennik radcy), który lubiał mieć przygody życiowe, miał ich też wiele. Otóż ten auskultant pewnej letniej nocy przeskoczył przez parkan ogrodu Schwarza i skradł się pod okno jakiejś nadobnej bogdanki. Gdy w nocy Schwarz spostrzegł, że jakiś nieznany złoczyńca zakradł się do ogrodu, narobił wiele krzyku: złodziej, złodziej, policja, łapajcie,

dawajcie karabin itp. wreszcie pochwycił swoją szablę stojącą w kącie, wyskoczył w bieliźnie przez okno do ogrodu i klamcając klingą o pochwę, wołał głośno: poczekaj złodzieju, zaraz cię zastrzelę – ale niebezpieczny człowiek tymczasem umknął. Przestraszony Schwarz, dumny z łatwego tryumfu poszedł wreszcie spać, a rano przybywszy do biura wcale bohatersko usposobiony opowiadał wszystkim szeroko, jakto w nocy spłoszył jakiegoś niebezpiecznego zbrodniarza i jak się hardo i mężnie postawił, niemal z narażeniem własnego życia, bo nieustraszony z szablą w ręku wyskoczył do ogrodu i rad byłby się zetknął z napastnikiem, ale tamten uszedł w bojaźni przed jego silną ręką. Nieco później przyszył do biura Kulczycki i z humorem opowiadał, jak go tej nocy chciał Schwarz zastrzelić z szabli. Gruchnęło to po sądzie i Schwarz najpierw był tem skonfundowany, następnie z tego sam się śmiał. W kilka lat później Schwarz został radcą sądowym w Brzeżanach, potem przeniósł się do Przemyśla, który był jego rodzinnem miastem i tam owdowiawszy, życia ~~do~~konał.

Dalszym sędzią w Sądzie powiatowym był Karol Reiner, człowiek starszy, powolny i wygodny, ale godny. Innym znów był sędzia Bazyli Kielanowski, rusin, słabych zdolności, krzykliwy, narzekający, sam ~~lękał~~ lękał się brzemienia swoich obowiązków, stąd krzyczał i krzyczał na wszystkich: na strony procesowe, na adwokatów, na auskultanta, na kancelistów i ciągle był podniecony. Kiedy

raz Kielanowski prowadził rozprawy, przyszedł kancelista z jakąś ważną sprawą o zapytanie, jak ma postąpić. Zdaje się, że i Kielanowski nie wiedział, co mu ma powiedzieć, więc wrzasnął z całych sił: „ja teraz mszę odprawiam, rozumiesz pan, odprawiam mszę" – na co kancelista wycofał się ze sali. Poszło to w kurs po sądzie i odtąd, gdy się chciało powiedzieć, że Kielanowski dziś prowadzi rozprawy, mówiło się: dziś Bazio mszę odprawia. Po przejściu na emeryturę był Kielanowski adwokatem, miał ruską klientelę i powodziło mu się wcale dobrze.

Karnym sędzią w powiatowym sądzie był Poźniak, pobożny, Bogu ducha winny, małych zdolności, zasypany tysiącami drobnych spraw karnych i pracą umęczony. – Mnie przydzielono do sędziego Reinera, który dopieroco przyszedł był ze Skolego i sam zaczął rozglądać się w swoich agendach w nowym sądzie. Tymczasem zabrakło auskultanta w prokuratorji. Prezydent przyrzekł prokuratorowi, że mu przydzieli auskultanta, którego on sobie sam wybierze. Choć to był dopiero początek mojej pracy w Samborze, prokurator za poradą mojego kolegi auskultanta Potockiego wybrał mnie, otrzymałem przeznaczenie na piśmie, musiałem odejść do czynności przy prokuratorji, co potem miało wpływ na bieg dalszego mego życia.

Prokuratorja Państwa była pomieszczona w dobudowanej obok wchodu do sądu obwodowego kamienicy, a to na pierwszem piętrze, gdyż w parterze mieściła się tabula (hipoteka). Prokuratorem był Roman Stebelski, rusin, po polsku dom pro-

wadzący, a zresztą ścisły urzędnik austrjacki. Niewysokiego wzrostu, otyły, chód miał nieco kaczkowaty, zarost płowy, siwiejący, oczy małe, ruchliwe i przenikliwe, surowy wyraz twarzy, ogromnie wysoko ceniący swoje stanowisko a nawet nieco przejęty pompą, surowy, bezwzględny, nieugięty, doskonały prawnik. Zastępców prokuratora było dwóch, a to Karol Koerber, syn byłego wiceprezydenta apelacji lwowskiej, choć około czterdziestu lat liczący, jednak prawie całkiem siwy; wysoki, przystojny mężczyzna, dobry, koleżański, skromny. Koerberowie pochodzili z niemieckiej rodziny, jednak się spolszczyli, ale przecież Koerber czytywał jeszcze niemiecką gazetę „Neue Freie Presse" z Wiednia, i gdy ta gazeta zajmowała nieprzychylne stanowisko względem ówczesnego polskiego prezydenta ministrów Kazimierza Badeniego, Koerber przejął się jej tonem i był zadowolony, gdy gabinet Badeniego upadł. Koerber był żonaty i miał jednego synka, a gdy był jeszcze bezżennym, żył w ogromnej przyjaźni z ówczesnym prokuratorem Sahanekiem i w zespole z Łopuszańskim tworzyli trójkę. Sahanek był nawet z Koerberem i Łopuszańskim na ty, ale gdy został prezydentem, sami go już tylko panem prezydentem tytułowali i dawna zażyłość się rozluźniła. Drugim zastępcą prokuratora był Wincenty Mromliński, więcej od Koerbera bystry i rzutki, ale o ile Koerber był niezmiernie spokojny, o tyle Mromliński był gorącej krwi.

Słynnym oficjałem (sekretarzem) prokuratorji był Szuler, wysłużony rachmistrz o miotłowatych wąsach, zdolności bardzo

stałych i nigdyby z wachmistrza nie został urzędnikiem, gdyby nie prośby jego żony, której wojskowi przełożeni nie mogli odmówić udzielenia dla męża tak zwanego certyfikatu urzędniczego, jaki z reguły dostać mogli tylko inteligentni wachmistrze po 12 latach nienagannej służby. Szaler nic wspólnego z inteligencją nie miał a jednak szczęśliwy ~~los~~ los wyniósł go na urzędnika, ale też następnie pot kroplisty z czoła mu ściekał, nim zdołał rozeznać się w skomplikowanem urzędowaniu. Stebelskiego bał się jak ognia i nieraz słuchał od niego słów niezadowolenia. W gruncie rzeczy jednak obowiązki na niego włożone były zbyt ciężkie, zmagał się z niemi znojnie i po moim już odjeździe zmarł na chorobę umysłową.

W prokuratorji pod bardzo doskonałem kierownictwem byłem prawie rok i z czasem wyrabiałem oskarżenia na równi ze zastępcami, toteż Stebelski był z tego wielce zadowolony, a kiedy odchodziłem z prokuratorji napowrót do sądu, wystawił mi takie świadectwo, że potem dopomogło mi ono, iż sam zostałem najpierw zastępcą prokuratora a potem prokuratorem.

Stebelski został przeniesiony do Przemyśla, gdzie był prokuratorem i hofratem, dotrwał aż do powstania Polski, jednak z nieznanych przyczyn do polskiej służby nie wstąpił, otrzymał jakąś małą emeryturę i umarł wśród niedostatku. ~~Körber~~ Koerber został radcą sądowym w Stanisławowie, był przeważnie sędzią karnym, gdzie też dość wcześnie zmarł. Natomiast Mrozliński został radcą we

Lwowie, długo w służbie pozostał i przeszedł w r. 1927 na emerytur$ę$.

Cały zastęp auskultantów tj. kandydatów na sędziów tworzył jakby jedną rodzinę. Razem się trzymaliśmy zawsze, razem schodzili się w cukierni, razem wspierali w urzędzie. I coraz, po starszeństwie, składali auskultanci egzamin sędziowski, opuszczali nasze grono i jako sędziowie odchodzili na małe sądy po miasteczkach, a natomiast nasze grono powiększyło się młodymi kandydatami. Byli w Samborze równocześnie (ze mną) auskultantami: Donicht Stanisław, nasz senjor, dziwak, o wiele od nas starszy, wszystkiego się bojący, stąd długie lata nie zdawał egzaminu. Tylko ten jeden auskultant żył na osobności. Tadeusz Potocki, syn dyrektora szkoły ze Zawidówki, bardzo serdeczny kolega, blondyn o dużym, płowym wąsie i rumianej twarzy. Był przyjacielski, uczynny, zdolny do poświęceń. Lubiał dobrane towarzystwo, wesołą zabawę, żyć – i dać żyć (jak prawiło niemieckie przysłowie), tak iż niejeden jego gest łączono z magnackiem nazwiskiem. Po zdaniu egzaminu był sędzią w Horodence, Olesku, Czortkowie, Budzanowie i Podkamieniu. Żyliśmy obaj bardzo blisko, niemal jak bracia, bo to był człowiek o niezmiernie dobrem sercu i zacnym charakterze. Laurenty Zakradnik, syn ruskiego księdza z Kupnowic koło Rudek, pierwotnie był oficerem piechoty, potem nawrócił się do zawodu sędziowskiego.

Zawsze wesoły, rozbawiony, dowcipny, zamożny – choć młody, jednak gruntownie świat. Po powstaniu Polski przeniósł się do Poznańskiego, gdzie najpierw był w Środzie a potem był prezesem sądu powiatowego w Poznaniu. – Auskultant Szczepański, wyglądał zawsze zatroskany, ożenił się z wdową, był sędzią w Horodence i Bołszowcach, umarł wcześnie. – Władysław Schmidt, młody, wyglądał jak student, głowę miał tak dużą, iż trudno mu było kupić w Samborze kapelusz. Tylko on i prezydent Sahanek mieli w Samborze tak duże głowy. Mieszkał z matką wdową po inżynierze bardzo skromnie. Ojciec jego wskutek jakichś niepowodzeń w przedsiębiorstwie życie sobie odebrał. Byłto zacny kolega i dobry, o subtelnej duszy. Długie lata przebył w Turce jako naczelnik sądu powiatowego. – Auskultant Jan Porembalski pochodził ze szlachty sanockiej, bardzo młodo się ożenił i już jako auskultant miał dwoje dzieci: Zofię i Tadeusza. Szczera, serdeczna dusza, głos miał całkiem cienki jak młody chłopczyk, ~~ał~~ a był z nas wszystkich najlepszym mówcą. Ostatecznie był radcą sądowym w Przemyślu. – Tytus Hobler pochodził z niemieckich kolonistów i miał w sobie wiele z charakteru niemieckiego. Na pół zimny, dość zamknięty w sobie, z dozą egoizmu, dbał wielce o własne powodzenie, doprowadził też do stopnia sędziego apelacyjnego we Lwowie. Auskultant Józef Gailhofer z przedmieścia samborskiego, również niemieckiego pochodzenia, z jasną czupryną i dziwnie jaskrawo zaczerwienionym nosem. Zdolny i pracowity, w osobistem obejściu uszczypliwy. – Auskultant Stanisław Chmielewski

mieszkał przy swej licznej rodzinie przy ul. Zielonej. Wykształcony, zdolny, koleżański i lubiany. Ożenił się z ~~dzie~~ wdową w którymś z miasteczek, gdzie był sędzią (możliwie w Kozowej), ostatecznie został wiceprezesem sądu okręgowego w Kołomyi, gdzie też około r. 1924 umarł.

Dwaj bracia Dydyszyńscy, synowie nieżyjącego już radcy sądowego w Samborze. Starszy Stanisław był bardzo małych zdolności, niemal niezdolny do służby, radcy wypraszali się od przydzielania go sobie. Był sędzią ciągle przenoszonym (Tyśmienica, Śniatyn, Bolechów, Tłuste). Żył odosobniony a w miarę wieku zdziwaczał. Młodszy brat Tadeusz, rozumny, zdolny, bardzo dobry kolega, długie lata był radcą sądowym w Przemyślu. – Konrad Węgrowski z Rozdołu, serdeczny towarzysz w każdej doli, zawsze uśmiechnięty, a wtedy powieki układały mu się na kształt chiński, skośnie, w dalszym ciągu swej pracy zawodowej okazał się bardzo dobrym sędzią, był naczelnikiem sądu w Mikołajowie, a ostatecznie prezesem sądu okręgowego w Katowicach. Auskultant Reizes Ozjasz, jedyny mojżeszowego wyznania pośród nas, przeszedł następnie do adwokatury.

Adwokatów naówczas było w Samborze około dwunastu. Dziś nie pamiętam ich wszystkich, ale to wiem, że adwokatura stała wówczas wysoko. Wspominałem już o adwokacie Bndzynowskim. Drugim był adwokat Steuerman, wyznania mojżeszowego, wyniosły, o wspaniałej postawie, miał doskonałą wymowę w nienagannej polszczyźnie. Żona jego

miała niemniej doborową postawę a była pierwszą elegantką w Samborze. Oboje byli ludźmi miłymi i szanowanymi. Steuerman był po Budzynowskim długie lata burmistrzem miasta Sambora. Z innych pamiętam adwokata Aleksandrowicza, był żonaty, bezdzietny, także wyzn. mojż. o zacięciu literackiem, głośny obrońca w sprawach karnych, o wysokiej inteligencji, niestrudzony reżyser teatrów amatorskich. Serwacki polak, młody adwokat, dobry prawnik, dopiero się wybijał. Adwokat Witz, wyzn. mojż. cięty jak osa, ruchliwy, przedsiębiorczy, osobiście niezbyt miły.

Notarjuszów było dwóch: Kasparek, człowiek starszy, cichy, domator i Schneider, młodszy, obarczony dziatwą, bardzo pracowity i zapobiegliwy, umarł niestety zbyt wcześnie.

Lekarzem sądowym był dr. Markiewicz, wyzn. moj. bezżenny, koleżański, po polsku myślący, uczynny i dobry lekarz. Powiatowym lekarzem był dr. Skalski, innym lekarzem ~~bardzo~~ wcale wziętym był dr. Biegelmajer, zięć radcy Słotwińskiego. Miał dom na początku ulicy Tkackiej. Było jeszcze kilku lekarzy wojskowych i cywilnych, dziś nie pamiętam jednak ich nazwisk.

Z pobytu w sądzie samborskim pamiętam dwa znamienniejsze epizody. Było to w r. 1898, w którym obchodzono jubileusz 40 letniego panowania cesarza Franciszka Józefa. Przy tej sposobności cesarz darował karę wszystkim zasądzonym za obrazę majestatu. Prezydent Janowski chciał ów akt łaski cesarskiej sam ogłosić odnośnym więźniom uroczyście. Przed solennem nabożeństwem zgromadziliśmy się w dużej sali sądowej, wiele

złoconych mundurów pokazało się z gronie, wreszcie wprowadzono trzech więźniów prostaczków, a to jednego mężczyznę i dwie kobiety, odsiadujących karę, aby im odczytać św akt łaski. Darowanie kary było dla nich niespodzianką. Gdy więźniowie weszli do sali, w pierwszej chwili zaniepokoiła ich obecność tak dużego grona wysokich urzędników, stanęli więc pod ścianą, zastraszeni o swój los. Niebawem pojawił się prezydent Janowski, wystrojony w bogaty mundur urzędowy, od którego biły bogato złocone ozdoby i zamiast powiedzieć im po prostu i przystępnie, że cesarz z powodu jubileuszu daruje im karę, począł z kilku arkuszów odczytywać różne reskrypty z datami i liczbami, z czego więźniowie niczego nie rozumieli. Dopiero, gdy im na końcu powiedział krótko a dobrze, że cesarz ich uwalnia, więźniowie wypatrzyli się na prezydenta ze zdziwieniem, a biorąc go za samego cesarza, upadli na kolana i poczęli głośno a w prostych słowach dziękować za łaskę.

Drugim pamiętnym epizodem było wykonanie śmierci na osobie Nykoły Kozaka, zasądzonego na tę karę za zamordowanie żandarma. Kozak był młodym dwudziestoletnim parobkiem wiejskim, niespokojnym, awanturniczym, złodziejem i nierobą. Toteż dużo z nim miała do czynienia żandarmerja. Jednego razu w księżycową noc założył Kozak siekierę za pas, wziął worek w ręce i poszedł na wieś na kradzież. Dobrał się gdzieś do kurnika, nakradł kur

i wracał ze zdobyczą do domu. Tymczasem patrolujący tej nocy po wsi żandarm, zmęczony służbą usiadł pod karczmą na ławie, oparł się o ścianę i twardo usnął w siedzącej postawie. Tamtędy właśnie przechodził Kozak, a sądząc, że to tensam żandarm, który mu niedawno dał się we znaki, zapałał chęcią zemsty, wyjął siekierę z za pasa, zamachnął się, ciął ostrzem żandarma w głowę, żandarm runął na ziemię, a Kozak schowawszy siekierę za pas, odszedł spokojnie do domu. Nad rankiem odkryto zbrodnię, ale sprawcy nie wyśledzono. W kilka dni po pogrzebie Kozak przyznał się w tajemnicy do zbrodni przed swoim opiekunem. Ten będąc człowiekiem uczciwym, zawahał się w swem sumieniu, co ma z tą straszną tajemnicą uczynić. Po długim namyśle rzecz całą wyjawił. Kozak więziony przyznał się przed sądem do winy, i został na śmierć skazany. We więzieniu zachowywał się jak ostatni opryszek, siedząc z innymi więźniami w jednej celi bił ich i znęcał się nad nimi. Wszyscy mu życzyli, aby jak najprędzej zawisnął na szubienicy. Wreszcie i ten dzień nadszedł. Zjechał z Wiednia kat Seelinger z dwoma pomocnikami, kazał zrobić słup, wbić z góry gruby gwóźdź poczem słup wkopano w ziemię na dziedzińcu więzienia. Nazajutrz wczesnym rankiem wyprowadzono Kozaka, odczytano wyrok, skazaniec stanął pod słupem, kat zaś na schodkach, pomocnicy podnieśli skazańca do góry, kat założył sznur na szyję i zadzierzgnął go na gwoździu, pomocnicy opuścili skazańca, ściągając go nawet ku ziemi, skazaniec posiniał, kat skręcił mu głowę — wyrok wykonano. Nie okazał skruchy ni żalu do końca. Że przy

egzekucji nie byłem, byli natomiast koledzy Potocki i Hob-
ler i o przebiegu nam opowiadali.

*

Na rok 1898 przypadła setna rocznica urodzin Ada-
ma Mickiewicza. Polonja Samborska ~~och~~ obchodziła ją dnia
22. maja 1898 nadzwyczaj uroczyście i wśród podniosłego
nastroju. Głównym punktem obchodu był wieczór dany
w przystrojonej odświętnie sali gimnastycznej gimnazjal-
nej. Widzów była taka ogromna mnogość, że ta najob-
szerniejsza w mieście sala nie mogła wszystkich pomie-
ścić. Wstępne słowo miał mój brat Dezydery, obszerny od-
czyt o posłannictwie Mickiewicza wygłosił hr. Dzieduszy-
cki dyrektor okręgu skarbowego w Samborze, nadto
wykonano obszerny program wokalny i muzykalny,
wreszcie odegraliśmy Radę z Pana Tadeusza. I ja w niej
brałem udział, odtwarzając rolę Prusaka. Wszyscy
byliśmy w strojach polskich i rzecz wypadła bardzo do-
datnio. Zakończył obraz żywych osób: Zaręczyny Zosi
z Pana Tadeusza. Ten to obraz zdjęto dnia następnego
fotograficznie na podwórzu gimnazjalnem i tu go do-
łączam. Dyrektor gimnazjum Tomaszewski był duszą
całego obchodu a dzielnie mu pomagał profesor seminar-
jum Kratochwila. Wyszła osobna broszurka z opisem tego
obchodu, jednego z najwspanialszych, jakie Sambor urzą-
dził. Na pamiątkę ~~tego~~ obchodu zasadzono na rynku
samborskim (od strony ul. Tkackiej) dąb młody. Ręka wroga

i burza wojenna zmiotły go jednak doszczętnie.

Magistrat samborski pomieszczony w ratuszu funkcjonował wtedy sprężyście. Szczególnie policja była zorganizowana niezmiernie karnie, a na czele jej stał słynny inspektor Eitner Otto w żelaznych karbach utrzymywał personal policyjny, dla złodziejów zaś był biczem bożym. Toteż złoczyńcy wszelkiego typu omijali Sambor z daleka, domorośli zaś nie mieli pola do popisu wobec czujności policji, a jeżeli któremu z nich udało się nawet co ukraść, zanim łup zdołał unieść wpadł po drodze w ręce policjanta. Czasami okradziony jeszcze nie spostrzegł braku ukradzionych rzeczy a już mu je policja do domu odstawiała. Z czasem jednak Eitner oskarżony został o znęcanie się nad złodziejami, głośny był proces karny na cały kraj, lecz wówczas już nie byłem w Samborze i nie wiem jaki był koniec rozprawy sądowej.

*

Podówczas wychodził w Samborze tygodnik „Gazeta Samborska", jednakże raczej była przeznaczona dla powiatu niż dla miasta. Były w niej także wiadomości miejskie, ale skąpe. Wydawał ją Stanisław Stefanowski, urzędnik Wydziału powiatowego, emerytowany porucznik obrony krajowej. Był on żonaty z majętną wdową, która prócz posiadłości w okolicy Sambora miała także dom w mieście „na wyspie" obok Sądu. Stefanowski, lat około 40 liczący był osobistością bardzo popularną, znało go każde dziecko samborskie, byłto człowiek o złotem sercu, zdolna artystyczna dusza, w obchodach, więz



ZARĘCZYNY ZOSI,

ŻYWY OBRAZ NA WIECZORKU MICKIEWICZOWSKIM W SAMBORZE

dnia 22go maja 1898 r.

czorkach, przedstawieniach niezrównana siła. Pod koniec życia popadł w melancholję, zniknął z domu, żona zrozpaczona długo go poszukiwała, aż znalazła zajętego sypaniem szańców pod Lwowem. Zabrała go do domu, gdzie umarł około r. 1916.

*

Właściwym Samborem był tylko ośrodek miasta, dalsze jego rozgałęzienia to były gminy podmiejskie do miasta przydzielone. Życie umysłowe i towarzyskie grupowało się koło Kasyna, Towarzystwa muzycznego, Sokoła, Czytelni ludowej i Ogniska. Było kilkanaście jednostek w mieście dzielnych, o wysokiej kulturze i te dodatni wpływ wywierały na społeczeństwo miejscowe. Rusinów prawie się nie czuło w mieście, staroruscy grupowali się koło Towarzystwa im. Kaczkowskiego a ukraińców sformował w Samborze ks. Rabiej. Dopiero w latach 1918/19 podczas ruchawki ukraińskiej dochodziły ze Sambora wieści, że dawni rusini, przedtem niemal polacy, poczuli się tak nieprzejednanymi ukraińcami, ~~tak~~ iż znęcali się zjadliwie nawet nad tymi polakami, z którymi przedtem żyli w przyjaźni. Dawny spokojny, miły, zgodliwy Sambor przemienił się w piekło, w którem niszczono żywioł polski. Ale nie trwało to długo, w r. 1919 przeszedł Sambor znowu we władztwo polskie i duch narodowy dźwignął się szybko na należną mu wyżynę.

Główny i jedyny ruch był zawsze w rynku. Tu było jeszcze dość sklepów katolickich, a to Bukietyńskiego handel żelaza, Szlagora handel korzenny i lokal śniadaniowy, dwie cukiernie, księgarnia Haisiga, sklep bławatny Milew-

Nr 37. Sambor dnia 16. września 1906. Rok VI.

GAZETA SAMBORSKA

wychodzi w każdą niedzielę.

Prenumerata z dostawą do domu albo z przesyłką pocztową:
miesięcznie . . . 1 kor. — h. | półrocznie . . . . 5 kor. — h.
kwartalnie . . . 2 „ 50 „ | całorocznie . . 10 „ — „
Numer pojedynczy 20 h.
Prenumerować można w Administracyi w Samborze Blich l. 1. i we wszystkich Urzędach pocztowych.

ADRES REDAKCYI w SAMBORZE Blich L. 1.

CENA OGŁOSZEŃ:
Zwyczajne ogłoszenia za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce 10 hal. — Drobne ogłoszenia po 3 hal. od wyrazu. Komunikaty prywatne umieszczone po zapiskach kronikarskich i w rubryce Nadesłane za jeden wiersz petitowy 20 h. Za artykuły odnośne Redakcya nie odpowiada. Rękopisów nie zwraca się.

Wydawnictwem kieruje Komitet redakcyjny. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Stanisław Stefanowski.

Pojedyncze numery: „Gazety Samborskiej" nabywać można w Administracyi, tudzież we wszystkich ajencyach sprzedaży dzienników, w księgarni p. Haisiga i w głównej trafice p. Raaba w Samborze.

Przed pomnikiem Kościuszki w Samborze.

I wyrósł pomnik pośród murów grodu
Dla bohatera-wodza z pod Racławic.—
Tej wielkiej chwili poświęceń narodu,
Olśniewających razów kos błyskawic,
Gdy krwawe znaki w sztandarów łachmanie
Niosły zwycięstwo, przez wodza w sukmanie.

Przed odsłonięciem pomnika Kościuszki.

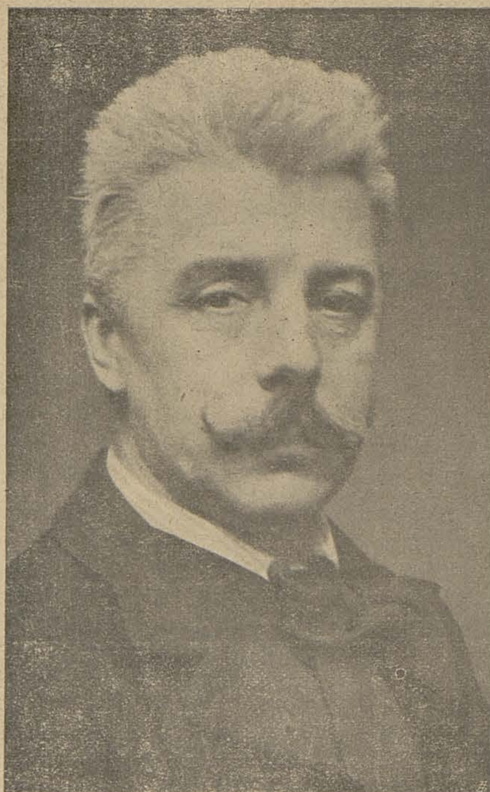
Pamięcią wielkich w ojczyźnie ludzi
Dźwiga się naród, krzepi się duch."

Od czasu, jak w tej części Polski wolno nam swobodniej oddychać i swobodniej się poruszać, często zwracamy się myślą zbiorową, duszą zbiorową i rozumem zbiorowym we własną przeszłość dziejową, z niej wydobywamy rocznice wielkich zdarzeń historycznych i je uroczyście święcimy dla serc i dusz naszych i sił naszych pokrzepienia. Ale nie można tego nie spostrzedz, że najczęściej, bo corocznie, obchodzimy pamiątkę Kon-

stwem demokratycznem — niestety tylko w obrębie szlachty. Inne warstwy społeczne: lud i mieszczanie stały poza uprzywilejowanym narodem szlacheckim — bez praw i, co było tego skutkiem, bez poczucia obowiązków obywatelskich. To było słabością Polski, bo, zamiast milionów obywateli — obrońców, obywateli — pracowników, miała ich w szlachcie zaledwie kilkadziesiąt tysięcy.

Kościuszko pierwszy wskazuje, gdzie drzemie olbrzymia narodu siła, wskazuje lud od pługa i warsztatu, jako podstawę, na której powinna się oprzeć i musi budowa Ojczyzny.

Żeśmy, jego woli dotąd z miłością nie spełnili, nie jego wina; ale jego zasługa, żeśmy pracę przez niego wskazaną rozpoczęli.



Tadeusz Błotnicki.

Twórca odsłonić się mającego w Samborze na placu 3. maja dziś, 16. września 1906. pomnika naszego nieśmiertelnego Wodza Kościuszki — Tadeusz Błotnicki, urodził się w r. 1858. we Lwowie, gdzie ojciec jego Edward, znany publicysta i rysownik poważne w mieście zajmował stanowisko.

Mistrz nasz Błotnicki ukończył szkołę realną we Lwowie a czując powołanie i nieprzepartą chęć poświęcenia się sztuce plastycznej a zwłaszcza rzeźbie, udał się w r. 1876. do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie przez dwa lata za dyrekcyi Jana Matejki, a pod kierunkiem profesora Marcelego Guyskiego pozostawał, znaczne w umiłowanem przez siebie modelowaniu czyniąc postępy. W r. 1878. wyjechał do Wiednia. Tam pod okiem sławnego wówczas mistrza dłuta Zumbuscha kształcił się przez lat kilka. Za figurę swą „Samson" otrzymuje stypendyum rządowe, a za drugą „Świtezian-

grobowcu jego w Krakowie; medaljon Lenartowicza z terrakoty, w Muzeum Narodowem w Krakowie, biust Ignacego Paderewskiego (obecnie na wystawie w Londynie); biust św. Ignacego Lojoli, w bronzie; biust architekty Księżarskiego, na gmachu Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie; biust Michała Bałuckiego na pomniku w Krakowie; biust Franciszka Smolki, w marmurze dla sali Rady miasta Lwowa.

Z Rady miejskiej.

Ciąg dalszy posiedzenia z dnia 29. sierpnia 1906.

Burmistrz p. dr. Steuermann przedstawił następnie Radzie referat w sprawie wniesionych ofert na instalacyę światła elektrycznego.

W myśl rozpisanego konkursu stanęło do licytowania 8 firm a mianowicie: 1) Allgemeine Electrizität Gesellschaften Union in Wien na 178·001. kor., 2) Křižik w Pradze, na 183·360. kor., 3) Sokolnicki i Wiśniewski we Lwowie na 184.924. 4) Bartelmus i Donat na 185·820 kor., 5) Kraft u. Licht Aulage Austalt, Braun na 186·000. 6) Vereimgte Electrzität Gesellschaften na 187·493. 7) Siemens i Schukert na 199·673. Ósma wpłynęła po konkursie i tej nie wzięto pod rozwagę. Oferty badano szczegółowo przez znawców: p. Schleyena i Hauswalda że Lwowa, tudzież dyrektora elektrowni w Czerniowcach Willenswebera a wynik tych badań był taki, że wszyscy trzej znawcy oświadczyli się za firmą A. E. G. Union, która dorównując innym precyzyą i dobrocią wykonania, podała najniższą cenę, w myśl czego Magistrat i Wydział oświadczyły się za tą firmą.

Według projektu p. Schleyena – jako siła motorowa służyć miały dwie lokomobile, każda o sile 100 koni. W międzyczasie jednak wyłoniło się wśród członków Rady miejskiej zdanie, że chociaż lokomobile są o wiele tańsze, to jednak maszyny stałe, stojące lub leżące, jako trwalsze o wiele byłyby praktyczniejsze. Magistrat wziął więc tę sprawę pod rozwagę i odniósł się z prośbą o wyrażenie opini do znawców, którzy oświadczyli się stanowczo za wprowadzeniem lokomobil. Mimo to Wydział Rady przychodzi na posiedzenie Rady z wnioskiem na wprowadzenie maszyn stałych. — Sprawa ta wywołała niezmiernie żywą dyskusyę, w której zabierali głos niemal wszyscy radni. Powstał zamęt i chaos, stawiano najrozmaitsze wnioski, które bardzo często wzajemnie się zwalczały. Z przemówień niektórych p. p. radnych wnosić było można, iż kierując się istotnie

pimy, że tak P. T. Publiczność miejscowa, jak i P. T. Ziemianie z okolicy otoczą starania Komitetu budowy pomnika jakoteż i Kółka dramatycznego jak największą życzliwością.

Komitet pań tutejszych wystosował na prośbę Komitetu budowy pomnika Kościuszki w Samborze następującą odezwę: „W programie obchodu niedzielnego, t. j. odsłonięcia pomnika T. Kościuszki jest: „Hołd Polek". Najlepszym wyrazem uczczenia w tej chwili pamięci ukochanego bohatera z pod Racławic będzie obsypanie pomnika Jego, kwiatami. Wzywamy Was Polki do najliczniejszego udziału w tej manifestacyi. W wiązanki kwiatów o cenach bardzo umiarkowanych można się zaopatrzyć w niedzielę, dnia 16. bm. od godz. 8. rano, u Wp. Radeckiego, ogrodnika miejskiego a od 9. do 11. przed południem — w pawilonie Wp. Horwatha, na rynku obok cukerni. Zebranie Polek biorących udział w tej uroczystości, na placu straży pożarnej przy ul. Jagiellońskiej punktualnie o godz. 11. Spodziewamy się licznego udziału bez różnicy wyznań i stanów." Komitet.

Wiceprezesem Tow. Kółek rolniczych wybrany został w miejsce dra Steczkowskiego, który godność tę złożył, prof. Józef Mikułowski-Pomorski z Dublan. Na członków założycieli Tow. Kółek rolniczych z wkładką jednorazową 200 koron zapisali się w ostatnim czasie: Księżna Marya Lubomirska z Miżyńca, dr. Aleksander Tchórznicki, Jan Goetz-Okocimski, Zbigniew Horodyski i Zdzisław hr. Tarnowski, który zamiast zwykłej wkładki złożył 1000 koron. Wkładki członków założycieli tworzą fundusz żelazny Towarzystwa Kółek rolniczych. W r. 1907. jako jubileuszowym przystąpi Zarząd główny celem uświetnienia dwódziestupięciolecia istnienia Tow. do budowy własnego domu we Lwowie.

Mianowania i przeniesienia. Minister oświaty zamianował rzeczywistym nauczycielem w tut. gimnazyum: Wawrzyńca Magierę dot. zastępcę nauczyciela z III. gimnazyum w Krakowie. Minister sprawiedliwości przeniósł adjunkta sądowego Tytusa Hoblera z Podhajec do Komarna, a Jana Dziczka z Turki do Rawy ruskiej, nadał posadę adjunkta sądowego Teofilowi Karaczowskiemu w Turce i zamianował auskultanta sądowego Jerzego Mokrzyckiego z Sambora adjunktem sądowym w Glinianach.

Do tut. gimnazyum im. Arc. Elżbiety. przyjęła Dyrekcya na rok 1906|7. 862. uczniów, która to cyfra dość wymownie świadczy o koniecznej potrzebie postarania się o drugie gimnazyum w Samborze, zwłaszcza, że już w bieżącym roku na pomieszczenie 8. klas

skiego, drugi sklep korzenno-śniadaniowy nieznanego mi kupca, a może jeszcze i inne, obok zaś rynku na ulicy Tkackiej była główna restauracja Wierczaka, w której panował oryginalny zwyczaj, że kelner w okienku do kuchni, zamawiając odnośną potrawę wymówił charakter i nazwisko gościa, dla którego danie było przeznaczone, np. dla pana radcy Kulczyckiego kotlet i mizerja, dla pana komisarza N.N. rosół z makaronem! Codziennie w rynku, zwłaszcza w godzinach popołudniowych i wieczornych wrzało życie, tłoczyło się wiele ludzi na spacerze, a to strojne damy, młodzi i starzy, wojskowi i cywilni – wszyscy we wesołym gwarze, znajomi się witali, nieznajomi się podziwiali, jedni szukali wytchnienia, inni pogardzali, jeszcze inni zalotnie wzrokiem strzelali w prawo i lewo – jednem słowem cały Sambor wylęgał na rynek i gdy natłok się wzmógł, rozciągał się tłum ludzki aż ku ulicy Tkackiej. Szczególnie barwny i gwarny był rynek w dnie świąteczne po nabożeństwie, bo prócz codziennej publiki ciągnęli tędy z przedmieść włościanie w pięknych białych sukmanach i włościanki w jaskrawych chustkach. W dnie targowe zastany był rynek samborski tysiącem wozów włościańskich. Fotograf-artysta Drożdziewicz zdjął w r. 1898 bardzo udatnie widok rynku w czasie targu i dla celów pamiątkowych fotografię tę tu załączam.

*

Niedługo więc mieszkałem w Samborze. Wnet nadszedł czas mojego ostatniego w życiu egzaminu tj. zawodowego sędziowskiego, który składało się w Sądzie apelacyjnym we Lwowie. Uczyłem się doń przez

ośm miesięcy, ponieważ jednak potrzeba było rano i popołudniu chodzić do sądu, przeto uczyłem się w nocy od 9 wieczorem do 2giej po północy. Kiedy już czułem się na siłach, wniosłem w marcu 1899 podanie, prosząc o termin na kwiecień, gdyż jeszcze to i owo chciałem ponownie przerobić. Tymczasem nadszedł termin bardzo wczesny, bo do pisemnego egzaminu na dnie 20 i 21 marca 1899, do ustnego na dzień 23 marca 1899. Prezydent Janowski bezzwłocznie mię zwolnił od biura, uczyłem się w domu od wczesnego rana do 2 w nocy i wytężałem moje wszystkie siły, by odpowiedzieć wymaganiom egzaminowym. Byłem przytem dobrej myśli, bo kodeksy cywilny, karny i handlowy umiałem niemal na pamięć, w innych ustawach czułem się pewny, spakowałem się ~~x~~ nieodzowny w tych czasach frak w jedną połowę walizy, zaś książki do drugiej połowy, wsiadłem na dryndę (dorożkę) samborską i odjechałem na dworzec, skąd przez ~~Sambor~~ Stryj udałem się do Lwowa, bo jeszcze wówczas kolei na Rudki nie było. Tu zajechałem znów do moich gościnnych braterstwa Erazmów Ostrowskich przy ul. ~~Brackiej~~ Barskiej nr. 3. i wertowałem książki prawnicze. Nadszedł wreszcie dzień egzaminu pisemnego. Udałem się do apelacji i wnet zaprowadzono nas, tj. mnie i auskultantów Bohosiewicza i Kubczyńskiego do biura narożnego w parterze i rozdawszy tematy, pozostawiono nas pod strażą jednego woźnego, jeśli zaś urzędnik od czasu do czasu przychodził na kontrolę. Pierwszego dnia było do rozwiązania zadanie cywilne (actio negatoria), drugiego karne wcale łatwe, cywilne jednak było wielce zagmatwane. Pamiętam, że kiedy medytowałem nad jego rozwiązaniem, przesuwał się Placem



halickim nieopodal apelacji ogromnie liczny kondukt pogrzebowy, zdążający na Cmentarz Tyczakowski. Chowano Teichmana przy dźwiękach wspaniałej muzyki. Grała właśnie marsz żałobny Bethovena. Teichman, znana we Lwowie osobistość, był przewodniczącym związku restauratorów, jednak z nieznanych mi przyczyn życie sobie odebrał. Po oddaniu aktów i opracowanego tematu, nazajutrz znów ~~zgromadziliśmy się~~ poszedłem do apelacji, by się dowiedzieć o składzie komisji. Powiedziano mi, że przewodniczyć będzie wiceprezydent apelacji Dylewski zaś pytać będą nadradcy Kuźma i Hauser. Protokołujący przy egzaminach auskultanci znali z brulionów pytania, zwykle przez pewnych egzaminatorów dawane. utartym więc zwyczajem udałem się do biura auskultanckiego, by zapiski przeglądnąć. Tu zastałem jedynie auskultanta Kopyściańskiego, rusina, który mnie w zbyt ~~szcz~~ szorstki i niegrzeczny sposób ofuknął, że my z prowincji przyjeżdżamy „obkuci" i jeszcze chcemy jakichś ułatwień. Jak długo byłem wśród kolegów w sądzie, nikt mnie tak niegrzecznie i wprost nieprzychylnie nie przyjął, jak ten właśnie kolega zawodowy. Ale byłto rozpieszczony powodzeniem młodzieniec, siostrzeniec kardynała i metropolity ruskiego Sembratowicza, mieszkał z nim w pałacu na wzgórzu św. Jura, stąd fala ruska wysoko go stawiała i z reverencją była dla niego. Dawszy za przegraną poszedłem do domu i jeszcze słabsze miejsca z książek dorabiałem. Nazajutrz wystroiłem się we frak, powiedziałem braterstwu, że idę się prezydentowi przedstawić, nie chciałem bowiem zdradzać, że idę do ustnego egzaminu. Po przybyciu do apelacji spotkałem

się z Bohosiewiczem, obaj bowiem tegosamego dnia zdawaliśmy, ale przed innemi Komisjami. Zdradził mi on, że niektórych przedmiotów całkiem nie robił, inne tylko pobieżnie. Tak np. ustawy hipotecznej wogóle nie czytał. Bardzo się zdumiałem, że ma odwagę z tem siadać do egzaminu, ale wnet powołano nas do osobnych sal przed Komisję — i zobaczymy, jak nam losy poszczęściły.

Gdy wszedłem sali posiedzeń i naprzeciw Komisji zająłem miejsce, Kuźma stary, zdziwaczały radca apelacyjny, po omówieniu pisemnego tematu począł mię pytać. Mówiono mi stokrotnie przedtem, że kto umie Kodeks cywilny, ten prawa cywilnego nie powinien się obawiać. Umiałem go bez zarzutu, byłem więc śmiały. Tymczasem Kuźma z długiej karteczki począł mię zasypywać pytaniami z najrozmaitszych ustaw i ustawek ubocznych, prowadząc na manowce, w których i ja i on gubiliśmy się, a które nie stwierdzały wcale wiedzy kandydata, bo ~~do~~ zastosowanie tych praw wyjątkowych było niezmiernie rzadkie a potrzeba było chyba 40 lat w sądzie służyć, nimby się do jego zastosowania kiedyś przyszło, albo może i nigdy. Zmagałem się więc ciężko z losem i walczyłem z dziwactwem mego egzaminatora, o którym sądziłem, że go chyba szatan opętał. Z Kodeksu miałem tylko jedno pytanie o posagu, na które odpowiedziałem dosłownie z Kodeksu. A dał je Kuźma na samym końcu, zamykając dręczącą karteczkę. Po tym dzikiem pytaniu Kuźmy pytał mię Hauser prawa karnego, a pytał tak, jak człowiek rozumny pytać powinien, odpowiedzi moje były bez

zarzutu, bo pracując dłuższy czas w Prokuratorji, miałem sposobność także praktycznie zapoznać się dokładnie z tym działem. Gdy Hanser skończył pytać, zadał mi jeszcze przewodniczący Dylewski kilka pytań z prawa konkursowego i hipotecznego, na które odpowiedź wypadła łatwa, wreszcie na samym końcu, jakby na finał zapytał mnie: jak się po niemiecku nazywa raptularz. Czytałem raz jeden instrukcję ~~ne~~ dla kancelarji w języku polskim i to może na dwudziestu zdających jeden ją przeciętnie czytał, nie miała ona nic wspólnego ze znajomością prawa – ale aby ją studjować w dwu językach, nikomu to nawet na myśl przyjść nie mogło. Nie wiedziałem tego, zapanowała w sali cisza, Dylewski zrobił jakby tryumfującą minę, kandydat oblepany, nie czytał instrukcji dla pomocników po niemiecku, jakkolwiek po niemiecku w Galicji nikt nie urzędował. Głuchą ciszę przerwał Kuźma, mówiąc kilkakrotnie: Amtskalender, Amtskalender... Na tem podchwytliwem pytaniu skończył się mój egzamin. Wyszedłem ze sali, odbyła się narada, po jej ukończeniu Dylewski mi oznajmił, że egzamin zdałem z postępem dobrym. Równocześnie ze sąsiedniej sali wyszedł Bohosiewicz i śmiejąc się w kułak powiedział, że zdał z postępem bardzo dobrym. Pognaliśmy szybko schodami na dół, ja zirytowany tym całym egzaminem, Bohosiewicz gnał, jak gdyby się obawiał, by go nie zawołano ponownie do sprawdzenia, czy zasłużył istotnie na stopień, jaki mu tak łatwo przyznano.

Ktoś nam zwrócił uwagę, że można poprosić sąsiedniego prezydjalnego Rybickiego, a powie, gdzie ma kto pójść po egzaminie. Poszliśmy do niego i dowiedzieliśmy się, że Bohosiewicz

proponany do Rożniatowa, ja zaś do Sołotwiny. Z apelacji poszedłem do fotografa na ul. Grodecką, który na poczekaniu robił fotografie (jak obecnie w miejscowościach kąpielowych fotografowie ogródkowi), dla sportu się fotografowałem, a choć te zdjęcia nie wielką miały wartość, ale przynajmniej były tanie. U bractwa nie spodziewano się z czem przyjdę, gdym więc oznajmił, że już po egzaminie i że go zdałem, zrobili wielkie oczy, poczem poczęły się gratulacje serdeczne, braterskie, radośne.

Poczawszy wolną głową wyszedłem popołudniu do miasta. Ochłonąwszy z irytacji na moich egzaminatorów, odczułem rozkosznie swobodną głowę. Sądziłem, że ~~go~~ egzamin zdam o wiele lepiej, do tego upoważniały mię różne dane, jednak fatum chciało inaczej. Ale przypomniałem sobie, jak poprzedni prezes apelacji lwowskiej surowy Schenk mawiał: nic nie znaczy stopień przy egzaminie, ja sam (Schenk) zdałem go z cenzurą tylko dobrą, a zostałem prezydentem apelacji. Mogłem więc i ja tym ~~stopnie~~ stopniem się zadowolić, bo przecież nie chciałem zostać prezesem apelacji. Dla upamiętnienia tego przełomowego w mem życiu dnia kupiłem dwie drobnostki: obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej w pluszowych ramkach, który odtąd aż do dnia dzisiejszego patrzy ze ściany nad łóżkiem codziennie na moją dolę, nadto kupiłem pierścionek złoty i kazałem na nim wyryć zaraz datę egzaminu, aby przez całe następne życie cieszyć się, iż tego dnia ukończyłem studja i odtąd wolny i wyzwolony byłem od męczących egzaminów, nieprzewidzianych wyników, trapiących obaw.

A w życiu nic mi poszkodzić nie mogło, że nie wiedziałem tego dziwactwa, jak się nazywa raptularz po niemiecku, tak jakby nie mogło szkodzić najlepszemu lekarzowi w sumiennem spełnieniu obowiązków lekarskich to, że np. przy egzaminie na lekarza nie wiedział, jak się po niemiecku nazywa ścierka, którą stróż codziennie wyciera podłogę na korytarzu w szpitalu.

Swobodny na duchu powróciłem do Sambora i zajechałem do mego pokoiku u Blochowej. Dla jej córeczki, grającej pięknie na fortepianie kupiłem kilka kawałków nut, które ona potem codziennie grała, gdy tylko byłem w domu. Ale wtedy już nie bardzo pilnowałem mego samotnego pokoju. Otoczony zwykle rzeszą auskultancką opowiadałem po sto razy o przebiegu egzaminu, o pytaniach, o odpowiedziach, o dziwakach egzaminatorach itd. Przydzielono mię do sądu powiatowego do owego sędziego Benjamina Schwarza i bardzo dobrze mi się wtedy powodziło, byłem wolny, wesoły, szczęśliwy, jak równie zówczas po maturze. Jedną tylko miałem niedogodność, że przyzwyczajony nocą się do godziny drugiej w nocy, nie mogłem aż do tej późnej pory zasnąć, ściągałem więc książki skąd mogłem i czytałem wiele.

Niebawem mianowanie moje na sędziego, względnie, jak się wtedy nazywało na adjunkta do Sołotwiny zostało ogłoszone w dzienniku urzędowym. Począłem się przygotowywać do wyjazdu, a przebieg takiej pielgrzymki na „czarną prowincję" utarty już był zwyczajem. Oto przedewszystkiem potrzeba się było zaopatrzyć w odzież. Krawiec Ringel porobił

ubrania, inny kupiec dał na kredyt zasobny stos bielizny i obuwia, wszystko na raty, bo kto miał egzamin złożony, ten miał otwarty szeroki kredyt w mieście. Przezorność kazała nieskory czeń korzystać, zachowałem więc umiarkowanie.

Stosownie do wieloletniej tradycji urządzono mi ze strony kolegów auskultantów pożegnanie w salach Towarzystwa muzycznego w Rynku. Prócz ~~kolg~~ kolegów przybyli na nie sędziowie i adwokaci, zbliżeni do młodzieży sędziowskiej.

W kilka dni później, a było to koniec kwietnia 1899, pożegnałem w sądzie wszystkich, uścisnąłem bractwo, wytransportowałem rzeczy na dworzec, wsiadłem do pociągu i wnet lokomotywa kolejowa dźwignęła pociąg ku wschodowi. Jechałem nim na rozpoczęcie zawodu sędziego wśród ludu, na małe miasteczko, śladami tylu, tylu moich poprzedników. Jechałem na wschód, a wschód był dla mnie zawsze światem i pieśnią, jechałem wesoły, zadowolony, że zapałem w duszy.

Minęły miasta i miasteczka: Drohobycz, Stryj, Bolechów, Dolina, Kałusz, Stanisławów, pociąg mknął poprzez zbocza karpackie i coraz, coraz byłem bliżej mej siedziby, której dotąd nigdy nie widziałem, a tylko z geografii wiedziałem, że miasteczko Sołotwina istnieje w górach nad rzeką Bystrzycą. Zaświtał poranek, zbliżaliśmy się do końcowej stacji kolejowej w Nadwórnie. Z okien wagonu widać było lesiste góry i urwiska skalne. Wygodna podróż koleją kończyła się. Potrzeba było wysiadać

i dalej około 14 kilometrów jechać do Sołotwiny kołową drogą.

Odtąd począł się nowy okres mojej wędrówki życiowej, o której opowiem obszerniej w następnym rozdziale. Co przeżyłem dotąd, było to tylko przygotowaniem do zawodu, obecnie ze studenta i praktykanta stawałem się człowiekiem samodzielnym, sędzią. Czegom się dotąd uczył, było to tylko teorją – teraz miałem myśl i słowo w czyn obrócić. Był to stanowczy i ważny przełom w życiu.

Po Samborze zostało miłe wspomnienie, w jego murach spędziłem w gwarnem, serdecznem gronie nie długi wprawdzie, ale szczęśliwy okres życia. Odtąd nic mnie więcej z tem miastem nie łączyło, a jedynie z opowiadania wiem o jego następnym rozwoju i postępie.–

*

Sołotwina.

Wspomnienia sędziego sołotwińskiego.

Sołotwina

Lata 1899 – 1902.

Kiedy jeszcze byłem studentem w Stanisławowie, wyszedłszy nieraz poza miasto, lub dojeżdżając doń koleją, widziałem na południu hen w oddali na krańcach horyzontu wieniec gór Karpackich, zasłanych sinawą pomroką, lub złoconych metalicznym odblaskiem zachodzącego słońca. Wówczas na myśl mi przychodziły barwne opisy Karpat, połoniny, szałasy, swobodne życie wśród gór zdala od zgiełku i zaduchu wielkomiejskiego, bo w chłopięcej wyobraźni góry były czarem i baśnią, marzeniem i tęsknicą. I rodziło się w duszy pragnienie, aby tam do tych szczytów odległych kiedyś dotrzeć, nasycić piersi ich nieskalanym eterem, poczuć się wolnym i zetknąć z tą naturą barwną, bujną porywającą wyobraźnię młodzieńczą. Tak, to

były sny studenta, który wyrwał się z dusznej sali szkolnej, z żelaznego rygoru i z zaułków dużego miasta, wychodził na wolne podmiejskie przestrzenie, łapał brzęczące muszki, barwne owady i jaskrawe motyle, aby się temi zdobyczami wykazać przed profesorem przyrody, ale myśli rwały się w te dalekie, nieznane przestrzenie, do tych gór czarownych, które śmiało strzelały ku niebu i od wieków spoglądały na stanisławowską nizinę, szeroką, stepową, monotonną.

A oto po latach czternastu sny te ziszczały się. Wjeżdżałem w te właśnie góry, aby w nich trwale zamieszkać, zżyć się z niemi, korzystać z ich skarbnicy. Czułem z tego powodu radość szczerą i zadowolenie, że moje mianowanie padło na miasteczko górskie.

*

Było to dzień 28 kwietnia 1899, jasny, ciepły, słoneczny, wiosenny. Woźnica żydowin na placyku za dworcem kolejowym w Nadwórnie zakrzątał się koło kozła, wyjął dzwonki na rzemieniu i zawiesił je na szyi jednego z koni, silniejszym sznurkiem umocował przy koźle wiadro do pojenia, wtłoczył „opałkę" pod nogi, siadł na swojem wysokiem miejscu, spojrzał na mnie czy siedzę wygodnie, machnął ciężkim biczem i cała drynda ruszyła naprzód przy rytmicznym akompanjamencie wrzaskliwych dzwonków fiakierskich. Wjechaliśmy do miasta Nadwórny, które robiło miłe wrażenie, wnet jednak z gościńca skręciliśmy w zaułki na lewo i niebawem

znaleźliśmy się na Bystrzycą. Sądziłem, że mój woźnica chce na drogę konie poić w rzece, jednak tak nie było, gnał on biedne swe przysłowiowe fiakierskie szkapy w sam środek rzeki, mnie zaś poradził, bym nogi złożył na przedniej ławeczce, bo „czasami woda niejedny państwo pod nogi chluśnie." Uczyniłem zgodnie z poradą doświadczonego Charona i dorożka poczęła po odłokach górskich wpław przedzierać się przez wartki prąd przezroczystej rzeki, chyląc się coraz to w prawo, to w lewo i grożąc przymusową kąpielą. Odetchnąłem dopiero, gdyśmy wybrnęli na przeciwny brzeg i wjechali na dróżynę polną, wiodącą ku wiosce Mołotków. Na prawo miałem spadziste, samotnie usadowione góry, jakby jakie gigantyczne zamki bajkowe. Są to piękne góry nazawizowskie, nadające cechę całej okolicy, niejako zwiastujące wstęp do Karpat. Gdyśmy wjeżdżali w coraz bardziej pagórkowaty teren i konie po uciążliwej przeprawie przez rzekę zwolna tylko pod górę postępowały, wysiadłem z dorożki i szedłem ścieżyną obok drogi. Wiosna całem młodzieńczem tchnieniem ożywiała przyrodę, widać to było z roztulonych pączków liści, ze świergotu ptaszat, z świeżości flory, z brzęku owadów. Ten nastrój ożywczy i mnie się udzielał, a zadowolenie, że wnet się stanę stałym mieszkańcem tych gór malowniczych, nasuwało mi na myśl wiersz Pola:

W góry, w góry miły bracie,
Tam swoboda czeka na cię!

Usiadłem znów na dorożkę i już nie złaziłem z niej do samego miejsca przeznaczenia. Chciałem nawiązać rozmowę z moim woźnicą, ale ten skąpy był w słowach, tylko na moje pytanie, czy Sołotwina jest taka jak Nadwórna, odpowiedział, że trochę mniejsza. Wjechaliśmy na gościniec i wnet znaleźliśmy się w Mołotkowie. Wioska to nie wielka, schludna, ma gustowną cerkiewkę drewnianą, obok probostwo unickie, na uboczu dworek Metkowskich, za wsią pola orne, łąki i uroczy gaj brzozowy, a dalej wieś Markowa, większa niż Mołotków, zasobniejsza, kilka domów zachowało jeszcze charakter miejski, bo Markowa dawniej była miasteczkiem. I znów wjechaliśmy do szeroko rozlanej górskiej rzeczki Maniawki, wcale płytkiej. Na drugim brzegu dostaliśmy się na inny gościniec i znaleźliśmy się na wzgórzu, poczem mruk woźnica oznajmił, że za tą górą jest już Sołotwina. Jakoż niebawem okazało się miasteczko. Pierwszy żydowski dom, jaki się pojawił po lewej ręce miał dach zapadnięty do wnętrza budynku, tak że robiło to wrażenie opuszczenia. Dalej jednak szedł szereg schludnych domków bądź miejskich bądź włościańskich, wreszcie wjechaliśmy w środek miasteczka, gdzie się gęsto ciągnęły jeden obok drugiego domy żydowskie. Przed takim jednym obszernym domem stanął mój przewoźnik, zlazł z kozła i oznajmił, że to jest hotel, do którego „całe państwo zajeżdża." Rzuciłem okiem na ten dom, była to zwykła oberża. Wszedłem do dużej, długiej sieni, gdzie wnet na moje spotkanie wyszła wysoka, lat około 48 licząca,

siwiejąca żydówka, ubrana skromnie, w chusteczce na głowie i zapytała o życzenie. Była to właścicielka tej oberży, słynna na całą okolicę wdowa Rojza Szafer. Na owe czasy oberża Szaferowej była centralą zjazdów, rozrywek, zebrań, spoczynku, noclegów, posiłków, jednem słowem, kto tylko pomyślał zdala o Sołotwinie, tego myśl sięgała do tejto oberży Szaferowej. Sama Rojza była kobietą pracowitą, zapobiegliwą, przez styczność z inteligencją o formach uprzejmych, a zresztą nie sprawdziłem nigdy, by gości wyzyskiwała.

Jak znalazłem się na gruncie sołotwińskim pod gościnnym dachem miejscowej oberży. Po posiłku poszedłem spać, bo nocna podróż ze Sambora wielce mię umęczyła. Około godziny czwartej popołudniu, kiedy jeszcze leżałem w łóżku, zapukał ktoś do drzwi i wnet w moim pokoju zjawił się młody człowiek o delikatnej strukturze, szatyn, z wypukłemi oczyma i dużemi binoklami na nosie, ubrany w bluzę urzędową, na kołnierzu z trzema rozetami, przy boku z balansującą szablą, rozbawiony, dużo mówiący, przedstawił się że jest moim kolegą i zwie się dr. Roman Kowszewicz. Zachęcał mię, bym się jak najprędzej zbierał i szedł do „Kasyna". Oparłem się temu, bo byłem istotnie strudzony, nadto kończyłem wtedy czytać Sienkiewicza „Quo vadis" i nie spieszyło mi się wychodzić. Gdy mię Kowszewicz pożegnał, wszedł znów do pokoju drugi kolega Jan Smólski, który był przeniesiony do Mościsk, a ja na jego miejsce przychodziłem do Sołotwiny. Smólski był dobrej

tuszy, ~~dza~~ twarz duża, owalna, oczy małe, ciągle się niecierpliwił, jakby czasu nie miał, prosił, tym się jak najprędzej w sądzie zgłosił, bo od tego jest zależny jego odjazd. Dopiero późno wieczorem wstałem, a gdym zażądał wieczerzy, powiedziano mi, że kolację je się tylko w „kasynie". Nie było innej rady, potrzeba było iść do owego kasyna. Oberża Szaferowej, jak wspomniałem, była duży dom czworoboczny, węższą stroną zwrócony ku drodze. Środkiem pozdłuż szła długa a szeroka sień, po lewej stronie (więc od Markowej) były pokoje hotelowe, po prawej (od strony Zarzecza) najpierw duży pokój szynkowy dla mieszczan, potem szła kuchnia, pokoik mieszkalny Rojzy i jej rodziny, wreszcie duża sala, to było „kasyno", czyli po prostu mówiąc pokój restauracyjny dla lepszych gości.

Było już po ósmej wieczorem, kiedy wszedłem do kasyna. U sufitu wisiała duża lampa naftowa, w sali było 5 do 6 stołów mniejszych i większych, dym z papierosów w zgęszczonej postaci napełniał jasnym błękitem całą salę, a pomięszany z drożdżową wonią piwa, tworzył zaduch oryginalny, od którego każdy doznawał zawrotu głowy. Sala była szczelnie ludźmi napełniona, wszystkie stoły poobsiadane, gwar taki, jaki jest ~~**~~ w klasie przed przyjściem profesora, zresztą po stołach pomięszane talerze, szklanki z piwem, próżne kieliszki, herbata, pieczeń, gazety, bułki żydowskie, śledzie, karty, czapki urzędowe – słowem rozmaitości nie do opisania, humory różowe, dowcipy jakby od Zagłoby pożyczone, swoboda sielska, gwar, wybuchy śmiechu, sprzeczki o szczegóły, żarty bez granic. Wszedłszy w ten tłum rozgwarzony,

odnalazłem mojego dziś poznanego kolegę zawodowego Kowszewicza, niebawem poznałem wszystkich, a właściwie nie znałem nikogo, bo ani nie wiedziałem kim kto jest, ani nie dosłyszałem nazwisk. Odróżniałem tylko starych od młodych, cywilnych od duchownych. Ledwie zaczął mi Kowszewicz opowiadać o sędzie, przybliżył się do nas jakiś mężczyzna miły, dobrej tuszy, dobrotliwie uśmiechnięty, w bluzie urzędowej z jedną rozetą, w dość podniecionym humorze i zaczął opowiadać, że teraz właśnie powrócił z Komisji, gdzie przeprowadzał egzekucję i ta, mimo spodziewanych trudności wypadła doskonale. Byłto kancelista sądowy Ferdynand Kassler. Co kilka zdań oddalał się do przyległego stołu, gdzie miał swoją buteleczkę i powracał coraz w lepszym humorze, język coraz bardziej mu drętwiał, oczy przybierały coraz poczciwszy wyraz, począł już po raz drugi i trzeci tosamo opowiadać, wreszcie zawołano na niego z kilku stron: „Ferdzin, Ferdzin, nie gadaj tak dużo; idź już spać, boś Komisją strudzony, idź spać, bo potem do domu nie trafisz!" Kassler odcinać się im już nie mógł, a gdy język całkiem odmówił ~~już~~ posłuszeństwa, usiadł na swojem miejscu, pomrukując coś ciągle, jakby sam ze sobą dyskutował. Ledwie on odszedł, przysiadł się do mnie ksiądz ruski Tadeusz Lewicki z Mamiary, zwany powszechnie Kaniowskim i także rozczulony traktamentem, opowiadał mi długo, długo o swej żonie, o jej chorobie raka, o jej cierpieniach okropnych o zgonie, o pogrzebie koło cerkwi, — mówił i mówił, płakał, łzy ocierał, znowu się posilał „na frasunek" i dalej bez końca opowiadał, rad że ma cierpliwego słuchacza, dla którego jeszcze los

tej biednej kobiety nie był znany. A tymczasem z pośród gwaru i hałasu wyróżniał się głos jeden, śpiewający ciągle aż do znudzenia jedno i tosamo:

Oj pisaw ja do diwczyny
Czerez peretazy,
Wdaryw mene jakiś dureń } bis.
Szczoś ze cztery razy!
A ty durnin, ta czoho bjesz,
Czomu ne pytajesz,
A ty durnin, czoho stoisz, } bis.
Czomu ne wtikajesz

Tym śpiewakiem był mój poprzednik w urzędzie sędzia Smólski. Z nuty i treści piosnki sielskiej, biła martwota, apatja, brak duchowego skupienia.

Tymczasem zapadała coraz późniejsza noc, powoli poczęła się sala opróżniać, pozostała może trochę więcej niż połowa z po~~przed~~przednich biesiadników, przy stole pod oknem czwórka jakaś grała w karty z tak szaloną wprawą, że karty latały jakby w ręku sztukmistrzów. Z podziwem z boku spoglądałem, do jakiej doskonałości ci niezrównani gracze doprowadzili tę sztukę. A wszystkich bawił jakiś rosły, ładny mężczyzna, lat około 40, o dużym czarnym wąsie, zwący się szlachcicem węgierskim. Wyjmował coraz z kamizelki tubkę metalową, naciskał na palce pastę, smarował nią wąsy, podkręcał je niczem huzar jaki i wołał: „patrz Sękowski, tak podkręca wąsy szlachcic węgierski i napuszcza się pastą ze samego Szegedynu! Tobie – o tobie nigdy tak wąsy nie staną, bo i od czegoż, od tej Kuleszy, która od wczoraj na

nich zaschła." Buchnęło śmiechem kilku sąsiadów, a szlachcic węgierski wąsy jeszcze wyżej podkręcił. Sękowski kurczowo chwycił się ręką za wąs jeden i drugi, jakby chciał sprawdzić, czy istotnie niema na nich jakiego defektu, a przekonawszy się, że są w porządku, zawołał do szlachcica węgierskiego: „ot nie ktam, bo ci się z nosa dymi, Kupiłeś ~~pomadę~~ pastę do zębów u Lokera w Sołotwinie i to pewnie na kredyt i chcesz nią ćmić oczy! Polski szlachcic nosi wąsy tak jak rosną, bo tak Sobieski nosił" — i gra w karty poszła dalej raźnie, aż stół zadudnił. Na to dictum Sękowskiego zrobił szlachcic węgierski zdziwioną minę i zekonkludował: „No-no, popatrzcie na kogo się Sękowski powołuje, ni mniej, ni więcej, ino na samego Sobieskiego! Niby to tak chyba rozumieć potrzeba: Sobieski Jan król i Sękowski Jan hreczkosiej — to jedno. Musiał nad tym dowcipem w Staruni przynajmniej przez tydzień myśleć!" Poczem począł szlachcic węgierski zachęcać Sękowskiego, by sobie wąsy napuścił jego pastą, wtykał mu ją do rąk, ale Sękowski nie słuchał już dalej przygadywań, bo turę we ferbla sromotnie przegrał i żałośnie patrzył, jak inni garnęli pieniądze ze stołu.

Szlachcic węgierski przysiadł się następnie do aptekarza Hodolego, zaczęli coś dobrotliwie do siebie, jako starzy znajomi mówić, to uśmiechali się, to rękami giestykulowali i zdawało się, że rozpływają się w miłej pogawędce. Wtem aptekarz poczerwieniał i reagując na jakieś nieostrożne wyrażenie szlachcica wołał: „O panie ~~Pompajn~~ Pompajn, pilnuj pan swojej węgierskiej papryki, wara panu ode-

mnie, ja nie jestem wcale giftmiszer, jak mnie pan raczył nazwać, jestem aptekarzem z wyższemi studjami i dyplomem, u mnie wszystko we wzorowym ładzie, proszę, przyjdź pan do mnie do apteki, w każdym słoju to istne kryształy! Mnie tyle obchodzi pańskie węgierskie szlachectwo, co psa piąta noga!" — I znowu buchnęły śmiechy, dowcipy, wykrzykniki, rojno i gwarno jak w ulu.

„No pogódźcie się — wołał jakiś głos z za stołu — wszak od dawna żyjemy z Węgrami w zgodzie: Madziar, polak dwa bratanki, do dziewczyny i do szklanki!"

„Hoho — myli się pan grantownie, reagował szlachcic węgierski, madziar do dziewczyny nie znosi żadnego braterstwa, ale jako naród rycerski głosi:

Madziar, Polak — dwa bratanki,
Jak do szabli, tak do szklanki!"

I znów zabrzmiały głosy takie i owakie, a wśród krzyku i zgiełku jakiś młody człowiek ze spiczastą bródką począł na ten temat więcej mówić, potem wyciągając przed siebie ręce, jakgdyby chciał błogosławić, zawołał: Crescite et multiplicamini! A tacińskie proboszcz Sadlejski, kręcąc w bibułce grubego jak palec papierosa, zwrócił się do owego błogosławiącego i rzekł dobrotliwie: „Ho-ho, panie Gołogórski, wolne żarty, nie wiele widać uczyłeś się dogmatyki w szkole, wszak wiesz, że religia powiada: ne misceantur sacra cum profanis! Nie w porę wybrałeś się z tem błogosławieństwem."

I w dalszym ciągu było gwarno, szumnie, rojno. Tylko Kasslerowi oczy mgłą zaszły, twarz przybrała kolor granatowy,

siedział ciężko na stołku, nie brał udziału w dyskusji i sporach
ale sam sobie nucił półgłosem

funda, funda, funda,
tota visibunda!
hej kolenda, kolenda!

„Czemuż pan teraz po Wielkiejnocy kolenduje, wszak to nieaktualny temat – odezwał się miękkim głosem urzędnik Kopalniany Michel ze Staruni – nie teraz czas na kolendy, niech pan raczej śpiewa coś bardziej zastosowanego do obecnej chwili!" I Kassler zawsze uśmiechnięty i dobrotliwy zaśpiewał mu piosnkę często w tych czasach powtarzaną, z której pamiętam tylko dwa pierwsze wiersze:

„Pani Kobrynowa dobrze zrobiła,
„Że Opuchlakowi łeb rozwaliła.

Odnosiło się to do dokonanego ~~przed~~ kilku laty morderstwa na osobie znanego powszechnie we Lwowie przedsiębiorcy pogrzebowego Opuchlaka, przez jego kochankę Kobrynową. A gdy tylko cokolwiek potrącało tematem o Lwów, zaraz zabierał chętnie głos aptekarz Hodoly i szeroko opowiadał o stosunkach lwowskich, które znał dobrze, gdyż przez kilkanaście lat pracował we Lwowie w zawodzie aptekarskim w głównej, znanej aptece Mikolasza. „Nieraz zebrał nas młodych ~~stary~~, żyjący jeszcze wówczas Mikolasz – prawił Hodoly – i powiada do nas"..... nie mógł jednak dokończyć swej lwowskiej opowieści, bo nagle krzyknął szlachcic Sękowski: „Ach dla Boga, ten człowiek chce się zamordować" i pobiegł do bocznego stolika, przy którym siedział chuderlawy,

spokojny człowieczek, z małym czarnym wąsikiem i krając nożykiem przywiezioną z domu kiełbasę, jadł ją z chlebem a popijał herbatą, którą mu Rojza podała. „Cóż pan robi, czy panu życie niemiłe – wołał zirytowany Sękowski – czyż pan nie wie, że spożywanie kiełbasy ze skórką, to rzecz śmiertelna, skórka lepnie do ściany jelit człowieka i żegnaj się człowiecze z tym światem"! Owym tak bardzo zagrożonym człowiekiem był inżynier Rady powiatowej Bosch, z Bohorodczan, bawiący w Sołotwinie na jakiejś czynności urzędowej. Bosch się roześmiał twierdząc, że całe życie tak je i jeszcze mu nigdy nic nie przylepło, śmiali się i inni, ale Sękowski obstawał przy swojem i snuł smutną przyszłość dla Boscha. Niektórzy podniecali Sękowskiego, by poprostu odebrał kiełbasę Boschowi i sam ją umiejętnie zjadł, bo inaczej człowiek ten marnie zginie, a szkoda, bo złota dusza. Inni doradzali, by Sękowski założył sklep z kiełbasami bez skórek itd. itd. Ktoś zawołał: „ot jest lekarz pan doktor Seller, niech rozstrzygnie, czy takie spożywanie kiełbasy jest śmiertelne!" Lekarz uśmiechnął się figlarnie, a nie chcąc zbijać Sękowskiego, rzekł dyplomatycznie: „moi panowie! zawsze stary praktyk idzie przed młodym teoretykiem!" Pokraśniał Sękowski, śmiali się wszyscy, gwarnie było i swobodnie, a sędzia Kowszewicz począł mieć cały traktat o przewodzie pokarmowym, o trawieniu, o przeznaczeniu pojedynczych organów brzusznych, ale tych naukowych wykładów nikt nie słuchał, prócz doktora Sellera, który często do wywodów sędziego swoje fachowe uwagi czynił.

Koło drzwi wchodowych stał w kapeluszu na głowie z gru-
bą wiśniową laską w ręce miejscowy proboszcz ruski
ks. Michał Głowacki, patrzył z uśmiechem w koło i na cały
ten rozgwar zakonkludował: „a to nimci breszut!" i skinąw-
szy głową na kogoś za dalszym stołem jeszcze siedzącego za-
wołał: frater, chodź! Zbliżył się zaraz i łaciński proboszcz,
życzył pozostałym generalnie dobrej nocy i obaj proboszczo-
wie powolnym krokiem wyszedłszy z „Kasyna", zniknęli w sze-
rokiej ciemnej sieni staroświeckiej oberzy.

A tensam proboszcz z Maniany, który przed godzi-
ną płakał nad stratą żony, siedział przy kwadratowym sto-
le, w najlepszym humorze grał w karty ferble i wołał
na odchodne do ruskiego proboszcza: „a uważaj Mychaniu,
abyś tam gdzie pociemku głowy nie rozwalił, musiałbym
zadarmo parastas odprawiać!" Ale Mychanio tj. ks. Głowacz
ki był już w połowie dobrze sobie od lat kilkudziesięciu znanej
sieni oberzy i nie słyszał rad „Kaniowskiego".

Przy tym karcianym stoliku najgłośniej było, drgał
tam silniej nerw życia niż na sali. Kilku partnerów gra-
ło, inni „kibicowali" tj. przyglądali się grze i komentowa-
li szczęście lub nieszczęście graczy, zresztą często dolaty-
wały siarczyste wykrzykniki: viso, blind, besser, oko,
nie idę, majzel... kojza piwa, albo kojza herbaty z ru-
mem, der Mensch strebt immer nach Ruhm, inni opę-
dzali się od kibiców wołając: Kibitzen, ruhig sitzen! – zresz-
tą słychać było tylko tętno uderzeń pięści o stół przy rzu-
caniu kart, tudzież okrzyki podziwu, nagany, pochwały,

zdziwienia i oburzenia. Rojza zmęczona usługiwała, dogadzając każdemu. Podczas gry ~~krzyk~~ krzyknął ktoś nagle, pokazując palcem pod stół: „o-o, popatrzcie, Sękowski pcha wygrane pieniądze do cholewy!" Zahuczało dokoła, wiele pożyło ku Sękowskiemu, który podniecony grą, odgryzał się: „krim by cię zabił, do jakiej ja cholewy pieniądze chowam, ot ukąsiła mię żydowska pchła w nogę, trochę się poskrobałem a już krzyczą na całe gardło: pieniądze chowa, pieniądze chowa – popatrz lepiej, przegrywam dziś fatalnie, to nie mój dzień, na nowiu księżyca nigdy szczęścia nie mam. Chyba do cholery pieniądze chowam, ale nie do cholewy!" W istocie Sękowski nie przegrywał i rzeczywiście lubiał wygrane pieniądze chować po wszystkich kieszeniach i kieszonkach, bo przyjemność mu sprawiało, że po powrocie do domu, z którą kieszeń palce włożył, wszędzie znalazł pieniądze. Ale stawki były niskie, nikt się tą grą nie zrujnował i nikt nie wzbogacił.

Przy stoliku koło pieca siedziało grono osób w sinym gęstym dymie z papierosów. Jeden z gwarzących zaśpiewał fałszywym barytonem znany wiersz:

Żył sobie dziad i baba,
Bardzo starzy oboje,
Ona kaszląca słaba,
On skurczony we dwoje...

Po odśpiewaniu dwu zwrotek, dalej już tylko deklamował do końca przy licznych wykrzyknikach i uwagach współbiesiadników. Gdy ukończył, odezwał się jego sąsiad: „Wy Polacy

macie same smutne poezje i smutne pieśni, my Rusini nie bierzemy rzeczy tak tragicznie, mamy także piosnkę o dwojgu starych ludziach, ale ta jest o wiele weselszą, tak w melodji jak i w treści." Przytem ryknął doniośle:

A tatunio lulku kuryt,
A mamunia pire dre,
A tatunio do mamuni,
A mamunia he-he-he!

Zapanował nastrój wesoły, Sękowski usłyszawszy skoczną nutę, począł dłońmi bić się po kolanach, nogami tupać do taktu i śpiewać, zapomniawszy o ferblu, aż przywołał go do porządku paroch Halikowski z Porohów: „Sękowski, przypominają ci się dawne lata, zachciewa ci się jakiegoś he-he-he! Oho, przepadło na zawsze, zostaw to młodszym, pilnuj lepiej kart. Mów – idziesz, czy nie idziesz?" I znowu gra poszła swoim torem, przy stolikach toczyły się rozmowy głośniejsze lub słabsze, duża wisząca lampa tonęła w obłokach dymu i oparach piwa.

Nuda powiała po sali, tu i ówdzie ktoś tytoniu zaciągnął, inny ziewnął przeciągle, z pod okna dolaciał wybuch sprzeczki przy kartach, w innym kącie ktoś palnął dowcip słony, a młody o okrągłej, rumianej twarzy urzędnik podatkowy począł śpiewać ordynarną piosnkę, której każda zwrotka kończyła się niewinnym dwuwierszem:

tylko przepióreczka,
latała, biegała, koło ogródeczka!

Rojza śmiertelnie umęczona, potykała się już na nogach.

Czas był najwyższy ruszyć z miejsca, więc wyszedłem z „Kasyna" do pokoju gościnnego oberży. W głowie mi się mąciło od wrażeń, gwaru, różnorodności. Pierwszy raz w życiu widziałem ten barwny kalejdoskop prowincjonalny, to wytchnienie po pracy ludzi różnych zawodów i stanów, losem rzuconych na ten odległy zakątek, odsunięty od świata, zapadły w górach, zapomniany i zaśniedziały. Jedni żyli wspomnieniami i z lubością opowiadali czasy, kiedy jeszcze jako młodzi w innym obracali się świecie i do przedniejszej należeli klasy społecznej, inni wyglądali dnia, w którymby się mogli stąd wyrwać na świat szerszy – a byli i tacy, którzy przywiązali się do tej mieściny szczerze, nie pragnęli z niej iść nigdzie, radzi że znaleźli sposób do życia i byt jakikolwiek, a to codzienne wieczorowe zebranie w Kasynie Szaferowej, było dla nich rozrywką, wytchnieniem, operą i ubarwieniem szarego dnia, ale też i wyżyłowieniem duchowem.

Byłem więc po premjerze wieczoru, odtwarzającego życie na prowincji w chwilach wolnych od pracy. Gdym się ułożył na nocleg, słyszałem jakiś czas jeszcze przytłumiony gwar z „Kasyna". I po rozwadze żal mię zdjął za Samborem i za miłem towarzystwem, jakie tam zostawiłem, dzisiejsze bowiem wydało mi się obce, mało zrozumiałe, wątpiłem czy się z niem kiedy zżyję. Ale nie mogliśmy wszyscy być w centrach kraju, z konieczności musieliśmy się rozprysnąć po najdalszych zakątkach kraju, tego wymagał nasz zawód. A warto poznać także „czarną prowincję", zwłaszcza tę za-

padłą daleko za górami i lasami. Jak na jeden wieczór, poznałem wiele, ale to był tylko początek. Te barwne obrazy życia prowincjonalnego powtarzały się potem często i jeszcze bardziej wyraziście. Zbędnem by było wszystkie je szczegółowo odtwarzać, ten ułomkowy szkic niech starczy dla ujęcia ich cech i charakteru.

Nazajutrz poszedłem oglądać miasto i rozpytywać się za mieszkaniem. Miasteczko było małe, wcale miłe, rzeka Bystrzyca o czysto górskich cechach dodawała mu uroku, a góry poczynały się niemal za ostatnim domem miasta. Samo zresztą miasto opiszę później, wpierw zajmę się osobami, jakie w tym czasie żyły w Sołotwinie i stosunkami, jakie się za moich czasów wytworzyły. Na razie wróciłem do zajazdu Szaferowej i ze zapartym oddechem kończyłem pośpiesznie czytać Quo vadis.

*

Dnia 30 kwietnia 1899 udałem się do sądu, aby się zgłosić do służby. Sąd znajdował się przy ulicy, wiodącej do Kryczki, a mieścił się w budynku jednopiętrowym, biura były rozlokowane w parterze, na piętrze zaś mieszkał naczelnik sądu.

Sąd sołotwiński nie długą miał historję. Po podziałach Polski i przejściu Sołotwiny w r. 1772 pod władztwo austrjackie, nie było w Sołotwinie władzy sądowniczej, lecz wykonywał ją justicjarjasz, mający siedzibę w Bohorodczanach. O ile mogłem odnaleźć od najdawniejszych lat był takim justicjarjaszem Józef Woynarowicz w czasie conajmniej 1829–1832. (Rzecz oryginalna, że później, bo w r. 1878 był administratorem

parafii łacińskiej w Sołotwinie ks. Józef Woynarowicz, a więc tego samego imienia i nazwiska, możliwie krewny poprzedniego sędziego). Ponieważ ze czasów polskich Sołotwina stanowiła starostwo niegrodowe i w ręku starosty spoczywała wszelka władza, niezawodnie przeszła wnet władza sądownicza niegrodowego starosty na justicjarjusza. Kiedy się to jednak stało, odnaleść nie zdołałem. Po Woynarowiczu dalsi justicjarjusze ustanowieni byli z siedzibą w Sołotwinie, a byli nimi w latach 1833-36 Stupczarkowski, 1837-44 Józef Hohn, 1845-46 Jan Blatt, 1847-48 Edward Keiser, 1849 Antoni Knisch, 1850-54 Maksymiljan Türman, 1855 Feliks Madajewski. Od r. 1856 wprowadzono w Sołotwinie Urząd powiatowy (Bezirksamt), na czele którego stał „Bezirksvorsteher", nazywany przez ludność tradycyjnie starostą. Pierwszym z nich był Michał Horwath, i w tym pierwszym zaprowadzonym urzędzie pracował Aleksander Rischka jako adjunkt do sprawowania funkcji sędziowskich, nadto dalszymi urzędnikami byli: aktuarzy Michał Mohilowski i Michał Szydłowski, tudzież kanceliści Jan Klipunowski i Jan Konasiewicz. Nadto osobno był w Sołotwinie czynny Urząd podatkowy (Steueramt). W tym więc Urzędzie powiatowym złączona była władza administracyjna ze sądowniczą i trwało to od r. 1856 aż do r. 1869. Dopiero od tego roku rozdzielono administrację od sądownictwa. Starostwo sołotwińskie wcielono do bohorodczańskiego, a sąd w Sołotwinie został władzą samodzielną. Pierwszy skład osobowy tego sądu był następujący: Sędzia powiatowy i naczelnik sądu Alfred Linzbauer (do r. 1876).

adjunkt (sędzia) Władysław Łucki, a od r. 1873 w miejsce niego Adolf Sichower, wreszcie kancelistami byli Leopold Lityński od początku sam, zaś od r. 1873 przybył Filip Bryndzej. Początkowo językiem urzędowym był język niemiecki, od r. 1870 urzędowano po polsku. O Linzbauerze nie wiele się dowiedzieć mogłem, bo odległe to czasy, to tylko jest pewne, że coś go łączyło z Kołomyją, możliwie przyszedł do Sołotwiny z Kołomyi. Był synem radcy szkolnego (Schulrath), wielkiego na owe czasy dygnitarza, bo tylko taki jeden był na całą Galicję. Linzbauer prawdopodobnie umarł w r. 1876 w Sołotwinie. Po nim został w r. 1877 naczelnikiem sądu Ignacy Karpiński. Zdolny i pilny sędzia, syn ruskiego księdza, jednak słabowity tak on, jak i jego żona. Umarł w Sołotwinie i tu na cmentarzu nad Bystrzycą pochowany. Po Karpińskim został naczelnikiem sądu Białkowski, polak, początkowo bezżenny, zdolny energiczny i pracowity, jednak na zdrowiu również nie tęgi (tabetyk). Klimat sołotwiński niezbyt mu służył. Po długiem kawalerstwie ożenił się, potem go przeniesiono do Sokala, jednak w jakiś rok lub dwa potem wyjechał do Zakopanego na kurację, wyszedł raz w góry i przepadł bez wieści. Po Białkowskim został naczelnikiem sądu Ferdynand Tomek, pochodzący ze znanej a zasłużonej czeskiej rodziny, bowiem stryj jego Wacław Władywoj Tomek, historyk czeski, profesor Uniwersytetu w Pradze, był jednym z wskrzesicieli ducha narodowego u Czechów, w poczytaniu zasług dla narodu pochowany w Panteonie na Wyszehradzie wraz ~~wraz~~ z Palackim i Rygierem. Sędzia Tomek był rodem

z Jaworowa, do gimnazjum chodził w Samborze, Uniwersytet kończył we Lwowie, auskultantem był w Samborze, a po zdaniu celująco egzaminu sędziowskiego pracował w Sądach w Samborze, Buczaczu a od r. 1875 do 1890 był sędzią w Katuszu, tu ożenił się z córką Wincentego Michalewskiego, nadradcy skarbowego i właściciela dóbr Tużyłowa, potem w r. 1890 został mianowany naczelnikiem sądu w Sołotwinie. Gdy się tu sprowadził, dołożył starań o sprawienie urządzenia dla sądu, bo to które jeszcze było, pochodziło z czasów przed r. 1848, kiedy sołotwiński klucz był własnością państwa. Współpracownikami Tomka byli adjunkt Wesołowski, rusin, i auskultant Mieczychowski, polak. Gdy Mieczychowski odszedł jako adjunkt do Obertyna, mianowano tu adjunktem Szymona Czmotę. Był to oryginał, jakich mało się spotykało. Człowiek ułomny po udarze mózgowym, długo pomijany, wreszcie obdarzono nim Sołotwinę. Sędzia wielce marny, drażliwy i złośliwy, był niemal mizantropem. Dziwak skrajnej miary, mieszkał w domku nad Bystrzycą a odznaczał się silnie rozwiniętym apetytem. Ciągle jadł i jadł. Czy w domu, czy w biurze, nawet przy rozprawach, ustawicznie jadł (szczególnie kapustę z mięsem), tak iż dziwić się należy, jak organizm to zdołał przetrawić. Miał ojca ruskim księdzem nad Zbruczem, a gdy ten umarł, przywiózł Czmota sporo dukatów i wtedy jadł popisowo, ale już delikatniejsze rzeczy, sprowadzane w 5cio kilowych paczkach z Triestu. Tak było aż się dukaty wyczerpały. Dopiero około r. 1898 przeniesiono go do Brzeżan. Wówczas nie było jeszcze sędziów samodzielnych, naczelnik odpowiadał za ogólną pracę

wszystkich, toteż miał Tomek ciężkie obowiązki. Do tego przyszły trudności inne. Oto w tymto czasie rozpoczął się ruch kopalniany w okręgu sołotwińskim, poczęto bowiem wydobywać wosk i naftę. Chodziło o wpisy do ksiąg gruntowych, różni ludzie o potężnych wpływach starali się o zapisanie ich praw, ale Tomek nie zawsze mógł temu zadość uczynić. Toteż różnym potentatom naftowym stał się niewygodnym i niestety wśród wielu doznanych przykrości przeniesiony został do Sanoka, gdyż znaleźli się ludzie, którzy chętnie podchwycili jakąś drobnostkę, aby go w ujemnem świetle przedstawić. Był Tomek w Sołotwinie naczelnikiem sądu zapobiegliwym, sędzią sumiennym, niezmiernie ludzkim, uczynnym, wyrozumiałym i pozostawił po sobie bardzo dobrą pamięć na długie lata. Dnia 12. lutego 1896 obdarzyła go rada gminy miasta Sołotwiny obywatelstwem honorowem. (Na tem posiedzeniu byli obecni radni miejscy: Adam Studziński notarjusz, ks. Michał Głowacki proboszcz r. g., Józef Hodoly aptekarz, Grzegorz Laszkiewicz, Leizor Weinrauch, Wolf Seeman, Rachmiel Jäger, Leib Locker, Berl Kawaler, Jan Sebuńczak, Semen Mikulak, Wasyl Hohol, Mikołaj Panewnik, Józef Hadowaniec, Dmytro Kupczak, Mikołaj Petryszyn, Wasyl Kupczak, Abisch Kern, Szulim Pecker, Jakób Daniel Juran, Aron Hornberg i Ozjasz Purpur. Pisarzem gminnym był Ludwik Szluha). W Sanoku został Tomek wnet radcą, powierzono mu sądownictwo cywilne, które prowadził chlubnie, poczem po przejściu na emeryturę prowadził adwokaturę w Cieżkowicach, a będąc już w sędziwym

wieku przebywał w majętności swej żony w Jankowej od Bobowa (koło Stróż). W liście z 15 kwietnia 1925 sam Tomek tak skreślił wspomnienia ze Sołotwiny. „Pobyt mój w Sołotwinie – są jego słowa – należy do najpiękniejszych dni mojego życia. Jako przyjaciela pięknej przyrody i dobrych ludzi, zajmowało mię wszystko, co tylko z pięknem ma wspólnego. Jako znawcę stosunków na Rusi interesowało mię wszystko i żałuję, że nie mam talentu pisarskiego, bo z doświadczenia mojego długiego życia, mógłbym pozostawić niejedną cenną wzmiankę o naszych pięknych górach i spółczesnych ludziach."
Wiele szczegółów z tych zapisków, jemu właśnie zawdzięczam, był bowiem obdarzony do końca życia doskonałą pamięcią. Zmarł ten zacny sędzia sołotwiński 24 kwietnia 1927 w Jankowej, po kilkuletniem cierpieniu pęcherzowem. Liczył lat 81, pochowany na cmentarzu w Bobowej.

Po Ferdynandzie Tomku został naczelnikiem Sądu Franciszek Kohman i gdy przybyłem do Sołotwiny, właśnie on urzędował. Człowiek więcej niż średniego wzrostu, twarz czerwona pociągła, wąs i głowa dobrze siwiejące, na nosie binokle w złotej oprawie, był żonaty i miał dwoje dzieci. Prędko mówił, wiele klął, był jednym z wygasających typów prowincjonalnych naczelników, autokrata, porywczy, dla niższych bezwzględny, zresztą w służbie ścisły i starowczy. Pochodził ze Sambora, z niemieckiej rodziny, tam ojciec jego w latach 1852–56 był urzędnikiem skarbowym. Gdy cesarz austrjacki Franciszek Józef bawił w Galicji w Samborze, urodziły się temu urzędnikowi bliź-

nięta, a* to dwaj synowie. Uradowany tem, zgłosił się do cesarza na audjencję i prosił go na ojca chrzestnego. Cesarz na to zezwolił i przez zastępcę był ojcem chrzestnym. Dlatego właśnie jeden syn miał na imię Franciszek, drugi Józef, zgodnie z imionami cesarza. Byli też obaj bliźniacy do siebie podobni jak jedna kropla wody do drugiej. Obaj poszli na prawa, obaj byli sędziami, obaj jednakowe mieli wszystko, nawet charakter pisma ich był wielce podobny. Ale nie żyli ze sobą ściślej. Właśnie kiedy odchodziłem ze Sambora, był tam radcą Józef Kohman i kiedy się z nim żegnałem, a wiedział że odchodzę do Sołotwiny i zetknę się z jego bratem Franciszkiem, opowiadał Józef o ich wzajemnym stosunku, z czego wynikało, że nie żyją na pokojowej stopie, bo ich żony nie mogą się wzajemnie zgodzić. Gdy znów przyjechałem do Sołotwiny, Franciszek sądząc, że Józef źle mię uprzedził, począł znów wyrzekać na swojego brata. Byłem w tem wszystkiem biernym słuchaczem, bo i cóż mię mógł obchodzić antagonizm dwóch bliźniaczych braci. Złożyłem przysięgę służbową a Kohman wezwał oficjała Kobzeja, by ze mną poszedł do miasta i wynalazł mi pokój mieszkalny. Dał mu przytem różne wskazówki. Kobzej, rodowity sołotwinianin wywiązał się ze swego zadania dobrze, wnet miałem duży pokój, jasny, w środku miasta, w murowanym domu starego kupca Fajbisza Taubmana (plan p. 27.).

Sąd w Sołotwinie prócz naczelnika miał wtedy jeszcze trzech innych sędziów (zwanych adjunktami), ponadto był szereg urzędników pomocniczych: oficjałów, kancelistów, pisarzy, woźnych.

Najstarszym sędzią (adjunktem) był Włodzimierz Sienkiewicz, rusin, syn ruskiego księdza z Czerniany koło Mościsk.

Bezzienny, rosły mężczyzna, nad wiek otyły i nad wiek posiwiały, o twarzy dużej, pełnej, golonej i dużym wąsie. Piękny typ słowiański. Chód miał ciężki, opierał się silnie na grubej lasce. Nikt go w dowcipie nie prześcignął, był w tem niewyczerpany, humor nigdy w życiu go nie opuszczał, śpiewał, bawił się, lubiał towarzystwo, w domu nikt go nigdy nie zastał, w sądzie był średnio pilny, dopiero gdy się zrobił zator w biurze, zabierał się z kartem do pracy, wtedy palił papierosy jeden ze drugim i pracował bez pamięci. Ze mną razem był w Sołotwinie przez rok, żyliśmy w przyjaźni, potem przeniósł się do Sądu w Krakowcu, a właściwie zamienił się z takąż posadą ze sędzią Paklerskim z Krakowca. Pamiętam, jak pod koniec wiosny 1900 urządziliśmy w Kasynie (wówczas w domu Matusiaka pomieszczonem) pożegnanie Sienkiewicza, jak posypały się przemówienia osób życzliwych, a miał ich pośród nas bardzo wiele, jak powszechnie za nim żałowano, pamiętam jak nazajutrz zajechał wózek naszego generalnego i popularnego woźnicy Kupczaka zwanego Pocztarem przed pomieszkanie tego kolegi w domu Pfeferowej (w rynku od strony Markowej, plan p. 28) i jak odjechał. Mienie Sienkiewicza było bardzo małe, on sam o niem mówił, że ma tylko parasol i kalosze, w istocie jednak było nieco więcej, na wózek wyniesiono kilka tobołków podróżnych, zaś z tyłu siedzenia umieścił Kupczak i sznurem przymocował duże, rozłożyste, wspaniałe rogi jelenie, które Sienkiewicz w Sołotwinie zakupił. Niebawem potoczył[?] wózek ku Zarzeczu, pojechał Sienkiewicz dalej na wędrówkę życiową, pozostawiając za sobą Sołotwinę, która — jak się później pokaże — stanowiła najszczęśliwszy dział

w jego życiu, bo dalej nie stąpał po różach. W Krakowie ożenił się, żył ze żoną bardzo szczęśliwie, jednak szczęście wnet prysło. Jednego dnia pod wieczór poszli oboje na przechadzkę, a po powrocie i po kolacji żona położyła się do snu, on zaś poszedł do drugiego pokoju dokończyć malowanie jakiegoś obrazka. Gdy następnie wrócił do żony, ta już nie żyła. Zmarła na serce. Tą stratą był Sienkiewicz niezmiernie zmartwiony, zawsze z rozrzewnieniem o zmarłej opowiadał. Został następnie naczelnikiem sądu w Jabłonowie pod Kołomyją, zamieszkał w najętym domu w dwu pokojach i prowadził życie odosobnione, siwiejąc coraz bardziej. Z biegiem czasu zapragnął jednak wskrzesić znowu swoje ognisko domowe. Żył wtedy w Jabłonowie emerytowany leśniczy rządowy niepamiętnego mi nazwiska, mający dwie młode córki. Sienkiewicz rozkochał się w starszej mimo znacznej różnicy wieku, bo był od niej dwa razy starszy. Rozgorzał w jego sercu ogień młodzieńczej miłości, sam się ożywił, wprost odmłodniał, oświadczył się o jej rękę, został przyjęty, stał się szczęśliwym narzeczonym, ślub jednak się odwlókł, bo przyszły teść budował tymczasem dom dla nowożeńców. Sienkiewicz często wyjeżdżał z narzeczoną na niedzielę do sąsiedniej Kołomyi, gdzie ona miała krewnych, chodzili pod rękę wśród tłumu spacerujących, mienili się być szczęśliwymi i układali plany na przyszłe życie małżeńskie. Sienkiewicz nie mógł jednego dnia bez ukochanej wyżyć. Wśród tych okoliczności pewnego dnia zahuczało w całym Jabłonowie (r. 1911): panna uciekła z domu ze swoim krewnym, prawnikiem. Nikt nie wiedział gdzie się podziała i którędy uszła.

Stroskani rodzice poczęli poszukiwać, pozostały narzeczony i ból miał w sercu i wstyd na obliczu, każdy bowiem z pod oka patrzył jaką minę ma stary narzeczony, któremu ~~nie~~ uciekła młoda narzeczona. Wreszcie nadeszła do rodziców wiadomość z Przemyśla, że córka jest tam u krewnych. Sienkiewicz napisał do niej list, prosząc tylko, aby się mógł z nią rozmówić, przyczem nie będzie się wcale mieszał do jej przyszłego losu. Spotkanie doszło do skutku na peronie dworca w Przemyślu. Sienkiewicz pytał ją o przyczynę jej ucieczki i takiego właśnie sposobu zerwania, naco odrzekła, że ulegała tylko woli rodziców, jego nigdy nie kochała i nie chciała za niego iść zamąż, musiała się więc na ten krok zdobyć, by raz na zawsze nić przeciąć. Po powrocie do Jabłonowa długi czas Sienkiewicz żył samotnie, mało się z domu wychylając, czuł się złamanym i zobojętniałym. Czasami tylko zaglądał do swego niedoszłego teścia. Błysła mu jednak myśl oryginalna w głowie. Oto było dziewczę młodziutkie, siostra dawniejszej narzeczonej — przecież można się z nią ożenić. Gdy to oznajmił w domu, dziewczątko dwa i pół raza młodsze od Sienkiewicza, przyklasnęło z radości, wszak z osóbki, na którą nikt jeszcze nie zwracał uwagi, może wnet stać się radczynią i pierwszą osobą w Jabłonowie. Ta ani się opierała, ani nie uciekała z Jabłonowa, wnet kapłan pobłogosławił związek małżeński i Sienkiewicz rozpoczął nowe życie, szczęśliwsze i jaśniejsze. Jeżeli co mu mąciło życie, to sąd, bo jako przełożony był niezmiernie surowy, wchodził w coraz to nowy konflikt z podwładnymi, tak iż były zgrzyty służbowe i nie miał w sądzie miru. Ale wnet na-

descła wojna światowa 1914., jak ją Sienkiewicz przebył, nie wiem, gdy jednak następnie w r. 1918 rozgorzała w kraju krwawa zawierucha ukraińska, Sienkiewicz stał się ~~~~ jawnym wrogiem Polaków, wysunął się na czoło miejscowej ukraińskiej organizacji, uciskał Polaków i prześladował ich na każdym kroku. Czynił to człowiek, którzy się z Polakami zżył, ci go mieli za brata i darzyli go sercem. Jakiej on krzywdy doznał od Polaków, lub jakiej krzywdy doznali uczuli jabłonowscy, tego z pewnością ani Sienkiewicz ani nikt inny nie wiedział i nie wie. Ale sztuczna rewolta wnet upadła, było to tylko zdradliwe posunięcie Austrji względem Polaków. Ukraińcy nie mieli sił, by rządzić krajem, a już co najmniej mogli się utrzymać tak długo, jak starczyły wydane im przez Austrję zapasy. Niebawem okazały się w Jabłonowie sztandary polskie, Sienkiewicz w obawie przed odpowiedzialnością uszedł z resztkami wojskowych władz ukraińskich na wschód poza Zbrucz. Ciężkie to było jego życie na tułaczce, tak ciężkie jak zawinione prześladowanie polskości, które miał na sumieniu. Gdy jednak posłyszał, że naród polski przebaczył swoim nieprzyjaciołom, wrócił Sienkiewicz ze żoną do kraju, nie otrzymał jednak z powrotem urzędu, osiadł przy swoim bracie, unickim księdzu we wiosce Koło Mościsk, a złamany na duchu, zmęczony tułactwem, nękany wyrzutami sumienia, zmarł około r. 1920. Przegrał kampanję życia. Tak żył i takie miał koleje losu jeden z licznych sędziów sołotwińskich.

Drugim sędzią był dr. Roman Kowszewicz, również rusin, lwowianin, syn urzędnika pocztowego, ~~był~~

stąd dom jego rodziców prowadzony był po polsku, wyrósł więc ten sędzia w polskiej atmosferze. Gimnazjum ukończył bardzo młodo, i jako młodziutki prawnik chodził na Uniwersytet we Lwowie. Któż wówczas nie znał we Lwowie akademicka Korszewicza! Była to osobistość popularna w całej stolicy. Cieniutki jak szpatek, o której czuprynie do góry wyczesanej, twarz mała młodzieńcza z poczynającym się wąsikiem, przesadnie duże binokle na nosie, ogromny po kostki sięgający płaszcz z peleryną ciemno zielonego koloru, olbrzymi cylinder na głowie – tak wyglądał prawnik Korszewicz. Ciągle szedł drobnym a szybkim krokiem, jakby biegnąc zakomunikować komuś coś ważnego, mówił nadzwyczaj głośno kilku językami odrazu, gestykulował przytem wiele, wszędzie zabierał głos, a cytatów umiał tyle, iż zdawało się, że przeczytał wszystkie dzieła całego świata. Jakiego był poglądu politycznego i społecznego, trudno było odgadnąć, bo właściwie był wszystkich poglądów. Pamiętam, że za moich uniwersyteckich czasów, kilku młodzieńców rozkochanych w niemieckich burschach, postanowiło założyć we Lwowie towarzystwo akademickie na wzór niemieckich burszenszaftów. Zwołali zgromadzenie na jakiś wieczór do jednej ze sal uniwersyteckich, gdzie zebrali się także liczni przeciwnicy, aby komitet organizacyjny przegłosować. Dla ciekawości poszedłem i ja. Otóż pamiętam, że głównymi propagatorami nowej myśli germańskiej byli akademicy Hofmokl, Slavik i Korszewicz, mieli nadto kilkunastu zwolenników. Przegłosowano ich z kretesem, jednakże nieliczne grono założyło przecież nowe towarzystwo „Leopolis", chodzili z małymi

czepeczką na czubku głowy a barwną taśmę w poprzek kamizelki. Było to dla polskiej młodzieży obce, nieraz więc tworzyło przedmiot znaczących uśmiechnień. Wiedli życie „burszowskie", nocne, rozbawione, głośne. Z nich to właśnie wyłonił się sędzia sołotwiński Kowszewicz. Młodziak, zaprawiony do barw, garniturów, odznak, skoro otrzymał stopień adjunkta, poprawiał całą garderobę urzędową z gwiazdami, szablami, złoconymi sznurkami i lubował się w tem niezmiernie. W życiu był chłopczykiem, coraz to zmieniał mieszkanie, lubiał gwarne towarzystwo, które było dla niego echem czasów akademickich, przesiadywał do późna w nocy przy herbacie i piwie, nie nadużywał jednak alkoholów, ani nie grał w karty, chętnie wdawał się w rozmowę o swoich przeżyciach, barwnie je opisując, był wielce oczytanym, umiał mówić kilka językami europejskimi, miał wiele wiadomości z różnych dziedzin, głowa jego była jakby encyklopedją, zresztą koleżański, uczynny, dobry, miły, o formach światowych, ale przytem zawsze dziecinny. Obej ze Sienkiewiczem bardzo się nie znosili i nie lubieli. W sądzie prowadził dział karny, a choć był dobrym prawnikiem, brak mu jednak było systematyczności i poglądu na całość. Stąd mnożyły się zaległości, a gdy raz przyjechał na lustrację wiceprezydent Fangor ze Stanisławowa, zastał wydanych przez Kowszewicza, ale na piśmie nie wypracowanych wyroków 200. Stąd pociągnięty został do odpowiedzialności, bardzo się tem martwił, napisał swoje usprawiedliwienie, przyniósł je raz do mnie do domu, abym je odczytał i służył mu radą, przyczem niemal do łez był pobudzony, narzekając,

że pracuje nadmiernie i z dodatku ma przykrości. Burza nad Korszewiczem jakoś rozwiała się, a tymczasem wstrząsły nim inne elementy. Żył na owe czasy w pobliskiej Staruni częściowy właściciel ziemski, szlachcic Jan Sękowski. Miał dwie córki rusinki, bo ich matka, a żona Sękowskiego była rusinką. Przy jakiejś sposobności poznał Korszewicz młodszą z nich i zawładnęło nim uczucie miłości. Na wieczorku w naszem Kasynie (w domu Matusiaka), Korszewicz nie odstępował na krok panny Sękowskiej, tańczył z nią wiele i pokaźny bukiet wręczył. Wieczorek się skończył, panna odjechała do Staruni, a Korszewicz, dawniej rozbawiony bursz, rozgadany doktryner, wolnomyślny i swobodny dotąd w każdym calu, począł przeżywać jakąś zupełną przemianę, w mowie stawał się czułym, wylanym, miękkim, w życiu szukał nowych podstaw i nowych idei, dałby się był jak dziecko prowadzić za rękę, byleby szedł gdzieś w jakieś nieznane mu dotąd promienie świetlne. Długie wieczory siedział u mnie i na ten temat rozmawiał i dopiero wtedy począłem tego kolegę naprawdę lubieć. Był podówczas proboszczem ruskim w Kryczce koło Sołotwiny unicki ksiądz Hordyński, dawny przyjaciel domu Sękowskich, bo nieżyjący już ojciec tego księdza był proboszczem w Staruni. Otóż Korszewicz pod wpływem wstrząsień duchowych udał się pewnej niedzieli do Kryczki, poszedł do tamtejszej cerkiewki wiejskiej, ukląkł przed konfesjonałem, wyspowiadał się przed ks. Hordyńskim i pojednał się z Bogiem. Odtąd częściej do Kryczki zachodził, stał się pobożnym, wykonywał praktyki religijne a zarazem wszedł w stosunek przyjaźni z ks. Hordyńskim, który mało co był starszy wiekiem od tego sędziego. „Wie pan – opowiadał mi nieraz

Kowszewicz – nigdzie się nie czuję bliższym Stwórcy, jak w tej wiejskiej skromnej cerkiewce, pośród prostaczków i nigdzie go nie wielbię szczerzej, jak wśród modłów tego prostodusznego, korzącego się przed Panem nad pany, kapłana, osiadłego na końcu świata, nie pragnącego niczego innego, jak tylko łaski od Stwórcy i dobrego słowa od bliźnich." Wśród tej duchowej przemiany został Kowszewicz przeniesiony ze Sołotwiny do Mościsk, a przez pośrednictwo ks. Hordyńskiego doszedł do skutku jego związek małżeński z panną Sękowską, pobłogosławiony we Lwowie w metropolitalnej cerkwi św. Jura przez arcybiskupa unickiego Andrzeja Szeptyckiego. Od czasu wyjazdu tego sędziego ze Sołotwiny nie zetknąłem się z nim więcej. Raz tylko, gdy przez Halicz jechał do Stanisławowa koleją ze żoną, a ja byłem na dworcu, zamieniliśmy kilka słów ze sobą, zdaje się, po raz ostatni w życiu. Wiem o nim, że później stał się wielce religijnym, cieszył się względami arcybiskupa Szeptyckiego i zdaje się, wskutek jego poparcia dostał się do Lwowa do sądu krajowego karnego. Tu studjował prawo kanoniczne (podobno był nawet na studjach w Rzymie), marzył o katedrze uniwersyteckiej z językiem wykładowym ruskim, której jednak nie osiągnął. W czasie wojny światowej 1914–18 czynny był przy sądzie wojskowym w Serajewie w Bośni, po powstaniu Polski był ~~sędz~~ radcą sądowym w sądzie powiatowym sekcji II we Lwowie. Z pierwotnego zwolennika rusofilskiego kierunku, przemienił się w ukraińca, a gdy nieprzyjazne państwowości polskiej żywioły utworzyły we Lwowie tajny uniwersytet ukraiński, należał do grona nauczycieli tego uniwersytetu, dopóki

przełożona władza tego mu nie zabroniła. Przeszedł przed czasem lat przepisanych na emeryturę i otworzył kancelarję adwokacką w Bohorodczanach.

Kiedy objąłem urzędowanie w Sołotwinie było nas czterech sędziów: Kohman, Sienkiewicz, Korszewicz i ja. Na początek jako sędzia pomocniczy dostałem 77 niezaczynanych jeszcze dochodzeń karnych do zrobienia (to był spadek po Smólskim i Korszewiczu) i część działu spadkowego. Wiodło mi się bardzo dobrze, urzędowanie było znośne, mogłem wiele poświęcić popołudniowego czasu na zwiedzanie najbliższych okolic Sołotwiny. Wnet nastąpiła zmiana w składzie sędziów, przyszli nowi ludzie i nowe wytworzyły się stosunki.

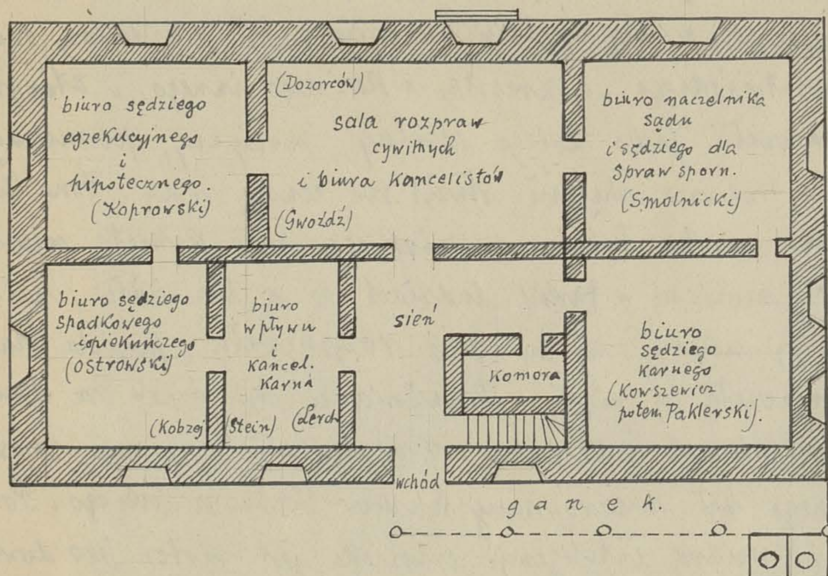
W maju 1899 radca Kohman odszedł do Stanisławowa a w jego miejsce przybył na naczelnika sądu Karol Smolnicki, polak, przemyślanin, żonaty, bezdzietny. Był średniego wzrostu, silnej budowy ciała, brunet o małym wąsie, przybył z Grzymałowa, gdzie dotąd był sędzią. Ożywiony był dobremi chęciami do pracy zawodowej i społecznej. Jakoż niebawem postanowił dołożyć starań do zreformowania owego „Kasyna" w zajeździe Szaferowej. Jego staraniom zawdzięczyć należy, że zawiązało się towarzystwo kasynowe, wynajęło codopiero nowozbudowany dom Matasiaka (plan p. 5), sprawiło urządzenie i wyprowadziło się z publicznej oberży. W sądzie był gorliwym w służbie, brał w obronę maluczkich, pomagał im w uzyskaniu słusznych praw i stał na straży godności stanu sędziowskiego. W życiu był optymistą, gościnny i przyjacielski, wrażliwy na piękno natury, chętnie robił wycieczki w góry.

Kilka razy i ja z nim przebyłem taką wyprawę. Raz w lecie 1899 w trójkę Smolnicki, Kowszewicz i ja zrobiliśmy pieszo taką wycieczkę do wodospadu w Maniawie. Wodospad ten w źródle rzeki Maniawki przedstawia się wielce uroczo, woda spada z wysokości 15 do 18 metrów, rozbija się o głazy w atomy, stąd jest jakby we wiecznych oparach. Smolnicki zrobił nam niespodziankę, bo na miejscu znalazł się chłopak z koszem, z którego posiłek pokrzepił nas należycie. Robiliśmy znów w innej trójce wycieczkę do Worochty a to Smolnicki, Chmielewski (o którym wspomniałem w dziale samborskim) i ja i wtedy zapuściliśmy się w bór podczas ulewy deszczowej i zmyliwszy drogę, omal życia nie postradaliśmy. Z pośród bardzo licznych pomniejszych wycieczek, pamiętam jedno smutne zdarzenie, które się jednak wesoło zakończyło. W piękny letni dzień poszliśmy ze Smolnickim drogą polną ku Kryczce i wnet znaleźliśmy się nad brzegiem Bystrzycy. Nie mogliśmy się oprzeć pokusie kąpieli, przeto na przestronnym kamieńcu, jeden od drugiego o jakie 30 kroków, rozebrawszy się, wykąpaliśmy się w lazurowej rzece, poczem ja prędzej się zebrałem, Smolnicki był już na ukończeniu, lecz począł czegoś koło siebie szukać. Przybliżyłem się do niego i dowiedziałem się, że zgubił obrączkę ślubną i drugi pierścień. Przylgnąwszy do ziemi zaczęliśmy gorliwie szukać, przetrząsając niemal każdy kamyczek, zakreślaliśmy coraz szersze kręgi, jednak wszelkie wysiłki były daremne. Pierścienie przepadły raz na zawsze, Smolnicki sądził, że je zgubił w wodzie. Niemniej tem dotknięci wracaliśmy do domu. „Niedarmo nasza Bystrzyca na-

żywa się złotą – przerwał Smolnicki dłuższe milczenie – poszło złoto do złota." I znów szliśmy w milczeniu, każdy bowiem myślał, jakiehy jeszcze poszukiwania były możliwe, aby zgubę odnaleźć. Aż w połowie drogi do domu Smolnicki sięgnął do kieszeni, wyjął portmonetkę z drobnemi pieniądzmi, otwarł ją i zaraz błysnęły ze środka dwa duże złote pierścienie. Wróciliśmy do miasta w doskonałych usposobieniach. Zresztą nie lubiał Smolnicki kasynowego zgiełku i tego zanadto swobodnego tonu, jaki tam często panował. Stał się więc domatorem i zadowalał się nielicznem kołem bliższych przyjaciół. Żona jego była córką lekarza ze Starego Sambora, brunetka, smukłej postawy, artystyczna dusza, grała pięknie na fortepianie i udatnie malowała krajobrazy. Nadto była kobietą dobrego serca, czuła na ludzką niedolę, szlachetna w obejściu, pogodna na duchu. Po kilku latach został Smolnicki mianowany radcą, był w Sołotwinie aż do wybuchu wojny światowej 1914 roku, ta pozbawiła Smolnickich całego dorobku życiowego, stracili całe swoje urządzenie domowe, poczem zostali przeniesieni do Brzeżan, dokąd mienie swoje przywieźli prawie, że w jedynym kuferku. Z poddaniem się losowi zaczęli Smolniccy w Brzeżanach nowy okres życia, jak tysiące innych Polaków, których burza ~~dziejo~~ dziejowa pozbawiła wszystkiego, prócz życia i czci.

Gdzieś w r. 1900 lub na początku r. 1901 powrócił do Sołotwiny sędzia Juljusz Kaluziniacki, delegowany czasowo do czynności w sekretarjacie Sądu Najwyższego we Wiedniu, a zastępcą

Plan parteru budynku sądowego w Sołotwinie.



wany w Sołotwinie przez sędziego Kowszewicza. Kałużniackiego przypominałem sobie jeszcze ze Lwowa. Właśnie byłem auskultantem w Sekcji I, gdy raz do naszego biura przyszedł auskultant Kałużniacki już egzaminowany i oczekujący mianowania do Sołotwiny. Młodzieniec przystojny, brunet z małym wąsikiem, ubrany wytwornie, miły i jednający sobie każdego, informował się z aktów o jakiejś sprawie spadkowej. Po nominacji ożenił się z panną Kamilą Czarnecką, córką wyższego sędziego, osiedli w Sołotwinie, tam przyszło na świat ich pierwsze dziecko, córeczka Jadwiga, lecz w kilkanaście dni potem, zaledwie po chrzcie dziecka odjechał Kałużniacki do Wiednia i tam bawił do czasu, o jakim wyżej wspomniałem, a więc prawie przez dwa lata. Oboje Ka-

Tuźniaccy byli bardzo szczęśliwem i wzorowem małżeństwem. Jako sędzia był Katuźniacki jednym z najdzielniejszych i najzdolniejszych w całej apelacji lwowskiej, był prawdziwą ozdobą sądu sołotwińskiego, a zresztą i każdego innego, w którym później pracował. Jako kolega idealny, uczynny, pomocny, każdemu zawsze chętnie służył swą cenną radą. Żona Katuźniackiego, osoba typu ormiańskiego była kobietą niezmiernej dobroci, mówi się o takich ludziach, że są bez żółci, nie widziałem jej nigdy, by się o co rozgniewała, pogoda duszy nie opuszczała jej nigdy. Katuźniaccy żyli ściśle ze Smolnickimi i niemal codziennie się odwiedzali. Wyrazem szczęścia rodzinnego był niezrównany humor Katuźniackiego. Powiadają, że miarą inteligencji człowieka jest wartość jego dowcipu. Otóż Katuźniacki był w towarzystwie niezrównany a dowcip jego był tak delikatny jak jedno włókno jedwabiu. Razem służyliśmy krótko, gdyż Katuźniacki został mianowany zastępcą prokuratora do Przemyśla, gdzie wtedy był prokuratorem Roman Stebelski, niegdyś auskultant przy sądzie sołotwińskim. Po kilku latach przeniósł się Katuźniacki do Lwowa jako zastępca nadprokuratora, potem został przejściowo prokuratorem w Tarnopolu (lecz urzędu tego faktycznie nie pełnił) wreszcie prokuratorem we Lwowie, co oznaczało nadzwyczajne wyszczególnienie i uznanie jego znakomitych zdolności. Ale we Lwowie przyszło mu przeżyć największe nieszczęście, jakiego doznał w życiu. Tam umarła na cukrzycę jego najlepsza żona, cios ten do głębi nim wstrząsnął, Katuźniacki nie mógł



Grupa sędziów i urzędników sądowych
zdjęta w ogrodzie sądowym
podczas lata : 1899.

W dolnym szeregu siedzą sędziowie, w górnym stoją urzędnicy,

a to:

oficjał Stein — oficjał Kobzej — oficjał . . . — Kancelista Kassler — Kancelista Łapka — Kancelista Hirsch

sędzia Sienkiewicz — sędzia Ostrowski — naczelnik Smolnicki — sędzia Kowszewicz — lekarz wakacyjny Turteltaub.

(fotografował urzędnik podatkowy Malcharek).

nigdy przeboleć tej ciężkiej straty. Po powstaniu Polski przeniósł się w r. 1919 ze Lwowa do Poznania jako prezes senatu sądu apelacyjnego, gdzie swojemi zdolnościami oddał sądownictwu polskiemu nieocenione usługi. Nieraz w Poznaniu wspominaliśmy czasy sołotwińskie, niepowrotne, a miłe w pamięci pozostałe, bo z naszą młodością złączone.

Jak powyżej zaznaczyłem, Sienkiewicz zamienił się na miejsce z innym sędzią z Krakowca, a był nim Wacław Paklerski, Lwowianin, syn urzędnika Wydziału Krajowego. Blondyn o pięknych, jasnych oczach, bujny włos na głowie do góry uczesany, mały wąsik płowy zdobił twarz o delikatnej cerze. Był żonaty z panną Klimkówną, sierotą i nauczycielką. Małżeństwo to niedawno pobrane powstało z czystej, idealnej miłości, nie znającej granic poświęcenia. Żona ~~ze~~ Paklerskiego była osobą o drobnej strukturze, on dbał niezmiernie o jej zdrowie i to go skłoniło ~~do~~ do opuszczenia Krakowca o moczarzystej okolicy a zgodzenia się na propozycję Sienkiewicza zamiany miejsca służbowego na Sołotwinę, którą mu Sienkiewicz barwnie a ponętnie opisał. Zaraz jednak po przybyciu tutaj doznał pewnego rozczarowania, którego powodem było mieszkanie. Wynajął je nieopodal sądu na „Betejówce" w nowozbudowanym domu, ale wnet ze świeżo gliną oblepionych ścian poczęły tu i ówdzie zboża wyrastać, bo glina była zmięszana z plewą, a do niej natrzęsły się ~~tu i ówdzie znalazły się~~ ziarna. Nadto stado mrówek odbywało ciągłe marsze po podłodze i sprzętach. Ale w Sołotwinie nie było doborowych mieszkań, przenosił się więc coraz na inne,

tak iż czterokrotnie je zmieniał. Zapadała niekiedy na zdrowiu żona, chorowały często dzieci, których miał troje a z nich zmarł chłopczyk średni, ku rozpaczy rodziców. Najstarsza, ładna córeczka miała od urodzenia wadę w stawie biodrowym nogi i mimo usiłowań lekarskich i zabiegów ojca nie można było żadną miarą wady naprawić. W sądzie miał Paklerski oddział karny, który prowadził dobrze i rozumnie, życie jednak miał ciężkie z powodu zgryzot o zdrowie rodziny. Był jak najlepszym kolegą, człowiekiem prawym, o dużym intellekcie, szlachetny, uczciwy rozumny, ale – nieszczęśliwy. Lekarz Soller, który z uznania godną bezinteresownością leczył jego rodzinę, był bardzo częstym gościem w domu tego sędziego. Ze mną żył Paklerski w ścisłej przyjaźni, często do mnie przychodził do domu na probostwo, opowiadał o swoich kłopotach i jakby mu trochę ~~to~~ lżej było, że się z kimś



Wacław Paklerski
sędzia w Sołotwinie
(r. 1900 – 1903).

nieni choćby w mowie podzielił. O dobroci tego sędziego ~~niechaj~~ niechaj świadczy fakt następujący. Zaraz po mojem przeniesieniu ze Sołotwiny do Halicza, z powodu trudów drogi i z powodu tak wilgotnego pomieszkania, że się woda po ścianach lała, zachorowałem i gorzko mi było, bom się znalazł wobec cudzych ludzi bez opieki i pomocy. Gdy się o tem Paklerski dowiedział, znalazł jakiegoś człowieka, który trochę umiał na kuchni gotować, wsiadł na wóz, zabrał go ze sobą i nie szczędząc ni kosztów ni trudu, przyjechał z nim ze Sołotwiny do Halicza celem ratowania mnie. Z jakiemże wzruszeniem powitałem mego przyjaciela i jak ceniłem jego poświęcenie. Ale już wówczas podźwignąłem się i unormowałem tryb życia, więc tylko szczerze zacnemu Koledze podziękowałem za jego serce i oddanie. Paklerski przeniósł się następnie w r. 1903 ze Sołotwiny do Nadwórny i zostawaliśmy ze sobą w korespondencji, około nowego roku 1906 w przejeździe postąpił do mnie do Halicza i nocował, przyczem nagadaliśmy się do syta. Ale niestety, niestety – była to już ostatnia nasza rozmowa w życiu. W marcu 1906 otrzymałem telegram od pani Paklerskiej, że mąż umarł. Zapłakałem nad tą stratą serdecznego, zacnego kolegi. Pojechałem do Nadwórnej na jego smutny pogrzeb, przybyli także i inni sędziowie ze Sołotwiny. Przed pogrzebem Paklerskiego wydarzyło się niemiłe zajście. Otóż był w Nadwórnie sędzia Kozak, chorujący często, miał bowiem jedno płuco całkiem zniszczone, a drugie zagrożone. Mieszkał przy tejsamej ulicy, jak Paklerski. Otóż woźnica karawanu pogrzebowego otrzymał wskazówkę udania się przed

dom sędziego przy odnośnej ulicy, a ponieważ słyszał, że Kozak często chorował, zajechał przed jego pomieszkanie. Zdziwiony sędzia wyszedł i sprostował pomyłkę woźnicy. „Zawcześnieś się tu zatrzymał, po mnie przyjedziesz trochę później – rzekł sędzia Kozak – teraz jedź o kilka domów dalej". Około dwa lata później zajechał ten sam karawan także po Kozaka. Paklerski umarł na tyfus a w miesiąc po jego śmierci przyszła na świat córeczka. Na pamięć o moim przyjacielu, jeździłem w roku 1906 kilka razy na jego grób i odwiedzałem pozostałą rodzinę.

Dalszym sędzią, który za moich czasów przybył do Sołotwiny był Antoni Koprowski. Pierwotnie poświęcił się zawodowi adwokackiemu, później jednak przeniósł się do sądownictwa, był auskultantem w Samborze (kilka lat przedemną), sędzią w Złotym Potoku i Ottynii, wreszcie starszym sędzią w Sołotwinie. Bezżenny, rusin, wzrostu niewielkiego, szatyn, był sędzią zdolnym, bardzo pracowitym, dbałym o lud, cechowała go jednak jakaś gorączkowa niecierpliwość, stąd często wybuchał przy jakiejkolwiek opozycji stron. Często przesiadywał w Kasynie, lubiał gwarne towarzystwo, chętnie chodził na wycieczki a ze szczególną przyjemnością i z humorem opowiadał czasy swojej jednorocznej służby wojskowej przy intendanturze we Wiedniu. W życiu towarzyskiem stosował zasadę: albo pij, albo się ze mną bij! A więc z kim żył zażyle, zdolny był do poświęceń dla niego, ale kogo nie lubiał, z namiętnością go zwalczał. Po moim ~~od~~ odjeździe ze

Sołotwiny ożenił się z drugą panną Sękowską, był radcą sądowym w Samborze, zaś za czasów polskich sędzią sądu okręgowego w Stanisławowie a po przejściu na emeryturę prowadził adwokaturę w Sołotwinie.

Po odejściu Kałużniackiego przybył na jego miejsce młodziutki sędzia Gamota, lwowianin, żonaty z panną Jankiewiczówną, także lwowianką. Bliżej o nim niczego podać nie mogę, bo zbyt krótko razem byliśmy. Pamiętam tylko, że grał pięknie na fortepianie, a kiedy na kilka tygodni przed moim odjazdem ze Sołotwiny kupiłem amerykańskie fisharmonjum, raz wobec mnie i kolegów Koprowskiego i Paklerskiego urządził nam przejmującą grą na tym instrumencie prawdziwą biesiadę.

Tacy byli za moich czasów tj. w latach 1899 – 1902 sędziowie w Sołotwinie. Byli to ludzie stojący na wyżynie swego zadania, o charakterze czystym, dużej pracowitości i odpowiednim poczuciu obowiązku.

Ponadto miał sąd sołotwiński cały zastęp urzędników pomocniczych. Wspomniałem już o kanceliście Ferdynandzie Kasslerze. Przedtem był on oficerem, z nieznanych przyczyn (możliwie z powodu długów) ustąpił z wojska, ożenił się, miał córeczkę, którą bardzo kochał, człowiek inteligentny, miły, honorowy, jednak niestety od czasu do czasu zaglądał do flaszeczki, a mając słabą głowę, rychło mu po takiem zaglądnięciu język i nogi odmawiały posłuszeństwa. Kto go bliżej znał, nie mógł o nim wydać dokładnego sądu, bo Kassler trzeźwy a Kassler po kilku kieliszkach, to dwie całkiem różne osoby.

Były naczelnik sądu Sołotwińskiego Ferdynand Tomek opisał mi oryginalne zajście i niemiłe położenie, w jakie go Kassler wprawił. Oto do zajazdu Rojzy – pisze Tomek – przyjechał raz ze Stanisławowa adwokat późno wieczorem, a był w Sołotwinie po raz pierwszy. Oszołomiło go towarzystwo, którego nie znał, przedstawiono się nawzajem a pijany Ferdzio Kassler przedstawił się jako Ferdynand Tomek, naczelnik sądu. Siedział więc adwokat w towarzystwie rzekomego naczelnika. W kilka dni później spotkał adwokat pewną znajomą Tomkowi panię i opowiadał jej, że był w Sołotwinie, ale jeszcze coś podobnego nie zdarzyło mu się widzieć, jak to, czego był naocznym świadkiem: naczelnik sądu zalany siedział w zajeździe. Na to owa pani zwróciła uwagę adwokata, iż to niemożliwe, bo przecież zna Tomka i wie, że nie używa alkoholu. Na takie to niesmaczne pomysły wpadał Kassler po pijanemu. W roku 1900 przeniesiono go przymusowo w stan spoczynku, przesiedlił się do Stanisławowa, pracował tam w kancelarji notarjalnej najpierw Zdrassila, potem Studzińskiego, podobno tam życia dokonał.

Oficjał Jerzy Kobzej, rodowity mieszczanin sołotwiński, rusin, żonaty z nauczycielką polką. Bardzo pracowity i zacny człowiek, miał syna i córkę, syna wychował w ruskim obrządku, do jakiego sam należał, córkę w łacińskim, bo żona była polką. Gdy prowadziłem w sądzie oddział opiekuńczy i spadkowy, Kobzej pełnił wtedy przy mnie obowiązki sekretarza, będąc wzorem sumiennego pracownika. Umarł przedwcześnie po moim odjeździe ze Sołotwiny.

Oficjał Stein, również żonaty, dość w nim zostało niemieckiej natury, chociaż był spolszczony, o średniej gorliwości w służbie, miał poruczony sekretarjat karny. Namiętnie lubiał polować na ptactwo i niejedną noc przeleżał w Sykle na Zarzeczu, nim jakiego cietrzenia upolował. Został przeniesiony do Lwowa. Mieszkał na Bełejówce.

Kancelista Michał Łapka, rusin, bezżenny, silnie otyły, zdolny i szybki pracownik, prowadził hipotekę. Był codziennym gościem kasyna, lecz umiarkowanym w zabawie. Znany był z kartu Kąpielowego, kąpał się często i do bardzo późnej jesieni a czynił to, aby zapobiedz tyciu. Śpiewał tenorem. Przedtem był w sądzie delatyńskim, ze Sołotwiny odszedł do Szczerca, potem do Lwowa. Mieszkał w rynku (plan p. 47.)

Oficjał Gwoździ przybył do Sołotwiny w r. 1900 był szorstkim w obejściu, dokuczał niższemu personalowi, nietaktowny i nielubiany.

Kancelista Szymon Dozorców był najoryginalniejszą postacią wśród urzędników. Jestto tensam Dozorców, o którym jako nauczyciela wspomniałem w rozdziale o Bochni. Nie mając widoków na awans w szkolnictwie dla braku egzaminu nauczycielskiego, objął Dozorców posadę kancelisty sądowego, skromną i nie odpowiadającą jego wykształceniu, ale chwycił się tego w skrajnej konieczności w nadziei uzyskania z czasem lepszego stopnia. Dozorców miał wtedy lat około 54, głowę miał dobrze przyprószoną szronem, a jego czarną, spiczastą brodę silnie przeplotły srebrne nici. Rodzinę zostawił w Jarosławiu, do Sołotwiny przybył sam i tu przedewszystkiem poszedł do

cerkwi przy ulicy manasterczańskiej, zaprzysiągł wstrzymać się od napojów alkoholowych, wynajął małą izdebkę w bocznej uliczce na przedmieściu manasterczańskiem (plan p. 34., obok oficjała Kobzeja, który mieszkał w domu własnym plan p. 35) u pewnej mieszczanki, żył bardzo skromnie a główną część poborów posyłał rodzinie do Jarosławia. Czuł się małym i zwykle smutny chodził i zamyślony. Często, bądź u mnie w domu, bądź na spacerach żalił się Dozorców na swój los, narzekał że porzucił szkołę, a pamiętam jak mówił „jabym te progi całował, gdybym wrócił jeszcze do gimnazjum." Pocieszałem go i podtrzymywałem na duchu, że z biegiem czasu nastąpi polepszenie bytu i połączy się z rodziną. Szczególnie dokuczał mu oficjał Gwoździ, czując antagonizm do człowieka o wyższym intellekcie. Lubili jednak Dozorcowa wszyscy sędziowie i traktowali wyróżniająco. Gdy w r. 1901 przyjechał do nas prezydent Sahanek ze Stanisławowa na lustracyę sądu, przystąpił do biurka Dozorcowa i zapytał: jakże się panu powodzi, panie profesorze?, na co odrzekł Dozorców: ha – mam lat 54 i jestem dopiero najmłodszym Kancelistą! Podał mu Sahanek rękę i pocieszył, że tak długo nie będzie. Lecz niestety – los zrządził zgoła inaczej. Niebawem Dozorców został przeniesiony na własną prośbę ~~został przeniesiony~~ do Jarosławia, gdzie naczelnikiem sądu był jego kolega szkolny Twerdochleb, lecz na nowem miejscu służbowem może w dwa lub trzy miesiące po odjeździe ze Sołotwiny zmarł na chorobę serca, wywołaną

nawrotem do dawnego nałogu.

Z pośród licznego personalu pisarskiego w owczesnym sądzie sołotwińskim, pozostało mi tylko kilku w pamięci. Na czoło wysuwa się Jan Czarnecki; staruszek o białej głowie i takiejże brodzie, czerstwy na obliczu, cichutki, uprzejmy, pracowity, o formach poprawnych, pochodził z dobrej rodziny, a nie wiem jakie koleje życia zepchnęły go na tak skromniutką posadę pisarza sądowego. Miał jakieś zawody życiowe, że żonaty nie żył, ale nikt nie znał przeszłości tego człowieka. Wysłużył długie lata w sądzie i wreszcie w drodze łaski przyznał mu mały datek emerytalny, bo pisarze podówczas nie mieli prawa do emerytury. Czarnecki uczył gry na fortepianie, grywał na organach, a w kościele, gdy się opróżniła posada tak zwanego funkcjonarjusza prokuratorji przy sądzie powiatowym w Sołotwinie, wystarał się Smolnicki, że ją nadano Czarneckiemu. Marniutka za to była płaca, ale dla samotnego emeryta i to było dobre. Gdym kupił fisharmonjum, Czarnecki uczył mnie gry 3 godziny tygodniowo, za co mu płaciłem 6 zł. miesięcznie. Miał tutaj dom własny niedaleko rynku (plan p. 37.) w okolicy drugiej cerkwi. Po moim wyjeździe ze Sołotwiny przysyłał mi Czarnecki zawsze noworoczne życzenia do Halicza, Kołomyi i Czortkowa aż do wybuchu wojny światowej 1914. Wiem, że żył jeszcze w lipcu 1916, w czasie znanej ofenzywy Brusiłowa chciał emigrować ze Sołotwiny, ale mu odradzono, pozostał na miejscu, gdzie też niebawem potem zmarł.

Pisarz Lerch, garbaty, syn urzędnika salinar-

nego, miał przystojną żonę, kilkoro dzieci i energiczną teściową. Pił na umór ku rozpaczy swej żony, która udawała się bezskutecznie do sądu, by nie mężowi, lecz jej dawać jego pensję, bo mąż przepija. Obie kobiety zarabiały szyciem, gdyż inaczej poginęłyby z głodu. Pewnego poranka przyszedł Lerch do służby podrapany na twarzy. Sędzia Koprowski rozśmieszony zapytał, co to znaczy, na co Lerch odrzekł żałośnie: „o! widzi pan sędzia, tak mię moja kochana teściowa oporządziła!" Cała rodzina mieszkała w domu Czerneckiego. Lerch niebawem po moim wyjeździe ze Sołotwiny umarł.

Pisarz Bernat, przyjechał z Grzymałowa ze naczelnikiem Smolnickim. Młody chłopak, inteligentny, rozumny, pracowity, był jedynakiem zamożnego mieszczanina grzymałowskiego. Gdy byłem zastępcą prokuratora w Kołomyi, zgłosił się pewnego dnia do mnie Bernat, przeniesiony tu ze Sołotwiny. Narzekał jednakże na służbę sądową w Kołomyi, bo ówczesny naczelnik sądu kołomyjskiego Wilecki, nie należał do ludzi wyrozumiałych. Bernat czuł się chorym na serce i często użalał się na to cierpienie. Ożenił się z jakąś młodziutką panienką a następnie powrócił do Grzymałowa, nie wiem, czy do sądu, czy też na gospodarstwo ojczyste.

Ze służby sądowej także tylko kilka postaci zachowałem w pamięci. Wiem, że woźnym a zarazem klucz-

nikiem był Saluk. Rosin, około 50 lat liczący, żonaty, miał średnią rodzinę a bardzo wiele obowiązków w sądzie i więzieniu, stąd dość był szukany i każdy do niego miał jakąś pretensję. Saluk był winien, że od okna wieje, Saluk winien że piec niedość grzeje, że wiatr postrącał edykty ze ściany, że strony robią zbyt wielki harmider na dziedzińcu sądowym itd. itd. — o to wszystko ~~strofał~~ strofował Gwoździ ciągle Saluka. Saluk pochodził z Uhnowa i gdy tam zawakowała posada woźnego, przeniósł się do rodzinnego miasta.

Drugi woźny, który mi pozostał w pamięci, to był Eljasz Fiscus. Niski, łysy, z cieniutkim głosem, o płowym wąsiku, żonaty, wyznania mojżeszowego, był wysłużonym podoficerem. Pełnił służbę przeraźnie po wsiach. Gdzieś około r. 1901 poczęły dochodzić słuchy, że ~~Fiscus~~ Fiscus cierpi na napady miłosne, które tak się objawiały, że gdy szedł ulicą lub drogą, a spotkał ładniejszą wieśniaczkę, obejmował ją i całował. Nikogo to na razie zbytnio nie dziwiło, wszak znaną jest rzeczą, że górska przyroda wzmaga polot myśli i potęgę miłości, zresztą całowane kobiety niezbyt się o to gniewały. Byłby Fiscus może jeszcze długo je całował, gdyby nie wypadek następujący. Oto poszedł on do gminy Markowy i tam wykonał pewne akty egzekucyjne zupełnie bezprawnie, tak że sędzia egzekucyjny Koprowski nie tylko je uchylił ale także wystąpił przeciw Fiscusowi i zamknął go w areszcie. Niebawem jednak pokazała się u niego choroba umysłowa, rodzina wywiozła go do Lwowa do Stanisławowa, gdzie Fiscus zmarł.

Przed mojem jeszcze przybyciem do Sołotwiny był jednym z woźnych sądowych Dobrzyński, jednak usunięto go ze służby za jakieś niedokładności. Był on żonatym i miał dorosłą córkę. Miano jednak następnie wzgląd na jego dłuzgoletnią służbę, na jego wiek podeszły i rodzinę, przyjęto go do sądu w charakterze posłańca tj: w niższym stopniu, bez praw do emerytury. Chodził więc Dobrzyński po wsiach i roznosił wezwania. Byłato znamienna postać w Sołotwinie. Liczył lat ponad 60, włosy i brodę rudawo siwe, energia w ruchach, święty rezon w mowie, bystry i wzutki, nie gardził wódeczką, byleby mocną, miał się ponad poziom mieszczan i kolegów zawodowych, bo był lwowskiem dzieckiem, moc świata zwiedził, nie z jednego pieca chleb jadał. „Ho-ho, łaskawy panie – mawiał Dobrzyński – jak do Lwowa w roku XX miał cesarz przyjechać, robiliśmy bramę na Grodeckiem. Kto wtedy najlepsze festony porobił? Dobrzyński! Kto najwyżej je na drabinie udźwignął? Dobrzyński! Kto je najwyżej na maszcie uwiązał? nie kto inny jak ten oto Dobrzyński – a tu mi w takiej Sołotwinie lada pisarczyk w oczy dmie, że nie potrafię na wsi wyszukać jakiegoś tam hucuła!" W gruncie rzeczy był Dobrzyński lubiany jako miły gaduła i rzeczny posłaniec. Szczególnie dobrze czuł się Dobrzyński w niedzielę, specjalnością jego był śpiew kościelny, toteż śpiewał na chórze i wielbił Pana jak umiał najlepiej. Żaden pogrzeb łaciński nie odbył się bez Dobrzyńskiego. Wywodził „castrum doloris" rzewnie, a gdy przy wynosze=

nia orłok z Kościoła zaśpiewał donośnie hymn: „In paradisum deducant te angeli", odpowiadały mu echem stare, odwieczne dęby, szumiące wokół kościoła a starszy brat kościelny Starzyk nieraz mu zazdrościł tej umiejętności rzeczy duchownych. Nie potrzebuję dodawać, że na stypie pogrzebowej Dobrzyński pierwszy miał głos i nie dawał się zbyt długo prosić o spożywanie poczęstunku. Około r. 1901 zaniemógł Dobrzyński i wnet życie zakończył. Byłem na jego pogrzebie, żona i córka gorzko opłakiwały stratę, ks. proboszcz Sadlejski odprawił pogrzeb, ale był to pierwszy od kilku lat pogrzeb smutny, bez dźwięku, mdło wypadły pieśni żałobne, wszakże inaczej być nie mogło, skoro sam śpiewak leżał w trumnie. Pochowano Dobrzyńskiego nieopodal bramy cmentarzyka nad Bystrzycą po lewej stronie, a grób jego był tak niezmiernie płytki, że trumna była małoco niżej od poziomu ziemi. W kilka tygodni po pogrzebie gruchnęła sensacja po Sołotwinie. Oto przyjechała jakaś zamaszysta kobieta, przekupka ze Lwowa po spadek i pensję wdowią do Sołotwiny, wykazując się, że jest żoną Dobrzyńskiego, a nie kobieta, z którą on tak długie lata żył w najlepszej zgodzie i od której miał córkę. Naturalnie nadarmo się trudziła, bo Dobrzyński żadnego majątku nie posiadał, a z powodu utraty charakteru woźnego, nie miała wdowa prawa do pensji. Rodzinie pozostałej nic się nie należało.

Obok władzy sądowej był w Sołotwinie notarjat. Za mojej bytności w Sołotwinie był dłuższy czas notarjuszem Adam Studziński, polak, lat około 48 liczący, żonaty z cór-

ką konsula rosyjskiego Eberharda w Brodach. Studziński lubił gwarne towarzystwo, siedział codziennie w kasynie, sam opowiadał swoje dawne dzieje i słuchał chętnie opowiadania innych, lubiał napić się wieczorem kilka szklaneczek piwa, w biurze notarjalnem wiele wyręczał się swoim zastępcą Gotogórskim, wobec sądu zastępował strony sam. Pani Studzińska była piękną kobietą, nauczyła się bardzo dobrze po polsku, była przeważnie domatorką i prócz w niedzielę na mszy, rzadko się ją poza domem widywało. Studzińscy mieli jednego syna Adama, przystojnego, jak matka młodzieńca, który gimnazjum przebył u Jezuitów w Chyrowie. Nim został notarjuszem był Studziński adjunktem sądowym w Brodach i Krakowem. Za moich czasów przeniósł się z notarjatu w Sołotwinie na notarjat w Bursztynie, stamtąd do Złoczowa, wreszcie stamtąd do Stanisławowa. Tu dobrze mu się wiodło, lecz majątek stracił wskutek następujących zajść. W Stanisławowie wybrano go prezesem rady nadzorczej jednej z miejscowych instytucji bankowych, Studziński złożył w niej swą gotówkę, będącą dorobkiem jego życia, tymczasem instytucja ta zbankrutowała, Studziński stracił cały majątek, a nadto miał jeszcze dochodzenia sądowe o występek bankructwa. Zmartwiony i znękany umarł ze zgryzoty. Syn jedynak po maturze poszedł na technikę, jednak nie zdawał egzaminów, porzucił więc studja, wstąpił do służby kolejowej jako urzędnik ruchu w Krakowie, gdzie był kasjerem na dworcu, wdowa zaś po notarjuszu zamieszkała również w Krakowie, popadła jednak w wielki niedostatek.

W kancelarji notarjalnej Studzińskiego w Sołotwinie był kandydatem Roman Gołogórski, który zaraz po ukończeniu praw do tej kancelarji na praktykę wstąpił. Bezżenny, świadczył wiele swej osieroconej rodzinie, bo rodzice wcześnie pomarli, skromny, pracowity, poprzestający na małem, dźwigał Gołogórski niemal cały ciężar kancelarji notarjalnej na swoich barkach. Razem ze Studzińskim odjechał Gołogórski do Bursztyna, potem do Złoczowa, skąd sam został notarjuszem w Mikulińcach. Raz odwiedził mnie w Czortkowie, wyglądał jakby patrjarcha jaki, bo zapuścił potężną brodę po pas. Jako notarjusz rozwinął pracę w kierunku humanitarnym i zyskał sobie dużą popularność. Następnie przeniósł się do Tarnopola, tam jednak niedługo urzędował, umarł bowiem niemal nagle na chorobę serca.

Pisząc o notarjuszach wspomnę jeszcze o jednym notarjuszu w Sołotwinie, który jednak już nie był notarjuszem. Często się widywało w tem mieście wysoką postać człowieka do lat 60 dochodzącego, z brodą mocno siwiejącą, w starym długim płaszczu z peleryną po pas, chodził pomału, jakby schorzały, wzrok miał smutny, wyraz oblicza przygnębiony i zrezygnowany. Mieszkał w jakiejś izdebce żydowskiej zapomniany i zubożały. Nazywał się Janicki, był niegdyś notarjuszem (możliwie w Kulikowie), żył wtedy na szeroką skalę, wesoło, szeroko, towarzysko – lecz za naruszenie funduszów ~~dep~~ depozytowych postradał stanowisko, popadł w niedostatek, a gdy notarjusz Studziński otrzymał notarjat w Sołotwinie i dowiedział się przez kogoś o Janickim, poszukał go.

cym zajęcia, przyjął go do swej Kancelarji i dał pracę. Janicki pracował tu jakiś czas, lecz następnie się rozpił, miejsce to stracił, odtąd żył w nędzy, zarabiając marny grosz jako pisarz pokątny. Nieomal do końca życia nosił przy sobie fotografię prześlicznej kobiety, wpatrywał się w nię, a zaufańszym pokazywał mówiąc: dla tej kobiety cierpiałem całe życie i cierpię dotąd. Była to znana w całym kraju piękność Aurelja 1° Mieszwiczowa 2° Weiglowa. Uwielbiał ją z całej duszy w dniach szczęścia i niedoli, w latach młodości i w starczym wieku. Około r. 1901/2. opuszczony przez wszystkich, zachorował ciężko, żydzi go w chorobie karmili, wreszcie zmarł, pochowany naszym składkowym funduszem. Miał ten człowiek złamane i gorzkie życie.

Po notarjuszu Studzińskim uzyskał w Sołotwinie notarjat Józef Friedman, z Tarnopola, wyznania mojżeszowego, żonaty, ojciec trojga dzieci. Osobiście miły, w konferowaniu z ludem ogromnie przystępny, w urzędzie swoim sumienny. Golił zarost zupełnie, co w owych czasach było jeszcze ogromną rzadkością, bo tylko księża tak się golili, wielu więc chłopów ze wsi brało go za księdza i jako takiego po chrześcijańsku pozdrawiali. Na samym początku swego urzędowania zamieszkał Friedman w tym domu, w którym poprzednio mieszkał notarjusz Studziński (plan p. 6.). Gdy raz drzwi domu były zamknięte i Friedman pukał, by mu je otwarto, jakaś kobieta, biorąc go za księdza rzekła po rusku: jegomość nie pukajcie na darmo, tu już notarjusz nie mieszka, już się wyprowadził! Zaraz w pierwszym roku jego urzędo-

wania (1901) pojechaliśmy na wycieczkę do Skitu maniawskiego w gronie trzech osób, a to oboje Friedmanowie i ja. Zabrali ze sobą spory koszyczek z posiłkiem, lecz gdyśmy przyjechali na krawędź lasu pod klasztorem, nawinął się chłop, znany Friedmanowi i on go poprosił, by mu się postarał o kwaśne mleko, którego Friedman zapragnął. Niebawem chłopek przyniósł spory garczek mleka jak kreda gęstego, Friedman ~~usiadł~~ siadł w cieniu jodeł i smacznie zjadł niemal całą zawartość garczka, my zaś z panią Friedmanową korzystaliśmy tylko ze zapasów koszyczka. Ruszyliśmy w głąb Skitu, który dla Friedmanów był dotąd nieznany, oprowadzałem ich wszędzie i wyjaśniałem, o ile umiałem cokolwiek o ruinach klasztoru powiedzieć; poczem zadowoleni powróciliśmy do Sołotwiny. W jakiś tydzień potem Friedman zachorował na tyfus. Przypisywał to temu mleku, bo w Maniawie istotnie wtedy tyfus panował. Przechorował się ciężko, komplikacje miał dotkliwe (wrzody) i na całe dalsze życie choroba ta na nim piętno wywarła. Gdybym i ja był jadł to mleko, do czego mię Friedman z grzeczności zachęcał, byłbym niezawodnie dziś spoczywał na smutnym cmentarzyku sołotwińskim obok szumiącej Bystrzycy. Po moim odjeździe ze Sołotwiny zbudował sobie Friedman dom koło sądu (plan p. 24), dzieci jego przyjęły chrzest, on długie lata na miejscu pozostał, bo się, do Sołotwiny przywiązał.

Adwokata Sołotwina nie miała żadnego, dojeżdżali jednak ze Stanisławowa, a wtedy strona, która go przywiozła sądziła, że już temsamem musi wygrać proces. Często jednak

to zawodziło, chłopek w swym prostym rozumie nie mógł pojąć, że i adwokata miał i przegrał, stąd budziło się w jego podejrzliwym umyśle przypuszczenie, że to pewnie przeciwnik procesowy ~~prze~~ podkupił tego adwokata i ten umyślnie źle sprawę pokierował.

Jedynym lekarzem w Sołotwinie był dr. Józef Seller, wyznania mojżeszowego, liczący wtedy lat około 30. Pochodził ze Lwowa, medycynę kończył we Wiedniu, ożenił się z córką radcy sądowego Sokala w Stanisławowie i osiadł w Sołotwinie. Drobny człowieczek o małej a miłej twarzy, w okularach o złotej oprawie, żwawy, rozumny, zawsze czynny i uczynny. Był lekarzem dobrym, djagnozę stawiał trafną, interesował się biegiem i postępem wiedzy lekarskiej, czytując wychodzące natenczas czasopisma fachowe. Bezdzietny, cały rok oszczędził i żył skromnie, za to na ferje wyjeżdżał najchętniej do Karlsbadu. W r. 1902 i ja z nim pojechałem w taką podróż wakacyjną. Ze Sołotwiny przez Kraków, Wrocław udaliśmy się do Berlina, stamtąd przez Drezno do Karlsbadu, stąd po trzech tygodniach leczenia do Wiednia, wreszcie po zwiedzeniu tego miasta do domu. Wszędzie był mi Seller przewodnikiem, uczył jak żyć tanio a widzieć wiele, okazał się wtedy człowiekiem bardzo praktycznym a wysoce ~~kul~~ kulturalnym. Muzyka była istotą jego życia, a był jej doskonałym znawcą i wielbicielem. W Sołotwinie, przy pomocy teścia kupił dom (plan p. 42), w którym poprzednio mieszkał Kałużniacki, jednak ze żoną się rozwiódł a ożenił się ponownie z kobietą młodszą. W roku 1913 wybrano dr. Sellera

burmistrzem miasta Sołotwiny, poczem zabrał się on gorliwie do pracy nad uporządkowaniem miasta. Pisał mi o tem on sam: „czego w krótkim czasie dokonałem, przechodzi ludzką fantazję. Postanowiłem zamienić Sołotwinę na zachodnio europejskie miasto. Wszystkie ulice wybrukowano lub wyszutrowano, prawie wszędzie porprawiłem asfaltowe chodniki, dziesięć dużych lamp łukowych oświetlało co wieczór miasto, zakupiłem budynek propinacji w rynku i chciałem budować dwupiętrowy ratusz, jednak wybuchła wojna światowa i zniszczyła rozpoczęte dzieło. Dnia 30 sierpnia 1914 musiałem ostatnim pociągiem przez Körösmözö odjechać do Wiednia." Podczas tej wojny Sołotwina legła w gruzy, a gdy dr. Seller powrócił z wojska na zgliszcza, nie miał już ani pieniędzy ani wytrwałości do odbudowy, odjechał więc, osiadł we Wiedniu (V. Wiedner-Hauptstrasse 106.), gdzie mu się ~~a~~ jako lekarzowi bardzo dobrze powodziło.

*

Bodaj czy nie najznamienitszemi postaciami w ówczesnej Sołotwinie byli obaj katoliccy proboszczowie, tj. łaciński ks. Sadlejski i unicki ks. Głowacki, oznaczani zwykle ogólnym wyrazem fratres.

Parafia łacińska w Sołotwinie była bardzo ubożuchna, gdy się kiedy opróżniła, prawie że nie było na nią kandydatów. Za polskich przedrozbiorowych czasów nie było jeszcze tak źle, bo proboszcz łaciński pobierał pensję i dziesię-

cinę. Według protokołu lustracji dóbr państwowych z r. 1664 płacono proboszczowi rocznie 400 zł. pol. (przedrozbior.) ~~rocznie~~, z dziesięciny zaś miał w trzech latach kóp 126, co równało się wartości 256 zł. czyli na rok 85 zł. Kościelny pobierał 29 zł. 10 gr. rocznie. Po rozbiorach Polski działo się proboszczowi łacińskiemu gorzej. Miał do użytku dom z ogrodem i kilka morgów ziemi. Jura stolae prawie nic nie niosły, stąd przewiewnie było na probostwie. Parafia łacińska w Sołotwinie sięgała conajmniej roku 1666. Jak było poprzednio, nie wiem, zdaje się, musiała Sołotwina należeć albo do parafii w Nadwórnie, albo w Bohorodczanach. Wypytywałem na miejscu o dawnych proboszczach sołotwińskich, ale zamierzchłe to czasy, ubóstwo parafii i odległość od świata nie nęciły tu duchownych, szli tylko ci na tutejsze probostwo, którzy na bardzo małem poprzestawali, a chcieli spokojnego dokonać żywota, albo też tacy proboszczowie, którzy probostwo tutejsze uważali za szczebel do innego intratniejszego. Nie zdołałem więc odnaleźć ani sprawdzić imion proboszczów sołotwińskich od początku istnienia tej parafii, a tem mniej określić koleji ich życia. Dopiero od r. 1814 dają się ustalić pracownicy duchowni przy tutejszym kościółku.

Otóż w r. 1814 był proboszczem ks. Józef Wronczewski, ur. 1758 ord. 1781, a pełnił tu obowiązki duszpasterskie długie lata i musiał być kapłanem szanownym, skoro powierzono mu godność dziekana. Na starsze lata, od r. 1832 miał wikarego w osobie ks. Ryszarda Gwiazdowskiego (ur. 1805

ord. 1831). Zdaje się, że ks. proboszcz Wronczewski umarł w r. 1833 a więc w 75 tym roku życia, bo w r. 1834 widnieje jako administrator ks. Ignacy Ignatowicz (ur. 1798. ord. 1825). W roku 1836 został proboszczem sołotwińskim ks. Jan Kolbay (ur. 1804. ord. 1828), a po nim od r. 1844 był proboszczem ks. Ignacy Jaksch (ur. 1803 ord. 1832). Koleje życia tych proboszczów nie są nam znane. W r. 1849 administratorem parafii był dominikanin O. Sylwester Gruszecki (ur. 1821 ord. 1847.) W r. 1852 proboszczem był ks. Feliks Tomaszewski, ur. 1807 ord. 1833, a gdy się przeniósł na probostwo do Liszkowiec, został w r. 1853 proboszczem w Sołotwinie ks. Hipolit Winnicki (ur. 1807 ord. 1830). Wiemy o nim, że od roku 1834 był wikarym w Kopyczyńcach, potem także w innych miejscowościach, aż wreszcie osiadł jako proboszcz w Sołotwinie. Tenże właśnie ks. Winnicki jest najdawniejszym z proboszczów, o którym przechowały się niektóre szczegóły z jego życia. Był synem unickiego księdza, ale wyświęcony w obrządku ~~unickim~~ łacińskim. Bardzo oryginalny człowiek, filozof życiowy, miłośnik gór. Mając tak nikłą parafię, nie miał w niej, prócz niedziel, żadnych prawie czynności, toteż brał plecak na ramiona, góralskie kierpce na nogi a kij w rękę i wędrował po Karpatach, idąc od proboszcza do proboszcza, hen aż na Węgry. W niedzielę znów się zjawiał w Sołotwinie, aby odprawić przepisane nabożeństwo. Dożył późnego wieku, cieszył się szacunkiem z powodu swego szlachetnego charakteru, przy końcu zaś życia, kiedy już nie mógł odbywać pieszych podróży, przesiadywał w domu,

rozmyślał o znikomości rzeczy ziemskich, czuł pustkę koło siebie i narzekał na celibat. Umarł około r. 1877 w Sołotwinie, pochowany na tamtejszym cmentarzu, ale żaden napis nie wskazywał miejsca jego wiecznego spoczynku. Po śmierci ks. Winnickiego był w r. 1878 administratorem parafii sołotwińskiej ks. Józef Wojnarowicz (ur. 1848 ord. 1875) poprzednio wikary w Kotzmaniu i Horodence, potem otrzymał probostwo sołotwińskie ks. Michał Dydek (ur. 1827 ord. 1855), dawniejszy kapelan (ekspozyt) w Netdzierzu. Był to mężczyzna rosły, silnie zbudowany, o grubych rysach, dobrodusznej twarzy, gospodarstwo prowadziła mu Konińszecka. Z czasem zarobił się, zagospodarował, miał krowy, konie i dużo drobiu. Cierpiał na astmę, toteż jeździł często do Lubieńca, aby oddychać leśnem powietrzem. Gdy nadleśnik sądu Białkowski był kawalerem, jadał u niego. Z nadleśnikiem Tomkiem także łączyła go zażyłość. Opowiadał ks. Dydek, jakie z Białkowskim dawali koncerty w jedzeniu. Tak na obiad jedli we dwójkę indyka albo prosię pieczone itp. a polewało się to winkiem lub miodem, toteż na starość przyszła astma. Leczył go dr. Feuerstein, lekarz przy zarządzie dóbr sołotwińskich (później powiatowy lekarz, na emeryturze w Krakowie zamieszkały). Lekarz ten codziennie chorego odwiedzał. Pewnego dnia sprawdził u pacjenta bardzo zły stan, Dydek zapytał lekarza, czy może zjeść gotowane pierogi ze serem i śmietaną, które bardzo lubiał, na co lekarz odrzekł, że może, jeżeli ma na to szczególny apetyt. Zdziwił się

Dydek z tak łatwego zezwolenia i wyrzekł „to już aż tak ze mną źle?" Uspokajał go lekarz z obowiązku, bez przypuszczał, że to jego ostatni objad. I rzeczywiście, ks. Dydek ~~zjadł~~ zjadł swój przysmak, po obiedzie zasnął i już się nie obudził. Miał więc śmierć lekką. ~~Było to~~ zmarł dnia 9 grudnia 1891. Był to kapłan zacny, powszechnie lubiany, dobry kaznodzieja, człowiek światły i oczytany. Dodam, że gdy umarł, a ubogi kościół miał tylko kilka ornatów, nie chciał tzw. starszy brat Starzyk dać ornatu do ubrania zwłok według rytuału. Dopiero, gdy ruski proboszcz ks. Głowacki zagroził, że w razie dalszego sprzeciwu da ornat grecki z cerkwi, Starzyk ustąpił i dał rzeczywiście najstarszy ornat do grobu.

Po śmierci ks. Dydeka był administratorem parafii łacińskiej w Sołotwinie ks. Donat Sadlejski, przeor Dominikanów z Bohorodczan, poczem w r. 1893 został proboszczem nieszczęśliwy ks. Jan Banach, (ur. w r. 1850 ord. 1881.), dawniejszy ekspozyt w Słobódce, a następnie administrator parafii w Chomiakówce. Radca Tomek, który go osobiście znał, pisze o nim, że to był człowiek z gruntu dobry, uprzejmy, jako towarzysz wesoły i dowcipny, za słaby jednak, aby się oparł pokusom znakomitego piwa. Zdolny ten człowiek popadał w coraz większy nałóg, raz omal tego życiem nie przepłacił, bo późną jesienią (w listopadzie), w nocy upadł do rowu z wodą, i tylko przypadkowo przechodzący tamtędy zarządca dóbr Grögler,

usłyszał słabe jęki, zbliżył się do tego miejsca, poznał proboszcza, a że Grögler był silny jak atleta, wziął go na barki, zaniósł do domu, przywołał lekarza i ledwie ks. Banacha uratowali. Konsystorz bezzwłocznie odwołał tego proboszcza ze Sołotwiny, a to przybył ksiądz ze ~~Sołotwiny~~ Lwowa, zabrał go i następnie umieszczono go w Zakładzie wodoleczniczym we Lwowie (w Kisielce) celem leczenia. Ks. Banach od szeregu miesięcy nie wpisywał do metryk ani urodzonych ani umarłych, notował to na karteczkach i chował do kamizelki. Starosta bohorodczański Michel potem żartobliwie mówił: Szczęście, że u ks. Banacha nie zamiatali pokoju, w ten sposób utrzymały się karteczki i można było uzupełnić metryki. Usługiwała mu młoda, przystojna, wszechwładna na probostwie kobieta, znana w Sołotwinie pod imieniem „bosa Hanka." Podleczono go i był jeszcze księdzem (wikarym w Trembowli).

Gdy ks. Banach zrezygnował z probostwa w r. 1897, przyszedł jako administrator do Sołotwiny ks. Tomasz Horeczy (ur. 1848 ord. 1874) poprzednio vikary w Petlikowcach, Chocimierzu i Nadwórnie), nie długo jednak trwał wakans, bo w r. 1898 został proboszczem ks. Franciszek Donat Sadlejski (ur. 1840 ord. 1866), którego ja w Sołotwinie zastałem i zostawiłem. Średniego wzrostu, brunet, włosy gęste, czarne, mimo wieku nie siwiejące, twarz dobrotliwa, uśmiechnięta, zmarszczona i ascetyczna, ubogo zwykle ubrany, mówił powoli, z namysłem, krótkiemi zdaniami, gestykulując przytem wskazującym palcem prawej ręki, zresztą pełen spokoju i równowagi.

Przebieg dziejów jego żywota, przeważnie na podstawie jego własnego opowiadania był następujący. Pochodził z Lubelszczyzny, ze skromnej rodziny, gdzie do szkół chodził, nie wiem, dość że wstąpił do nowicjatu OO. Dominikanów, lecz gdy wybuchło polskie powstanie w r. 1863, opuścił z kilku kolegami nowicjat dominikański i zaciągnął się w szeregi powstańcze. Walczył pod generałem Jeziorańskim, biorąc udział w kilku potyczkach. Opowiadał sam, jak raz postawiono go w zimie w nocy na czatach w samotnym lesie, podczas kiedy konne oddziały Moskali uwijały się po okolicy i zachodziło niebezpieczeństwo napadu na kryjówkę powstańczą w lesie. Zapał miał w duszy, lecz młodzieńca strach przejmował niemały, bo do takiej wyczekującej samotności nie był przyzwyczajony. Najmniejsze poruszenie gałęzi, lub opadnięcie śniegu z drzewa lub inny szelest przejmował go mrowiem od stóp do głów. Chwytał kurczowo strzelbę, oglądał się na wszystkie strony i tak przylgnąwszy do jakiegoś dużego drzewa przetrwał w natężeniu do rana, pamiętając potem całe życie tę jedną noc, która mu się rokiem wydała. Z oddziałem swoim często zmieniał miejsce postoju a po upadku powstania przedostał się do Galicji i wstąpił ponownie do zakonu dominikańskiego. Zostawszy księdzem zakonnym miał różne miejsca w kraju, a był przeorem w Bohorodczanach, Wielkich Oczach, i Złotym Potoku. Przyjaciel jego, profesor seminaryum nauczycielskiego w Samborze Stanisław Głogowski także mi o ks. Sadlejskim podał wiadomości. Ostatnie jego stanowisko w klasztorze było w Żółkwi. Będąc w Potoku Złotym, zajął się oświatą swoich parafian, a w wolnych chwilach od obo-

wiązków duchownych, zajmował się bardzo gorliwie polepszeniem klasztornego gospodarstwa rolnego, które bardzo podupadło wskutek nieumiejętnego zarządu jego poprzedników. Pewnego razu przybył do Złotego Potoka prowincjał OO. Dominikanów Ks. Nowakowski, a widząc wzorowo prowadzone w małym zakresie gospodarstwo rolne, zaczął namawiać Ks. Sadlejskiego, by zechciał objąć godność przeora w Żółkwi, gdzie Dominikanie mieli duży majątek, a to lasy, pola, stawy, ale wszystko straszliwie zaniedbane z braku fachowego kierownictwa. Do tego konwentu należały: folwark Dzibułki (znaczna ilość pola i lasy), folwark Góra, folwark Zwartów i folwark Lipina (staw i pole). Sam byłem świadkiem — pisze profesor Głogowski — jak nędzne krowy podnoszono, gdyż nie były wstanie o własnych siłach podnieść się z głodu. Konie również nędzne i zamała ilość na tyle folwarków. Wziął się po swojemu Ks. Sadlejski do wytrwałej pracy i w przeciągu trzech lat podniósł rentowność folwarków znacznie. Również przyczynił się do uregulowania stosunków nauczycielskich i szkolnych. Po pewnym czasie otrzymali Dominikanie wiadomość, że będzie w klasztorze zaprowadzona tzw. obserwa tj. obostrzenie reguły zakonnej a przytem wspólne dochody wszystkich Dominikanów z wszystkich państw. I to była nierówna miara, bo Dominikanie tylko w Polsce posiadali znaczne majątki, jak w Żółkwi, we Lwowie i innych miejscowościach, darowane im przez Danilowiczów, Sobieskich, Żółkiewską, Potockich i tylu innych magnatów polskich. Zjechał więc jenerał OO. Dominikanów Thier ze swojem otoczeniem do Lwowa, Żółkwi itp.

by „zbadać" gospodarkę i naturalnie zabrać co się da do wspól-
nej kasy. Wtedy patrjotycznie usposobieni zakonnicy sprzeci-
wili się temu i wystąpili ze zakonu, między tymi także Ks. Sad-
lejski, zwłaszcza że był do żywego dotknięty nietaktownem postę-
powaniem generała i tych, którzy z nim przyjechali, gdyż jawnie
okazywali nieufność do osoby Ks. Sadlejskiego przypuszczając, że
musiał ciągnąć wielkie osobiste korzyści z majątku, a nie wglą-
dali bynajmniej w te ogromne początkowe wkłady na podniesie-
nie gospodarstwa tj. na sprawienie żywego i martwego inwentarza.
Ks. Sadlejski właśnie dla siebie najmniej potrzebował. Wszyscy
członkowie Konwentu Żółkiewskiego, oprócz utrzymania pobiera-
li pewną sumę na odzież, bieliznę, habity itd. a przeor
miał podwójną sumę, której Ks. Sadlejski nie pobierał i zwykł
mawiać, że ma jeszcze czas, najpierw bowiem musi podnieść
stan gospodarczy na folwarkach. Zrażony postępowaniem Thiera
wystąpił ze zgromadzenia Dominikańskiego, znalazł się jednak
w przykrem położeniu, toteż dawniejsi jego przyjaciele i znajo-
mi dopomagali mu, jak kto mógł. Przeważnie bawił u Ks. Ja-
kóba Kowalskiego, proboszcza w Zubcu (powiat buczacki), byłego
kapelana wojskowego, ruskiego księdza, swego wielkiego przyjaciela.
Tyle napisał mi o Ks. Sadlejskim profesor Głogowski. Dalej wiem,
że po złożeniu habitu zakonnego wniósł Ks. Sadlejski prośbę
do arcybiskupa lwowskiego o powierzenie mu duszpasterstwa
parafialnego, a ponieważ właśnie podówczas po Ks. Banachu
stała ~~opuszczona~~ opróżniona parafia sołotwińska, kandyda-
tów na nią nie było, więc powierzono ją Ks. exprzeorowi Sadlej-
skiemu, ostatnio kapelanowi SS. Niepokalanek w Niżniowie.

Tak znalazł się ks. Sadlejski w Sołotwinie. Mając bogate doświadczenie gospodarcze, począł ze swoich skromnych poborów zagospodarowywać się w Sołotwinie. Połatał jakotako chlewy, kupił parę sztuk bydła, konie, wóz, sprowadził do gospodarki swego krewna Skibickiego ze żoną i dziećmi i chodząc sam chętnie w pole, prowadził gospodarstwo rolne, by módz jakotako wyżyć. Żył też nader skromnie, zadowalał się małem, był człowiekiem cichym, bardzo zgodliwym, wyrozumiałym, liczył się ze słowami, by nikogo nie dotknąć. Widziało go się w lecie zwykle idącego w pole koło sądu ku Kryczce w białym, płóciennym, po kolana sięgającym surducie i w odwiecznym słomkowym czarno-rudym kapeluszu. A chodził powoli, jakby mu nagniotki dolegały, opierając się na prostej, zakulbaczonej lasce. Żył w szczególnej przyjaźni z naszym miejscowym proboszczem ks. Głowackim, razem do Kasyna przychodzili i razem wychodzili, wspierali się wzajemnie, a nawet ks. Głowacki jakiś czas parę morgów swego gruntu bezpłatnie biedniejszemu swemu tacińskiemu koledze do użytku odstąpił. Lubiał ks. Sadlejski zasiąść do umiarkowanej gry w karty, wtedy wyjmował z kieszeni u spodeń ogromną, skórzaną, porządnie już wytartą portmonetkę (sakiewkę), w której nosił zdawkowe monety. Zwano ją w Kasynie powszechnie krokodylem, bo gdy się otwierało jej dwie żelazne zamknięcie, wyglądało to tak, jakby się otwierało paszczę jakiegoś potwora. Totéż, gdy ksiądz sakiewkę z kieszeni wyjmował, wołano: oho, już wyjmuje krokodyla, lub gdy proboszcz grać nie chciał, mówiono: nie może grać, bo krokodyla w domu zapomniał! Mieszkając z nim razem pod jednym dachem, znałem dobrze

tryb jego życia. Prawie cały powszedni dzień był czynny przy gospodarce, czy to w ogrodzie, czy w sadzie lub na polu, wieczorem szedł do Kasyna i przesiadywał na pogawędce do późna. W niedzielę oddawał się swoim czynnościom duchownym. Po jutrzni wracał na probostwo, brał homilję i bądź w pokoju, bądź w lecie w sadzie pod drzewem czytał kazanie na odnośną niedzielę, które niebawem miał wygłosić w kościele. Jakże mi dotąd stoi żywo przed oczyma takie przygotowanie ks. proboszcza Sadlejskiego do kazania. Brał pod pachę kocyk bronzowy i jaśka i szedł do sadu pod cienistą jabłonkę. Gdy wychodząc z pomieszkania był już w sieni, powracał jeszcze do kuchni i upominał domowników: a nie przeszkadzajcie mi, bo idę czytać kazanie! Gdy znalazł się pod ową jabłonią, podścielał na trawie koc, siadał na nim a głowę opierał na jaśku o gruby pień drzewa, poczem głośno czytał: na niedzielę VI po Zielonych Świątkach, czyta Kościół ewangelię świętą, zapisaną u św. Marka w rozdziale 8. Onego czasu, gdy koło Jezusa zgromadziła się mnoga rzesza, a nie miała co jeść ..... tu przerwał, bo z poza stajni wybiegła zaniepokojona sługa Marynka, wołając: „już znowu niema czerwonego kogута, mówiłam już dawno, aby go zabić, bo ciągle leci do cudzych kur, może ksiądz widział, gdzie pobiegł, sama nie wiem, czy do Sobla, czy do Kuczerowej." Odłożył ksiądz na chwilę homilję i łagodnie odparł: mówiłem wam już raz na zawsze, nie przeszkadzajcie mi, gdy czytam kazanie, czego chcesz odemnie, bym pilnował koguta, to twoja rzecz, nie moja, szukaj gdzie chcesz, aby był z powrotem! Marynka

znikła w głębi sadu, a proboszcz spokojnie czytał dalej półgłosem: ... polecił tedy rzeszy, by usiadła na ziemi, a biorąc siedm chlebów.... zaczytał się proboszcz w książce i ani spostrzegł, jak przed nim stanął starszy brat kościelny Starzyk, z pokorną miną, a rozkładając ręce tłumaczył: „nie do wytrzymania księże proboszczu, nie do wytrzymania, tyle już sztachetów brak w parkanie koło kościoła, że świnie i kozy z całego miasta harcują popod sam kościół, a z tego taki skutek," — tu nachylił się Starzyk ku siedzącemu na ziemi proboszczowi i przyciszonym głosem kończył — „nikt już nie może klęknąć bezpiecznie pod kościołem. No, a jakże my dziś pójdziemy z procesją naokoło kościoła?". „Mówiłem wam już raz na zawsze, — rzecze proboszcz — dajcie mi choć wtedy spokój, gdy czytam kazanie! Cóż pan chce, abym rzucił homilję i szedł sztachety łatać, od czegoż pan jest starszym bratem; potrzeba jutro pójść do pana dyrektora Gröglera, niech da parę łat, a wtedy niech pan weźmie syna i razem parkan ponaprawiajcie!" Nie bardzo zadowolony Starzyk odszedł, a proboszcz czytał znowu: mieli także trochę rybek, te również pobłogosławił i polecił rozdać,.... tak czytał długo na głos dalej, wtem z poza drzew nadbiegł kudłaty, czarno-rudy pies gospodarczy Bryśko, w którego ogonie mieściły się bodjaki z kilku lat, a zobaczywszy swego pana, prosto walił ku niemu. Proboszcz zaczął książką machać i odpędzać psa, jednakże Bryśko nie wiele sobie z tego robił, machał z radości ogonem jak maczugą i legł na skrawku koca koło nogi proboszcza. Proboszcz czytał dalej

kazanie, a pies leżąc u jego stóp, coraz klamcał zębami, łapiąc muchy, które rojnie go obsiadywały. Trwało to jakąś chwilę, wtem z tyłu sadu od strony Betejówki dał się słyszeć głośny gdakot koguta, pędzącego ku budynkom probostwa, a za nim Marynka, klnąc co się zowie, miotała grudami ziemi, które coraz rozpryskały się po gałęziach drzew. Gdy była koło owej kaznodziejskiej jabłonki, zawołała: ~~a nie~~ „a wie ksiądz proboszcz, gdzie był ten nieznośny kogut?" „Dajże mi święty spokój, widzisz, że czem innem jestem zajęty, mówiłem przecież wyraźnie, nie przeszkadzajcie mi, gdy czytam kazanie, idź, idź do kuchni i zabierz Bryśka, bo mi tu pchełł natrzęsie." Zawołała psa i pobiegła dalej, a proboszcz znów czytał homilje do końca, poczem zabrał kocyk i jasiek i przemyśliwając jeszcze całość kazania, skierował swe powolne kroki ku probostwu. Po kilkunastu minutach widziałem, jak statecznie szedł przez ulicę z probostwa do kościoła, a po jakiej pół godzinie wypowiedział potoczyście kazanie o cudownem nakarmieniu czterotysięcznej rzeszy, jak gdyby się doń przez cały tydzień przygotowywał.

Po mojem przeniesieniu ze Sołotwiny do Halicza, pisał jeszcze raz do mnie ks. Sadlejski w następującej sprawie. Oto gdzieś w r. 1903 lub 1904 na uroczystem nabożeństwie w rocznicę 3 Maja był w kościele dyrektor Towarzystwa naftowego Kaufman, ewangelik, poczem posłał ks. Sadlejskiemu list, w którym pisze, że bardzo mu się nabożeństwo i przemowa podobały, przyczem dołączył do listu jakąś sumę pieniężną bez podania

przeznaczenia. Był ksiądz w wątpliwości, czy pieniądze te dane ~~...~~ były dla niego, czy na kościół. Przysłał mi więc list Kaufmana i radził się mnie po przyjacielsku, co ma uczynić. Z pisma wywnioskowałem, że Kaufman chciał proboszcza obdarzyć, zwłaszcza że powszechnie było znane jego ubóstwo. Tak też mu odpisałem i z tej decyzji pewnie był zadowolony. Pod starość zaczął ks. Sadlejski zapadać na zdrowiu, wtedy dodano mu wikarego ad personam ks. Jana Porzyckiego, sekularyzowanego bazyljanina. W roku 1909 umarł ten zacny proboszcz wskutek sklerozy i spoczął na cmentarzu nad Bystrzycą obok mogił swoich poprzedników.

Już pod moją nieobecność został w r. 1910 proboszczem sołotwińskim ks. Józef Jarek (ur. 1869 ord. 1896) a gdy ten w r. 1924 przeniósł się na probostwo w Korościatynie, został administratorem parafii sołotwińskiej ks. Władysław Dubeniowski (ur. 1894, ord. 1919).

Unickim, czyli ruskim proboszczem był w Sołotwinie ks. Michał Głowacki, syn również ruskiego proboszcza z Manjavy, (dawno już zmarłego). Do gimnazjum chodził w Stanisławowie, na teologię we Lwowie. Opowiadał, że ojciec jego był biednym wiejskim proboszczem, toteż kiedy potrzeba było syna posłać do Lwowa na teologię, nie miał go zaco wyprawić, poszedł więc do ~~miejs~~ miejscowego karczmarza, wypożyczył jakąś nieznaczną sumę i tak opędził odnośne wydatki. Właśnie, gdy ks. Głowacki teologię ukończył, miał miejscowy ruski proboszcz w Sołotwinie wielkie kłopoty i zatargi tak z parafianami, jak i z władzą duchowną, był bowiem człowiekiem wielce niespokojnym

i popadł w suspenzję a sacris. Młodego Ks. Głowackiego, dopiero co wyświęconego zamianowano administratorem ruskiej parafii w Sołotwinie. W tym charakterze przetrwał kilka lat, a były to jego prawdziwa droga krzyżowa, bo znosił najdotkliwsze szykany ze strony awanturniczego proboszcza i jego rodziny. Mieszkał wtedy Ks. Głowacki ze żoną i dziećmi w chłopskiej chacie i materjalnie miał się bardzo niepomyślnie. Dopiero śmierć proboszcza rozjaśniła horyzont. Choć o probostwo sołotwińskie ubiegali się starsi księża, to jednak otrzymał je Ks. Głowacki w nagrodę za cierpienia, jakie w pokorze ducha znosił kilka lat. Z tryumfem sprowadził się na probostwo i odtąd czuł się bardzo szczęśliwym i zadowolonym do końca życia. Ks. Głowacki był średniego wzrostu, szatyn siwizną przyprószony, twarz miał czerwoną, jakby odmrożoną, słaby słuch, stąd drażliwy był, gdy kto w liczniejszem gronie mówił coś ciszej do drugiego, potem obaj się roześmiali, sądził wtedy Ks. Głowacki, że to śmieją się z niego, choć oczywiście tak nie było. Mówiąc, lubiał głaskać się ręką po golonej twarzy. Zwykle był uśmiechnięty, pogodny na duchu, ugrzeczniony i bardzo lubiał opowiadać swe wspomnienia z dawniejszych lat. Historję powszechną znał bardzo dobrze i całe życie ją studjował. Do Kasyna chodził jedynie dla towarzystwa, bo w karty nigdy nie grywał. Gdy się komu jakiś dowcip udał, konkludował zwykle „ach gut,“ „ach gut“! Inteligencję zwykł w przystępie humoru nazywać: nimci. Był on chodzącą kroniką Sołotwiny od dawnych, dawnych lat,

wszak pochodząc z Mansary tj. niemal z przedmieś-
cia Sołotwińskiego znał dokładnie tutejsze stosunki.
Ponieważ zaś wiedział on wiele z opowiadania swego ojca,
proboszcza maniawskiego, przeto wiadomości ich obu
odtwarzały dzieje Sołotwiny prawie przez przeciąg
stulecia. Wiele szczegółów tych zapisków, zaczerpnąłem
z jego opowieści. Jako proboszcz był dla parafian przy-
stępnym i wyrozumiałym, bardzo dbał o swój autorytet,
jako człowiek dobry, czuły był cudze nieszczęście, zresz-
tą żył we wielkim spokoju, żona zapracowana prowa-
dziła całe gospodarstwo, on przeważnie czytał historję.
Dzieci miał troje, dwie córki i najmłodszego synka Mi-
kołaja, którego niezmiernie kochał. Najmilszym jego te-
matem, było opowiadanie o tem dziecku. Nieraz w Kasynie
żartowano: ksiądz jest nasz, pochodzi od sławnego Barto-
sza Głowackiego, bo jakże jako rusin mógłby mieć polskie
nazwisko. Na to Ks. Głowacki podnosił wskazujący palec
do góry i odpierał: „ho-ho, panie dobrodzieju, tak nie jest,
ja się właściwie nazywam Hołowacki, ino że tak mię już
Polacy przezwali, to niech i tak będzie", poczem swoim zwy-
czajem ze zadowolenia pogłaskał się dłonią z dwóch stron
po twarzy. Ale był to rusin bez cienia szowinizmu, choć
do swej narodowości przywiązany. Nie wiem wśród jakich oko-
liczności życie zakończył, w każdym razie przeżył swego
łacińskiego fratra Sadlejskiego.

*

Źródła dziejowe nie rozwiązują kwestji powstania i czasu założenia Sołotwiny. Ponad wszelką jednak wątpliwość przyjąć można, że miejscowa solanka znęciła tu ludność i była przyczyną osiedla mieszkańców, co wnioskować możemy ze samej nazwy Sołotwina, od soli swą genezę wywodzącej. Czy jeszcze przed Słowianami mieszkali tu ludzie, choć jest możliwe, jednak ze pewne poczytać tego nie można, w szczególności zaś brak wykopalisk cmentarnych. Sądzę, że Sołotwina powstała za czasów zajęcia ziem dopływów Dniestru przez Słowian, a powstała jako stacja solna, skąd wyrobiony produkt solny zwożono rzekami na niziny. Jeszcze ze czasów książąt ruskich cała część kraju od Tyśmienicy do Karpat pokryta była lasami, które zwano borami tyśmienickiemi. Wśród nich tylko z rzadka mieszkali ludzie w nielicznych zgrupowaniach, całe zaś ta połać kraju była własnością księcia halickiego, który wyprawiał się tu w lecie na łowy. Gdy Ruś przeszła pod władztwo polskie, stały się te okolice własnością państwową, którą dzierżawiono. Sołotwina była starostwem niegrodowem. Dzierżawcy się zmieniali, często jednak przechodziła dzierżawa na dziedziców. Była więc Sołotwina w dzierżawie Potockich, potem około lat 1661–65 dzierżawiła ją Katarzyna z Ostroga Myszkowska, starościna tyszowiecka, a z dzierżawców szczególnym dobrodziejem był starosta Paweł Benoe, który zbudował w r. 1740 obecny drewniany kościół sołotwiński. Był żonaty z Marją Paleolog, a miał córkę

Magdalenę zamężną za Rafałem Skarbkiem. W r. 1735 ustąpił Benoe za zezwoleniem królewskiem starostwo sołotwińskie temuż zięciowi Skarbkowi, sam zaś został kasztelanem warszawskim i zmarł w r. 1755. Skarbek pozostawał na dzierżawie bardzo długo, prawdopodobnie do roku 1772, po nim objęła dzierżawę wdowa Teresa Skarbkowa i miała ją aż do śmierci tj. do roku 1779. Gdy zmarła przeszła Sołotwina z przedmieściem Zarzeczem i wsiami Monasterczany, Rakowiec, Krzywiec, Jabłonka, Bogrówka, Porohy i Kryczka jako dawne starostwo na własność państwa austrjackiego. Ostatnim dzierżawcą był Krzysztof Kniaź Puzyna dawniejszy starosta upitski (do r. 1785). Dobra państwowe sołotwińskie za czasów austrjackich powiększono, a to po śmierci hr. Kosakowskiej 1789 r. dołączono z dawnego halickiego starostwa wsie: Maniawę, Markową, Babcze i Mołotków. Skit Maniawski kupił rząd od prawosławnego bukowińskiego funduszu i dołączył dnia 1 czerwca 1793 do dóbr maniawskich. Wreszcie przydzielono do dóbr sołotwińskich oddzielone z dóbr bohorodczańskich (sprzedanych hr. Stadionowi) siedm wsi, a to Rosólnę, Barwę, Chmielówkę, Kosmacz, Dźwiniacz, Hlibokę i Chlebówkę. Wtedy to dobra państwowe sołotwińskie składały się z jednego miasteczka, jednego przedmieścia i 20 wsi. We wieku XVII otrzymało miasto Sołotwina nazwę Krasnopol, o czem świadczy dawna pieczęć gromadzka z napisem: Sigilium Civitatis Crasnopoliensis S. R. M. nazwa ta jednak nie utrzymała się. Zachowane dotąd w archiwum głównem dawnych aktów w Warszawie protokoły lustracji Sołotwiny z czasów przedrozbiorowych świad-

czą o jej dawnym rozkwicie. Mieszczanie obierali sobie co roku wójta, a choć na to przywilejów królewskiego nie mieli, to działo się to, jak poświadcza protokół lustracji „z woli niegdyś sławnej pamięci JPana Potockiego, Wojewody bracławskiego, dzierżawcy sołotwińskiego." Nawet mieszczanie zamierzali wnosić do króla prośbę o nadanie prawa magdeburskiego. Około roku 1765 postawiono w Sołotwinie nowy ratusz drewniany i dochował się rachunek, iż zapłacono za drzewo, na cieślów, gonty, gwoździe, żelazo, okna, piece, drzwi razem 1315 złpol. 10 gr. (przedrozbiorowych). Za czasów mego pobytu w Sołotwinie nie tylko śladu nie było z ratusza, ale nikt nie wiedział, że był kiedyś ratusz i gdzie był. Domyśleć się chyba można, że był wpośród rynku. Pod władztwem austrjackiem marniała Sołotwina, nikt o nią nie dbał, niszczało to, co za czasów polskich powstało, zawzełnię sobie zamknięto w r. 1788, w miejsce dawnych mieszczan weszli kramarze żydzi, eksploatował Sołotwinę kto chciał, a nikt nie myślał o jej rozwoju.

Po przegranej pruskiej wojnie w r. 1866. znalazł się rząd austrjacki w wielkich kłopotach finansowych, musiał więc dobra państwowe pośpiesznie sprzedawać. Oczywiście na pierwszy plan szła Galicja. „gdyby nasi obywatele – pisał mi radca Tomek – byli się nie zrujnowali na powstanie z r. 1863, byliby wówczas mogli nabyć ogromny obszar polskiej ziemi, lecz niestety nie mieli już funduszów." Sprzedawano za bezcen, byleby prędko dojść do pieniędzy. Postanowiono sprzedać także klucz Sołotwiński. O kupno to pertraktował wówczas także arcyksiąże austr. Albrecht i jego pełnomocnik hr. Popp oglądał dobra Sołotwińskie, lecz pertraktacje się rozbiły o sumę 100.000 zł. austr.

której pełnomocnik nie chciał dopłacić. Dobra Sołotwińskie kupił bank wiedeński, ~~a ten~~ w r. 1868, a ten pozbył je z dużym zyskiem Janowi i Teodorowi Liebigowi z Reichenbergu. Od tego czasu poczęła się nowa era dla Sołotwiny i okolicznych wiosek, które ja także widziałem, bo w 30 lat po sprzedaży Sołotwiny w ręce niemieckie tu przybyłem i oglądałem z żalem, jakie koleje przechodziła ziemia dawniej do Rzeczypospolitej polskiej należąca. Sołotwina stała się areną zarobkową, ciągnięto z niej jak największe zyski a nie dawano jej zgoła niczego, ani za jeden grosz ~~nie~~ miastu nie ~~dano~~ przysporzono czegokolwiek. Nabywcy za moich czasów nasyłali do Sołotwiny swoich urzędników niemców i czechów, wyciskali jak cytrynę dochody z nabytych tanio dóbr, u ludności nie mieli sympatji, rzadko się tu pokazywali, chyba na polowania. W czasie mego pobytu w Sołotwinie był zarządcą dóbr Liebiegowskich Grögler, niemiec, jakotako po polsku mówiący. Mieszkał obok też. probostwa (plan p. 18), miał dwie córki, które dawał na naukę do Czerniowiec i te już polskim językiem wcale dobrze władały. Grögler typowy, pulchny, zaokrąglony niemiec, o rudej spiczastej brodzie, był człowiekiem dobrym i jak umiał, łagodził zachłanność swoich pracodawców z interesami miejscowej ludności. Drugim z kolei godnością był kontrolor Anderka, także niemiec, zamieszkały koło cmentarza, były oficer austrjacki, człowiek uprzejmy i spokojny, zawołany myśliwy, znany był z tego, że trzymał mnogą ilość psów. Dalszym urzędnikiem był Krča, czech, wiecznie z fajką w zębach chodzący, ogromnie

niemity, chciwy, samolub i arogant. Najmłodszym urzędnikiem zarządu był Czermak, czeski niemiec, bezżenny jeszcze, o okrągłej, czerwonej jak pomidor twarzy, zawsze szczęśliwy i zadowolony. Sędzia Koprowski używał go często jako znawcy do pomiarów gruntowych. Na pograniczu gmin Załuki i Rakowca była ładna leśniczówka, a w niej mieszkał leśniczy Szupik, z pochodzenia czech, lecz żonaty z polką i prawie całkiem spolszczony, miał dwie córki, obie polki. Jedynym wreszcie polakiem w zarządzie dóbr liebigowskich był ów „szlachcic węgierski" Pompain, leśniczy w Porohach. Miał wtedy lat około 45, ładnej postawy, zawsze prosto się trzymający, twarz golona, wąs czarny sztywnie zakręcony, był bezżennym, żartobliwym i wesołym, wiecznie młodym i jurnym, zwał sam siebie szlachcicem węgierskim i na ten temat sypał dowcipy i anegdoty. Raz pytałem go, skąd wziął owo dostojeństwo węgierskie, naco on mi wyjaśnił, że raz gdzieś czytał wzmiankę o jakimś węgierskim szlachcicu Bombajnie i wtedy pomyślał sobie, że można puścić w świat żart, że i on, ze względu na podobieństwo nazwiska jest szlachcicem węgierskim, jakim zresztą nie był. Lubiano Pomjana powszechnie a wśród włościan w Porohach miał mir szeroki. Ale w zarządzie dóbr, był jako polak ledwie cierpianym, marną miał posadę, potrzebny był jednak koniecznie, bo jako mówiący po polsku bez zarzutu, nieraz wysyłany był ze zarządu do władz, przed któremi tylko po polsku można było swe pretensje wywodzić.

*

Z władz państwowych, prócz sądu, był w Sołotwinie Urząd podatkowy. Mieścił się w parterze jedynej jednopiętrowej

kamienicy w rynku (od strony zachodniej), będącej własnością kupca Gertnera (plan p. 26). Poborcą tego urzędu i jego kierownikiem był Świdowski, kawaler, silnej budowy ciała i wielkiej pracowitości, zresztą materjał surowy. Drugim urzędnikiem był kontrolor Kramer, żonaty, ojciec kilkoro drobnych a grzecznych dzieci, była to rodzina skromna, lubiana i zacna. Kramerowie własnym kosztem wytynkowali wewnątrz kościół parafjalny w Sołotwinie. Po ukończeniu prac i po usunięciu rusztowania była uroczysta msza na intencję pobożnych ofiarodawców, a ks. proboszcz Sadlejski z Nadwórnicy im dziękował. Ale nie bardzo mu się przemowa udała, bo widać ~~nie~~ mówił całkiem nieprzygotowany i nie przemyślał tego naprzód pod znaną kaznodziejską jabłonką. Dalszymi urzędnikami byli adjunkci (asystenci) Stankiewicz, Tadeusz Malcharek, Marjan Markiewicz i młody praktykant Kasperski.

Poczta była w domu przy gościńcu, wiodącym do Markowej (plan p. 1.). Pocztmistrzem był Stanisław Kaleta, kawaler, mężczyzna więcej niż średniego wzrostu, o płowej głowie, twarz pełna, golona, o krzaczystym wąsie jasnym. Cierpiał ciężko całe życie na reumatyzm i to w tak wysokim stopniu, że radby się był życia pozbawić, byleby nie cierpieć więcej. Był to człowiek niezmiernej dobroci, charakter jak kryształ czysty, otoczony powszechną sympatją i szacunkiem. Liczył podówczas lat około 48–50. Lubiał życie spokojne i zacisze. Za czasów pobytu sędziego Kałużniackiego w Sołotwinie, żył z nim w przyjaźni. Wieczorem chodził

do kasyna Szaferowej, pił jednak tylko herbatę, prowadził rozmowę umiarkowaną ze starymi znajomymi, nie grał w karty, nie wdawał się w hałaśliwe dysputy, był raczej tylko biernym widzem, a tak przyzwyczaił się do tego lokalu, że gdy zawiązało się prawdziwe kasyno i przeniosło się do innego domu, Kalita, choć narówni z całą inteligencją doń się zapisał, jednak po dawnemu zdążał codziennie do lokalu Szaferowej na wieczorną herbatę, chyba że bezlitosny reumatyzm przykuł go w domu. Chciano go koniecznie zrobić burmistrzem, ale — jak mi sam mówił — nie chciał żadną miarą na to się zgodzić. „Widzi pan — prawił Kalita, dziś jak idę ulicą, każdy powie, o, poszedł pocztmistrz, porządny człowiek, ale niechbym tylko przyjął urząd burmistrza, zaraz na drugi dzień ciemni ludzie chórem by mówili: o, poszedł złodziej, dlatego tak jest źle w gminie, bo kradną, a najwięcej oczywiście sam burmistrz! Taka jest logika tłumu." Słyszałem w kilkanaście lat po moim odjeździe ze Sołotwiny, że Kalita umarł i spoczął obok swoich starych znajomych, z którymi za życia tysiące wieczorów przegawędził. Obok Kality był na poczcie ekspedytor Lasko. Młody człowiek, lat około 22, kawaler, zżył się z postmistrzem Kalitą, razem mieszkali i razem pracowali, Lasko swoją uczciwością dorównywał szefowi, nikt go nie widział poza domem, ale nieszczęśliwy ten człowiek dotknięty był gruźlicą, która podcinała to młode życie. Jeszcze za moich czasów umarł cicho (1901), jak cichy był jego żywot, a Kalita własnym kosztem go pochował.

Popularną osobą był listonosz Rajewski. Choć inteligencją nie przewyższał zwykłego woźnego, jednak był miły i ugrzeczniony, stąd powszechnie lubiany. W lecie w krótkim surdu=cie, w zimie chodził w kurtce z historyczną dużą torbą listonosza przez plecy a ze zakalbaczoną laską na ręce (groźba piesków), uwijał się ulicami i uliczkami, znał wszystkich doskonale i znało go każde dziecko. Miał córkę dorosłą, ładną dziewczynę i gdy ojciec czasami zaniemógł, brała na siebie służbową torbę ojca i pełniła za niego służbę. Poradzono raz Kalicie, że poparzenie pokrzywą usuwa bole reumatyczne. Zbolały Kalita kazał Rajewskiemu nazbierać spory pęk pokrzywy, a zrozpaczony cierpieniem rozebrał się do naga i kazał bić się po całem ciele. Rajewski zlecenie wykonał sumiennie, smagał poczmistrza dotkliwie, tak iż ten przedstawiał okropny obraz jakby poparzonego. Ale i ten zabieg nie usunął reumatycznych cierpień. Dziś wszyscy z dawnej poczty sołotwińskiej śpią snem wiecznym wolni od cierpień i zabiegów.

Codziennie po pocztę jeżdżono ze Sołotwiny do Bohorodczan. Od lat długich jeździł po nią Dmytro Kupczak, zwany dlatego „Pocztar" (bo Kupczaków było w Sołotwinie dużo, dla odróżnienia mieli swoje przydomki). Kupczak był gospodarzem („na górze"), miał ładne konie i wózek do wyjazdu, był człowiekiem bardzo uczciwym i rozumnym, toteż stale go brano do jazdy do Stanisławowa lub Nadwórny. Umarł w czasie wojny światowej 1914/18 na emigracji w Czechach.

Aptekarzem w Sołotwinie był za moich czasów Józef Hodoly, lat około 60, polak, pochodził z Brzeżan, praktykę aptekarską odbywał u Mikolasza we Lwowie i zawsze z tego był dumny, studjum farmaceutyczne kończył także we Lwowie, następnie po ożenieniu się osiadł w Sołotwinie jako pierwszy aptekarz, gdyż dotąd apteki wogóle tu nie było. Była to znana w mieście postać. Człowiek okazały, wysoki, wcale otyły, włos jasny, srebrzejący, broda spiczasta, krótko strzyżona, nos orli, siedział całymi dniami w aptece, a wieczorem zdążał do kasyna na rozrywkę. Gdy szedł, robił drobne a szybkie kroki, jakby nogi nie mogły utrzymać zbyt wielkiego ciężaru ciała. W kasynie systematycznie siadał na przysłonkowej stronie wielkiego stołu i pił piwo powoli a statecznie, znacząc często na papierku małym ołóweczkiem kreskami, ile ich wypił, aby sumiennie cechę zapłacić. W karty nie grał, rozmawiał tylko ze starszymi panami do późna, najchętniej o dawnych czasach, o swojej młodości, o przeżyciach w Sołotwinie i o dawniejszych miejscowych mieszkańcach. Z młodości swojej opowiadał ciekawy epizod, jak powrócił z tamtego świata. Oto kiedy był studentem w Brzeżanach i kąpał się w tamtejszym stawie, utonął. Mówił, że pierwotnie dusiła go woda, krztusił się i czuł, że go dławi, niebawem jednak uczucie to ustało, woda wchodziła swobodnie do przełyku, w oczach miał barwę wody żółtoszarej, poszedł w dół i dalej już nie pamiętał, co się stało. W jakiś czas dopiero, otworzywszy oczy widział, że jest na lądzie

i dużo ludzi forsownie go odtrząsa. Wtedy dopiero oprzytomniał. Lubiał nadto opowiadać, jakie miał ciężkie pierwsze czasy nim uruchomił aptekę w Sołotwinie, jak lekarze się zmieniali, a był czas, że żadnego nie było, wtedy musiał nie tylko być aptekarzem, ale i doradcą zdrowotnym. Był Hodoly człowiekiem uczciwym i szanowanym i przez kilka kadencji pełnił obowiązki burmistrza. Miał pięć córek. Najstarsza była za urzędnikiem kolejowym Tomeczkiem, bardzo przystojna osoba, kochał ją ojciec całą duszą i opowiadał o niej ze słodyczą. Kiedy już opuściłem Sołotwinę, wyczytałem w dziennikach, że nieszczęśliwa ta kobieta, wskutek nieostrożności ze zapalonym spirytusem doznała oparzeń i męczeńsko umarła. Niebawem i sam Hodoly umarł, dzieci aptekę rychło sprzedały, dom zaś Hodolych został podczas wojny światowej doszczętnie do ziemi zburzony. Tak znikło bez śladu dawne ognisko szczęśliwej rodziny.

Nadto Sołotwina miała posterunek Żandarmerji i oddział Straży skarbowej o służbie niższego typu. Żandarmerja mieściła się w najbliższym domu obok organistówki, straż skarbowa na końcu ulicy ku Krzyżce, ostatni dom na lewo, niemal naprzeciw domostwa Kontrolora Anderki.

*

Jak powyżej wspomniałem, życie towarzyskie koncentrowało się wieczorem w oberży Szaferowej. Schodzili się tam księża, sędziowie, urzędnicy, nauczyciele, leśnicy, i inni ludzie, liczący się do inteligencji miejscowej, a nadto prawie zawsze zawitał ktoś z poza miasta, czy to ksiądz z wiosek okolicznych, czy urzędnik w podróży, czy przedsiębiorca naftowy – wszyscy jak do przystani zajeżdżali do jedynej oberży. Byli to jednak sami mężczyźni, kobiety strzegły ogniska domowego, odwiedzając się z rzadka wzajemnie. Ale w pokoju kasynowym u Szaferowej był zespół nie zawsze odpowiedni, bo bądź co bądź był to lokal publiczny, dla każdego przyjezdnego dostępny. Toteż poczęto myśleć o tem, aby założyć inne ognisko, poza tym lokalem, gdzieby inteligencja miejscowa była sama ze sobą, a była to głównie myśl naczelnika sądu Smolnickiego. Odbyliśmy posiedzenie organizacyjne w sali domu gminnego, ścierały się zdania, czy to ma być czytelnia dla najszerszych warstw, czy kasyno dla inteligencji, były głosy za tą i za ową koncepcją, ostatecznie przemogło zdanie za kasynem. Właśnie wówczas postawił był mieszczanin Matusiak dom parterowy, drewniany obok sądu za potoczkiem (plan p. 5) a więc w środku miasta, nowe kasyno cały ten dom najęło, sprawiliśmy urządzenie i poczęliśmy nowe życie towarzyskie. Matusiak nadto prowadził obok kasyna restaurację dla ostowców. Sprowadziliśmy się do nowego lokalu jakoś pod

jesień 1899 r., było nam tam swojsko, miło, familijnie. Tymczasem w ulicy sądowej stawiał wspaniały dom drewniany leśniczy Szupik, o sześciu pokojach, obszernej kuchni i wygodnych budynkach gospodarczych (plan p. 22). Patrzyliśmy mile na piękny nowy dom. Gdy zaś zaczęło nam być u Matusiaka za ciasno i Matusiak sam czuł się zmęczony siedzeniem po nocach dla obsługi gości, postanowiliśmy opuścić dom Matusiaka a nająć u Szupika. W r. 1900 przenieśliśmy kasyno do nowej siedziby. Było nam tu bardzo wygodnie, przestronnie, pokoje były duże, jasne, słoneczne, a to w parterze cztery, na poddaszu dwa. Restaurację objął Sołotiuk, specjalnie sprowadzony w tym celu i ~~to~~ on usługiwał, a żona jego doskonale prowadziła kuchnię. Niestety, ta pracowita kobieta umarła w r. 1902 na tyfus. Przez dzień nie wiele osób siedziało w kasynie, wszyscy byli przy pracy. Ożywiał się lokal w porze obiadowej a dopiero rojnie było wieczorem. Niemal zawsze pierwszy nadciągał aptekarz Hodoly, ~~i~~ siadał na przyczółku stołu i zaczynał pić swoje codzienne piwo. Nieco po nim przychodził notarjusz Studziński, potem obaj fratres Sadlejski i Głowacki, wreszcie wysypywali się z biur sędziowie, urzędnicy, kandydat notarjalny Gołogórski, nauczyciel miejscowy Gucfa, zjeżdżali się ze sąsiedztwa ruscy księża, nafciarze, leśniczy, szlachcic Sękowski ze Staruni, czasami przychodził poczmistrz Kalita i robiło się głośno, gwarno, wesoło, a Sołotiuk ledwie mógł w po-

cie czoła nastarczyć gościom z obsługą. Ale i kobiety zaczęły się domagać swoich praw, czyż miały być skazane na zmarznienie w domu? Pod wpływem licznych głosów urządziliśmy kilka razy wieczorki z tańcami, sprowadziliśmy muzykę z Tyśmienicy i wieczorki udały się doskonale. Był raz koncert muzyczno-wokalny ze sił miejscowych, raz jakaś para przejezdna dała w Kasynie wieczór monologowy. Prowadziliśmy przy Kasynie także bibliotekę a liczyliśmy się ściśle z gospodarką finansową, aby można wyjść na swoje. Celem pomnożenia dochodów Kasyna, na wiosnę 1902 podczas kiedy sędzia Koprowski był prezesem a ja sekretarzem, sprowadziliśmy obaj pięć skrzyń wody alkalicznej z Giesshübla. Skrzynie nadeszły do Nadwórnej koleją, tymczasem właśnie nadciągnął silny mróz, posłaliśmy chłopaka wozem, przywiózł nam owe skrzynie, lecz kiedy rozpakowaliśmy, wiele flaszek było całkiem popękanych, inne mocno uszkodzone. Prawie czwarta część flaszek była zniszczona, co dla uniknięcia wymówek, wzięliśmy na własny rachunek, a dopiero rozsprzedaż reszty jakotako pokryła cenę, tak iż ten pomysł wzbogacenia Kasyna nie dopisał.

Bardzo częstym gościem Kasyna był częściowy właściciel ziemski Jan Sękowski syn Faustyna ze Starunia. Była to ogromnie oryginalna postać. Człowiek naonczas około 55 lat liczący, mniej niż średniego wzrostu, ale barczysty i silnie zbudowany, łysy, twarz ogorzała od słońca cała była bronzowa, golona o szaro-rudawym wąsie, był żonaty z ruską, miał syna Eugenjusza i dwie córki; syn

poszedł w religii i narodowości za ojcem, córki za matką.
Sękowski miał niewielki folwark w samej Staruni i począt-
kowo skromne miał dochody z gruntu, ale gdy w tej wiosce
poczęto poszukiwać nafty, Sękowski pośrednicząc dorobił
się niezgorszego mająteczku, postawił murowany dom,
odkładał posag dla córek, syna dał do szkół rolniczych,
dokupił inwentarz, ładną bryczkę, konie wyjezdne, wo-
góle wrósł na obywatela. Bardzo lubiał grono starych
znajomych z Kasyna Sołotwińskiego, przyjeżdżał kilka ra-
zy w tygodniu, gwarzył, grał w karty, napił się nieco, po-
nadto wiorskowych rad był bardzo, że wchodzi w gwar, we-
sołość, żarty — bo żartowano z niego wiele, żartował i on
z innych. Szczególnie nieprzebranym był w tym kierunku
sędzia Sienkiewicz. Sękowski nigdy nie czuł się jego żartami
dotknięty. Raz proboszcz Sadlejski kłopotał się w Kasynie, że
dach na kościele zamaka, potrzebaby okładkę urządzić i
dać dach cynkowy. Na to odezwał się jowialny Sienkiewicz:
„E! księże proboszczu, gdzież ksiądz to przeprowadzi, co
za skąpych ksiądz ma parafian — ot taki Sękowski, bogacz
jakich mało, do kościoła rzadko chodzi, a jak przyjdzie,
to nie tylko że nic nie da, ale jeszcze trzeba dobrze pa-
trzyć, aby czego nie wziął." Roześmiali się wszyscy, śmiał
się i Sękowski, aż mu łzy z oczu pociekły. Szczególnie był
Sękowski ze siebie zadowolony, gdy zarobił co na nafcie.
Siadał wtedy za stołem w Kasynie, był w złotym humorze,
pił kilka wódek, zajadał co Sołotiuk dawał, pił piwo
po piwie, był mowny, śpiewny, wesoły, skłonny do cało-

wania wszystkich, zwracał się do starszych i z rozrzewnieniem wołał, że tyle, tyle lat z nimi przeżył, chciałby tak z nimi przetrwać wieki całe, to znów zwracał się do młodszych, wyciągał ku nim ręce ze słowami, że patrzy na nich z rozkoszą, bo mu się młode lata przypominają, za którymi rzewnie żałował. A z gwaru rozległ się delikatny tenor kancelisty sądowego Łapki z nutą ludowej dumki:

Kozak konia napowaw,
Dziwka wodu brała,
A jak kozak zaśpiwaw
Dziwka zapłakała!
Ne płacz dziwko, moja lubo,
Ne płacz ne żurysia i td.

Sękowski podchwytywał tęskną nutę, śpiewał sam jak chłopak, łzy cisnęły mu się do oczu, bił się z wspaczy po łysej głowie i wołał boleśnie sam do siebie: „Sękosin, Sękosin! gdzie się podziały twoje młode lata" — powtarzał to kilkanaście razy, wtedy był czuły, wylany, zapominał o troskach dnia znojnego, opowiadał o swojej młodości, bolał nad tem, że to młode, barwne życie tak szybko uszło, jak szybko uchodzi błysk, myśl lub sen. Sękowski był powszechnie lubianym i należał do więcej antonomicznych. Jakie były dalsze koleje jego życia, nie wiem, bo po opuszczeniu Sokołówny więcej nigdy się z nim nie spotkałem. Słyszałem tylko, że żyje (rok 1925), mieszka w Stanami, lecz jest już zgrzybiałym starcem.

*

Wśród tych ludzi i tych stosunków począłem prowadzić samodzielne życie w Sokołównie. Zamieszkałem w obszernym pokoju domu Fajbisza Taubmana, starego żyda

z długą siwą brodą (Plan n. 27.), rozłożyłem moje skromne sprzęty nadeszłe ze Sambora ~~i pobierają~~ i pobierając przez pierwszych sześć miesięcy po 108 zł., urządziłem się tak, aby na wszystko wystarczyło. Po pół roku brałem już 130 zł. miesięcznie, żyłem całkiem wygodnie, sprawiłem futro, ubrania, dopomogłem ojcu do kupna domu w Germakówce, sprowadzałem kilka czasopism, które wyczytywałem od deski do deski, a nie lubiąc życia kasynowego, siedziałem przeważnie w domu, bo do kasyna chodziłem tylko na śniadania i objady, a kolacje przynosił mi do domu mój niezrównany sługa Ilko Kostyk. Byłby mój opis ówczesnej Sołotwiny niezupełny, gdybym pominął w nim tego właśnie Ilka, nieodstępnego sługi prawie wszystkich Kawalerów. Miał lat około 50, mniej niż średniego wzrostu, brunet, dość nikłej budowy ciała, twarz ogolona a poorana bruzdami niedoli, o wyrazie smutku, rezygnacji i ubóstwa duchowego. Ubiór jego stanowiły pojedyncze przedmioty darowizny, o których z pietyzmem wspominał, co od kogo pochodzi i przy jakiej sposobności to dostał. ~~W zi~~ W zimie zaciągał na siebie kożuch bez suknianego wierzchu, ale za obszerny na niego, dlatego zawijał się weń, biorąc poły aż pod pachy a na głowę naciągał odwieczną czarną czapkę z zawleczonego sztucznego baranka, w którym wiele miejsc dawno już wypadło. Na grubym szpagacie nosił pół tuzina różnorodnych kluczów, którymi otwierał mieszkania swoich „panów." Mówił cicho, tylko po rusku, nieśmiało, a wyraz twarzy jego zdawał się bła-

galnie każdego przepraszać za to, że on, Ilko, taki mały, pokorny, nic nieznaczący, chodzi jeszcze po bożym świecie. Gdy szedł ulicą, rozglądał się na wszystkie strony, czy nie idzie kto, komu kłaniać się należy, a kłaniał się wszystkim w prawo i w lewo. Jako służący był niezrównany, punktualny, zapobiegliwy i gorliwy w skrajnej mierze. Uczciwość jego była prawdziwie biblijna. Raz, kiedy w sądzie miałem rozprawy i sala była natłoczona ludźmi, zauważyłem, że ktoś się forsownie przez tłum przedziera, torując sobie łokciami przejście. Z podziwem spostrzegłem, że to Ilko. Zaniepokoiło mię to w pierwszej chwili, coś mi błysnęło w głowie, że pewnie jakieś nieszczęście się stało, lecz wnet się rzecz wyjaśniła. Ilko trzymał w silnie zaciśniętej pięści mój egzaminowy pierścionek pamiątkowy, który zapomniałem w domu przy myciu się. Z wyrazem trwogi na obliczu złożył go Ilko przedemną na stole i podziwiany przez strony przecenające się, zniknął w ich tłumie. Prócz mnie obsługiwał Ilko sędziego ~~Świdowskiego~~ Sienkiewicza, kandydata notarjalnego Gołogórskiego i urzędników podatkowych Świdowskiego, Malcharka i Markiewicza, a potem także sędziego Koprowskiego, biorąc od każdego po 3 zł. miesięcznie. Co do Malcharka, będącego w ciągłych kłopotach pieniężnych, to zawsze Ilko liczył, ile mu już jest dłużny za usługi i cieszył się, iż na następnego pierwszego dostanie naraz. Ale i ze Sołotwiny odjechałem, a Ilko ciągle tylko liczył i cieszył się, lecz niczego od Malcharka nie dostawał. Prosił mię Ilko nieraz o protekcję, aby mógł także

obsługiwać „adjunkta ze szabelką", co oznaczało sędziego Kowszewicza, lecz mimo mego wstawiennictwa, nie chciał go on przyjąć, gustując wyłącznie w żeńskiej obsłudze. Posłuszny był Ilko i oddany służbie w sposób legendarny. Chodziłem często na dalekie spacery i gdy raz silnie mię proch przypadł, kazałem Ilkowi rano dobrze ubranie wyczyścić, a ponieważ także skarpetki były zaprószone, zleciłem mu na dworze je z prochu wytrzepać. Ilko spełnił moje życzenie według wskazówek, ale też od tego dnia aż do końca swej służby, w lecie i w zimie codzień na dworze skarpetki trzepał i to nie tylko moje, ale wszystkim u kogo tylko usługiwał. Cały swój majątek lokował Ilko w srebrnych guldenach austrjackich (aby myszy banknotów nie pojadły), owijał je w tobół szmat i u mnie w pokoju pod szafą w kącie ukrywał, nie chcąc zdradzić swej wojowniczej żonie, ile ma. Ileż to razy Ilko w prostocie ducha zapraszał mię, bym w razie zapotrzebowania korzystał z jego skarbu, najpierw obracałem to w żart, później jednak surowo mu wzbroniłem tych propozycji. Miał zaś Ilko żoneczkę nielada, wobec której legendarna Pani Twardowska w kąty iść musiała. Oto gdy za młodych lat był on na służbie w Germakówce na Podolu, poznała go tam czeszka Antonina, zapragnęła jego ręki, zawiozła do Krzywcza do ślubu i Ilko stał się żonatym. Otyłe kobiecisko, o szerokiej, rozlanej, szaro-żółtej twarzy, językiem mełła jak kołowrotem, przewrotna, kłamliwa, napastliwa, stara — aż taką żonę wśród wieńca dziewic wybrał sobie potulny Ilko. Dzieci

nie mieli, a Ilko był posażnym kawalerem w swoim czasie, bo miał dom własny koło drugiej cerkwi ruskiej (plan p. 38). Nieraz Ilko, paląc u mnie w piecu, siedział na podłodze, a podkładając polana do ognia rozrzewniał się. „Byłbym ja dzisiaj wielkim gazdą – mówił przyciszonym głosem – może takim jak Bohostawiec, albo jak Kupczak-Katadruk, ale mnie wcześnie ojciec odumarł i wszystko poszło w niwec. Bo ojciec mój był uczonym na książce, a był diakiem w Babczu, dobrze mu się działo, ludzie go szanowali, śpiewał z psałterki w cerkwi na równi jak ksiądz, a chleba my mieli tyle, że można było cały dzień jeść i jeszcze dać drugiemu, ale jak ojciec poszedł do grobu, tak ja sierota do dnia dzisiejszego, nikt już o mnie nie dba." Tu Ilko westchnął i nieruchomo wpatrywał się w przezierający przez drzwiczki pieca żar ognia. I takich wynurzeń było wiele, wiele, a zawsze owiane tęsknotą i smutkiem. Aż raz Ilko nie przyszedł do służby, lecz wyręczyła go żoneczka Antonina. Ilko zachorował na tyfus i przez półtora miesiąca był na krawędzi grobu. Potrzeba się było oglądnąć za innym służącym.

Naradzono mi wziąć niedużego chłopaka Andrijka, który mieszkał niedaleko domu Matusiaka (plan p. 43). Przyjąłem go, lecz po jakich 14 dniach oddaliłem, bo mię okradał. W kilka dni po oddaleniu, raz wczesnym wieczorem spoglądnąłem z mego mieszkania na probostwie i zauważyłem ogień. Paliła się chata, w której mieszkał ten chłopak, razem z kilku siostrami, mającemi

licznych konkurentów. Zdaje się, że ci przez nieostrożność z papierosami, pożar wzniecili. Był to jedyny pożar, jaki widziałem Sołotwinie. Zbiegowisko ogromne, wszyscy jęczeli nad nieszczęściem dotkniętych klęską, ale stali nieruchomo, spoglądając tęskno w stronę, z której nadejść miała sikawka gminna. A tymczasem słomiana strzecha gorzała pospiesznie i łuna biła w górę, oświetlając nigdy zresztą nieoświetlane miasto. Sikawka ciągle nie nadchodziła, bo jeszcze konie (nie) były przyprowadzone.
Po jakimś czasie wreszcie nadeszły i ze strażnicy pożarnej w rynku (plan p. 45) ruszył cały tren ratunkowy naprzód, zajechał na ogród obok gorejącej chaty, kierownik ochotniczej straży pozakładał węże, stanął potem u wylotu węża, skierował ujście ku gorejącemu domowi i dał hasło do pompowania. Czterech silnych chłopów poczęło potężnie pompować, to jedno to drugie ramię pompy szło kilkanaście razy w dół i w górę, ale woda żadną miarą nie chciała z węża tryskać! Kilkaset ludzi z podziwem patrzyło, że mimo forsy, woda nie chce lecieć na ogień. Pompującym opadły ręce, strażnik oddał węża w niezawodne ręce policjanta Sapiżaka, a sam przypadł do pompy, oglądał, przysiadał, wyłaził na wierzch — ale, nic z tego, woda nie chciała lecieć. Ktoś popsuł pompę, gruchnęło w tłumie, a to skandal, gdzie burmistrz, co to za porządki — wołano głośno, wzburzenie było powszechne, zgorszenie i sarkanie na wszystko, co gminne. Aż stojący obok mnie proboszcz ks. Sadlejski przystąpił ku pompie, sięgnął ręką, zrobił obrót

jakąś mosiężną klamkę, a silna struga wody lunęła na dogasające już krokwie płonącego dachu. Poprostu otwór do węża był dotąd zamknięty. Po tłumie gruchnął szmer zadowolenia i podziw dla zdolności proboszcza. Tymczasem obok rozegrała się zajmująca scena ludowego wierzenia. Na mieszkańców sąsiedniego domu (plan p. 44) padła zrozumiała trwoga, by ogień nie przeniósł się na ich budynek. Przelęknieni domownicy otoczyli swą słomą krytą chatę, przygotowali w konewkach wodę i obrazy religijne powynosili, kładąc je na strzechę. Zauważyłem krótką jakąś między nimi naradę, poczem młoda kobieta, o ile zrozumieć mogłem synowa właściciela domu, zrzuciła z siebie całą odzież i zupełnie naga, z szybkością sarny puściła się w pogoń dookoła zagrożonego domu, aż ziemia zadudniała. Obiegła dwa razy i chciała już brać na siebie bieliznę, gdy w tem jakiś znawca krzyknął, że musi trzeci raz biegnąć, bo dwa za mało, więc zziębnięta kobieta pognała jeszcze i trzeci raz, aż dopiero potem pozwolono się jej ubrać. Co prawda, dom ich został uratowany. Tak to za moich czasów gasiło się pożar w Sołotwinie i tak zapobiegało dalszemu rozszerzaniu niszczącej pożogi.

Do portretu przyjąłem kobietę z przedmieścia Betejówki, którą powszechnie zwano Barabuszczką. Była to interesująca kobieta. Właściwie nazywała się Anna ~~Kurpiel~~ Kurpiel, zamężna, lat około 42, matka jednej dorosłej córki, kiedyś była piękną osobą, lecz niedostatek i ciężkie życie ledwie ślady jej urody pozostawiły. Miała męża lenia, pijaka,

awanturnika i marnotrawcę, gorzkie z nim miała przejścia, aż wreszcie porzucił żonę, poszedł w świat, pił, walał się pod szynkowemi ławami i prowadził życie gorszące. Tylko co rok, lub co lat kilka zaglądał do Sołotwiny, przychodził do żony, chwytał co lepszy sprzęt lub odzież, wynosił do miasta, sprzedawał i pił na umor. Nazywano go powszechnie Barabus, stąd do żony przylgnęło ~~nazwisko~~ przezwisko Barabusyczka, a biedna ta, pracowita, uczciwa i zapobiegliwa kobieta prosiła ciągle Boga, aby jej ciemiężyciel nigdy już do Sołotwiny nie powrócił. Posługiwała mi więc Anna, pracownica której robota w rękach gorzała, niestrudzona, rzetelna, cicha. Gdy Ilko wyzdrowiał, nie odprawiłem jej, bo mi żal było pozbawić jej tego drobnego dochodu, jaki odemnie miała, ale aby i wiernemu Ilkowi nie zrobić krzywdy, wymyśliłem dla niego specjalną służbę, że ma co sobotę przychodzić, zagrzać wodę i zrobić kąpiel w wannie. Robił więc to Ilko rzetelnie i bawił mię, przytem opowiadaniem. Mięszał gruntownie zimną wodę z gorącą i myśli swoje wypowiadał głośno: „ja myślę – konkludował – że sędzia jest tak uczony, że jakby chciał, to mógłby mszę odprawiać." Zapytałem go, skąd tej wiadomości zasięgnął. „A, bo ja raz słyszałem, jak pan ~~...~~ mówił z księdzem takim językiem, że tego nierozumiałem, alem sobie zaraz pomyślał, że to tak, jak ksiądz przy mszy mówi." Te i tego rodzaju myśli wypowiadał Ilko ciągle i był zadowolony, że ktoś cierpliwy go słucha, bo w domu Antosina nie chciała z nim dysputować, ale kazała drzewo rąbać, wodę nosić, okna myć itp.

Zapyta ktoś słusznie, dlaczego we wspomnieniach piszę o służących, przecież te osoby nie odgrywały żadnej roli w historji miasta i nie wyróżniały się niczem od tysiąca innych sług, pocóż więc nad nimi się rozwodzić, pisać o ich zwyczkach, losach, właściwościach. Czuję się zobowiązanym usprawiedliwić z możliwości takiego, racjonalnego w zasadzie zarzutu. Rzuciłem mały promyk światła na te osoby dlatego, aby wykazać, jak dawny, za czasów przedrozbiorowych możny stan mieszczański, później podupadł, zdrobniał, zbiedniał i poprostu mówiąc zmarniał. Dawniejsi mieszczanie, którzy na ratuszu sołotwińskim radzili, autonomicznie się rządzili, wójta z pośród siebie obierali i w r. 1663 postanowili podać prośbę do Króla Jegomości o nadanie miastu Sołotwinie alias Krasnopol prawa magdeburskiego, a mieszczanie zasobni i zamożni, żyjący dostatnio przy dobrach państwowych i przy sołotwińskiej warzelni soli, po rozbiorach Polski, po zamknięciu warzelni w r. 1788, po sprzedaży dóbr sołotwińskich niemcom, podupadli i przemienili się w tłum zubożały. Mieli tylko wspomnienia dawnych dobrych czasów, lecz z ubóstwa już się dźwignąć nie byli w stanie. Takimi jak moi służący, była znaczna przewaga mieszczan sołotwińskich, którzy współcześnie ze mną żyli. Dlatego niech nikogo nie dziwi, że poświęciłem w moich wspomnieniach specjalną wzmiankę.

*

Mieszkałem tylko rok jeden u Taubmana, potem gdy proboszcz Taciński odnowił plebanję, przeniosłem się na

probostwo, zajmując tam dnie abdikacji od strony zarządu leśnigorskiego. Pamiętam, kiedy najęci ludzie przyszli zabierać rzeczy z pokoju Taubamana, Jtko zatrzymał ich w sieni, zamknął drzwi mego pokoju na klucz i jak długi rzucił się na podłogę koło szafy. Ze zdziwieniem patrzyłem, co z tego będzie, lecz wnet zagadka się wyjaśniła, sięgnął ręką pod szafę i wyciągnął z pod niej tobołek szmat ze srebrnemi guldenami, poczem wszystko wpakował za pazuchę i wyglądał, jakby mu garb z boku wyrósł. Dopiero potem mogło się przeniesienie odbyć ~~pr~~ bez przeszkód.

*

Jak długo było lato, chodziłem codziennie na spacery, rozkoszując się piękną okolicą. Ulubionem miejscem krótszych przechadzek była dolina w paśmie górskiem Lubieńca. Przypominała do pewnego stopnia dolinę Kościeliską pod Zakopanem. Już nad Lubieńcem od zachodu wznosiła się najwyższa okoliczna góra Korzeniuczka, z której przez szkła widać było w oddali Stanisławów, odróżnić się nawet dawały ważniejsze budynki, szczególnie wieża ratuszowa i białą blachą malowany blaszany dach ormiańskiego kościoła. Poza tą górą, w dalszem jej odgałęzieniu ku stronie Kryczki, w okwarnem lecie zastaliśmy z Pakleroskim długi parów napełniony śniegiem, widocznie nigdy nie tającym.

Co niedzielę robiłem dalsze piesze wycieczki, a to do Manianej (często), na góry Krzyniecckie, nad Bystrzycą ku Kryczce, ~~itp.~~ gościńcem przez Markową, Mołotków do Hwozda itp.

Gdy jednak przyszła jesień i zima, rozrywka ta odpadła. Trapiłem się długo, co począć z wolnym czasem, bo do kasyna chodziłem bardzo rzadko. Miałem różnorodne plany. Ponieważ w gimnazjum przez pięć lat uczyłem się rysunków, chciałem z Wiednia sprowadzić wzory i poświęcić się rysunkowości kredkowej. Innym znów był plan sprowadzić francuskie książki i uczyć się języka francuskiego, bo go podówczas w naszych szkołach nie uczono. Wreszcie plan trzeci przeprowadzić dokładniejsze studjum prawa. Przemogła ta ostatnia kombinacja. Sprowadziłem system prawa Krainza, dokompletowałem tomy wykładu prawa Tilla i oddałem się studjum prawa cywilnego. Trwało to z jakie półtora roku.

Miłe miasteczko Sołotwina mniejsze było od sąsiedniej Nadwórny i skromniejsze we wyglądzie, ale za to zdrowsze, bo w Nadwórnie rożne epidemje prawie że nie wygasały. Ale Sołotwina ogromnie traciła na tem, że nie miała kolei. Około r. 1884 budowano linję kolejową ze Stanisławowa do Węgier, po drodze na tej przestrzeni było pięć miasteczek, a to: Łysiec, Bohorodczany, Sołotwina, Nadwórna i Delatyn, sam rozum dyktował, aby te przydrożne miasteczka połączone były ze światem koleją, jednak niestety, ku niepowetowanej szkodzie trzy pierwsze miasteczka zostawiono na uboczu, dopiero dwa ostatnie otrzymały kolej. Opowiadał mi stary kupiec sołotwiński Wiesner, (w rynku zamieszkały plan p. 29.), w czasie wytyczania kolei był burmistrzem, że winę tego ponoszą Liebigowie, przez swą zupełną bezczynność dopuścili do tej prawdziwej gospodarczej szkody.

Niemniej w Bohorodczanach niczego nie ~~[illegible]~~ zrobiono, a nawet pewnym wpływowym osobistościom miejscowym na rękę było, by kolej przez Bohorodczany nie szła. Wiesner ratował sytuację jeszcze w ostatniej chwili, pojechać błagać komisję wytyczającą trasę, ta jednak była już w Delatynie a sama sprawa była już przesądzoną i przegraną. Ostatecznie Sołotwina ze swojemi ogromnemi bogactwami leśnemi, z kopalniami wosku i nafty, z tartakami i handlem była pozostała na uboczu bez kolei, która poszła przez kilka pustych wsi jak Tyśmieniczany, Tarnowica i na przestrzeni Stanisławów-Nadwórna stała się linją martwą. Rzekomo względy militarne nakazywały wyznaczenie linii takiej, jak ją na wspomnianej przestrzeni wytyczono, ale późniejsza wojna światowa w latach 1914 i następnych wykazała błędne pojmowanie rzeczy, bo właśnie Sołotwina i Mołotków stały się ważnym ośrodkiem terenu wojennego i brak kolei odcinał walczące oddziały od centrów strategicznych.

*

Rzućmy teraz okiem na wygląd ówczesnego miasteczka Sołotwiny. Otóż za moich czasów centrum tego miasteczka stanowił czworoboczny rynek, brukowany odłamkami górskiemi, naokoło stały same żydowskie domy, przeważnie z drzewa, gontem kryte, kilka domów było murowanych, a jeden jedyny piątrowy (od strony zachodniej, gdzie, jak wspomniałem mieścił się Urząd podatkowy. Plan p. 26.). Także na środ=

ku rynku było kilka domów żydowskich i remiza z przyborami straży pożarnej (plan p. 45). Sołotwina miała kilkadziesiąt sklepów, t.j. korzenne, bławatne, żelazne, szklane, był nawet kupiec wód mineralnych Wiesdman. Kupcy byli wyłącznie żydzi, prócz jednego sklepu katolickiego w rogu rynku ku Zarzeczu. Było to skład wędlin. Zajmujący był widok tego rynku podczas dni jarmarcznych, jakich było kilka w roku. Kilkaset wozów zalegało całą przestrzeń, mnóstwo ludzi tłoczyło się na wszystkie strony, kupowali, sprzedawali, targowali się, nawoływali, wołali, a wreszcie zapraszali do szynku. Lubiałem przejść wtedy przez rynek, a właściwie przecisnąć przez tłum i obserwować to podniecenie, jakie malowało się na twarzach przybyszów. Dla wielu chłopków z górskich ustroni była Sołotwina jakby Paryżem, oglądali wszystko ciekawie, podziwiali nędzne wystawy sklepowe, wsłuchiwali się w jęk katarynki, kupowali losy ciągnięte przez papugę, a śpiew żebraków, opiewających dzieje św. Warwary, był dla nich tęskną, liryczną, śpiewną opowieścią, godną podziwu i rozrzewnienia. Warto było także przejść się rynkiem późnym wieczorem po takim dniu jarmarcznym. Główna część wozów już odjechała, pozostały tylko niedobitki. Tu zrozpaczona góralka pakowała na wóz swego zapomroczonego męża, sypiąc mu nauki pomięszane z wyzwiskami, tam ciągnęły dzieci jakiegoś starszego chłopa ze szynku do domu, gdzieindziej znów całowali się chłopi po kilkanaście razy, a ledwie się trzymając na nogach życzyli sobie jeszcze długie, długie lata przyjeżdżać na targi

do Sołotwiny, widzieć się, traktować i mieć się „harazd". Nazajutrz po targu kilkanaście partji zgłaszało się do sądu do oględzin lekarskich z powodu pobicia, bo nie wszyscy rozstawali się ze sobą wśród życzeń „harazdu".

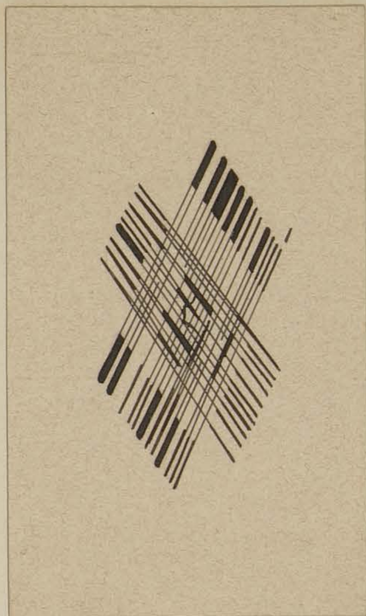
Z rynku rozbiegały się cztery główne ulice i kilka pomniejszych. Dumą Sołotwiny była ulica ku Kościołowi, sądowi i Krzyżce. W pierwszej części była ta ulica szeroką, w dalszej nieco węższą, aż wreszcie szła w pola jako droga polna. Idźmy nią od rynku ku Kościołowi. Po lewej ręce był narożny marny budyneczek, drewniany, to były kramy miejskie (około 8), najmowano je drobnym handlarzom, tu też były jatki (plan p. 9.). Dalej ładny dom żydowski (plan p. 10.) schludnie utrzymany, to siedziba żandarmerji. Obok tego mały, niski, biedny domek (plan p. 11) to mieszkanie organisty, którym za moich czasów był Szczepanik, człowiek żonaty, obarczony licznemi dziećmi, nie gardzący poczęstunkiem. Obok organistówki był plac, a na środku tegoż krzyż. Było to miejsce dawnego, wygasłego cmentarza, pośród którego stał niegdyś drewniany kościołek, podobno przez pożar zniszczony. Kiedy ten kościołek powstał, nikt nie wie, to jednak wydaje się być pewnem, że istniał co najmniej w r. 1666. Dalej na lewo widzimy czworoboczne, oparkanione miejsce zasadzone naokoło wspaniałemi dębami, które były ozdobą całego miasta. Ogromne te, rozkoszne drzewa mogły mieć około 300 lat. Mieszkając na probostwie naprzeciw wsłuchiwałem się podczas jesiennych wieczorów w poszum ich konarów i majestatyczną gwarę z wichurą, rozu-

do str. 181.

miałem stąd, jak echo tej mowy przyrody mogło w starożytności swą tajemniczą siłą pobudzić mistycznych szeptanów do wróżenia ze szumu drzew. Piękne, roste, dorodne i kochane olbrzymy stanowiły zasłonę dla kościoła, który okalały. Było także kilka dębów młodszych, liczących około 50 lat. Sam kościół pod wezwaniem św. Krzyża był drewniany, o wieżyczce na froncie, w której gnieździły się stada kawek. Kryty był gontem, mocno nadpsutym i ks. Sadlejski bardzo pragnął pokryć go ~~gontem~~ blachą, ale trudno było o fundusze. Wewnątrz skromny, miał trzy ołtarze, małżonkowie Kramerowie swoim kosztem wnętrze kościoła potynkowali. Postawił go w r. 1740 instygator Rotlewski i starosta Sołotwiński Paweł Benoe, przytem także pomnożył dotację probostwa. Co było poprzednio na tem miejscu, gdzie Benoe pobudował kościół, niewiadomo, prawdopodobnie jednak było probostwo okolone dębami, bo w każdym razie dęby są o wiele starsze niż obecny kościół, nie mający jeszcze lat 200. Obok kościoła stała drewniana, niewielka dzwonnica, której postaci nie znam z opowiadania. Dawniej kościół nie miał dzwonów. Aż oto był w Sołotwinie proboszczem ruskim ksiądz, który mocno się poróżnił ze swymi parafianami, a ci go zbojkotowali i zamiast do cerkwi, chodzili na nabożeństwa niedzielne do kościoła. Ponieważ dzwonów nie było i nieregularnie uczęszczali, dlatego złożyli się i kupili dla kościoła te dzwony, które tak ich, jak i potomnych zwoływały dźwięcznym głosem na wspólną modlitwę.

Dalej za kościołem był budynek szkoły powszechnej (plan p. 13), a w nim od strony kościoła mieszkał kierownik Gucfa,

do str. 181.



Od czasu do czasu przesuwali się przez Sołotwinę różni sztukmistrze, objeżysasi i okpiświaty. Aby nie prosić o jałmużnę ofiarowali swe usługi za marną cenę. Jakiś niemiec w r. 1901 zgłosił się do sądu i za skromny datek robił takie oto bilety wizytowe. Chcąc odczytać nazwisko, potrzeba płaszczyznę biletu ułożyć prostopadle do źrenicy.

*

a że natenczas był jeszcze bezżennym, najmował frontowy pokój kandydatowi notarjalnemu Gołogórskiemu. Szkoła miała trzy siły nauczycielskie, bo prócz Gucfy były jeszcze dwie nauczycielki, z których z jedną on się ożenił, druga zaś była córką aptekarza Hodolego.

Za szkołą był budynek urzędu gminnego (plan n. 14). Zbudowano go nowo z drzewa, gontem pokryto i oddano na użytek w r. 1900. Miał kilka obszernych ubikacji, a w nich prócz urzędu gminnego mieściły się także klasy szkolne, bo szkoła właściwa była już za małą. Pamiętam jak w roku 1900 jedną z izb tego budynku oddała gmina na parę dni przejezdnej grupce aktorów i dawano kilka sztuk, a to Matkę Szwarzenkopf, Królowę przedmieścia i niepamiętne mi inne. Chodziliśmy na to codziennie, by poprzeć tych świętych turystów, którzy aż do Sołotwiny dotarli. Na sali była swoboda, bo tylko nieliczna garstka inteligencji zajęła krzesła, byliśmy więc ~~[illegible]~~ nie krępowani. Na przedstawieniu Matki, siedzący w drugim rzędzie Sękowski wyjął z kieszonki kamizelki drobne pieniądze i począł je głośno liczyć na dłoni: 17, 18 ... 23 itd., naco sędzia Sienkiewicz głośno go strofował: „Sękowski schowaj pieniądze i siedź cicho, bo naco ma każdy zaraz się dowiedzieć, żeś pierwszy raz w życiu w teatrze!" Sękowski reagował również głośno, że już bywał w teatrze a nie jest to nic złego pieniądze porachować, przecież musi wiedzieć, ile ma przy sobie. Zrobiła się mała konsternacja i na sali i na scenie, aktorzy nieco przerwali akcję, ale wnet gra poszła normalnie dalej. Podczas przerwy opo-

wiedał ks. Głowacki, jako chodząca kronika Sołotwiny, jakto kiedyś dawniej przybyła jakaś trupa teatralna do zajazdu Grafenowej, rozgłoszono „premjerę”, publika się zebrała, po długiem czekaniu podniosła się kurtyna, poczęto grać sztukę, lecz po kilku scenach jakiś młody artysta ani ruszę nie mógł językiem obracać, bo go sołotwińskie nektary ubezwładniły. Zapadła kurtyna a z za kulis dał słyszeć głos dyrektora „ty durnia jeden” i trzask bicia. Naturalnie przedstawienie odwołano.

W tymto budynku gminnym funkcjonowała rada gminna na czele z burmistrzem. Wtedy właśnie burmistrz Hodoły zrezygnował ze swego urzędu a stale pełnił te funkcje zastępca mieszczanin Wasyl Drohobycki (mieszkał niedaleko rynku od strony Zarzecza (plan p. 46.). Miał lat około 40, brunet, z małym czarnym wąsikiem, ubrany zwykle w gorsie z krajowego czarnego, wełnianego sukna, we wysokich butach z wysokiemi obcasami, starannie zawsze czystych, chodził drobnym a prędkim kroczkiem, jak gdyby nogi miał spętane. Mówił tylko po rusku, krótkiemi, urywanemi zdaniami, a gdy się do niego mówiło, zdawał się każde zasłyszane słowo pochłaniać i w myśli przetwarzać, jakby sam w sobie wmawiał: bery Petre na rozum. Personal urzędu gminnego był nieliczny, zaledwie kilka osób, było dziś mi niepamiętnych, ale utkwił mi w pamięci policjant gminny Sapiżak. Był on niełada jaką osobistością w Sołotwinie. Ubrany zawsze w uniform, chłop wysoki, barczysty, z małym wąsem lecz silnie granatowym nosem i obrzękłem obliczem. Miewał często pragnienie a jasne chwile

napełniały mu duszę, gdy je zaspokoił. Szczególnie był szczęśliwym, gdy nadszedł jarmark lub gdy zaprowadzono kontumację na psy. Podczas jarmarku szedł Sapiżak po szynkach i kontrolował czy niema nadużyć i czy żydzi nie rozpijają narodu. Wtedy każdy szynkarz potraktował stróża bezpieczeństwa publicznego silną z mocną i bułką ze śledziem. Nim Sapiżak obszedł połowę szynków, dalej już nie mógł ani językiem obracać, ani na nogach się utrzymać. Siadał w ostatnim kontrolowanym przez siebie szynku, ogarniał go słodki sen i budził się dopiero następnego poranka, już po targu. Niemniej ważną funkcją Sapiżaka było przeprowadzenie kontumacji na psy, gdy w okolicy pojawiła się wścieklizna. Był nakaz ze Starostwa zabijać wszystkie wolno biegające psy. Sapiżak brał magistracką strzelbę na plecy i wychodził na rynek, rozglądając się za jakim nieszczęśliwym pieskiem, czyli ramię władzy poczęło działać. Wreszcie gdzieś na skręcie ulicy pokazał się jakiś wygłodniały psina, szukając po śmieciach odpadków z pomyj i kości, które go miały wyratować od głodowej śmierci. Wtedy Sapiżak zmierzał się, strzelał a biedne zwierzę wśród żałosnego jęczenia i mąk życie oddawało. Na odgłos strzału zbiegało się więcej ludzi, a widząc co się dzieje, ten i ów obawiał się o swego pieska. Brał więc Sapiżaka do najbliższego szynku, tłumaczył mu jak jego pies wygląda, prosił o protekcję i względy i traktował arakiem. Przysiadał się do nich drugi i trzeci a Sapiżak udobruchany, po kilku takich arakach ~~że~~ ledwie się na nogach trzymając szedł dalej na polowanie, ale wtedy o celności mowy być nie mogło,

dawał tylko koncert dla gawiedzi, urągającej z jego uchybień. Pod wieczór, kosząc nogami powracał do urzędu gminnego. Tak trwało to ze dwa tygodnie nim kontumacyę odwołano, a Sapiżak przez ten czas pił na umor a strzelał w prawo i w lewo i do cudów zaliczyć można, że nie było postrzelenia ludzi.

Dalej w tej ulicy naprzeciw wylotu rynkowego stał duży budynek zarządu dóbr Liebigowskich (plan p. 15.). Dom stary, obszerny, o długim szeregu okien, z ogromnym dachem, jakby mniszym kapturem. Dom ten, jak i inne obok niego na tym gruncie położone pochodzić miały jeszcze z czasów polskich przedrozbiorowych.

Wróćmy jednak znów do rynku a stąd idźmy znów tęsamą ulicą na zachód tj. ku sądowi, abyśmy poznali, jakie domostwa były po prawej ręce. Stał tu dom rzeźnika Sobla (plan p. 16.) gdzie mieszkali w zachodniej połowie dwaj urzędnicy podatkowi Malcharek i Markiewicz. Dalej było probostwo łaciń[s]kie (plan p. 17.). Na froncie był duży dom murowany, blachą kryty, biało bielony. Przed około 20 laty spłonęło probostwo, gdyż spalił się dach na niem a jako ślad tego pokazywały się z pod bielidła ścian gdzieniegdzie czarne zacieki, pochodzące z wody spływającej ongiś przy ratowaniu pożaru. W tym domu frontowym od strony rynku mieszkał proboszcz, od strony zarządu dóbr mieszkałem ja. Przed domem probostwa był ogródek kwiatowy mocno zaniedbany. Od ulicy sztachetki drewniane, zbutwiałe, chyliły się niemal ku upadkowi. Dalej był piękny dom zarządcy dóbr Liebigowskich (plan p. 18), miał ganek z krytą szklaną werandą, a na jego

frontowej ścianie od zewnątrz widniały wspaniałe rogi jelenie. Za tym domem łamała się ulica i pierwszy dalszy dom na prawo, to była apteka a zarazem mieszkanie aptekarza Hodolego (plan p. 19.). Niedużý domek, zawsze starannie wybielony, przed nim mały ogródek kwiatowy i niskie sztachetki z furtką. Apteka mieściła się w środkowym pokoju, tuż naprzeciw furtki, resztę materjałów leczniczych miał aptekarz w sąsiednim pokoju. Dalej na prawo w tej ulicy były domy towarzystwa naftowego, które się zwało: Karpackie towarzystwo naftowe, dawniej Mac Garvey i Spółka (plan p. 20). Dyrektorem tegoż był Jerzy Kaufman, na pół anglik, na pół niemiec, blondyn, wysoki, o jednem szklanem oku, rodem z Meelborn w Australji, dwukrotnie żonaty, ojciec dwojga dzieci, umysł bystry, zapobiegliwy, sprytny. Nie kupował niczego w kraju, do najmniejszego gwoździa, papieru, pióra, wszystko sprowadzał z Anglii.

Dalej na prawo był mały dom z werandą oszkloną, własność Rudnickiego z Jabłonki, w nim mieszkał sędzia Koprowski i poborca podatkowy Świdowski (plan p. 21.).

Za tym domem był słynny dom leśniczego Szupika (plan p. 22) w którym mieściło się za moich czasów kasyno. Dom tedy, nowy, obszerny, budowany silnie i z doborowego materjału. – Za kasynem były domki mieszczańskie, których właściciele w swoim czasie zacięcie się procesowali (plan 22a.), dalej była poprzeczna uliczka na przedm. Betejówka, a za nią w dużym domu, słomą krytym (plan p. 23) mieszkał szwagier

ks. Głowackiego malarz cerkiewny Köfer, cała to rodzina to ludzie spokojni, uczciwi, Bogu ducha winni. Za nim stał dom murowany notarjusz Friedman (plan p. 24.), a dalej był ostatni dom starej panny Zaorskiej (lub Zahorskiej), która mieszkała z matką wdową (plan p. 24a.). Za tym domem był duży ogród a za nim szła na prawo wiecznie błotnista uliczka na cmentarz miejscowy nieopodal Bystrzycy położony. Na samym końcu tej ulicy były zabudowania zarządu dóbr liebigowskich, i tam mieszkał kontrolor Anderka. W oddali za Anderką, po prawej stronie nad rzeką, był plac mocno chwastami i drobną wikliną porosły, a na nim spróchniałe szczątki dawnego tartaku, który tu istniał do roku mniej więcej 1860.

Po lewej ręce głównej ulicy ku Kryszce, niemal naprzeciw kasyna u Szupika były budynki sądowe, własność Liebiega. Sąd i mieszkanie naczelnika sądu mieściły się w piętrowym głównym domu (25a.) obok stał parterowy dom mieszczący więzienie, mieszkanie nadzorcy więzienia (woźny Saluk) i urząd hipoteczny (25b) dalej ~~stajni~~ była stajnia (25c) i drewutnia (25d). Na ogrodzie sądowym zaczęto w r. 1902 budować osobny dom dla naczelnika sądu (25e) jednakże gdy odjeżdżałem, nie był jeszcze ukończony. Za sądem w kierunku ku Kryszce były obszerne łąki liebigowskie na końcu zaś tej ulicy było domostwo starszego brata kościelnego Starzyka, a z nim razem mieszkał syn, prowadzący proceder osadzania rogów jelenich z czaszką na dębowej podstawie. Ostatni dom na lewo zajęty był przez Straż skarbową.

Po skończeniu ulicy otwierała się śliczna duża łąka, zasłana barwnem, bujnem, rozkosznem kwieciem. Pośród niej stało około sześć do osiem dużych drzew, zdaje się wierzb, a na nich rokrocznie gnieździły się bociany, licznie w tych miejscach przebywające. Wyszedłszy za miasto ku wspomnianej łące można było dalej iść w trojakim kierunku, albo, albo we wąwóz Lubieńca, ~~bądź~~ albo prosto drożyną polną ku wsi Kryczce, albo wreszcie nad kręte brzegi wartkiej, czystej, malowniczej Bystrzycy. Ile razy tędy za miasto wyszedłem, zawsze w tych okolicach odkrywałem nowe piękno, wiosna tu trwała dłużej niż wszędzie a tchnienie świeżości orzeźwiało duszę. Po odjeździe ze Sołotwiny nieraz tęskniłem za pięknem tych stron i w duszy je odtwarzałem.

Chcąc dalej poznać ówczesne miasto Sołotwinę, musimy znowu powrócić do jego ośrodka tj. do rynku. Z rynku wejdźmy na ulicę ku Markowej. Zaraz na rogu rynku i ulicy, po lewej ręce był duży dom Taubmana (plan p. 27), w którym pierwotnie przez rok mieszkałem, zaś po prawej ręce były Kramy miejskie (plan p. 9.), następnie dom Jarana (pp. 8), słynny zajazd Szaferowej (pp. 7) a nad samym potokiem po prawej ręce mieszkał notarjusz Hładziński (pp. 6.), po lewej zaś lekarz dr. Seller ~~(pp. 46)~~, zanim nie kupił własnego domu (pp. ~~46~~ 42.). Za potoczkiem szła droga w górę, po jednej i drugiej stronie były domy i domki bądź żydowskie bądź chrześcijańskie, między niemi na lewo (idąc ku Markowej) nowo zbudowany ładny dom szkoły fundacji br. Hirscha (pp. 4.), której kierownikiem był młody nauczyciel Margules. Po prawej ręce duży dom z ganeczkiem na słupkach (pp 1.) to poczta

i mieszkanie poczmistrza Kality. Dalej były jeszcze domki i ~~teg~~ tędy szło się do Markowej i Maniawy.

Następna ulica z rynku ku Manasterczanom miała od strony rynku do cerkwi prawie same żydowskie domy, między nimi po prawej stronie była szynkownia, niejako minjatura oberży Szaferowej dla chłopów, dalej szło ruskie probostwo (pp. 31.) i cerkiew parafialna (pp. 32.). Za czasów polskich były trzy cerkwie ruskie tj. ta właśnie pod wezwaniem Narodzenia N.M.P., drewniana z r. 1775 z metrykami od r. 1698, druga w pobliżu pod wezwaniem św. Mikołaja z metrykami od r. 1711, wreszcie cerkiew Uśpienia NMP. z metrykami od r. 1707, ale ta cerkiew już nie istniała. Dawniej w czasach przedrozbiorowych proboszczami byli mieszczanie sołotwińscy, lecz wszyscy biedowali. Po rozbiorze Polski rząd austrjacki postanowił, że ma być tylko jeden proboszcz ruski, a będzie nim ten, który dwóch innych przeżyje. Przeżył wszystkich proboszcz przy cerkwi obok ulicy manasterczańskiej i od r. 1799 jest on proboszczem ogólnym i jedynym.

Już za cerkwią był mały domek (pp. 33), miał okna na poprzek pozabijane deskami (gwoli niepłacenia podatku), zaniedbany, na strzesze rosły burzany i mech puszysty. To był domek słynnej pieniaczki procesowej Konkolniakowej. Wdowa ta niezgodliwa, dziwaczka, na pół obłąkana, wychudzona, zbiedniała i niezmiernie gadatliwa opuszczoną została przez wszystkie dzieci, które w świat poszły, bo nie mogły z nią mieszkać pod jednym dachem. Ale sądu była ona nieszczęściem, plagą i przedmiotem licznych aktów urzędowych. Z tejto sołotwińskiej rodziny Konkolniaków pochodził znany lekarz stanisławowski dr. Konkolniak.

W dalszym ciągu tej ulicy schodziło się na lewo w małą uliczkę ku rzeźni miejskiej, przy której mieszkał we własnym domu oficjał sądu Kobzej (pp. 35), a naprzeciw (mieszkał) w mieszczańskim exprofesor i kancelista Dozorców (pp. 34.). Na końcu tej ulicy za małym parowem była drewniana rzeźnia miejska.

Z rynku w kącie południowo-wschodnim była mała uliczka a przy niej stała druga cerkiew drewniana (pp. 36.), w której co kilka niedziel naprzemian odprawiał nabożeństwo ks. Głowacki. Za cerkwią był ładny dom Czarneckiego (pp. 37.).

Silnie uczęszczaną arterją była ulica idąca z rynku na Zarzecze. Wzdłuż niej po obu stronach stały same żydowskie domy, których dużą połać po prawej stronie zgorzała na wiosnę 1899 r. W bocznej uliczce na lewo była ładna realność wiceburmistrza Wasyla Drohobyckiego (pp. 46). Dawniej szło się tą główną ulicą z rynku aż do mostu po równym terenie. Dopiero powódź w lecie 1901 przerznęła jedno ramię rzeki Bystrzycy bliżej miasta (w miejsce oznaczone na planie liczbą 40), wskutek czego powiat zbudował mały most na odnodze (następnie wyższej), (jak plan p. 41.). Pamiętna to była powódź, choć zdarzały się także jeszcze większe w latach poprzednich. Było to lato, dłuższe deszcze spowodowały wezbranie potoków, wskutek czego Bystrzyca wylała. Z godziny na godzinę słyszało się, że woda już zalała tę lub ową część, że ci a ci już z domów pouciekali do wyżej położonych domostw, niepokoiło to każdego i szerzyło popłoch. Odnośnie do siebie sądziłem, że do mojej siedziby na probostwie chyba woda nigdy nie dojdzie. A przecież stało się inaczej. Oto

jednego poranka posłyszałem ruch na probostwie, wyszedłem z domu i zobaczyłem, że przez ogród księży od strony Betejówki przedarła się już woda aż na podwórze pomiędzy gospodarcze budynki probostwa. Jeszcze jeden dzień, a pisłyśmy ją mieli w izbach mieszkalnych. Ale na szczęście był to już najwyższy stan wody, potem zaczęła się cofać. Chcąc mieć szerszy widok na wezbraną rzekę, wyszedłem na górę poza miasto od strony Markowej i zobaczyłem ogromne rozlanie się rzeki po całej dolinie, fale były gliniastego koloru i unosiły dużo belek, drzew wyrwanych z konarami, tał itp, wszystko sunęło ze szumem, ogromną siłą, wśród spienionych, wywracających się fal. A wśród wodnej ciszy prócz szumu rzeki słychać było charakterystyczny turkot toczonych po dnie rzeki głazów, zupełnie podobny do zbliżającego się pociągu ciężarowego. Wtedy to właśnie główny prąd rzeki zatkał przepust pod mostem zarzeckim gałęziami i unoszonemi drzewami, wskutek czego fala rzeczna wyżłobiła sobie nowe łożysko tuż popod domy przedmiejskie (plan p. 40.).

Tak był krótki opis śródmieścia Sołotwiny tak, jak je widziałem w latach 1899 – 1902.

Zróbmy teraz krótki przegląd ludności.

*

Za moich czasów żyli w Sołotwinie ludzie wszelkich stanów i zawodów zgodnie i wśród znośnych warunków. W dnie powszednie miasto było ciche, niemal puste, ludzie bowiem oddani byli pracy w polu, w domu, w warsztacie lub urzędzie. Dopiero w niedzielę rojno było i gwarno. Na rynku

stało dużo ludzi gwarząc, dopóki ich dzwon nie wezwał na nabożeństwo, koło kościoła i cerkwi ruch był wzmożony, popołudniu po nieszporach znowu tłumy ludzi schodziły się na rynku, starsi mówili spokojniej, młodsi bardziej głośno, wszakże rynek to było otwarte kasyno i plac zabaw tudzież arena konkurów młodzieży mieszczańskiej. A pośród tych tłumów wyróżniały się dziewczęta sołotwińskie z żółtemi jak jaskry chusteczkami na głowach. Barwa ta była w Sołotwinie tradycją uświęcona i trwale modna.

Mieszczan w ścisłem tego słowa znaczeniu w Sołotwinie nie było, prócz kilku zaledwie rodzin. Przeważał typ pośredni, mieszanina mieszczańsko-chłopska, i to więcej chłopska już niż mieszczańska. Oni stanowili rdzeń ludności miejscowej. Polaków było w mieście niewiele, może jakich 200 osób, resztę stanowili rusini i żydzi. Zgoda narodowa była naśladowania godna a jej ośrodkiem i podstawą było ~~[illegible]~~ zgodliwe pożycie obu proboszczów. Rolnictwo i wypas bydła były podstawowem i przeważnem zatrudnieniem mieszkańców. Żydzi trudnili się handlem a wielu z nich wzbogaciło się na lichwie, ale ostatecznie to da się powiedzieć, że owo wzbogacenie się nie było rażące i nadmierne i lichwa nie zakorzeniła się zbyt głęboko. Rzemiosło stało nisko. Było kilku szewców, stolarz, introligator, krawiec komiczny żyd zwany „bezpejsyk" z pliszami powypadałych włosów na głowie, a sztuczne pejsy miał przeszyte do jarmarki. Fryzjer żyd mieszkał w rynku, o nim

opowiadał mi sędzia Korszeniowski, że widział jak po ostrzyżeniu jakiegoś eleganta mieszczańskiego, przed ostatecznem uczesaniem skrapiał mu włosy wodą sodową, szprycowaną ze syfonu wprost na głowę. Starzyk na oprawione rogi jelenie miał wielki popyt a popularny Mikulak na Zarzeczu był introligatorem kowalem i ślusarzem. Na Zarzeczu była fabryka karuzeli, rzadko kiedy w ruchu, ale zato niemile woniejąca cały rok.

*

Za moich czasów żył oryginalny człowiek w Sokalszczyźnie. Gdy się szło ulicą lub rynkiem, nieraz gdzieś z pomiędzy żydowskich domów i stajen wychodził wysoki chłop, obdarty, zaniedbany, z wzrokiem na pół dzikim i nawoływał po ruskiu klaszcząc w dłonie: hej służba, zaprzęgać konie! A karetę tę złoconą ~~wyciąg~~ wyciągnąć, pan jedzie na spacer! Futro dajcie to atłasowe! I znów znikał w jakiejś szopie. Innym znów razem wołał: otwierajcie bramę, wielmożny pan jedzie! Kolację gotować na 25 gości! itp. Żył z noszenia żydom wody i z rąbania drzewa. Sypiał po stajniach, żył jak Łazarz, czynił wrażenie człowieka zdziczałego, był jednak nieszczęśliwym. To był chłop pochodzący z Gorochowa, Petro Werkalec, warjat nieszkodliwy, nieszczęsna istota. Miał urojenia, że jest magnatem, ma służbę i konie, ubiory i dworzan, a jego pałacami są owe żydowskie stodoły, po których się tułał. Pewnego wieczora rozbolały mię zęby, nikogo koło mnie nie było, wyszedłem z mieszkania i zobaczyłem Werkalca. Posłałem go do apteki po lek, zalecając by prędko wracał. Pamiętam, jak Werkalec dał susa, zupełnie jak

górski jeleń spłoszony. Wnet był z lekarstwem w domu, za co go wynagrodziłem. Odtąd, ile razy Werkalec zobaczył mię idącego, stawał na brzegu ulicy, resztki swego ~~kapelusza~~ kapelusza brał pod pachę, chwytał się jedną ręką za twarz, jak to czyni człowiek, którego zęby bolą, chcąc mi przypomnieć swoją przysługę w czasie cierpienia, drugą rękę wyciągał po datek, a otrzymawszy go, szedł wprost do najbliższego szynku. Raz w zimie podczas większego mrozu, zamarzł ten urojony magnat w jakiejś stajni żydowskiej, a ks. Głozacki pochował go statecznie a bezpłatnie.

*

W Sądzie miałem dział spadkowo-opiekuńczy, bardzo lubiałem te agendy, bo odpowiadały mojemu usposobieniu. Stąd też znałem cały powiat.

Do sądu należało 18 gmin tabularnych, na co było nas pięciu sędziów. Po krótce wspomnę, co o tych gminach zapamiętałem.

1. Sołotwina ze Zarzeczem, podmiejską gminą o ludności jednolitej z miastem, z nią też tworzyła jedną gminę tabularną. Zarzecze miało jednak osobny zarząd gminny. Za polskich przedrozbiorowych czasów zwało się Zarzeczką.

2. Dźwiniacz z kopalniami nafty i wosku ziemnego.

3. Starunia, duża gmina. Tam rozpoczęto eksploatację wosku ziemnego na wielką skalę i przytem około roku 1910 przy biciu jednego szybu znaleziono wspaniałe okazy archaicznych dwóch zwierząt, a to nosorożca włochatego ze skórą i ciałem, kości i skórę z mamuta. Zwierzęta te potopiły się w bagnie

naftowem a pochodziły z czasu cieplejszego klimatu w Małopolsce. Skóra tych zwierząt porosła była lśniącą sierścią, doskonale zachowaną, kości były całe a nosorożec wydobyty z ziemi i w specjalnym baraku rozłożony na stole, wywoływał na pierwsze spojrzenie złudę zwierza śpiącego. Odnośna kopalnia wosku była własnością OO. Dominikanów w Bohorodczanach, dzierżawioną przez firmę niemiecką. Kierownikiem technicznym tej kopalni był inżynier Kiełanowski, a dyrektorem administracyjnym zięć Jurana, kupca sołotwińskiego, znany tu powszechnie Jakób Kriegel. O wspaniałe okazy przedpotopowej fauny ubiegali się Anglicy, ale uprzedził ich Dzieduszycki i za sumę 10.000 koron austr. kupił od Kriegla wykopane zwierzęta i umieścił je w znanem Muzeum Dzieduszyckich, w nagrodę zaś wystarał się dla Kriegla o tytuł „radcy cesarskiego". Kriegel mieszkał w Sołotwinie przy drodze manasterczańskiej tuż naprzeciw ruskiego probostwa. Z okazji tego tytułu powstała wkrótce w Sołotwinie anegdota, jak zapewniano prawdziwa. Jakiś zamiejscowy interesant przybył do domu Kriegla i zapytał posługującego: „czy jest pan radca cesarski w domu?" Służący odpowiedział, że nie ma. „A pani radczyni cesarska jest". Na to znów służący odrzekł „niema bo cała rodzina cesarska poszła na spacer." Ponieważ miejscowi chłopi objawiali zamiary rozcinania okazałej skóry tych zwierząt na chodaki, ustawiono przy baraku straż i żandarmi dniem i nocą pilnowali ich całości aż do czasu wywiezienia do Lwowa. Starunia miała cerkiew i parafię unicką, w tym czasie po śmierci ks. Hordyńskiego wakowało miejsce proboszcza, a administra-

134a

wawe awantury strajkowe w Dźwiniaczu

spad uzbrojonych robotników na kopalnię. — Zacięta walka z policją. — Zabici i ranni. w Grudniu 1926 roku.

Warszawy telefonuje nasz korespondent (A.): winiaczu, w powiecie bohorodczańskim w. województwie Stanisławowskiem, przyszło do krwawego starcia policji z tłumem strajkujących robotni-

[redacted]

1946

podpisany.

Z Genewy donosi (PAT): Polska i litewska delegacja Czerwonego Krzyża obradowały tutaj nad **zwolnieniem więźniów politycznych na Litwie i w Polsce i zakończyły swoje prace podpisaniem paktu,** w którym zawarte są propozycje **zwolnienia według listy imiennej 23 więźniów z każdej strony. Listy nie obejmują oskarżonych o zdradę stanu i szpiegostwo.**

likierem. Po wypiciu jednego kieliszka młoda n... żonka zasnęła tak twardym snem, iż nie wiedzie... co się z nią dzieje. Gdy odzyskała przytomn... stwierdziła **brak męża i woreczka z całym posagi...** Kabat żegluje rzekomo w kierunku Argenty...

Wachmistrz gdańskiej policji złodzie...

Z Gdańska telefonuje (B.): Od dłuższego cz... w konsumie spożywczym policji gdańskiej popeł... no **systematycznie kradzieże.** Na podstawie dłuż...

[redacted]

184c

v tamiejszych kopalni wosku. Kopalnia należy
towarzystwa węgierskiego „Ozykerek", trwa w
j od miesiąca strajk robotników na tle ekono-
znem. Robotnicy w liczbie 150 osób zażądali
wyżki płac. Pertraktacje z dyrekcją kopalni, pó-
nowane i zrywane, trwały z przerwami od dłuż-
go czasu. Dnia 19 b. m. dyrekcja kopalni wy-
siła zawiadomienie, że nie mogąc przyjąć żądań
otniczych, zwalnia wszystkich z pracy. Dyrekcja
owadziła kilkanastu robotników z Borysławia i
chomiła kopalnię. Wywołało to wśród robotni-
v strajkujących ogromne wzburzenie.

)nia 20 b. m. przybyła do dyrekcji delegacja
ijkujących z żądaniem wstrzymania pracy w ko-
ni lub wydalenia robotników borysławskich. Dy-
cja żądaniu temu odmówiła. Wówczas strajku-
udali się do kopalni, aby siłą zagwoździć szyb,
yczem pobili do krwi jednego z pracujących ro-
ników. Wezwana policja aresztowała głównego
wcę awantury, robotnika Wielucha, i odstawiła
do sądu powiatowego w Sołotwinie. Równocze-
oddział, złożony z kilkunastu policjantów, objął
ż nad kopalnią.

ąd powiatowy w Sołotwinie wypuścił niebawem
lucha na wolność. Przybywszy do Dźwiniacza,
luch stanął na czele wzburzonych robotników
szedł z nimi do kopalni. Gdy wysłana do dyrek-
jeszcze jedna delegacja wróciła z niczem, tłum
jkujących,

uzbrojonych w pałki, łomy żelazne kamienie, uderzył na policjantów,

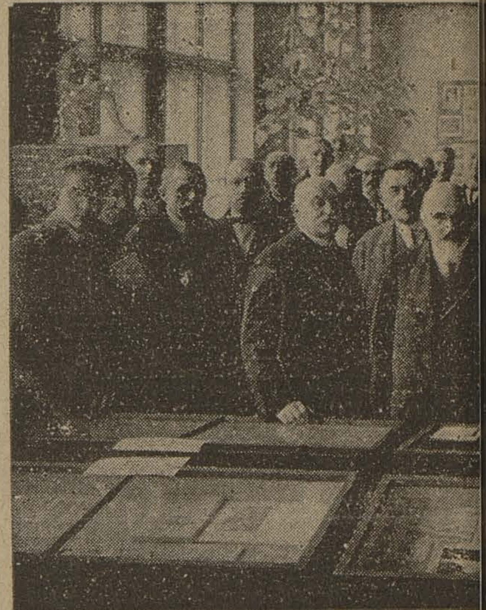
ujących kopalni. Komendant oddziału policyj-
białą bronią zmusił do cofnięcia się części
ujących robotników. Druga część jednak, zasi-
napływającą ze wsi pomocą, zmusiła policję
ucieczki. Pod gradem kamieni, uderzeniami ło-
żelaznych i kijów, oddział policjantów schro-
się do zabudowań kopalnianych. Tłum osaczył
ynek i przypuścił do szturm. Wyłamawszy
i boczne i okna, wtargnął do wnętrza.

wiązała się zajadła, okrutna i krwawa walka,

tórej 5 policjantów zostało rannych. Wobec tego
endant oddziału wydał rozkaz użycia broni pal-
Rozpoczął się ogień karabinowy. Zabici zostali
tnicy: Semen Karabinowicz, Wasyl Drebola i
yl Dyżurak. Ciężko ranni zostali robotnicy: Wa-
Stefaniszyn, Stefan Pasieczny, Jur Głodan, Piotr
manin, Dymitr Feniak i trzej nieznani z na-
ka robotnicy. Z policjantów są ciężko ranni:
ndant Tomasz Sirko, przodownicy: Paweł Raj-
Henryk Krupolt, Chemik i Zubrzycki. Pozatem
vno wśród robotników, jak i wśród pozostałych
antów, jest łącznie około 20 osób lżej rannych.
tych wypadkach robotnicy odbyli jeszcze wiec,
tórym postanowili na policji i na dyrekcji po-
śmierć swych towarzyszy.
Dźwiniacza przybył silny oddział policyjny.

1942

Wystawa druków k...



(—). W ubiegłym tygodniu otwarto w krakow... krakowskich z ostatnich trzech lat. Na otwar... żek, drukarzy, znawców sztuki i bibljotekar... otwarcia wystawy; na pierwszym planie stoi ... Muzeum Techn.-Przemysłowego, p. Witkiewic...

p. ...

194 e

Uspokojenie.

Z Warszawy telefonuje (A.): W związku z krwawemi zajściami na Podkarpaciu, zjechała z województwa Stanisławowskiego do Dźwiniacza **komisja z prokuratorem**, starostą z Bohorodczan, komisarzem policji, dla **przeprowadzenia śledztwa. Na razie nie został nikt aresztowany.**

Noc minęła w spokoju. Do Dźwiniacza zostały sprowadzone jedynie wzmocnione posterunki policyjne. Ministerstwo spraw wewnętrznych nie wysłało na miejsce wypadku specjalnej komisji śledczej, gdyż otrzymało **uspokojające relacje.**

nafta
sce.
zacha
cjaln
spojr
była
wione
tej
straci

1934

Z G
gacja
nienie
sce i
w któr
listy i
nie ob
gostwo



194f

...Handlu, Przemysłu, Rzemiosł...
2597k i Rolnictwa
wraz z w. m. Gdańskiem
Wydawnictwo **T-wa Reklamy Międzynarodowej, Sp. z o. o.**
Jen. rpr. RUDOLF MOSSE, Warszawa, ul. Marszałkowska L. 124
to mur, o który oprzeć się musi każde przedsiębiorstwo
Do nabycia w księgarniach i u wydawcy. Przedstaw.
R. Kirschówna, Kraków, Zyblikiewicza 16. Telef. 7213

pytał
Strag
jest
cesar
ki cz
dark
mocą
Starn
ks. J

torem był ks. Alimurka.

4. Żurawki ładna wieś, przecięta Bystrzycą na dwie części. Ludność jej była wcale zamożna a kobiety przystojne. Długie lata był wójtem Karpowicz-Drohomirecki, po nim, po burzliwych walkach wyborczych ambitny chłop Jurko Matluk, wierny obraz Władysława Łokietka ze znanych portretów królewskich Matejki. W tej wsi było dość polaków i od wieków była zgoda, aż na proboszcza ruskiego przyszedł młodzieniaszek ks. Androchowicz, który tę zgodę począł burzyć, a był to pierwszy ksiądz ruski, na którego narzekał Łaciński proboszcz ze Sołotwiny ks. Sadlejski. W Żurawkach wzniesiono kościółek łaciński, a bliższe szczegóły tej budowy zawarte są w opisie sędziego Smolnickiego, w ciągu dalszym tego opowiadania.

5. Rosulna, duża, ładna, bogata wioska, dawniej miała hutę szklaną. Proboszczem ruskim był ks. Krzeczkowski, znany na całą okolicę znawca dogmatyki katolickiej i prawa kościelnego, stąd w różnych wątpliwościach proboszczowie udawali się do niego o poradę naukową. W Rosulni była poczta, a gdy po wojnie światowej Sołotwina niemal zupełnie była zburzona, przez jakiś czas urzędował sąd sołotwiński w Rosulnie.

6. Kosmacz, niedużа wioska, przytulona do malowniczego pasma górskiego. Proboszczem ruskim był celebs ks. Stratyński, człowiek starszy, zagrożony utratą wzroku.

7. Rakowiec, górna podmiejska, niejako przedłużenie Zarzecza. Proboszczem ruskim był ks. Bilinkiewicz.

8. Krzywiec miał ludność ubogą ale bardzo uczciwą.

obok Krzyżca wznoszą się dwie góry o kształcie kopców, jak dwie bliźniacze siostrzyce, widne zdala, nęcące przechodnia, odcięte od reszty Karpat Bystrzycą, jak dwie sieroty odłączone od macierzy.

9. Bogrówka, bardzo uboga gmina, o niewygasającym niemal tyfusie głodowym.

10. Jabłonka ładna podgórska wiorka. Proboszczem jej był ks. Rudnicki, twardy rusin, owdowiał za moich czasów i odtąd życie jego było złamane.

11. Porohy, duża, bogata wieś, powstała podobno z osiedlenia jeńców tatarskich. Miała tartak parowy, drugi tartak wodny, pocztę i parafię ruską. Proboszczem jej był ks. Halikowski, człowiek starszy, miły i uprzejmy. Porohy zasunięte są w głąb Karpat, zdala od zgiełku świata, stąd przychodziły stamtąd typy godne fotografowania. Pamiętam jak raz prowadziłem dochodzenia karne o kłusownictwo jeleni, przyszedł chłop stary, lat przeszło 60, Werkalec, pierwszy kłusownik na całej tej połaci Karpat. Twarz ogorzała i ziemista, brwi jak dwa skrzydła ptasie, oczy z blaskiem mieszkańca stepów, koszula niezapinana pod szyją, tak iż całe spieczone żarem słonecznym piersi kosmate a szerokie były otwarte, pas duży skórzany, sandały na nogach – zdawało mi się, że mam przed sobą słowianina z czasów wędrówek narodów. A takich Werkalców były w górach setki. Wśród karpackich gór porohowskich najwyższą była Sywula, pokryta do maja śniegiem, panowała nad całą okolicą.

12. Kryczka, uboga gmina, ludność w pracy zaczerniała, pola były gliniaste i moczarowate a podzielone na tak drobne cząsteczki, że już nie można było tego na mapie katastralnej uwidocznić. Proboszczem był młody ks. Hordyński, człowiek cichy i powszechnie lubiany.

13. Maniawa nad rzeczką Maniawką. Pasmo gór tuż obok tej gminy zwało się Skitem, a w nim były ruiny dawnego ruskiego prawosławnego klasztoru, skasowanego na początku 19go wieku. Ruiny zachowały się dość dobrze, szczególnie brama wjazdowa, która była ~~zarazem~~ zarazem dzwonnicą. Na jej zewnętrznej stronie jeszcze były widne dwa malowane obrazy świętych a na wewnętrznej napis cyrylicą: siaja kołokolnia postawlena... rok jednak z tynkiem odpadł. Dalej stały nagie, mniej lub więcej zniszczone mury z szarego kamienia z trzech budowli. Za klasztorem był bardzo piękny las a ścieżynka na lewo wiodła do źródła, które według podania leczyło oczy. Ruiny klasztoru i cały Skit były przedmiotem licznych zwiedzań wycieczkowych. Niejedną niedzielę przepędziłem w tem przepięknem zaciszu Karpackiem. W roku 1900 był u nas na lustracji sądu prezydent Sahanek ze Stanisławowa. Po godzinach urzędowych pojechaliśmy z nim do Maniawy i tam na polanie pomiędzy górami, w cieniu świerków i w kryształecznym powietrzu spoczęliśmy. Sahanek bardzo był zadowolony, rozgadał się, chwalił to miłe uroczę, mówił że zawsze lubi tę górską miejscinę i jej okolicę, że tu go słońce ożywia i sił dodaje. Szczególnie ubawił wtedy Sahanka nasz kolega

Korszewicz, opowiadając o swoim poborze do wojska, jak chciał koniecznie w armii austrjackiej służyć, ale komisja żadną miarą nie chciała go uznać za zdatnego do służby. Dalsza wycieczka w Maniawie prowadziła do wodospadu na Maniawce w głębi gór. I byłoto najpiękniejsze miejsce z okolicy Sołotwiny. Gdy się tam przybyło, nie chciało się wracać. Był nawet w Maniawie przewodnik, młody chłop, brunet, przyjemny w mowie i obejściu, Wasyl, znany powszechnie pod mianem kaprala, bo ten dzięki swoich krajanów dosłużył się przy wojsku tego stopnia, wynosząc się temsamem ponad poziom reszty hucułów. Proboszczem w Maniawie był ks. Tadeusz Lewicki, rezerwowy oficer, żonaty z siostrą ks. Karola z Bitkowa. Żona jednak odumarła go, Lewicki pochował ją nie na cmentarzu wiejskim, ale na dziedzińcu cerkiewnym tuż przed cerkwią po lewej stronie, zagradzając sztachetkami miejsce także dla siebie. Prawdopodobnie jednak tu nie spoczął. Lewicki był człowiekiem popędliwym i czasem burzliwym, to znów zmieniał się, był miękkim jak wosk, czułym, dobrotliwym, skłonnym do wylania, a nadto jako strona dodatnia cechowała go szczera gościnność, z czego też słynął na całą okolicę. Był mistrzem gry w karty i lubiał szeroką zabawę, toteż był częstym a głośnym gościem w kasynie sołotwińskiem, a nie rzadko się zdarzało, że dopiero rano ze Sołotwiny do ~~domu~~ domu powracał. Miał dwóch synów. Kiedy starszego żenił, pojechał z nim do domu narzeczonej na umówiony dzień ślubu. Lewicki zażądał od przyszłego teścia wypłaty umówionego posagu,

a gdy ów nieszczęsny nie mógł wszystkiego naraz wypłacić, Lewicki zirytowany zabrał syna i odjechał do Maniawy, pozostawiając narzeczoną i jej rodzinę wraz z weselnymi ~~gośćmi~~ gośćmi w jak najprzykrzejszem zafrasowaniu. Przed wojną należała Maniawa do bardzo spokojnych gmin, po wojnie światowej wzmógł się duch wojowniczy wszędzie, a i Maniawa nie pozostała w tyle, jak oto wskazuje następująca notatka dziennikarska z roku 1927

Zbuntowani chłopi ukraińscy

spalili posterunek policji i zabudowania parafjalne.

Lwów, 16 listopada. 1927. We wsi Maniawa koło Nadwórny w województwie stanisławowskiem wybuchł zatarg między tamtejszą ludnością ukraińską a posterunkiem policji. Kilku agitatorów zdołało do tego stopnia podburzyć mieszkańców, że na dany znak podpalono budynek, w którym mieści się posterunek.

W podpalonym budynku znajdował się komendant posterunku Machnowski i jeden posterunkowy.

W ostatniej chwili udało im się wymknąć z płonącego domu i dotrzeć do oddalonej o 7 kilometrów Sołotwiny.

Natychmiast wszczęto alarm i zawiadomiono policję wojewódzką i szefa bezpieczeństwa w Stanisławowie.

W ciągu krótkiego czasu komenda policji zmobilizowała samochody, któremi do wsi Maniawa przywieziono 50 policjantów i kilku oficerów policji.

W chwili, gdy ekspedycja wjeżdżała do wsi, płonęły już także zabudowania parafjalne, na które przerzucił się ogień z posterunku policji. Policja zaprowadziła porządek i aresztowała głównych podpalaczy i awanturników.

14 Markowa, dawna ładna wioska tuż pod Sołotwiną, nad rzeczką Maniawką. U wchodu do Markowej od strony Sołotwiny był cmentarz, a gdy się wieczorem stanęło na gościńcu na wyżynie obok cmentarza, widać było jasny obłok w kierunku północnym na krańcach horyzontu. To widniały łukowe lampy na kolejowym dworcu w Stanisławowie. Nadto nadmienię, że według podania miał słynny watażka górski Dobosz, grasując w tej okolicy, zakopać

jakieś skarby wśród drzew po drugiej stronie gościńca naprzeciw tego cmentarza. Za czasów przedrozbiorowych należała Markowa do starostwa halickiego, była miasteczkiem i miała warzelnie soli. Pod koniec XVIII stulecia spadła jednak do rzędu wsi.

15. Babcze, uboga wieś pomieszczona w parowie górskim. Proboszczem wraz z Babczem, do którego należała także Markowa był ks. Mogilnicki, starszy już człowiek, lubiący opowiadać dawne dzieje. Jako oryginalny fakt podnoszę, że ten proboszcz 12 morgów gruntu parafialnego wydzierżawiał chłopu za konewkę czereśni rocznie. Pochodziło to stąd, że ta przestrzeń gruntu zastana była samemi skałami i wyrwiskami niedostępnemi. A że we wsi tylko ten jeden chłop posiadał kozy, które jeszcze i na tych urwiskach znalazły sobie mchy do skubania, więc wypędzał je tam w lecie i za to dawał proboszczowi konewkę czereśni. Obaj byli zadowoleni.

16. Mołotków, ładna schludna mieścinka gminna przy gościńcu nadwórniańskim. Mały mająteczek miała tu pani Matkowska. Proboszczem był ks. Sadowski, miał dość liczną rodzinę, dzieci swoich do szkół ludowych nie posyłał, ale wszystkie w domu sam uczył, stąd przez kilkanaście lat miał w domu własną szkołę. Mołotków zwany był za czasów przedrozbiorowych Mołodkową, a także Słobódką, był od r. 1658 miasteczkiem i miał w r. 1661 sześćdziesięciu wolnych mieszkańców. Były tu warzelnie soli. W sto lat później Mołotków był już tylko wsią. Podczas wojny światowej stał się Mołotków głośnym, odznaczyły się tu legiony polskie

w bohaterskich walkach z Rosjanami, dlategoteż przy grobie Nieznanego Żołnierza na Placu Saskim w Warszawie prócz innych pól chwały wymieniono także: Mołotków 29. października 1914. Odnośnie do nabycia Mołotkowa przez Matkowskich napisał mi radca Tomek co następuje: „Gdy przybyłem do Sołotwiny (1896) — pisze on w swoich dopiskach — właścicielem Mołotkowa była firma żydowska ze Lwowa, która miała w sąsiednim Hwoździe fabrykę parkietów. Zarządcą był niejaki Chajes. Mołotków sprzedała pani Pieńczykowskiej i Mołotkowem zarządzał Zyblikiewicz, bratanek długoletniego prezydenta miasta Krakowa, a później marszałka krajowego. Potem kupili Mołotków Matkowscy. Stary Matkowski był człowiekiem pojedynczym, rusinem, wzbogaconym na nafcie w Borysławiu. Posłał 18 letnią córkę do konwiktu Niedziałkowskiej we Lwowie celem wykształcenia. Miała konkurentów o rękę bardzo wiele. Stary Matkowski jednak się nie spieszył, bo życzył sobie sędziego na zięcia, gdy tymczasem starał się o rękę bankowiec. Jednakże wyszła istotnie za mąż za sędziego Kaizera, późniejszego prezydenta sądu w Wadowicach."

17. <u>Bitków</u>, zapadła gmina z ludnością stoczoną przez brzydką chorobę, naniesioną tu przez wojska austrjackie podczas letnich ćwiczeń. W Bitkowie były kopalnie nafty z pierwszorzędną benzyną. Gmina uboga, górska, ludność wcale dzika, skłonna do pijaństwa, podobno pochodziła z osiedlenia jeńców wołoskich. Ruskim proboszczem był ks. Korol, pochodzący z rodziny, która w tym czasie brała czynny a ruchliwy udział w życiu politycznem ruskiem.

18 Manasterczany podmiejska gmina, dość zamożna. Wójtem w niej niemal dożywotnim był Oleksa Kricak, chłop rozumny a energiczny. Miał silny autorytet w gminie. Proboszczem ruskim był ks. Procyk, miły i uprzejmy człowiek. Śpiewał pięknym tenorem.

*

Było mi w Sołotwinie bardzo dobrze a tylko to jedno dokuczało, że miejscowość ta odcięta była niemal od reszty świata wskutek braku kolei. Dlatego począłem się starać o przeniesienie bliżej ~~świata~~ arterji komunikacyjnych, aby mieć dogodniejsze połączenie z Europą. W lecie 1902 pojechałem na wakacje z lekarzem sołotwińskim dr. Sellerem do Karlsbadu. Ale nie jechaliśmy wprost. Najpierw udaliśmy się przez Oderberg, Wrocław do Berlina i tu zabawiliśmy 3 dni, mieszkając w Central-Hotelu przy Friedrichstrasse. Seller znał już Berlin, przy jego pomocy i wskazówkach zwiedziliśmy wszystko, co można było w tym krótkim przeciągu czasu zobaczyć. Stamtąd udaliśmy się do Karlsbadu, gdzie bawiliśmy na leczeniu 3 tygodnie. Następnie pojechaliśmy na dwa dni do Wiednia, a dopiero stamtąd powróciliśmy do Sołotwiny. Wyczerpałem się był z pieniędzy gruntownie i musiałem się ograniczyć w dalszych wydatkach. Gdy niebawem po powrocie pewnego dnia we wrześniu 1902 szedłem sołotwińskim rynkiem ku Zarzeczu ze sędzią Koprowskim, zobaczyliśmy zdala naszego najmłodszego kolegę sędziego Gamotę. Miał w ręce jakiś ~~nor~~ papier i dawał nim

znaki, byśmy się zatrzymali. Gdyśmy się z nim złączyli, okazał nam list od swego szwagra Jankiewicza ze Lwowa, który mu donosił, że jestem zaproponowany na przeniesienie do Halicza. Sam w pierwszej chwili nie wiedziałem, czy mam się cieszyć, czy smucić. W każdym razie list ten był zwiastunem mego niedalekiego rozstania się ze Sołotwiną na zawsze.



Marjan Ostrowski
sędzia spadkowy i opiekuńczy
w Sołotwinie w latach 1899-1902.

Począłem się przygotowywać do wyjazdu, nakładając przedewszystkiem pracę, by mojemu następcy nie zostawić żadnych zaległości. Niebawem przeniesienie zostało wydrukowane w dzienniku urzędowym. Pojechałem najpierw do Halicza w celach wyszukania mieszkania. Odpytałem tam znajomego ze Lwowa sędziego Niementowskiego, wynalazłem mieszkanie, byłem zeń wielce niezadowolony, ale przynajmniej było gdzie na razie rzeczy złożyć. Zasłyszałem, jakie są stosunki w tamtejszym sądzie, a nie były szczególne, owszem nawet wiele do życzenia pozostawiały. Powróciłem do Sołotwiny niezbyt

zadowolony, ale zapóźno o tem było przemyśliwać. Trzeba było prędko kroczyć naprzód. Począłem się żegnać z mojemi ulubionemi spacerowemi, wszędzie jeszcze raz poszedłem, jakbym chciał ich obraz wryć głęboko w duszę, żegnałem się i z ludźmi dobrymi, ściskałem na pożegnanie ich dłonie przyjazne, na jakimś koncercie w kasynie zagrano mi i zaśpiewano znaną pieśń: Góralu, czy ci nie żal opuszczać strony rodzinne! a w istocie był mi szczery żal opuszczać Sołotwinę, jej malownicze wąwozy, rozkoszne góry, kręte ścieżyny spacerowe i żegnać na zawsze uczciwych i dobrych ludzi. Żałowałem ją, ale dość było i takich, którzy ze mną się żyli i niemniej szczerze żałowali naszego rozstania.

Nadszedł dzień odjazdu. W dzień poprzedni wynalazł mi exburmistrz Wiesner furę na rzeczy, zajął się ich załadowaniem i te odeszły naprzód kołową drogą wprost do Halicza, ja zaś pojechałem następnie koleją. Zajechał wczesnym ranem w dzień październikowy 1902 przed probostwo nieoceniony Kupczak ze swoim zgrabnym wózkiem, wnet znalazły się moje walizki na koźle i ruszyliśmy w drogę. Rzuciłem jeszcze raz okiem na białe mury probostwa i na okna mego pomieszkania i na kościołek drewniany, ostoniety dębami, coś mi jakby szeptało natarczywie: pożegnaj na zawsze te miejsca twoich szczęśliwych dni młodych, już ich nigdy, nigdy nie zobaczysz, nie wróci krasa przeżytych chwil, nie wróci nigdy. Bo wiosna życia jest tylko jedna. Żal mi ścisnął serce, wózek ruszył z miejsca i poturkotał po kamiennym bruku rynku sołotwińskiego. Zamykał się znowu jeden okres mego życia. Wracałem w głąb kraju jakby z wycieczki

górskiej, pełen wspomnień miłych, przejęty pięknością przyrody, nasycony jej czarem i tchnieniem wiośnianem. Tak, wszakże całe życie nasze jest tylko epizodem i wycieczką.

Jechaliśmy przez Manasterczany, Żurawki ku Bohorodczanom. I potrzeba było przejechać owych siedm rzek i siedm gór (coprawda ~~niewielkich~~ niewielkich), nim się pod Bohorodczanami dojechało do gościńca. Ale o ile do Sołotwiny jechałem z uśmiechem i radością, o tyle po czterech niemal latach wracałem z niej w usposobieniu posępnem, bo mi jej żal było prawdziwy a szczery. I jak przy wjeździe w te strony wiosna była w rozkwicie i krasie, o tyle teraz dmuchał za mną chłodny jesienny wiatr podgórski, tłukąc się po czarnych, nagich konarach drzew i miotając pożółkłem listowiem. A dziś niotrzane rozkoszne góry Krzywieckie i płaska Korzeniówka i w srebrnym czepcu spowita Sywula patrzały ciągle na mnie ze swych odwiecznych stanowisk, jakby z wyrzutem, żem porzucił ich krasę i poszedł dla czarnego, niemiłego kopciu lokomotywy. Im dalej jechałem, tem góry sołotwińskie stawały się mniejsze i niższe, aż zlały się wreszcie z linją horyzontu. Gdym wjechał na płaszczyznę stanisławowską, widziałem je z oddali znowu pokryte tąsamą sinawą powłoką, jak za czasów studenckich i znowu wyrywała się z moich piersi tęsknota do nich, jak ongiś przed laty. Pożegnałem je na zawsze. Dziś mogę je tylko odtwarzać w duszy, a zarazem darzyć pamięcią tych ludzi, którzy razem ze mną w przyjaźni i zażyłości wśród tych okolic górskich

przeżyli kilka lat swobodnych, spokojnych, niezapomnianych. Bo w Sołotwinie wszystkim nam było dobrze i wszystko jak w rodzinie.

Dodatki do wspomnień o Sołotwinie.

W roku 1925, a więc w 23 lat po moim odjeździe ze Sołotwiny, pytałem sędziego Smolnickiego, jak się następnie w tem mieście ułożyło życie. Dołączam autograf jego listu z daty Brzeżany 4. lipca 1925 a zarazem przepisuję tu poniżej zajmujący dopisek tego sędziego o Sołotwinie z czasów od roku 1902 do 1922.

Oto, co pisze sędzia Karol Smolnicki:

Życie towarzyskie i społeczne w Sołotwinie biegło nadal tymsamym trybem, jak poprzednio zostało opisane, koncentrowało się w Kasynie z wszystkimi dotychczasowymi zwyczajami. Wkrótce jednak, gdy zespół inteligencji polskiej nieco się powiększył, poczęto w gronie poważniejszych, nie gustujących w banalnych rozrywkach kasynowych myśleć o skromnej bodaj działalności społecznej, oświatowej i narodowej. Zapatrywania te zdrowe i szlachetne zostały niebawem w czyn wprowadzone. Powołano do życia Towarzystwo Szkoły Ludowej, otworzono Czytelnię Ludową w domu Taubmana, w niej schodzili się wieczorami mieszczanie i rzemieślnicy, czytali dzienniki i książki, gwarzyli przyjacielsko i zabawiali się

statecznie. W czasie wizytacji kanonicznej odwiedził ks. Arcybiskup Bilczewski czytelnię, był z niej bardzo zadowolony i zachęcał obecnych tam członków do pilnego odwiedzania jej i korzystania z pracy oświatowej i kulturalnej zakładu. Gdy rezultat zabiegów Towarzystwa Szkoły Ludowej i Czytelni okazał się nader pomyślny i dla sprawy narodowej doniosłego znaczenia, wywierając widoczny wpływ dobroczynny, podjęto dalsze starania dla założenia „Sokoła". Myśl podjęta z entuzjazmem w krótkim czasie urzeczywistniła się, zapał był tak wielki, że w niedługim stosunkowo czasie zebrano ze składek fundusz na budowę domu sokolego. Zarząd dóbr Liebiga, pod wpływem opinji publicznej odstąpił na ten cel jeden morg łąki przy drodze do Kryczki, naprzeciw drogi prowadzącej do cmentarza i Bystrzycy, w pobliżu domu Starzyka i tam zbudowano okazały dom drewniany, obszerny, na fundamentach murowanych, o kilku wygodnych ubikacjach i przestronną wysoką salą, z dwoma pokojami na piąterku. Sokół i czytelnia Towarzystwa szkoły ludowej miały tam bardzo wygodne pomieszczenie, a także Kasyno tam się przeniosło i od tego czasu zachowanie członków Kasyna było jakoś poważniejsze i kulturalniejsze. W tym czasie rozwinęły się bardzo wydatnie kopalnie nafty w Tustanowicach(?) w Bitkowie i wosku ziemnego w Staruni. Liczne grono inżynierów kopalnianych, wiertniczych i sztygarów odwiedzało Sołotwinę, przystępowali tak do Kasyna, w którem mogli się posilić i rozerwać, jakoteż do czytelni i Sokoła. Życie towarzyskie rozwinęło się i biegło już statecznie w Sołotwinie. Często

urządzano poważne zabawy towarzyskie, odczyty, koncerty itp. Rozbudzone życie intelektualne szukało dalszego, szerszego pola działania.

W niedaleko od Sołotwiny położonych gminach: Staruni i Żurakach mieszkali od dawna osiadli tam włościanie polacy, rzymsko-katolickiej religii, chodaczkowi szlachcice, ukrywający w głębi skrzyń swoich przodków dyplomy nadania szlachectwa. Nazwiska ich miały czysto polskie brzmienie, jak Drohomireccy, Kaczkowscy, Kornijo, Smolniccy, Szymonowscy, Jaryczkowscy, Wyszyńscy itp. w liczbie około 400 dusz. Oprócz zewnętrznej przynależności do parafii łacińskiej i owych dyplomów tudzież nazwisk, wszystko inne, co polskie było dla nich obce, mowy ruskiej używali we wszystkich stosunkach wyłącznie, w kościele sołotwińskim widywano ich rzadko i to tylko niektórych a zaprowadzili u siebie zwyczaje ruskie tak dalece, że brali nawet udział w zebraniach „Siczy", wiecach i zebraniach ukraińskich, należeli do bractw cerkiewnych i piastowali w nich godności, które im chętnie powierzano w celach ruszczenia. Otóż w zorganizowanych i ruchliwych Towarzystwach Szkoły Ludowej i Sokoła postanowiono zabrać się do intenzywnej pracy nad uświadomieniem narodowem tych polskich, lecz zupełnie zruszczonych włościan. W debatach nad planem działania przyszło się do przekonania, że należy działać w dwu kierunkach: 1) zaspakajania potrzeb religijnych w obrządku łacińskim i 2) szerzenia oświaty, nauczania w języku polskim, zachęty i zbliżania się polskiej inteligencji. Czynności te podjęto równocześnie. Otwarto w domu

Wincentego Jaryczkowskiego (odziedziczonym po znanym częściowym właścicielu dóbr Wesselym) filję czytelni, przy każdej nadarzonej sposobności przybywali do Staruni i Żurak delegaci Szkoły Ludowej i Sokoła, dla tem skuteczniejszego poparcia pracy sprowadzono ze Stanisławowa prelegentów z obrazami świetlnymi z dziejów ojczystych, urządzano odczyty a także przyzwoite zabawy wiejskie, nie szczędzono trudów i wydatków dla nauczania dzieci polskich, bardzo często wyjeżdżały do Staruni i Żurak panie w celu udzielania nauki dzieciom polskim (Smolnicka i Zofia Hodolówna najczęściej).

Równocześnie rozpoczęto zapomocą gorących odezw zbierać składki na budowę Kościoła dla ludności polskiej w Staruni i Żurakach. Zapał inteligencji w tej pracy był rzeczywiście spontaniczny. Częściowy właściciel Staruni Lityński, radca Dyrekcji skarbowej w Stanisławowie odstąpił pod budowę Kościoła kawałek gruntu, leżącego na samem pograniczu obydwóch wsi Staruni i Żurak, gdzie granice tych gmin schodzą się od strony Manasterczan w pobliżu starego folwarku i domu Jaryczkowskiego, w którym mieściła się czytelnia. Wysoka płaszczyzna, dominująca nad okolicą, z której wspaniały widok roztaczał się na góry, doliny i rzeki sołotwińskie, była wymarzonem miejscem dla budowy Kościoła. W miarę wpływu składek przygotowywano materjały budowlane. Włościanie staruńscy i żuraccy porwani przykładem swych inteligentnych przewodników, wyłamali i na miejsce zwieźli kamień z kamieniołomu OO. dominikanów. Następnie

zwieziono wapno z Górki Stanisławowskiej. W czasie tych przygotowań zmarł ks. Sadlejski a następcą po nim został ks. Jarek. W cegielni bohorodczańskiej wypalono specjalną cegłę. W braku funduszów praca szła powoli lecz nieustannie. Od czasu powzięcia zamiaru do zupełnego ukończenia budowy upłynęło lat sześć. Murarze stanisławowscy wykończyli mury, cieśla sołotwiński ukończył wiązania dachu, które cynkową blachą pokrył blacharz stanisławowski, a ołtarz wykonano w pracowni stolarskiej w Stanisławowie. Na budowę bardzo so- ~~lidn~~ lidną i wspaniale wyglądającą wydano w gotówce tylko 12.000 koron. Każdy z rzemieślników i włościan przyczynił się włas- ną pracą ochotnie do dzieła. W lecie 1914 była już budowa w zu- pełności ukończona, zaprojektowaliśmy uroczyste poświęcenie domu bożego na dzień 8 września 1914, na któryto uro- czystość zapowiedział przyjazd ks. Arcybiskup Bilczewski. Niestety (a właściwie dla nas szczęśliwie) wybuchła wojna i za- mierzona uroczystość się nie odbyła. W styczniu 1922, gdy ze spalonego przez moskali domu w Sołotwinie z reszt- kami mienia przenieśliśmy się do Żurek i zamieszkali w do- mu Jarycz Kowskiego, odbyło się skromne, ciche a rozrzewnia- jące poświęcenie kościoła i pierwsza msza św. w nim odprawiona przez ks. Sorysa, przysłanego ze Lwowa na zastępstwo uwięzio- nego przez rosjan proboszcza ks. Jarka. Kościół ten w bu- rzy wojennej ocalał i jak osobiście sprawdziłem, odwie- dzając tamte strony w r. 1922 pozostał nietknięty, oprócz nieznacznych uszkodzeń i dominuje wspaniale na swej wyżynie, otoczony zielenią świerków i modrzewi, które

sam jeszcze zasadziłem.

Szlachetna praca, przedsięwzięta i z prawdziwym zapałem dokonana przez szczupłe grono sołotwińskiej inteligencji, wydała wspaniałe owoce, włościaństwo polskie w Staruni i Żurakach uświadomiło się narodowo, zawiązało braterskie stosunki z mieszczaństwem, dochrobiło się swoim kościołem i czytelnią, poczuło się w duchu polskiem, szczycąc się swoją narodowością.

Gdy w roku 1922 odwiedzałem Sołotwinę, Starunię i Żuraki, spostrzegłem z przerażeniem pewien upadek tego ducha. Mieszczaństwo sołotwińskie znękane wojną, zupełną ruiną miasta, włościaństwo opuszczone przez inteligencję, złożoną ze samych prawie rusinów, nie doznające z nikąd pomocy i opieki, upada na duchu a ten wzniosły zapał, jaki u nich panował przed wojną, zniknął lub osłabł. Czy jeszcze kiedy obudzony zostanie — Bogu wiadomo. Posiane ziarno świadomości narodowej wkorzeniło się przecież głęboko w sercach i umysłach włościan i dlatego spodziewać się można, że przy zmianie obecnych stosunków i przyjaźniejszych dla ludności polskiej konjunkturach, zwłaszcza przy zmianie osobowego składu sołotwińskiego sądu, dawna tradycja polskości w umysłach polskich włościan w Starunii i Żurakach odżyje.

Tyle mi napisał sędzia Smolnicki.

W czasie wojny światowej 1914 – 1918 Sołotwina prawie całkiem została zniszczona, piękne domostwa poszły w gruzy

zamarło szczęśliwe życie mieszkańców tego miasta. Tensam sędzia Smolnicki, jako naoczny świadek tych zgliszcz powojennych, tak mi je w liście z 19. maja 1925 pokrótce opisał:

„W lecie 1922 odwiedziłem drukrotnie Sołotwinę, aby wziąć udział w poświęceniu kościoła w Żurawkach, którego budowa była celem moich starań i zabiegów. Wrażenie odniosłem przykre: oprócz wszystkich świątyń, plebanij i kilku zaledwie domów, cała mieścina i budynki dworskie w gruzach, mieszkańcy siedzą w skleconych naprędce budach, z dawnych znajomych, zaledwie kilka osób tam pozostało."

*

Chcąc jak najwięcej zasięgnąć wiadomości o Sołotwinie i ująć je w pisane słowo, odnalazłem ks. Józefa Jarka, mojego dawnego kolegę szkolnego a byłego proboszcza sołotwińskiego i na moje pytanie, tak mi swoje wspomnienia z czasów pobytu w Sołotwinie pokrótce spisał:

„Rosochowaciec p. Denysów ad Tarnopol
12. XII. 1925

„Wielmożny Panie Prezesie a właściwiej Kochany Kolego!
„Za list serdecznie dziękuję, sprawił mi prawdziwą radość. Odpowiadam w krótkości. W Sołotwinie byłem proboszczem 17 lat. Po swojem tam przybyciu odrestaurowałem kościół zupełnie zewnątrz i wewnątrz, tak że kto nie znał dawniej tego kościoła, myślał teraz, że to kościół murowany i tak też pisano o tem w dziennikach „z drewnianego kościoła zrobił kościół murowany". Malowidło było i jest wspaniałe, mimo

burz wojennych. Probostwo również odrestaurowałem (piece kaflowe, kanalizacja), budynki gospodarcze nowe. Te ostatnie podzieliły los całej Sołotwiny, zostały spalone przez moskali. Z miasteczka nie pozostał kamień na kamieniu, ocalały tylko cudem kościół i probostwo, w części uszkodzone. Ja na pierwszy ogień w r. 1914 w listopadzie, a to dnia 21^go^ zostałem porwany przez sotnię kozaków i postawiony przed sąd polowy rosyjski 22. listopada w Nadwórnie, gdzie dla mnie postawiono szubienicę między domami żydowskimi. Zażądałem słowami: powieście mię na rynku, publicznie a nie między budami żydowskiemi, aby cały świat wiedział, jacy wy łotry jesteście!" To moje ostatnie a stanowcze słowo otrzeźwiło generała rosyjskiego i skazał mię na Syberję w Irkucku. Siedziałem w 20 kryminałach, a w czasie rewolucji rosyjskiej, po wygłoszeniu trzech mów piorunujących na zebraniach kilku tysięcy polaków, umknąłem, a potem wyrwałem z Rosji i dostałem się do ojczyzny, gdzie w lasach za Nadworną ukrywałem się przed moskalami aż do ich kompletnej porażki. Zdradzili mię rusini za pomoc udzieloną duchowo i materjalnie legionistom. Odnowiłem znów kościół i probostwo. Parafia moja miała do 5000 dusz. W r. 1924 poprosiłem o wikarego, którego umieściłem 1 września w Bitkowie z 3600 dusz, a sam podałem się na Rosochowaciec. W r. 1923 dnia 18 lutego miałem pogrzeb w Bitkowie a 19 lutego byłem u wojewody w Stanisławowie w sprawie zamianowania komisarza miasta. Przeziębiłem się, ścisnęła mię grypa straszna, w czasie której 7. marca, wśród 40 stopni gorączki, udałem się do umie-

rującego Kastorego a trzeciego dnia pochowałem go mimo sprzeciwu całej inteligencji. Odtąd powietrze sołotwińskie było za ostre dla mnie. Kaszel dobijał mię. Skutków grypy sztuka lekarska jeszcze nie umie leczyć. Wskutek różnych doświadczeń i prób udało mi się spreparować mixtum, które istotnie dodatnio działa na moją chorobę, która mię do rozpaczy doprowadzała. Pracy mam bardzo dużo, o pomoc trudno z braku kapłanów. Może później podam się na inne beneficium w stronach Stanisławowa.

W roku 1919 w lutym, znów zbrodniarze domowi postawili mię przed sądem swoim polowym z powodu niepuszczenia swej młodzieży do wojska ukraińskiego. Powiedziałem im słowa prawdy: Polska jest, była i będzie, a Wilson nie obiecał Ukrainy! Kubczak był przewodniczącym, zasądzili mię. Powiedziałem im, będąc gotowym na śmierć: gdy nasze wojska polskie tu przyjdą, wszystkich was (sędziów), powieszą za mnie. Dreszcze wszystkich brały. Po 2 miesiącach zniesiono wyrok, gdy pod Lwowem w wielką sobotę rusini dostali pranie. Opuściłem więzienie i cudem się uratowałem. Uciekający ukraińcy mieli zamordować mnie, sędziego Paszkowskiego, Guc-[?]ę i Teichmana nauczycieli. W nocy 20 czerwca 1919 zorganizowałem młodzież, uzbroił w karabiny a 21. czerwca 1919 odebraliśmy na rynku dwa auta ukraińcom. Tyle koler przechodziłem.–

Ksiądz Sadlejski umarł wskutek starości. Z inteligencji dawnej nie ma śladu. Ks. Głowacki umarł nagle, ks. Rudnicki Nestor z Jabłonki umarł w r. 1924., ks. Lewicki

ej

e, jak
prasie
elacyj
y sto-
pol-
, wy-
Miński
arty-
rjałów
ranicę,
o tam
ie, a-
omuni-
posel-
w po-
erjału,
anty-
boty.
a jako
„Ko-
znym"

stom",
Mopr"
li dla

ie...
gicznie
wspo-
manso-
przy-
unisty-
strony

PARAGRAF 19. 214a

Zdziczenie ruskiego księdza.

Z powodu artykułu pod powyższym tytułem, ogłoszonego w Nr. 48 z dnia 18 lutego br. naszego pisma, nadsyła nam ks. Iwan Romanowski, gr. kat. proboszcz w Denysowie, na podstawie przepisu § 19 ustawy prasowej następujące sprostowanie:

Nieprawdą jest, bym bił lub pobił polskie dzieci za regularne uczęszczanie na naukę religji obrządku rzymsko-kat. w szkole powszechnej w Denysowie, a tembardziej, bym to zrobił dnia 11 lutego 1926, kiedy nie byłem wogóle dnia tego w szkole powszechnej w Denysowie, a chociaż byłbym obecny, to nie mogłem pobić dzieci szkolnych obrządku rzym. kat., uczęszczających do szkoły powszechnej w Denysowie, gdyż dzieci szkolne tejże szkoły obrządku rzym. kat. od dnia 15 listopada 1925 nie są nigdy obecne na nauce religji obrządku gr. kat. Nieprawdą jest, jakobym kiedykolwiek w swojem życiu pobił jakie dzieci szkolne i to do sińców. Nieprawdą jest, jakoby kiedykolwiek, a specjalnie dnia 11 lutego 1926 r., w pół godziny po mojej nauce religji przybył do szkoły powszechnej w Denysowie ks. kanonik Jarek z Rosochowaćca i by był witany przez polską dziatwę szkolną wśród głośnego płaczu i by wtedy dowiedział się o całem zajściu, i by po

Dodatek do przeżyć b. sołotwińskiego proboszcza. –

óreg
a. -
. H
zwł
lo I
adek

WIERSZEM.

2146

Refleksje po wyborze Hartglasa

Codzień z uciechą czytaliśmy w
[„Chwili“
O tem, że w żydach duch jest niespo-
[kojny —
Im trzeba kłótni: z Polską się kłócili,
A w końcu z sobą sami wiedli wojny.

Teraz zwijają swe bojowe żagle,
Bo najciemniejsza z Ruchli dziś i z Sur
[wie:
Wojna ta skończyć musiała się nagle,
Gdyż żyd żydowi nigdy łba nie urwie.

Janek.

Wiadomości bieżące.

Lwów, 6 marca 1926.

TEATR WIELKI.

Sobota 6 bm. o godz. 4 popoł. „Zaklęte trzewiczki“. Przedstawienie dla młodzieży szkolnej. — O godz. 7.30 wiecz. „Janek“— „Verbum Nobile“.

Niedziela 7 bm. o godz. 12 w południe Misterjum Narodowe, urządzone staraniem Tow. Mogił P. B. — O godz 3 popoł. „Carmen“ ceny zniżone popołudniowe. — O godz 7.30 wiecz. „Kredowe Koło“.

Poniedziałek 8 bm. „Nietoperz“.

TEATR NOWOŚCI.

Sobota 6 bm. o godz. 3.30 popoł. „Gdybym chciała“.. Ceny zniżone popoł. — O godz. 7.30 wiecz. ...

Rudnicki Nestor z Jabłonki umarł w r. 1924. , ks. Lewicki

214c

uspokojeniu się dziatwy, przystąpił pobity chłopiec Mikołaj Kręcigłowa do ks. Jareka i pokazał mu sińce za uszami i dodał „mój tato Polak i ja jestem Polak“ i by ks. Jarek uspokoił dziatwę i pokazał na swojem ciele jeszcze dziś widoczne znaki obicia kolbami przez hajdamaków w więzieniu stanisławowskiem w 1919 r. i zachęcił ją do wytrwania w wierze ojców. Nieprawdą jest, jakobym pobił do sińców ucznia szkoły powszechnej w Denysowie Mikołaja Kręcigłowę i by tenże uczeń Mikołaj Kręcigłowa był obrządku rzym. kat. i Polakiem. — Prawdą natomiast jest, że całe zajście opisane w Nr. 48 dziennika „Słowo Polskie“ z 18 lutego 1926 pod tytułem „Zdziczenie ruskiego księdza“, jest w całości nieprawdziwe, jakoteż prawdą jest, że wspomniany wyżej uczeń szkoły powszechnej w Denysowie pow. Tarnopol Mikołaj Kręcigłowa jest obrządku grecko-katolickiego, narodowości ukraińskiej i jest wpisany w metrykach chrztu i urodzeń gr. kat. parafii w Denysowie. (—) Ks. Iwan Romanowski, gr. kat. proboszcz w Denysowie.

Umieszczając z nakazu ustawy powyższe sprostowanie nadmieniamy, że przeciw ks. Romanowskiemu toczy się śledztwo dyscyplinarne i karnę i w oświetleniu dotychczasowych wyników śledztwa nie mamy powodu cofać niczego z naszej poprzedniej wiadomości. Sprostowanie ks. Romanowskiego nie jest zgodne z prawdą.

rojącego [redacted]
sprzeci [redacted]
było cz [redacted]
sztuka [redacted]
doświad [redacted]
istotn [redacted]
rozpac [redacted]
trudn [redacted]
inne [redacted]

stawili [redacted]
ozonią [redacted]
im st [redacted]
cał Uk [redacted]
Pośród [redacted]
polsk [redacted]
dreszcz [redacted]
gdy p [redacted]
Opuś [redacted]
ińcy [redacted]
ją i [redacted]
zowat [redacted]
brali [redacted]
tem. [redacted]

gji d [redacted]
Rud [redacted]

ja...“

2140

Niedziela 7 bm o godz. 3.30 popoł. „Uriel Akosta“, ceny zniżone popołudniowe. — O godz. 7.30 wiecz. „Marjetta“.

Poniedziałek 8 bm. „Pan Naczelnik — to ja..“

TEATR MAŁY.

Sobota o godz. 7.30 „Świt, dzień i noc“ (z pp. Łozińską i Orzechowskim).

Niedziela o godz. 4 popoł. „Hau-Hau“ (z dyr. Czarnowskim w roli głównej). — Ceny popularne.

Niedziela o godz. 7.30 „Świt, dzień i noc“ z pp. Łozińską i Orzechowskim.

— **Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych** (Muzeum Przemysłowe, brama od ul. Dzieduszyckich) wystawa J. Fałata, M. Ruzamskiego i P. Wygrzywalskiego.

— **Koncert spacerowy** z podwieczorkiem urządza Komitet pań na cele dobroczynne w sali Ratuszowej w niedzielę 7 bm. Początek o godz. 6 w. Przegrywać będzie orkiestra 26. pułku utwory koncertowe. — Ładne fanty do wygrania — Wstęp 1 zł.

1865

— **Teatr Wielki** powtarza dziś na popoł. przedstawienie bajkę sceniczną „Zaklęte trzewiczki“. — Wieczorem ukażą się polskie arcydzieła operowe „Janek“ Wł. Żeleńskiego i „Verbum Nobile“ St. Moniuszki.

— **Teatr Nowości** daje dziś popołudniu lekką komedję Geraldy'ego „Gdybym chciała“... — Wieczorem najświeższa nowość repertuaru, farsa „Pan Naczelnik — to ja..“

— **Misterjum Narodowe,** organizowane staraniem Tow. Mogił P. B., zostanie powtórzone w niedzielę w Teatrze Wielkim, o godz. 12-tej w południe. Sprzedaż biletów w kasach Teatru Wielkiego i miastowej.

— **„Czarne Róże“** efektowna operetka Goetzego, ukaże się po raz pierwszy we

w Tallerhofie. Radca Smolnicki, mój przyjaciel jest w Brzeżanach przy sądzie okręgowym. Suroniecki, kierownik kopalni w Dźwiniaczu umarł w r. 1918. Grögler umarł r. 1917, Szupikowie w r. 1918. – Sołotwina zupełnie upadła. Usunąłem się trochę od świata. Później chętnie będę służył dalszemi informacjami.

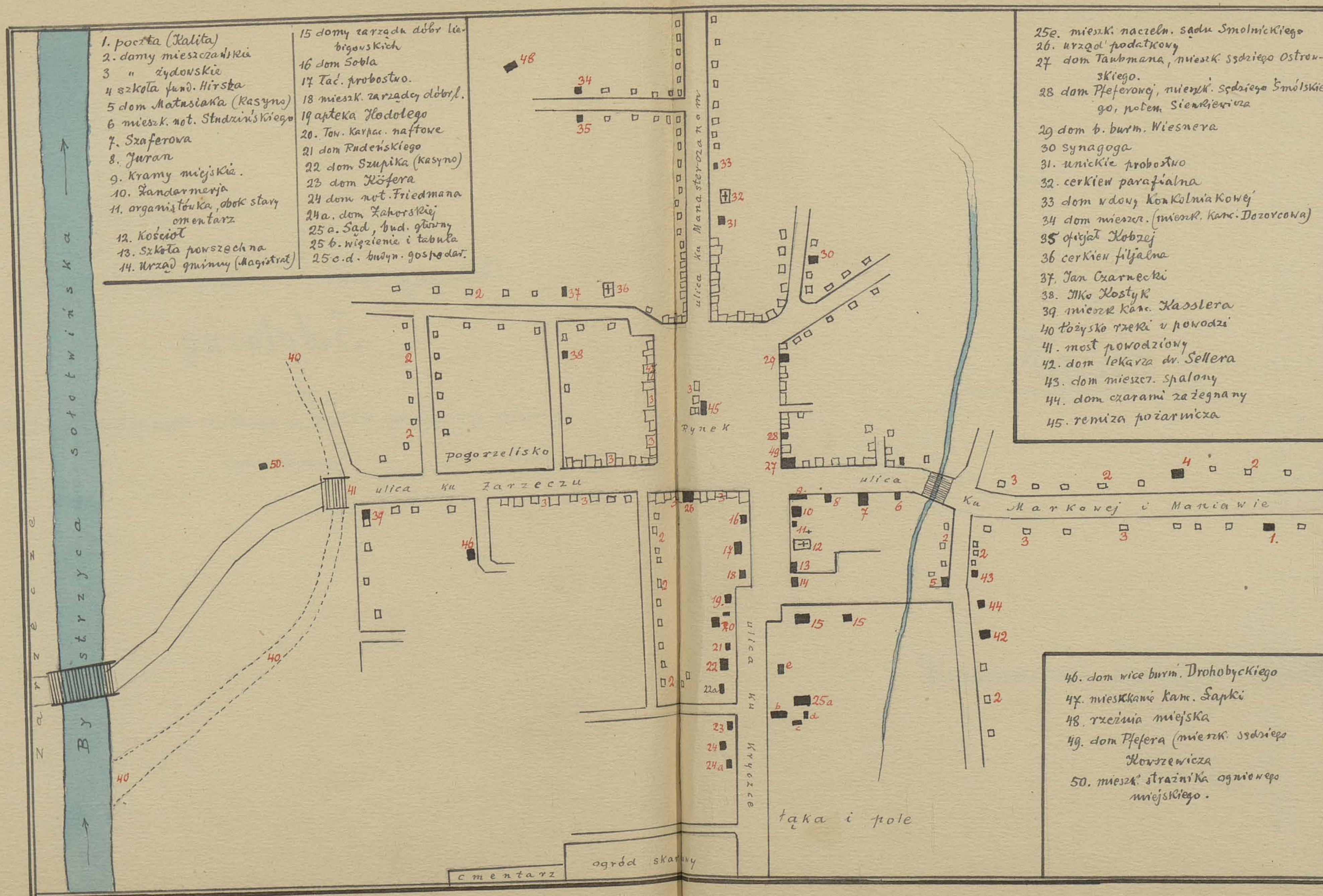
Miło mi przytem przesłać Kochanemu Koledze etc....

K. J. Jarek."

Takie były dnie szczęścia i dnie smutku mieszkańców miłej Sołotwiny, tak wyglądał jej rozkwit i następny upadek.

Odręczny szkic śródmieścia miasta
Sołotwiny

z pamięci sporządzony w 23 lat po wyjeździe z tego miasta (zatem bez ścisłości geometrycznej).


1. poczta (Kalita)
2. domy mieszczańskie
3 " żydowskie
4 szkoła fund. Hirska
5 dom Matusiaka (Kasyno)
6 mieszk. not. Studzińskiego
7. Szaferowa
8. Juran
9. Kramy miejskie.
10. Żandarmerja
11. organistówka, obok stary cmentarz
12. Kościół
13. Szkoła powszechna
14. Urząd gminny (Magistrat)
15 domy zarządu dóbr Liebigowskich
16 dom Sobla
17 Łać. probostwo.
18 mieszk. zarządcy dóbr L.
19 apteka Hodolego
20. Tow. Karpac. naftowe
21 dom Rudeńskiego
22 dom Szupika (Kasyno)
23 dom Köfera
24 dom not. Friedmana
24a. dom Żakorskiej
25 a. Sąd, bud. główny
25 b. więzienie i tabula
25 c. d. budyn. gospodar.
25e. mieszk. naczeln. sądu Smolnickiego
26. urząd podatkowy
27 dom Taubmana, mieszk. sędziego Ostrowskiego.
28 dom Pfeferowej, mieszk. sędziego Śmólskiego, potem Sienkiewicza
29 dom b. burm. Wiesnera
30 synagoga
31. unickie probostwo
32. cerkiew parafialna
33 dom wdowy Konkolniakowej
34 dom mieszcz. (mieszk. kanc. Dozorcowa)
35 oficjał Kobzej
36 cerkiew filjalna
37. Jan Czarnecki
38. Ilko Kostyk
39. mieszk. kanc. Kasslera
40 łożysko rzeki w powodzi
41. most powodziowy
42. dom lekarza dr. Sellera
43. dom mieszcz. spalony
44. dom czarami zażegnany
45. remiza pożarnicza
46. dom wice burm. Drohobyckiego
47. mieszkanie kam. Łapki
48. rzeźnia miejska
49. dom Pfefera (mieszk. sędziego Kowszewicza
50. mieszk. strażnika ogniowego miejskiego.
Bystrzyca Sołotwińska
Zarzecze
ulica ku Zarzeczu
Pogorzelisko
Rynek
ulica ku Manasterzanom
ulica ku Markowej i Maniawie
łąka i pole
cmentarz

Halicz

Wspomnienia sędziego halickiego.

Halicz.

Lata 1902 – 1906.

Postąpmy na wzgórze Św. Stanisława pod Haliczem i rozejrzyjmy się w krąg a spostrzeżemy, że mamy przed sobą obszerną kotlinę, w którą wciskają się wąskie pasma wyżyn. Kotlinę przecinają cztery rzeki: Dniestr, Lipa, Łukiew i Łomnica (czyli Czwa), przy nich przestronne łąki i pola uprawne, w oddali czernieją gęste bory. Teren, który widzimy, nadawał się znakomicie na osiedle ludzkie. Sama przyroda broniła człowieka przed zewnętrznym nieprzyjacielem, karmiła go z żyznych pól, dostarczała paszy stadom a spływ tylu rzek tworzył doskonałe arterje komunikacyjne. Toteż śmiało rzec możemy, że miejsce, na którem dziś się rozsiada Halicz i okoliczne wioski, musiało niezawodnie być od niepamiętnych czasów jakby wymarzoną osiedlą ludzką, możliwie nawet jeszcze człowieka pierwotnego, po-

tem innych nieznanych narodów, wprawdzie zwanych barbarzyńcami, ale raczej zdaje się mających rodzimą kulturę na pewnej wyżynie, wreszcie całkiem pewnie musiał być Halicz kupiecką stacją Greków, co widoczne jest z nazwy tej miejscowości, pochodzącej od greckiego słowa ἅλς tj. sól, bo Halicz niezawodnie był stacją solną (hals), transportowaną z okolic dzisiejszego Kałusza i Bolechowa. Stąd szły dalsze transporty Dniestrem w dół aż ku Czarnemu Morzu. Wszelkie wzmianki u Herodota o Halizonach, dalej o walkach Gotów z Gepidami koło miasta Galtiš, mają wiele cech prawdopodobieństwa, że odnoszą się do Halicza, bo zresztą nie możemy wskazać innego miejsca, do którego miałyby się odnosić. Sama ziemia kryje tam ogromne skarby archeologji, a prócz dorywczo dokonanych wykopalisk, rzekłbym, nikt jeszcze dotąd nie zadał sobie trudu kopania ziemi halickiej głębiej, niż na długość lemiesza pługa rolniczego. Ziemia na każdym niemal kroku kryje cenne ślady odwiecznych ludów od tysięcy lat tu osiadłych. Samo tak bardzo obronne wzgórze Św. Stanisława jest poorane różnemi fosami, nasypami, zasłane zagadkowemi jamami i wklęsłościami (w sadzie klasztornym) i zdaje się wskazywać na jakieś grodzisko bardzo dawne a wielokrotnie odnawiane. Czasy ruskie są wobec zamierzchłej przeszłości ze starożytnych wieków czemś nowem i bliskiem.

O ile chodzi o oznaczenie, gdzie było pierwotne

siedlisko ludzkie, to wskazałbym, że najstarszą osiedlą mogło być obronne wzgórze Św. Stanisława. Gdzie jednak był Halicz grecki a potem Halicz ruski, nikt nie wie niczego pewnego. Różni historycy różnie rzecz rozpatrują, ale na tem absolutnie polegać nie można. Są to jedynie przypuszczenia i domysły. Jak mi żartobliwie na miejscu opowiadano, sprawa miała się tak, że różni historycy przyjeżdżali do Halicza, oglądali teren i w przeciągu 24 godzin decydowali się oznaczyć, gdzie był dawny Halicz położony. A faktycznie tak być miało, że gdy historyk zajechał do ruskiego proboszcza w Haliczu, ten go przekonał starożytną cerkwią i wzgórzem zamkowem, że stary Halicz nie mógł być nigdzie indziej, jak tylko na tem miejscu, gdzie jest Halicz dzisiejszy. Gdy inny historyk zajechał do Załukwi pod Haliczem, znów tamtejszy ks. proboszcz Ławrecki, zawołany znawca tej ziemi przekonał go naocznie na podstawie licznych wykopalisk, śladów baszt, fundamentów świątyń itp., że stary Halicz był na polach załukiewskich. Gdy wreszcie jeszcze inny historyk zajechał na Kryłos do ks. Hoszowskiego, ten mu wskazał na starą, poważną cerkiew z kamienia ciosowego (niegdyś metropolitalną) i olbrzymie wały obronne, jako na niewątpliwe szczątki dawnego Halicza. Tak więc powstawała rozbieżność orjentacji i niejednolitość w sądach historyków, bo każde miejsce wiele o dawnych dziejach mówiło. Powtarzam raz jeszcze: potrzeba kopać, a Halicza historja

tkwi w głębi ziemi. Mnie się zdaje, że najstarsze siedlisko ludzkie było na dzisiejszem wzgórzu św. Stanisława, zaś w okolicy dzisiejszego mostu na Dniestrze był od zamierzchłych czasów przejazd przez tę rzekę, obok zaś tego przejazdu, gdzie dziś stara murowana cerkiew ruska była świątynia gdzie dziękczyniono za szczęśliwą przeprawę lub błagano o szczęśliwą podróż. Później, zwyczajem często na słowiańskich ziemiach dostrzeganym, na miejscu świątyni pogańskiej postawiono świątynię chrześcijańską, a obok niej powstała grupa domów. Ruski gród Halicz i zamek książęcy był na górze dzisiejszego Kryłosu, a miasto o licznych zabudowaniach bojarskich, cerkwiach, klasztorach i budowlach obronnych ciągnęło się na przestrzeni dzisiejszego Podgrodzia, Czetwertek i pól załukiewskich od Łukwi do Łomnicy. Miasto często palone (węgli jest bardzo wiele we wykopaliskach), niszczone i burzone przez nieprzyjaciół i wojny domowe, zmieniało swe położenie, stąd wykopaliska są na dużej przestrzeni.

Za czasów polskich od XIV wieku miasto i zamek były w dzisiejszem miejscu, Jagiełło i Jagiellonowie otaczali je szczególną opieką i pietyzmem a miasto prócz górnego zamku miało silny wał obronny w dolnej części. Dziś wszystko w kompletnej ruinie, ślady dawnej świetnej przeszłości gruntownie zatarte i zniszczone, zamek barbarzyńsko rozebrany, kamienie zeń staczano z góry po zboczy aż na rynek, gdzie służyły za fundamenty pod domy żydowskie. Za moich czasów tylko legendy krążyły

pomiędzy ludem, że kiedyś Halicz był miastem świetnem, wielkiem, handlowem, że mieścił w swych murach królów, książąt i przednich kapłanów, że miał zamki i świątynie wspaniałe — dziś tylko tu i ówdzie sterczy złomek muru jakiejś ruiny, tylko wał rozkopany znaczy miejsce dawnych walk na śmierć i życie, stare cerkwie wrosły w ziemię, a pod łanami falistego żyta biegną jakieś fundamenty dawnych budowli, na wzgórzach i jarowach ślady jakichś świątyń, zresztą gdzie rydlem tkniesz, spotkasz jakieś groby zagadkowe, kamienie ciosowe, odłamki metalowe. Ale ktoś na to zwraca tam uwagę, rzecz to zwykła, pług przez nie przechodzi spokojnie, chłop zaklnie, że tyle w tej glebie rupieciów, zabronuje rolę i jak jego praojcowie tak i on sieje twardą garścią jęczmień lub hreczkę. Tak, wszak o życie mu chodzi, nie o zbiory muzealne.

Do tegoto Halicza, odwiecznego cmentarzyska ludzkiego, pobojowiska prastarych legendarnych ludów, stolicy Rusi halickiej, cennego niegdyś klejnotu w Koronie polskiej, drogiego nam szańca obronnego kultury i wiary, obecnie podupadłej, niewielkiej mieściny, zdążały moje kroki, aby tam pełnić urząd sędziego. Nie pierwszym tam miałem być sędzią i nie ostatnim, w pochodzie ludzkości i w szeregu długich wieków, całe zastępy sędziów wymierzały tu sprawiedliwość w różnych czasach i dla różnych ludów, przyszła kolej na mnie, czyniłem i ja tosamo, a po mnie czynili to inni, po nich nastąpią jeszcze

inni – i tak będzie po koniec wieków. Tylko postacie ludzkie się zmieniają, ludzkość tasama była, jest i zawsze będzie, czy to pod nazwą Scytów, Hunów, gotów, Słowian, Rusinów, Polaków, lub jeszcze innych narodów.

---

*

W dzień październikowy 1902 dojeżdżałem koleją do Halicza od strony Stanisławowa. Z pociągu wysypała się na stacji halickiej gromadka ludzi różnych stanów i wyznań i przez dworzec podążyła do miasta. Wnet sługa kolejowy umieścił moje walizy na nędznej dorożce, na którą i ja wsiadłem, a wówczas żydowin woźnica począł zapraszać licznych przybyłych koleją, aby siadali przy mnie do dorożki, a gdym zaoponował, zdziwił się woźnica twierdząc, że to przecież nikomu nic nie zaszkodzi, a będzie i taniej i przyjemniej. Jakaś izraelitka w męskich bucikach, bez jednego obcasa, obarczona tobołami chciała koniecznie siadać przy mnie, ale gdym ją zobaczył, jeszcze silniej sprzeciwiłem się spółce. Ostatecznie przy widocznej niechęci woźnicy ruszyłem do miasta bez towarzystwa. Ledwie ujechaliśmy jakie 80 metrów, stanęła nieszczęsna dorożka koło oberży Leonowicza, zwanej Hamarnią, gdyż do miasta płaciło się myto. Sunęliśmy potem powoli dalej ku mojej nowej siedzibie urzędowej, a koło wehikułu niemiłosiernie za każdym obrotem pocierało o skrzydło błotnego ochraniacza, co czyniło wrażenie, jak gdyby kto na dużym kamieniu

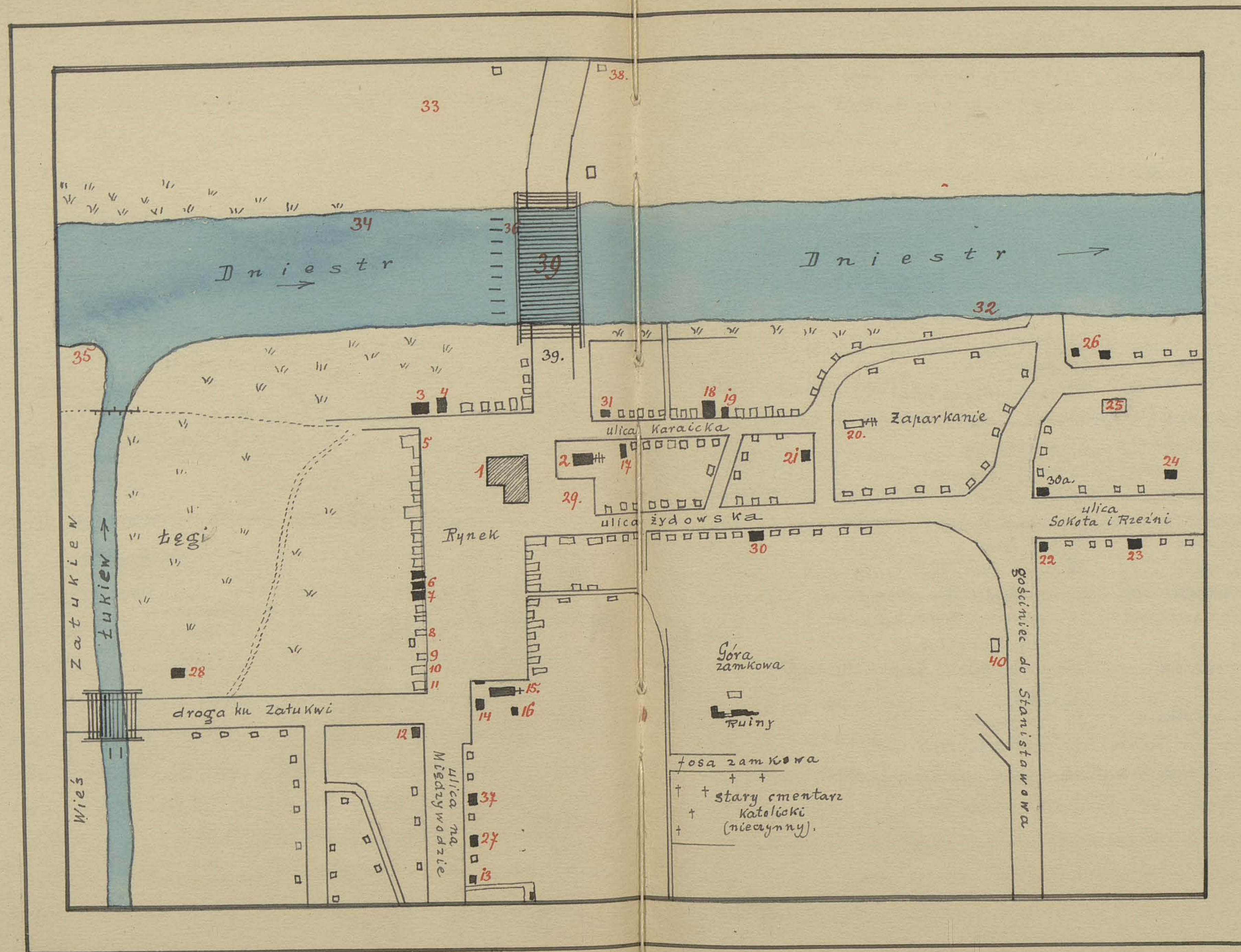
ad 224.

Plan odręczny

śródmieścia

Halicza

sporządzony według stanu z r. 1906.



Dniestr
Dniestr
Zatukiew
Łukiew
Łęgi
Rynek
ulica Karaicka
ulica żydowska
Zaparkanie
ulica Sokoła i Rzeźni
Gościniec do Stanisławowa
Góra zamkowa
Ruiny
fosa zamkowa
stary cmentarz katolicki (nieczynny).
droga ku Załukwi
ulica na Międzywodzie
Wieś
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15. 16 17 18 19 20. 21 22 23 24 25 26 27 28 29. 30 30a. 31 32 33 34 35 36 37 38. 39 39. 40

Objaśnienie planu.

Plan ten został wykonany z pamięci w r. 1928 a więc po 22 latach licząc od wyjazdu z Halicza. Nie posiada więc ścisłości mierniczej.

*

□ oznacza domy o nieokreślonej liczbie

■ oznacza domy wzmiankowane we wspomnieniach.

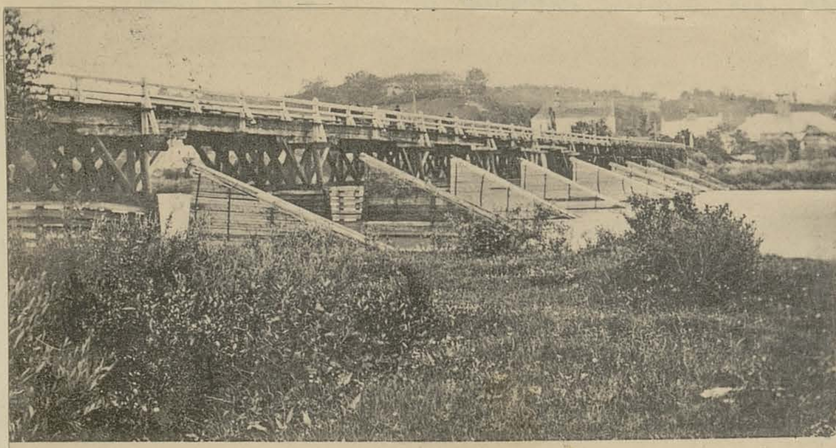
1. ratusz
2. cerkiew starodawna
3. sąd
4. szkoła żeńska
5. Singer
6. Hotel Fadenhecht
7. mieszkanie autora
8. Kirschen (m. dr. Zins)
9. Janowiczowa
10. Pantalemon Segin
11. adw. Lityński
12. not. Sawicki
13. emigrant Lesiewicz
14. probostwo łacińskie
15. Kościół
16. stare prob. łać.
17. Pańczak
18. świątynia Karaicka
19. dom karaicki (moje m)
20. cerkiew filjalna (drewn.)
21. ruskie probostwo
22. Szczygielski
23. Sokół
24. Astan
25. budowa nowego sądu
26. Bukowski
27. poczta
28. szkoła Koszykarska
29. ogródek miejski
30. bożnica żydowska
31. adw. Hahn
32. topiel żołnierza
33. wysadzanie szyn dynamitem
34. wysadzanie dynam. bud. wodn.
35. wypływ łodzi wyścig.
36. miejsce wywrotu łodzi
37. apteka
38. Ormezowski
39. most drewniany
40. szpital.

toczył piłę. Grubym batem zachęcał żydowin biedne koni-ska do pospiechu, szarpał cugle, cmokał, one zaś ledwie, ledwie posuwały się po gościńcu, aż wreszcie wjechaliśmy na długi, drewniany most na Dniestrze. Tu widniał wypisany zakaz szybkiej jazdy, odpoczęły więc sobie wychudzone rumaki, przestrzegając najsumienniej policyjnej wskazówki. A tymczasem nadeszła fala przyjezdnych, idąc pieszo krótszą drogą wyprzedziła nas, ino owa żydówka bez obcasa, obarczona koszem w jednej, pudłem w drugiej ręce wlokła się w oddali, ciężko oddechając. Jeszcze machnął żydowin kilka razy swoim historycznym batem, minęliśmy most i wjechali na rynek, gdzie zatrzymał się przed hotelem Fadenhechtowej. (plan p. 6.). Był to już zakrój prawdziwego hotelu, była sługa, która po długich wołaniach się odnalazła i zniosła pakunki, gospodyni zaś izraelitka, miała na głowie modnie uczesane swoje własne włosy, kamienica stara, jednak czysto utrzymana, tak iż można tu było liczyć na względnie wygodny pobyt.

Ledwiem się otrzepnął z pyłu mojej podróży ze Sołotwiny, wyszedłem spojrzeć na miasto. Rynek podłużny cały był brukowany, domy naokoło przeważnie parterowe, gontem kryte, w kącie rynku od cerkwi stał ratusz z wieżą, a na niej herb miasta Halicza (pół białego orła). Na głównych ulicach były wcale dobre chodniki z piaskowca, tuż nad miastem wznosiła się góra zamkowa z ruinami potężnego niegdyś zamczyska. Góra ta najbardziej mię

zainteresowała. Ścieżynami zaszedłem na jej szczyt, a nie znałem jeszcze podówczas jej barwnych dziejów. Poznać było jakąś staranną rękę, która porobiła aleje spacerowe, pozasadzała drzewka młode tuż obok starych a cienistych, tu i ówdzie znalazło się ławkę do siadania i pawilon do chronienia się przed deszczem. Spoglądnąłem w dal. Bardzo piękny widok z tej góry roztaczał się na trzy strony, obraz był niezmiernie malowniczy, okoliczne sioła podmiejskie widać było wyraźnie, a popod górę wiła się duża wstęga spokojnej, prastarej rzeki Dniestr. Na dalekiej przestrzeni w krąg widać było każdego człowieka, co czyni i dokąd zdąża. Pociąg kolejowy, idący z Halicza ku Lwowu, można było dwie stacje oczyma śledzić, bo dopiero w Bursztynie na zakręcie za stacją znikał. To było tylko pierwsze zapoznanie się z tą wyżyną. Ileż ją następnie godzin przesiedziałem pod temi ruinami przez cztery lata mego pobytu w Haliczu, ileż tu wieczorów księżycowych przebyłem w zadumie nad świetną przeszłością tych szczątków dawnej chwały i jak ją zawsze bolałem nad opieszałem a barbarzyńskiem zniszczeniem tego pamiątkowego bastjonu obronnego.

Nad wieczorem nadjechała bryka z mojemi rzeczami, które złożono w nowem pomieszkaniu u stolarza Pańczaka, obok starej cerkwi (plan p. 17). Pańczak wyszukał mi sługę. W tymsamym domu, na końcu od podwórza mieszkał policjant miejski z rodziną. Otóż jego żona miała mię usługiwać. Była to pracowita



Dawniej przez Dniestr przewoziło się promem a prawo przewozu służyło ruskiemu metropolicie halickiemu. Dopiero około r. 1850 zbudowano most drewniany, przedstawiony na powyższym obrazku. Zdjęcia dokonano z łąki nadbrzeżnej od strony Batiuchowa. Za mostem zarysowują się niewyraźne kontury cerkwi starodawnej i ratusza halickiego. Most ten przetrwał do r. 1910 a ustąpił dopiero nowemu mostowi żelaznemu.



Nowy most żelazny zbudowano w r. 1910 po moim odjeździe z Halicza. Widziałem go tylko na obrazku. Podczas wojny światowej częściowo go zniszczono.

kobieta, ale całymi dniami jej nie było w domu, bo chodziła na zarobki, w domu zaś pozostawała córka dorosła, głuchoniema, ona więc przeważnie czyniła posługi, ale jeszcze stokrotnie gorzej od sołotwińskiej Anny, nie mówiąc już o Iłku.

Poszedłem do sądu zgłosić się do służby. Sąd mieścił się w obszernej kamienicy w rynku, w połaci od strony rzeki (na planie p. 2, nadto na ilustracji str. 295.). Właścicielami kamienicy byli żydzi i najmowali ją na sąd rządowi. Z czasem za ciasno już było w tej kamienicy, tak iż kilka biur przeniesiono do innych sąsiednich domów. Sędziów było pięciu (1 sporny, 1 egzekucyjny, 2 spadkowych 1 karny). Na czele sądu stał naczelnik, po nim był jeden sędzia starszy zwany podówczas sekretarzem, wreszcie trzech adjunktów czyli sędziów młodszych.

Nie badałem początków sądu halickiego. To jednak pamiętam, że za moich czasów jako o legendarnym niemal naczelniku sądu mówiono o Marcinie Dziamie. Strony procesowe, chcąc oznaczyć, że dawniej tak a tak było, lub że dawniej sąd w taki lub inny sposób rozpoznał sprawę, mówiły: jeszcze za nieboszczyka Dziamy granica szła tędy a tędy, albo: jeszcze nieboszczyk Dziama powiedział, że grunt pod lasem weźmie Hanka, chatę weźmie Michał a Pałahna nie ma już nic do żądania, bo w posagu wzięła krowę z cielęciem, dwa kożuchy i 100 reńskich. Była to znamienna postać w mieście i okolicy. Duży, rosły, otyły człowiek, w rezonie śmiały, w argumentach trafny, w stosowaniu



Częściowo zburzony podczas wojny światowej 1914–18, odnowiony 1925.
Nowy most na Dniestrze. Niedawno został otwarty nowy most żelazny na Dniestrze w Haliczu. Fotogr

prawie imperatywny i podług zasad zdrowego rozumu sądzący, był długie lata naczelnikiem sądu halickiego, stąd znali go wszyscy i wszędzie, a do popularności przyczyniało się jego oryginalne nazwisko. O jego życiu takich zasięgnąłem szczegółów:

Pochodził z rodziny szlacheckiej z przydomkiem Żuratyński. Od XVII wieku byli Dziamowie w służbie u ks. Lubomirskich, a mianowicie byli burgrabiami znanego zamku w Rzeszowie. Gdy Lubomirscy zamek Państwu austrjackiemu sprzedali, dali Dziamom w nagrodę dom na tzw. Za-

promin i pole na Dołkach (należące dawniej do zamku).
Marcin Dziama urodził się dnia 11. listopada 1830 z ojca Jana, dzierżawcy młyna wodnego w Drabiniance od Rzeszowa. W pamiętnym roku rzezi mazurskiej 1846, poszedł ojciec do młyna i nie wrócił do domu, zagarnięty przez czeredę zrewoltowanego chłopstwa jako „ciarach" zniknął. Zrozpaczona rodzina dowiedziała się, po kilku tygodniach, że ojciec siedzi we więzieniu w Przemyślu. Mały Marcin piechotą poszedł do ojca, gdzie radca Körber zezwolił na widzenie się ojca ze synem a nawet chłopcu sam zapłacił z powrotem miejsce w budce ~~w budce~~ żydowskiej, krążącej pomiędzy Przemyślem a Rzeszowem. Do gimnazjum chodził w Rzeszowie w latach 1841-45, poczem poszedł na praktykę do apteki Karpińskiego. Nie długo to jednak trwało, bo powrócił znów do gimnazjum, jednak w Przemyślu, gdzie miał pomoc od swego stryja ks. Wojciecha Dziamy, kanclerza rz. k. kurji biskupiej przemyskiej. Maturę zdał w Przemyślu 1851, prawo ukończył we Lwowie, poczem obrał zawód sędziowski. Służył w sądownictwie w Brodach i Złoczowie, a gdy tam pracował przy prokuratorji usunięto go w r. 1863 ze służby za udział w organizacji powstańczej i za przyjaźń z Ludwikiem Wolskim i Mieczysławem Romanowskim. Był więc Dziama zmuszony przyjąć skromne stanowisko djurnisty w Magistracie lwowskim, gdzie był do roku 1866., poczem go ponownie przyjęto do służby sądowej. Był następnie w sądach w Łopatynie i Zaleszczykach, w końcu został w r. 1869 mianowany naczelnikiem

sadu w Haliczu. Ożenił się z Janiną z Horynowiczów z okolicy Halicza, miał jedynego syna Leszka Aleksandra, późniejszego profesora gimnazjum w Tarnowie, żona jednak wcześnie umarła w r. 1873, mając lat 29, pochowana została na starym cmentarzu, tuż obok fosy zamkowej. Odtąd żył Dziama samotnie. Na nagrobku żony umieścił napis:

Ta ziemia ciężarem ztemu,
Poczciwych ona nie gniecie,
I lekką będzie temu
Kto zacnie żył na świecie.

Taki napis widniał niegdyś w kościele klasztornym w Bieczu na zniszczonej potem płycie nagrobkowej Andrzeja Dziamy, zmarłego w r. 1789 w Bieczu, żołnierza rot pancernych. Ponieważ przez żonę był sędzia Dziama skoligacony z licznymi księżmi unickimi, ~~dl~~ dlatego, gdy ino lato błysło, Dziama brał tobół aktów, siadał na wózek i objeżdżał wsie od poniedziałku do soboty, sądząc na miejscu sprawy gruntowe, zawikłania graniczne, ~~po~~ podziały spadkowe. A wieczór zajeżdżał na rozlicie probostwo, przybył jakiś inny proboszcz ze sąsiedztwa, gawędzili, zagrali w karty, zjedli kolację — i wszscy byli zadowoleni. W późniejszym już wieku Dziama począł się chorym, a od młodych lat ciągle cierpiał na serce. Leczył się, przeszedł w r. 1891 na emeryturę, pojechał do Morszyna do wód, tam jednak umarł, sprowadzony na własne życzenie do Halicza, nie mógł już być pochowanym na zamkniętym cmentarzu koło żony, bez grób jego znajduje się na cmentarzu nowym, przytłoczony dużą, grubą płytą grobową z czerwonego piaskowca. Dodać należy, że miejsce, gdzie

założono nowy cmentarz było dawniej górą tracenia. Sam dziadek walczył o to, by tam cmentarza nie zakładano, jednak przemogło inne zdanie. A potem sam tam spoczął obok ludzi sobie współczesnych. Pozostawił po sobie pamięć bardzo dobrą, jako gorliwy sędzia i opiekun ludności.

Po nim był naczelnikiem sądu Włodzimierz Mandyczewski, rusin, bardzo dobry prawnik, niezmiernie ścisły w służbie i wzorowy pracownik. Gdy się przeniósł do Stanisławowa, został po nim w roku 1898 naczelnikiem Ludwik Eiselt, przeniesiony tu z Grzymałowa. Miał trzy córki, wszystkie jasne blondyny. Zagryziony domowemi sprawami, w sądzie pospieszny w pracy, byleby naprzód, z wyglądu niepokaźny, zmizerowany, czynił wrażenie, jakby robił wesołą minę do kreśnego życia. Także przeniósł się do Stanisławowa, a po nim został naczelnikiem sądu przeniesiony w tymsamym charakterze z Tłumacza Hieronim Wierzchowski. Właśnie zastałem go na urzędzie w Haliczu, kiedy zgłosiłem się do służby w październiku 1902. Gdy otworzyłem drzwi do biura naczelnika sądu, zastałem tam człowieka lat około 40 liczącego, nie wielkiego wzrostu, zaokrąglonej tuszy, bruneta o małym wąsiku na dość wydętych wargach, ubranego w krótki surdut a w zbyt szerokie spodnie, na nosie obsiadły grube, mocno rozchwiane binokle, z poza których wyzierały małe tatarskie oczka o obrzękłych a zaczerwienionych powiekach. Mówił dość cicho, powolnie, jakby przygnieciony ciężarem obowiązków i jakby się chciał jak najprędzej wyzbyć tego, z kim mówił.

To był Hieronim Wierzchowski herbu Korczak, naczelnik sądu w Haliczu. Pochodził ze Sokalszczyzny, ciężko i mozolnie przechodził przez gimnazjum, po prawach przeszedł do zawodu sędziowskiego. Adjunktem był w Buczaczu, naczelnikiem sądu w ~~Buczaczu~~ Tłumaczu i w tymsamym charakterze przeniósł się do Halicza. Odznaczał się wielką pobożnością i fantazją w opowiadaniach o swojej działalności ludziei o przygodach w zawodzie sędziowskim. Żył w zażyłości z proboszczem łacińskim ks. Turkiewiczem i wikarym ks. Kaścińskim i im najwięcej opowiadał o swoich przeżyciach, puszczając dosadnie wodze swej bujnej fantazji. W świetle tych jego opowiadań był Wierzchowski nieustraszonym sędzią i tępicielem zbrodni, za co kilka razy na jego życie czyniono zamachy, zawsze jednak wychodził cało dzięki swej przytomności umysłu i zawsze zamachowiec dostawał karę 6 miesięcy więzienia. Lubiał także podnosić swoją pracowitość zawodową, a w pracy innych widzieć nieróbstwo i opieszałość. Proboszcz staruszek o gołębiej duszy patrzył z podziwem na tego męża opatrznościowego, tosamo młodziutki wikary, który ledwie że powstał z ławy szkolnej. W sądzie prowadził Wierzchowski część działu spadkowo-opiekuńczego, którego agendy były bardzo łatwe i proste, tak że pisarz Siwecki, choć młody, lecz biegły i bystry, załatwiał znaczną część tych spraw. Zasadniczo był Wierzchowski nieprzyjaźnie usposobiony do innych sędziów, od czasu do czasu jeździł do Stanisławowa do prezydenta sądu Schanka, wylewał tam żale na swoje przeciążenie, ale znano

powszechnie jego przesadę w tym kierunku i nie reagowano na to. Zwykle widziało się go idącego ze sądu do domu w długim, poniżej kolan sięgającem paltocie, w czapce lub kapeluszu nasuniętym na oczy, spieszącego tak, jak się zwykle spieszy ktoś spóźniony do zbliżającego się pociągu. Zawsze nosił pod pachą gruby plik aktów, związanych ordynarnym sznurkiem. Nieraz idąc po godzinach urzędowych ze sądu, spotykaliśmy Wierzchowskiego, pędzącego do domu. „Gdzie pan tak sierczyście śpieszy – pytaliśmy – i co za bibliotekę pan niesie do domu", na co Wierzchowski z wyrazem bólu wywnętrzał się: „ot – widzicie panowie, mam taki nawał pracy, że dopiero w domu, nocami mogę to wyrobić. Wam co innego, macie o wiele lżejsze działy i daleko mniejsze. Szczęśliwi jesteście ludzie, tylko ja tu ciągnę do upadłego." Naturalnie wszystko to było niepomiernie przesadzone, w istocie bowiem miał on najmniejszy i najłatwiejszy dział agend. Ostatecznie jednak dawał się namówić i zamiast do domu, szedł z nami kawał drogi, najczęściej na dworzec kolejowy. Prędko zapominał o swojem przeciążeniu, zabierał głos i fantazował z zalubieniem. Słuchaliśmy tego wszystkiego, bo w życiu nieraz się słucha bajeczek dla dzieci niżej lat sześciu, choć się jest już człowiekiem dojrzałym. Pamiętam dobrze, jak raz, gdyśmy szli przez ówczesny most drewniany, szum Dniestru nastroił Wierzchowskiego do twórczości i począł prawić. „Wiecie panowie – fantazował nasz naczelny sędzia – ja gdzie pojechałem na jaką czynność urzędową, wszędzie bano się mnie jak ognia, bo ze mną

żartów nie ma! Raz miałem komisję w górach, przeprowadziłem ją jak należy, rozkazałem jak ma się tam ułożyć posiadanie, wójtowi nakazałem pilnowanie, by do dalszych sporów nie doszło, sam siadłem na wózek i każę woźnicy jechać do domu. Tymczasem ten, który spór przegrał, postanowił na mnie zemścić się i uknuł zamach na moje życie. Oto pobiegł prędko do lasu, którędy właśnie miałem wracać i kiedy już mój wózek się zbliżał, rzucił się na poprzek drogi i leży. Woźnica zastraszony wstrzymał konie i pyta mnie, co ma zrobić. Na to ja dałem woźnicy kilka kułaków w kark, wyrwałem mu lejce i bat z rąk, zaciąłem konie, przejechałem chłopa aż wózek dwa razy silnie kołami hopnął o ziemię i tak moją przytomnością umysłu udaremniłem zamach na moje życie. Chłop za to dostał sześć miesięcy więzienia." Oto jest jedna z tych opowieści, niemal dosłownie powtórzona. Wierzchowski był żonaty z Władysławą Pawłowską, córką dyrektora kancelarji ze Sącza, kobietą rozumną, dobrą i taktowną, niestety wcześnie umarłą na cukrzycę. Mieli jedynego synka Stasia, kochali dziecko bardzo, matka zwłaszcza bezgranicznie, było ono dla niej szczęściem i słońcem. Po jej śmierci żal mi ściskał serce, ile razy zobaczyłem to dziecko osierocone. Mieszkał najpierw w domu Pantalemona Segina (plan p. 10.) potem przy ulicy Sokoła (plan p. 30a). Los poszczęścił Wierzchowskiemu niesłychanie. Został nawet posłem do Rady Państwa we Wiedniu, a stało się to tak. Było to w roku 1904. ~~Ses~~ Sesja Rady Państwa dobiegała końca i jeszcze tylko kilka

~~miała~~ miesięcy miała istnieć. Poseł z piątej kurji z okręgu obejmującego powiaty Stanisławów, Tłumacz i Buczacz z powodu jakichś niemiłych zajść musiał mandat złożyć. Rozpisano wybory, ale któżby się zgłaszał na kilka miesięcy na posła! Szukano za kandydatem w prawo i lewo, nie było nikogo. Rusini wysunęli dr. Okuniewskiego, adwokata z Horodenki; Polacy jednak nie mogli nikogo znaleźć na posła wakacyjnego. Wreszcie ze sfer duchownych wskazano na osobę pobożnego sędziego Wierzchowskiego jako kandydata a za motyw wysunięto, że ten właśnie sędzia pełnił swe obowiązki w Buczaczu, Tłumaczu a obecnie w Haliczu, wszędzie go znają, więc łatwo będzie przeprowadzić jego wybór. Dość że Wierzchowski stał się kandydatem, począł sobie coś wynotowywać z dzienników po karteczkach i obmyślać argumenty do mowy kandydackiej. Przypomniałem sobie, iż mam w domu gotową mowę, a raczej broszurę kandydacką. Oto znany podówczas w kraju dyrektor szkoły realnej we Lwowie i współwłaściciel kopalni węgla w okolicy Żabłotowa Lityński, człowiek o szerokim poglądzie na świat, kandydując przed kilku latami do Rady Państwa ze Lwowa, napisał i rozpowszechnił broszurę o niedomaganiach gospodarstwa krajowego i o sposobach zaradzenia złemu. Dałem tę broszurę Wierzchowskiemu, ucieszył się nią wielce i odtąd już śmielej oczekiwał dnia pojawienia się przed obliczem wyborców. Nadszedł wreszcie dzień wygłoszenia mowy kandydackiej w Stanisławowie. Pojechałem z nim razem. Zebranie wyborców-polaków odbyło się w dużej sali

kasynowej w budynku niedaleko ruskiej katedry. Zebraniu przewodniczył ks. Eiselt, emerytowany katecheta szkoły realnej i zaprosił kandydata do wygłoszenia swego credo politycznego. Miał Wierzchowski być posłem z piątej kurji, a więc z najszerszych kręgów ludności, a zaczął swą mowę od wywodu, z jakiej on szlachty pochodzi i jakiego jest herbu. Można sobie przedstawić, jak bardzo to był niezgrabny akord wstępny. Potem w sposób dość nieśmiały wygłosił treść swych karteczek i prosił wyborców o poparcie. Po jego przemówieniu podziękował mu ks. Eiselt i prosił, by zostawił wyborców samych na sali, celem narady. Wierzchowski wyszedł i udał się według naszej umowy na dworzec kolejowy, ja zaś zostałem i słuchałem krytyki. Najpierw zabrał głos adwokat stanisławowski Boral (najświeższy), młody a rwący się i palnął, że nad tą kandydaturą można „ręce załamać", zwalczał też ją zjadliwie żądając, by jeszcze w ostatniej chwili kogoś poważniejszego wynaleziono. Odzywały się głosy za prokuratorem Kiljanem i za innymi, aż zabrał głos wymowny a silny w argumentach adwokat Włodzimierz Jurkiewicz i przemówił na temat „między ślepymi jednooki królem", że nie czas już w przededniu wyborów zmieniać kandydata, niema się co długo namyślać, musi się na te kilka miesięcy wybrać Wierzchowskiego posłem, bo inaczej powstałaby dezorjentacja wyborców, a łatwo się stać może, że wyszedłby w takim razie ruski ~~poseł~~ kandydat Okuniewski. Ostatecznie zgodzono się popierać kandydaturę Wierzchowskiego.

Nadszedł dzień wyborów i istotnie wybór padł na tego kandydata. Z tryumfem Wierzchowski pojechał do Wiednia, w sądzie przestał urzędować, ciągle jednak to przyjeżdżał, to odjeżdżał, a gdyśmy go pytali czy zabiera głos w parlamencie lub Kole, odpowiadał, że jest posłem młodym, nie wolno mu niestety mówić, ale swoje myśli wyłuszcza znanemu mówcy posłowi Głąbińskiemu, a ten to w swych wywodach spożytkowuje. Ostatecznie Wierzchowski ze swego krótkiego poselstwa zdobył dwie rzeczy. Oto u jakiegoś zegarmistrza we Wiedniu wymienił za dopłatą swój stary zegar kieszonkowy na nowy srebrny i z lubością się rozwodził nad jego zaletami, a drugą zdobyczą ~~to~~ było wyjednanie swego przeniesienia z Halicza do Lwowa. W ten sposób zakończył swe urzędowanie w Haliczu sędzia Wierzchowski.

Drugim po naczelniku sędzią był Stanisław Łuczakowski, tak zwany podówczas sekretarz sądowy, czyli poprawniej powiedziawszy starszy sędzia. Liczył ~~podówczas~~ lat około 35, blondyn, wysoki, kształtny, zawsze starannie ubrany. Był synem ruskiego księdza z Tarnopolskiego, cała zaś młodość jego była związana z miastem Tarnopolem. Po ukończeniu praw wstąpił do notarjatu, następnie jednak, złożywszy egzamin sędziowski z odznaczeniem, przeniósł się do służby w sądownictwie i otrzymał posadę w Haliczu. Odznaczał się doskonałemi zdolnościami, bystrością umysłu i niezmordowaną pracą. Był sędzią w każdym calu wzorowym, godnym posiąść w sądownictwie każde stanowisko. Wytworny w formie, rozumny w mowie,

rozważny w czynach, był jednym z najdzielniejszych sędziów w naszym okręgu apelacyjnym. Poza zajęciami biurowemi ze zamiłowaniem grywał na skrzypcach, a nadto chętnie polował. Pospół z ks. Ławreckim ze Załukwi, o którym osobno obszerniej napiszę, obszedł ze strzelbą niemal każdą piędź ziemi wokół Halicza. Był żonatym z Heleną Lang, córką profesora szkoły realnej w Tarnopolu, oboje byli bardzo szczęśliwem małżeństwem, gdyż była to kobieta niezmiernej dobroci, rozumna, zapobiegliwa, szczerze domowi oddana. Lucrakowscy mieli trzy córeczki: Stefanię, Marję i Stanisławę w wieku 7–4 lat, śliczne, ukochane, słodkie dzieciny. Z rodziną tą żyłem się, jakby z własną, a do dzieci tak się przywiązałem, że gdym wyjechał z Halicza na święta lub urlop, tęskniłem, aby je co rychlej zobaczyć. Mieszkali Lucrakowscy w domu znanego powszechnie mieszczanina Pantalemona Segina, naprzeciw probostwa łacińskiego (plan p. 10.). Ale nie długo pozostawał Lucrakowski na stanowisku sędziowskiem. Dzieci podrastały, potrzeba je było kształcić, płaca sędziego na to wystarczyć nie mogła, powrócił więc Lucrakowski znów do notarjatu i jako pierwsze miejsce otrzymał Rożniatów, gdzie przy rozwinięciu swych znakomitych zdolności miał duże powodzenie, następnie zaś po starszeństwie przeniósł się do Kołomyi.

Trzecim sędzią był Dyonizy Niementowski. Liczył wtedy lat około 33. Pochodził z Liczkowiec koło Husiatyna. Gimnazjum skończył z odznaczeniem w Tarnopolu, Uniwersytet we Lwowie, był auskultantem we Lwowie, gdzie go też

poznałem, poczem został sędzią w Haliczu. Mały, drobnych rysów, brunet z czarną krótką brodą, energiczny, rozumny, interesujący się wszystkiem i na wielu dziedzinach się rozumiejący, znał ludzi z połowy Galicji bądź osobiście, bądź z opowiadania, w sądzie odznaczał się szybką pracą, stosując przy sądzeniu zasady zdrowego rozumu. Długie lata prowadził dział karny. Całe życie ciężko cierpiał na bóle reumatyczne, nieraz na ulicy się słyszało, jak w domu głośno stękał z bólu. Był żonaty z Marją Romanowską, córką obywatela ziemskiego z Horożanki w powiecie podhajeckim, a była to kobieta dobra, pracowita do upadłego, domatorka, dbała o zdrowie swego męża, którego w czasie choroby pielęgnowała z poświęceniem. Mieli troje dzieci: Stefana, Annę i Marję. Mieszkali na Międzyrzeczu przy głównej ulicy wiodącej od rynku, w domu Kowala Skrętowicza, przy placyku koło studni. Niemenkowski lubiał polowanie i niejedno popołudnie spędził ze strzelbą na ramieniu na polach halickich. Z Halicza odszedł z awansem na starszego sędziego do Monasterzysk, stamtąd został radcą sądu w Czortkowie, gdzie z nim przeżyłem jeszcze sześć lat, poczem przeniósł się do Sambora, gdzie jednak złamany nieszczęściami wojny światowej i własną chorobą, zmarł w sierpniu 1924. Spłynęła mi łza ciała na wiadomość o jego zgonie, bo żyłem się był z nim i zespolił. Nieraz w życiu okazał mi się tak oddanym jak rodzony brat. Powrócę do jego osoby jeszcze w rozdziale o Czortkowie. Gdziekolwiek pełnił urząd, był osobą popularną, powszechnie znaną i lubianą. (zob. fotogr. str. 243).

Czwartym sędzią był Bohdan Moncibowicz, młody, bezżenny człowiek, syn ruskiego księdza z Kalaharówki nad Zbruczem. Pierwotnie był sędzią w Lutowiskach, skąd przeniósł się do Halicza równocześnie ze mną. Zdolny, pracowity, poważny, odznaczał się koleżeńskością, chętnie każdemu pomagał, o ile go kto poprosił. Ożenił się z córką profesora seminarjum nauczycielskiego dr. Jachny w Stanisławowie. Był następnie radcą sądowym w Czortkowie i Stanisławowie. Miał najpierw potorę działu spadkowego, potem zaś objął po Niementowskim dział karny.

Piątym sędzią byłem ja, najpierw miałem dział sporny a potem, gdy to objął Wierzchowski, miałem potorę działu spadkowego.

Gdy więc objąłem w Haliczu w październiku 1902 r. urzędowanie, także było pięciu sędziów. Agendy szły bardzo dobrze, prawo stosowało się ściśle, po czystej linii bezstronności, z pełną świadomością odpowiedzialności i wagi urzędu sędziowskiego. Zespół był bardzo dobry, z wyjątkiem rozdźwięku, jaki stanowił naczelny sędzia Wierzchowski.

Był jeszcze przez krótki czas sędzia przydzielony Fiałowicz. Młody, bezżenny człowiek, jedynak u swego ojca, rządcy dóbr w Chodorowie. Był poprzednio auskultantem w Stryju, gdzie się kochał w całym zastępie panien i paczki listów miłosnych miał w swoim kufrze, związane starannie szpagatem w pojedyncze pakieciki. Poco pan to trzyma — zapytałem raz tego kolegę —, naco mi odrzekł, że nie może tego zniszczyć, bo jeśli któraś autorka wyjdzie za mąż, a

zażąda zwrotu, musi je oddać i dlatego obecnie trzyma je w pogotowiu. Fiałowicz był rudawego porostu, okrągłej młodzieńczej twarzy, wypieszczony jedynak, nieskory brać się do pracy. Przeważnie pogwizdywał sobie przez szczelinę, jaką miał w rozstępie przednich zębów. A nie natężał się, bo był sędzią przydzielonym czasowo, bez prawa samodzielnego wyrokowania, pomagał tylko sędziom innym. Od nas odszedł do któregoś z innych sądów powiatowych, nie pamiętam dokąd, możliwie do Starej Soli, tam gdy raz szedł na przechadzkę gościńcem, zrobiło mu się niedobrze, usiadł na stosie tłuczonych kamieni i zmarł tam na miejscu na serce. Mógł liczyć lat około 28.

Po odejściu Łozakowskiego przybył na jego miejsce sędzia Witold Szulakiewicz z Podwołoczysk. Żonaty, bezdzietny, o twarzy uśmiechniętej, o oczach rybich, małym czarnym wąsiku, był człowiekiem średnich zdolności, ale dużej pracowitości, o charakterze prawym, w stosowaniu prawa był ostrożnym i przezornym, w obejściu koleżeńskiem trzymał się w rezerwie. Mieszkał w domu starej poczty (plan p. 26.). Potem był sędzią w Przemyślu, radcą sądu w Kopyczyńcach a wreszcie w Stryju.

W miejsce Wierzchowskiego przyszedł na naczelnika sądu do Halicza Miron Hordyński ze sądu w Jarosławiu. Człowiek młody, pełen życia, zdrowie tryskało mu z lic, czarna czupryna na głowie, czarny mały wąsik i oczy także czarne zdradzały energię, werwę i łyskały ruchliwie na wszystkie strony. Zdolny prawnik, robił szybko jak maszyna, sądził rozumnie, argumentował dosadnie, jednem słowem był doskonałą siłą. Ojciec jego był ruskim księdzem w powiecie jaworowskim.

9. 5. 29

tj. 1929

242a

Wielce Szanowny i bardzo Kochany
Panie Sędzio – niegdyś Kolego!

Nie pogniewa się Pan niezawodnie z powodu tej tytulatury, bo ona wyszła mi tak z pod pióra, że anim się obejrzał – a daje wyraz uczuciu, jakie mnie w odniesieniu do Pana przepełnia! – Poznałem list Pański z daleka po piśmie znanem mi tak dobrze z przed lat dwudziestu kilku.

Serdecznie się wzruszyłem tym dowodem pamięci o mnie – i niech mi Pan wierzy – łzami zaszły mi oczy na wspomnienie dawnych bezpowrotnie minionych dni razem spędzonych ongi, kiedy to młodym się było – i inaczej na świat i życie patrzyło. – Za to pismo tchnące taką szczerą życzliwością – przyjąć proszę również szczerą podzięke.

Koło mnie nie wesoło – niedobrze się czuję od dłuższego czasu na zdrowiu – a stan ten coraz się pogarsza bez widoków na obiecywane mi polepszenie – a no „przecie zbliżamy się ku jesieni" jak

mawiał śp. Ks. Laurecki - wszystko na świecie ma swój koniec - i ja zbliżam się do mego kresu trapiony nadmiar różnemi troskami, które tempo mej podróży przyśpieszają . .

Przepraszam Kochanego Pana zato opowiadanie bo skąd Pan przychodzi do odczytywania moich jeremiad - tak jakoś wymknęło mi się to niepotrzebnie - proszę wybaczyć . . .

Od kilku tygodni nie urzęduję - zastępowany w Kancelarji przez substytuta - nie wiem kiedy się to skończy - może się i nie skończy, bo stan mego zdrowia nie pozwala mi na urzędowanie - a no, napracowałem się w życiu dość - może się to zbliża spoczynek, nie zupełnie zresztą jeszcze upragniony, gdyż miałbym jeszcze to i owo w życiu do załatwienia . . ale na to się Parki /: Mojry :/ nie oglądają . -

Zapyta Pan, co mi właściwie brakuje, odpowiem słowami /: głowaczów :/ lekarzy .. na tle sklerozy rozstrój nerwowy w wysokim stopniu o niezmiennych dla mnie osobiście symptomach - czemu też daję wyraz, coraz popłakując . . .

Tyle co do mnie -

Żona i córka Maryla, które w roku zeszłym

/.

wyjeżdżały do Mentony - w tym roku mają się względnie dobrze - może dlatego, że nie mogłyby mnie odjechać.

Mnie różni lekarze do różnych wysyłają uzdrowisk, bądź krajowych, bądź zagranicznych ja nie mam chęci nigdzie się ruszyć, wszelka inicjatywa i energja u mnie zanikła i nie wiem czy jeszcze odżyją.

List Pański dał nam (: z żoną :) asumpt do wspomnień dawnych lat i przeżyć kieleckich - ot smutno i tęskno za tem, co było kiedyś, minęło i nie wróci więcej.

Kończę na tem moją w minorowej tonacji wypisaną korespondencję - a dziękując Kochanemu Panu raz jeszcze za łaskawą pamięć - łączę wyrazy prawdziwego szacunku i szczerego poważania

Stanisław Łundkowski

Od żony i Cór „Wujciowi" komplement.



Fotografia przedstawia sędziów halickich z r. 1906.
Siedzą dwaj, a to po lewej ręce naprzeciw widza naczelnik sądu Hordyński, po prawej sędzia Szulakiewicz. Stoją zaś od strony lewej ku prawej sędziowie: Niementowski, Ostrowski i Monciebowicz.

*

Zdjęcie dokonane na górze zamkowej; tłem jest ściana ruin baszty zamkowej.

*

Przy odklejaniu z kartonu fotografia uległa uszkodzeniu.

W Haliczu oczy wszystkich panien zwróciły się odrazu na nowego naczelnika sądu, który bardzo lubiał ich grono, ale żadnej nie wyróżniał ponad inne. W towarzystwie był Hordyński niezmiernie miły, swobodny, zabawny. Ze mną zespolił się bardzo, razem

się stołowaliśmy, jednakową mieliśmy służbę, jednakowo spędzaliśmy czas poza sądem, a wnet Hordyński tak ściśle się ze mną zżył, że nie rozłączał się ze mną nawet na kilka godzin. Nie było nic do pomyślenia, czegoby dla mnie nie zrobił, a ponieważ był to człowiek o szlachetnej duszy i niezmiernie dobrem sercu, złączyła nas szczera przyjaźń. Kiedy on wyjeżdżał na komisję na proces gruntowy na wieś, ja choć danej sprawy nie sądziłem, wyjeżdżałem z nim razem, a ponieważ przyswoiłem sobie główne zasady pomiaru gruntów, mierzyłem pola, ogrody i zagrody, w czem miałem wiele szczęścia. Zresztą często przychodziło na miejscu do ugody, bo skoro już dwóch sędziów doradzało, aby się tak lub owak pogodzić, strony na to przystawały. Gdyśmy raz z takiej komisji wracali wieczorem z Komarowa, pamiętam jak Hordyński otulał mię w mój płaszcz mówiąc: panie Marjanie, chłód wieczorny pociąga, ja się o Pana tak troszczę, jak o dziecko! Istotnie był o mnie niezmiernie troskliwy, a mnie nigdy przez myśl nawet nie przeszło, bym ze swem pajęczem zdrowiem miał przeżyć tego człowieka, tryskającego siłą i zapowiadającego stuletni wiek. Żył Hordyński szczególnie ściśle z domem geometry Hellera, bo znali się z Jaworowa, żył nadto z rodziną inspektora kolejowego Pileskiego, schodzili się często, niemal codziennie na dworcu kolejowym, gdzie w licznem gronie panów i pań brylował humorem, zadowoleniem, dowcipem. Gdym odjeżdżał z Halicza w r. 1906, żałował za mną szczerze, a ja za nim. Po moim odjeździe wziął się do książki i już jako naczelnik sądu poskładał rygoroza prawnicze na Uniwersytecie lwowskim

i został doktorem praw. Jeszcze około roku 1910, raz w przejeździe przez Kołomyję postąpił do mnie, bawiliśmy razem przez jedno popołudnie, byłem już wtedy żonatym i miałem synka, wspominaliśmy dawne czasy, odjechał w znakomitem zdrowiu, ale pożegnaliśmy się na wieki. Wybuchła wojna światowa r. 1914, Hordyński zamieszkał we Wiedniu, ~~ale~~ były to czasy niepewne, rzucano bezmyślnie podejrzenia na wszystkich o rzekomą nielojalność względem Austrji, Hordyński ~~popadł~~ żył ciągle w wyimaginowanej obawie aresztowania, on człowiek tak rozumny popadł w jakąś manję prześladowczą, jakoby mu miało grozić aresztowanie, o którem zresztą nikt nie myślał. Czuł się przytem fizycznie niedobrze, uskarżał się na bole żołądkowe, tak iż się oddał w opiekę lekarską. Środki zaradcze nie wiele pomagały, Hordyński poszedł na klinikę, orzeczono, że musi się poddać operacji, uśpiono go, otwarto jamę brzuszną, lekarze znaleźli, że rak oplątał już wszystkie jelita, o ratunku mowy nie było. Zaszyto ranę operacyjną bez wycinania nowotworu, a gdy Hordyński się obudził, powiedziano mu na pocieszenie, że operacja dobrze się udała, pobędzie na klinice jeszcze 14 dni, zanim rana się zagoi, potem pojedzie w góry na rekonwalescencję i będzie długie lata zupełnie zdrów. Rozjaśniła się twarz chorego, wodził swojemi czarnemi, ruchliwemi oczyma po suficie i leżąc układał plan wyjazdu. Ale to była gorzka ułuda. Po kilku dniach życie zakończył. Tak przesunął się się przez świat jeden z naczelników sądu halickiego. Mieszkał w domu emigranta Lesiewicza (plan p. 13). Zmarł w sile wieku.

Sąd halicki miał także cały szereg urzędników pomocniczych. Najstarszym z nich był Władysław Przygiel-ski, naczelny sekretarz i skarbnik sądowy. Liczył wówczas lat około 60. Wysoki, nieco już pochylony, głowa na pół siwa, broda w nieładzie rozczochrana, twarz uśmiechnięta, miły gaduła, niezmiernie sumienny i drobiazgowy. Sędziowie utrzymywali z nim stosunki towarzyskie, gdyż był to człowiek inteligentny i uprzejmy, a stanowił jakby zabytek z dawnego sądu, kiedy to pan Dziama był jedynym sędzią a pan Przygielski jedynym sekretarzem. Był żonatym, miał żonę rozumną i dobrą. Mieszkał we własnym domu, który sam sobie zbudował u wylotu ulicy Sokoła (plan p. 22.). Miał dwie córki zamężne, jedną ze urzędnikiem podatkowym, drugą za nauczycielem seminarjum nauczycielskiego w Zaleszczykach. Od jednej z nich miał wnuczkę około 3 lata liczącą, którą kochał jak świętość jakąś. Po moim odjeździe z Halicza, zawsze na Władysława posyłałem mu kartkę z życzeniami imienin, na którą zaraz otrzymywałem odpowiedź. Ale po kilku latach już owa rychła odpowiedź nie nadchodziła. Po pewnej zwłoce odpisała mi żona, że mąż zmarł. Żył w przyjaźni z kr. Bukowskim, o którym później wspomnę.

Drugim urzędnikiem sekretarskim był Tkaczkiewicz, rusin, mający ~~sied~~ siedem klas gymnazjalnych, bystry, rzutki, szybki pracownik, który na każde pytanie służbowe, nigdy nie był dłużnym odpowiedzi. Mieszkał w rynku, tuż obok mam kościelnego, był dwa razy żonaty, miał jedną córeczkę. Trzecim, którego zapamiętałem, był Jancratek, starszy człowiek, miał

młodą żonę i trzech synów. Cichy, pokorny, średnich zdolności, przeniósł się następnie do Drohobycza, celem kształcenia dzieci. Jaczatkowa była kobietą energiczną, rezolutną i zapobiegliwą, umiała znakomicie prowadzić dom przy małej płacy swego męża, stąd ceniono ją i podziwiano.

Z szeregu sił pisarskich odznaczał się Dzinbaniuk ogromną wydatnością, robił za trzech, dzielny, rozumny, ogromnie pożyteczny. Drugim takim był Siwecki, syn mieszczanina halickiego, bardzo zdolny, samodzielny i rzutki. Naczelnik Wierzchowski nie mógł się jednego dnia bez niego obejść. Wreszcie pamiętam trzeciego, bytto Karaita Zoruch Zornchowicz, młody, czarny chłopczyk, przyjęty do bezpłatnej praktyki na pisarza i mnie przydzielony. Właśnie u mnie robił początki, później zaś wybił się na pierwszorzędną siłę.

Adwokatów miał Halicz dwóch. Pierwszy zwał się dr. Jan Lityński, rusin, żonaty z Breiterówną, córką bogatego budowniczego ze Lwowa. Bezdzietny, zamożny, żył i opływał w dostatkach ile chciał i jakich chciał, bo pani Lityńska była szczególnie ukochaną córką swego majętnego ojca. Stąd ciągle ze Lwowa szły kosze do Halicza z najznakomitszemi przysmakami, winami, marynatami, tytoniami itd. itd. Nadto adwokat Lityński sam miał własny majątek, a i adwokatura dość niosła, więc żyli sobie Lityńscy dostatnio, wygodnie i niezamąceni szczęśliwie. Codziennym gościem u nich był emigrant Lesiewicz. Przy końcu swego pobytu w Haliczu kupił Lityński dom na rogu ulicy ks. Zatorskiej, naprzeciw

łacińskiego probostwa (plan p. 11.). Kancelarję miał w rynku w domu mieszczanina Graszkiewicza. Potem przeniósł się do Lwowa.

Drugim adwokatem był dr. Hahn, wyznania mojżeszowego, zapobiegliwy, pilny, skromny a bardzo pracowity. Nieraz gdy się wracało bardzo późno do domu w nocy, można było widzieć światło w kancelarji adwokata Hahna. Siedział i wypracowywał jakiś pilny a terminowy akt na jutro. Gdyśmy się, kiedyś rozgadali o pracy, Hahn westchnął ciężko i mawiał: Gdy siedzę przy obiedzie i mam przed sobą kawałek mięsa, tak w duchu myślę – mój Boże, ileto człowiek musi się nachodzić, nalatać, nagadać, napisać, nim wreszcie zarobi na ten mały kawałeczek mięsa! Był żonatym, miał dwóch synów, tęgich „budrysów". Mieszkał obok murowanej cerkwi ruskiej. (plan p. 31.).

Notarjuszem był Michał Sawicki, pochodzący z Buczacza, znamienna postać w mieście. Liczył lat około 65, wysoki, pokaźnej postawy, twarz golona z małym wąsikiem, zawsze rumiana jak u młodzieńca, głowa łysa, nadzwyczaj krótki wzrok, prawie że mało co widział, tak iż na ulicy nie mógł rozpoznać ludzi, a gdy szedł ze żoną na spacer, ona mu mówiła: idzie naprzeciw ten lub ów, stąd z góry był uprzedzony, jaki stopień uprzejmości zastosować do odkłonienia się. Elegant pierwszej klasy, reprezentacyjna postawa, sztywna, dumna, zapięta na wszystkie guziki. Był żonatym, bezdzietnym, postawił piękny dom na drugim rogu ulicy ku Zaturzu. (plan p. 12.). Jako prawnik był prawie

nulą,

jako człowiek kapryśny, wyniosły w rozumieniu o sobie, lekki w ocenie innych, w obejściu znośny, gdy mówił z kim w oczy, zgryźliwy poza oczyma, gościnny w domu, lubiał przyjemności wielkomiejskie i podróże wakacyjne. To był ów biblijny człowiek, który widział źdźbło w oku bliźniego, ale nie widział tramu we własnem. Dlatego nie miał w mieście ani jednego człowieka życzliwego. Był jakiś czas burmistrzem miasta Halicza, na tem polu wiele dobrego dla miasta uczynił, nadał miastu jakotako wygląd europejski, uporządkował górę zamkową, pobudował na niej pawilon i posadził drzewka, jednak to źle zrobił, że kazał zasypać historyczną studnię na dziedzińcu zamkowym. Gdy przemawiał w sprawach publicznych, znać było, że mówi człowiek doświadczony. Ale miru nie miał u nikogo.


Pawilon na zamku. — (Sommerhalle am Schlossberg)

Pani Sawicka niższa od męża, okrągłej tuszy, szybko mówiąca, była osobą troskliwą o swego męża, oszczędną, dla ubogich dobroczynną. Zostawiłem notarjusza Sawickiego w Haliczu, potem przeniósł się do Złoczowa, gdzie przebył wiele cierpień podczas ruchawki ukraińskiej w r. 1918/19 i zmarł tamże, dożywszy późnych lat.

Geometrą rządowym był Erwin Heller. Blondyn rudawego odcienia, z okrągłą brodą takiegoż koloru, typ ściśle niemiecki, choć bardzo dobry polak. Siedział ciągle nad swojemi mapami lub jeździł po powiecie. Człowiek lubiany, miły

i prawy, opowiadał zwykle różne facecje bądź własne, bądź cudze. Był żonatym, miał trzy córki, wszystkie przystojne, o pokroju artystycznym, były to marzycielki, poetki życiowe, odziedziczyły zaś to po matce. Nie mógł Heller dojść do porozumienia ze swojemi władzami nadzorczemi, więc spensjonował się i osiadł w Haliczu jako geometra prywatny. Przedtem był Heller w Jaworowie i tam poznał się z Hordyńskim, późniejszym naczelnikiem sądu halickiego, stąd gdy on do Halicza przybył, zżył się odrazu z domem Hellerów.

Na miejsce Hellera przybył do Halicza na geometrę Pyrzanowski, młody człowiek, lat około 30, brunet z gęstą, czarną czupryną i dużym wąsem, kawaler, dobroduszny, towarzyski, o niewielkim polocie myśli, przystawał ze sędziami a Hordyński nazywał go poufale „Pyrzan". Niestety, zmarł wcześnie na cukrzycę. Mieszkał cały czas i miał swój urząd w domu aptekarza Ormezowskiego, pomiędzy koleją a mostem.

Urząd podatkowy mieścił się w ratuszu, miał kilku urzędników, którzy ciągle się zmieniali – jednak żadnego nazwiska nie zapamiętałem.

Były dwie szkoły powszechne i nieczynna szkoła koszykarska. Szkoła męska była na pierwszem piętrze w ratuszu, żeńska zaś obok sądu (plan p. 4.) w rynku. Ze szkoły męskiej nauczycieli nie pamiętam, w żeńskiej zaś była kierowniczką Weronika Staszkiewiczowa, której mąż był w innym powiecie inspektorem szkolnym, nadto nauczycielkami w tej szkole były panna Majerska córka znanego geografa ze Lwowa,

Józefa Zabłocka bratanica głośnego Kanonika Kapituły Łaciń=skiej we Lwowie i współkandydata na arcybiskupstwo lwowskie po Wierzchlejskim, wreszcie Potocka, córka kierownika szkoły na Zawidówce w Samborze. O ile kierowniczka Stesz=kiewiczowa była kobietą nieco za sztywną i wyniosłą, o tyle trzy in=ne nauczycielki były skromne, pracowite, rzetelnym wzorem.

Oryginalna była historja szkoły koszykarskiej. „Ratuj=my przemysł krajowy! Dość tych grek i łacin i innych fantazji; kształćmy młodzież na dzielnych rękodzielników a podniesie się dobrobyt, ~~..~~ wzmoże się kultura, pokażemy przed światem, co możemy i co umiemy!" Takie mniejwięcej hasła wionęły po kraju po słynnej książce Szczepanowskiego: Nędza Galicji. Pod=jęto zdrową myśl także i w Haliczu. W tem mieście położonem na spływie otoczek rzek, wielkie nadbrzeżne obszary porosły by=ły wikliną pierwszorzędnej jakości, którą niestety wywożono za=granicę, aby tam z niej sporządzać wyroby koszykarskie, a po=tem nam je sprzedawać za drogie pieniądze. Aby zarobek został w ~~kra~~ kraju a w szczególności w mieście Haliczu, pobudowano zgrabny budynek nad Łukwą przed mostem (plan p. 28) i zało=żono tam szkołę koszykarską. Nauczyciel fachowiec udzielał nau=ki, kilkudziesięciu chłopców zasiadło przy stołeczkach i rozpo=częła się nauka. Najpierw uczono rozpoznawać pręciki, potem uczono je ścinać, dalej uczono obierać je z kory, sortować, karto=wać itp. Gdy chłopcy wracali do domu i opowiadali to ojcom, ci cieszyli się, że dzieci ich postępują w nauce. Pomało zaczęli chłopcy splatać pręciki, wyginać je i wyrabiać drobiazgi koszy=karskie. Niebawem już wyplatali koszyczki, najpierw grube

na kartofle, potem lepsze na owoce, potem jeszcze lepsze na zakupy miejskie, ba, poczęto już wyrabiać walizki koszykowe, krzesła wcale zgrabne i stoliczki na werandę, co wszystko szkoła sprzedawała na pokrycie swoich wydatków. Ale z tego właśnie ostatniego powodu szemrano w całym Haliczu, nie z radości — jakby czytelnik sądził — ale z oburzenia. To jest wyzysk, krzyczeli głowacze haliccy, to jest nadużycie nie do ścierpienia! Więc nasi chłopcy pracują na to, aby szkoła ich wyroby sprzedawała a pieniądze sobie brała! Nie zgodzimy się na to żadną miarą, ho-ho, nikt nas za nos wodzić nie będzie, mamy przecież zdrowy rozum w głowie! Albo niech płaćcie chłopcom za roboty, albo odbierzemy ich do domu! Naturalnie o płaceniu mowy być nie mogło, Haliczanie odebrali chłopców ze szkoły, choć jeszcze program nawet nie był wyczerpany, szkoła zaś upadła. Tak była podjęta i przeprowadzona około

Zarząd miasta Halicza

odda

do eksploatacji i przeróbki

na miejscu około **60 morgów wikliny koszykarskiej** na bardzo dogodnych warunkach oraz plac pod budowę pracowni tuż pod stacją kolejową.
Oferty do 1-go grudnia 1925 roku. 5411

roku 1900 zdrowa myśl podniesienia przemysłu rodzimego. Za moich czasów stała szkoła pustką a zarazem całe plantacje wikliny wycinano nad Dniestrem, obdzierano na miejscu z kory a białe pręciki wywożono koleją do Hamburga.

Stacja kolejowa rozszerzona została od czasu zbudowania linii kolejowej Halicz-Tarnopol. Szły pociągi w prawo i w lewo, a Haliczanie wcale licznie w dnie niedzielne i świąteczne

wylęgali na peron kolejowy, by się przejrzeć ruchowi. Za moich czasów był naczelnikiem stacji kolejowej wiekowy już człowiek Zieliński, postać wyniosła, barczysty, głowa siwa, chorował na niedomagania nerkowe, chodził na długie spacery linją kolejową, a tylko bardzo starannej opiece swej drugiej żony zawdzięczał życie. Był Sodalis Marjanus i chętnie odznakę tej korporacji ~~relib~~ religijnej wieszał u klapy przy podniośląjszych uroczystościach. Spensjonował się i umarł w Kołomyi około r. 1907. Po nim został naczelnikiem stacji Moczydłowski, człowiek młody, pełen życia i zapału do pracy, inteligentny i miły. Ledwie się sprowadził na stację halicką i rozlokował, pojechał do Wiednia do Ministerstwa Kolejowego podziękować za awans. Gdy ustrojony w mundur urzędowy oczekiwał w poczekalni prezydjalnej na swoją kolej audjencji u ministra, padł nagle trupem. Aby nie przerażać żony, zatelegrafowano z Wiednia o wypadku do Dyrekcji Kolejowej do Stanisławowa. Tu znów również, aby nie przerażać tej nieszczęśliwej kobiety, wysłano dwóch starszych urzędników do Halicza, by ją oględnie ustnie o tym smutnym wypadku powiadomili. Gdy ci dwaj wsiedli do pociągu w Stanisławowie, aby się udać do Halicza, z ostatniej chwili weszła do tegosamego przedziału Pani Moczydłowska, zadyszana, bo ledwie zdążyła zachwycić pociąg, obarczona różnemi sprawunkami, kupionemi w Stanisławowie ze względu na nowe pomieszkanie na dworcu halickim. Ożywiona poczęła ze znanymi już od dawniej urzędnikami rozmawiać, wyrażając zadowolenie, że mąż dostał Halicz, na który

nej linii kolejowej, w pobliżu dużego miasta, przyczem rozsnuwała ~~sobie~~ plan ułożenia sobie życia na przyszłość na nowem miejscu służbowem. Delegaci nie śmieli jej otworzyć i to im niezmiernie przykrem było, że znet muszą rozwiać te złote myśli nieświadomie uradowanej a w istocie tak nieszczęśliwej kobiety. Zajechał pociąg na dworzec halicki, pani Moczydłowska prosiła koniecznie obu, by po czynności urzędowej na dworcu, przyszli do niej na piętro na herbatkę, prędko ich pożegnała, idąc na górę, by zarządzić co wypada na przyjęcie gości. Niebawem też przyszli nie na herbatkę, ale by przed nią odkryć jej ciężkie nieszczęście. Zagasł uśmiech na jej ustach, bo zagasło jej szczęście na zawsze. Przewieziono Moczydłowskiego na koszt Państwa z Wiednia do Nowego Sącza i pochowano w grobowcu rodzinnym. Jako sędzia spadkowy przeprowadziłem po nim postępowanie spadkowe i oddałem wdowie wszystkie drobiazgi, jakie wyjęto zmarłemu z kieszeń po jego śmierci, między innymi także minjaturę odrzwi papierskiego. Wdowa opowiadała mi wówczas o wszystkiem, co tu opisałem.

Następnym naczelnikiem stacji kolejowej w Haliczu był Jurkiewicz, człowiek o silnej budowie i o pulsującem zdrowiu. Materjał dość surowy. Odjeżdżając z Halicza zostawiłem go na stacji, jednak niebawem potem umarł na zapalenie płuc.

Obok urzędu ruchu były w Haliczu dwie tzw. Sekcje Konserwacji linii ~~koje~~ kolejowych, a to jedna dla linii czer-

niowieckiej, druga dla tarnopolskiej. Naczelnikiem jednej był starszy inżynier Pileski, szatyn, o popielatej niedużej brodzie, człowiek wielkiej kultury, czystego charakteru, rozumny, miły, ugrzeczniony. Ulubionym zajęciem jego w godzinach pozaurzędowych była hodowla róż. Miał żonę z Czyżewiczów, przystojną, rosłą, efektowną kobietę, nieco ekscentryczną, lubiącą wir życia, liczne grono gwarnych biesiadników, oboje byli gościnni i serdeczni ludzie. Mieli dwoje dzieci, córkę Marję, ładną panienkę, marzycielkę, tkliwą w uczuciu, rozbudzoną we wyobraźni. Synek chodził do szkół w Stanisławowie i był dumą swoich rodziców. Pożegnałem tę rodzinę w Haliczu, następnie przeniósł się Pileski z awansem do Krakowa, gdzie też przedwcześnie zmarł. W tejże sekcji był inżynierem Wohlfeld, ożeniony z córką lekarza ze Skolego Mironowiczówną, miał liczną dziatwę, ciężko walczył z losem, nim zdołał sprostać obowiązkom rodzinnym.

Kierownikiem drugiej sekcji był starszy inżynier Geschöpf, jasny blondyn, człowiek skromny, cichy, nie wysuwający się nigdzie. Był żonatym, miał troje dzieci, wszystkie o ślicznych, jasnych jak len włosach. W późniejszych latach popadł w rozstrój nerwowy i skończył samobójczo, położywszy głowę na szyny kolejowe pod nadchodzący pociąg we Lwowie. W tej sekcji był czynny inżynier Moritz, ogromnie ścisły służbista, postrach dla podwładnych, żonaty z Rarogiewiczówną z Czortkowa, ojciec dwojga dzieci. Trzecim inżynierem w tej sekcji był Niebieszczański, syn profesora gimnazjalnego ze Stryja, zdolny i bystry, zasłużył się przy budowie „Sokoła" w Haliczu, miał jednak jedną niemiłą narowiznę, że rzadko o kim mówił

dobrze. Ożenił się z córką geometry Hellera, o którym wspomniałem powyżej. Wszyscy wymienieni tu urzędnicy kolejowi mieszkali bądź na dworcu, bądź w domu, obok dworca postawionych budynkach.

Do niedawna przed mojem przybyciem do Halicza była tu poczta nieerarjalna, tj. napół prywatna, a mieściła się na przedmieściu nad Dniestrem (na Zaparkaniu) (plan punkt 26). Pocztmistrzem był Konstanty hr. Bukowski. Znamienna to była postać w naszem mieście. Niezbyt wysokiego wzrostu, brunet siwiejący, twarz golona, wąsy rozkładzone w nieładzie strzelały naprzód, dolną szczęką ciągle poruszał, (jakby nie miał zębów), bardzo niedosłyszał, stąd ciężko było z nim rozmawiać, on sam zaś mówił ogromnie głośno. Był żonatym i długie lata bezdzietnym, aż dopiero gdy miał lat około 65 urodził się Bukowskim chłopak Marjanek, za moich czasów około pięć lat liczący. Rodzice niezmiernie się tem dzieckiem cieszyli, chłopaczek zaś rozpieszczony, bardzo był żywy. Bukowski żył w szczególnej przyjaźni z oficjałem sądowym Szczygielskim i mówili sobie przez ty. Za młodych lat brał Bukowski udział w powstaniu narodowem w r. 1863 i jako komisarz prowiantowy ściągał daniny w pieniądzach i naturaljach, czasami pod groźbą rewolwera. Lubiał ~~ota~~ o tem mówić szeroko i długo i z wielkiem zacięciem. Gdy około roku 1900 utworzono w Haliczu pocztę tzw. erarjalną (czyli rządową), spensjonowano Bukowskiego, dając mu emeryturę zaledwie oficjała. Tem czuł się Bukowski pokrzywdzony, prosił o au-

djencję u cesarza Franciszka Józefa we Wiedniu, uzyskał ją, ułożył sobie piękną mowę po niemiecku, stanąwszy przed monarchą wypowiedział ją z patosem, ale efekt był marny — Bukowski niemal głuchy niczego nie mógł do- słyszeć, co mu na to cesarz odpowiedział. Wrócił do Halicza, ale na liczne zapytania znajomych mógł Bukowski tylko stwierdzić, co on sam powiedział, ale nie wiedział, ja- kie zdanie o tem miał cesarz. W rezultacie emerytury mu nie podwyższono. Toteż w przystępie dobrego humoru nieraz Szczy- gielski żartował z tej całej audjencji. Następna poczta już rządowa mieściła się w najętym piętrowym domu przy ulicy ku Międzyrzeczu (plan p. 27.) Naczelnikiem jej był ku- zyn Gocki.

*

Kościół murowany, jednonawowy, skromny w uposaże- niu był ~~w środku~~ przy rynku. Obok kościoła było probostwo halic- kie łacińskie. Były tam dwa budynki parterowe, jeden stary bliżej góry zamkowej położony, to dawniejsze probostwo, drugi nowszy, okazalszy, niedaleko ulicy, z oszkloną werandą, to nowe probostwo. Pobudował je ks. proboszcz Pawulski. Gdy przybyłem do Halicza utrzymała się jeszcze dobrze pamięć o kilku ostatnich proboszczach łacińskich. Jako o najdaw- niejszym sięgała pamięć o wspomnianym codopiero proboszczu ks. Pawulskim, który wraz z bratem spoczywał na starym cmentarzu koło zamku w kapliczce grobowej, z portretami ich obu. Miał liczną rodzinę, o którą był dbały. Ładny dom z ogrodem na tzw. Zarowin (ostatni przed rzeźnią) kupił i dał

Pawulskim i Zajączkowskim, a ja znam jeszcze ostatniego właściciela, starego kawalera, emerytowanego radcę rachunkowego Dyrekcji domen i lasów państwowych Pawulskiego, który dom ów sprzedał ormianinowi Astanowi około roku 1900 i odtąd realność ta przestała być własnością rodziny proboszcza. Była to tasama rodzina Pawulskich, z której pochodził we Lwowie ów polus Pawulski, któremu policja ucięła jeden róg rogatywki i który później chodził w ~~kapyrce~~ rogatywce polskiej o trzech tylko rogach. Do rodziny proboszcza należeli także Skrętowicze, o których wspomnę w dalszym ciągu. W kapliczce cmentarnej odprawiała się corocznie msza żałobna za duszę dawnego proboszcza halickiego i jego rodzinę.

Po nim był proboszczem ks. Kloss, mówił po niemiecku i miał przy sobie sporo rodziny. O nim nikt niczego nie umiał powiedzieć, zdaje się był obcym polskiemu społeczeństwu. Umarł około r. 1867, nikt nie postawił nawet napisu grobowego, gdzie spoczywa. Był tylko nagrobek jego siostry, prawdopodobnie proboszcz spoczywał w grobie obok niej. Ten sąsiedni grób to była duża ziemna mogiła, kryjąca niezawodnie ceglany grób murowany ze szczątkami proboszcza.

Następnym proboszczem był ks. Adolf Strzelecki. Ur. w r. 1820 w Petryłowie nad Dniestrem. Gimnazjum kończył w Buczaczu i Lwowie, teologję we Lwowie, gdzie też był prefektem tzw. małego seminarjum, potem otrzymał probostwo halickie, a z czasem godność dziekana i honorowego kanonika kapituły metropolitalnej. Przekonań ultrakonserwatywnych,

kapłan święty, powszechnie poważany, obyczajów ewangelicznych, nie pił alkoholu, nie palił tytoniu. Ogromnie oczytany i wykształcony, mając dostateczne dochody z tłustego probostwa nie pobierał niczego za funkcje duchowne, sam opłacał wikarych i sam łożył na utrzymanie kościoła i służby. Ale byłto tylko gest wielkopański, bo w rezultacie był ciągle ~~w długach~~ w kłopotach finansowych. Ks. Strzelecki ~~bywał~~ był dorośliwy i ciągle się wyręczał swoim wikarym. Żył w przyjaźni ze sędzią Dziamą, i gdy ten umarł w r. 1891, tak to podziałało na proboszcza, że poczuł trwogę przed śmiercią, wielce się o siebie zaniepokoił i dla zahartowania się przestał sypiać na łóżku. Rok ciężko chorował, umarł w czerwcu 1892.

Po nim otrzymał probostwo halickie proboszcz z Narola ks. Enzinger. Był jednak w Haliczu zaledwie krótki czas, zdaje mi się tylko jeden rok, a pewnego razu pojechawszy na folwarczek plebański do św. Stanisława, tam nagle umarł. Opróżnione po nim probostwo otrzymał ks. Józef Turkiewicz, dotychczasowy proboszcz w Monasterzyskach i właśnie gdy w roku 1902 przyjechałem do Halicza, on był proboszczem, jego też na tem stanowisku zostawiłem, wyjeżdżając w r. 1906 z tego miasta. Miał wówczas lat około 60, średniego wzrostu, okrągłej, rumianej twarzy, włosy ciemne, mało siwiejące i w małym ładzie utrzymane, człowiek o gołębiej duszy i złotem sercu, choć nie wzlatał umysłem pod niebiosa, ale zato cechowała go skromność, prostota, bogobojność i dobroć. Brewiarz codzienny w dwie

formie leżał u niego zawsze na stole w jego pokoju, ~~a po~~ a przebywał przeważnie w pokoju narożnym od Kościoła i ulicy. Raz okazując mi sporą księgę z przejęciem mówił: o – widzi pan, jeszcze mam tylko ~~tylk~~ tych kilkanaście kartek do codziennego czytania z „pars hiemalis", potem już przyjdzie część wiosenna. Ta lektura wzmacnia mię na duchu i krzepi w pracy duszpasterskiej. Rzeczywiście też był kapłanem gorliwym, siedział cierpliwie całemi godzinami w konfesjonale, chodził często do chorych z posługą religijną i nieraz ~~do~~ talarka srebrnego lub dwa zostawił, by choremu ulżyć w nieszczęściu. Wiek tylko sprawiał mu trudności w głoszeniu kazań. Jednem słowem byłto człowiek ewangelicznej prostoty, cichy, skromny, gościnny, za dobre słowo dałby był ze siebie koszulę. Był on synem ruskiego księdza, poszedł jednak na łacińską teologię, natomiast jego rodzony brat był księdzem ruskim, po owdowieniu został kanonikiem kapituły ruskiej w Stanisławowie a potem kanonikiem i mitratem u św. Jura we Lwowie. Przy każdej sposobności, na święta lub na lato przyjeżdżał ks. mitrat do swego brata do Halicza, obaj bracia bowiem lubieli się bardzo, zamieszkiwał wtedy na łacińskiem probostwie, przynoszono szaty liturgiczne z ruskiej cerkwi i co dnia ks. mitrat odprawiał mszę w kościele, a do mszy służył mu niezrównany w wymowie, niepokonany w argumentach, nieustraszony w procesach mieszczanin Pantalemon Segin, zamieszkały naprzeciw łacińskiego probostwa. Ks. proboszcz Turkiewicz, choć ruskiego pochodzenia, jednak solidaryzował się zawsze

z Polakami, był członkiem miejscowych towarzystw polskich, brał udział w polskich uroczystościach i na cele polskie łożył ile mógł. Wogóle cieszył się ten proboszcz powszechną miłością i szacunkiem. W kilka lat po moim odjeździe umarł on i spoczął na nowym cmentarzu halickim obok swoich dwóch poprzedników.

Obok proboszcza był wikarym tacińskim ks. Leonard Kaścinski. Młody, około 25 lat liczący, średniego wzrostu, brunet jak kruk, przystojny, zdolny, energiczny i gorliwy, był prawdziwą podporą starca proboszcza, jego codziennym doradcą i rzec można opiekunem. Jako zasługę poczytać mu należy, iż poza obowiązkami kościelnemi zajmował się wielce pracą oświatową i społeczną. Właśnie wtedy rozwinął swą działalność „Sokół" halicki, w nim ks. Kaściński gromadził młodzież i dziatwę, urządzał wieczorki, uczył słowa polskiego, pieśni polskiej i krzepił polskie serca, zwłaszcza w młodej generacji. A nie byłoto rzecz łatwa, bo jak jedni byli pełni uznania dla tej pracy, tak inni nierdolni zresztą do ~~do~~ żadnych twórczych czynów, nie jedną mu w tem trudność robili. W gruncie rzeczy pracował usilnie według możności i stosunków i ta jego praca z pewnością nie poszła na marne. Z Halicza przeniesiono ks. Kaścinskiego do Brzeżan a stamtąd został proboszczem w Śniatynie.

Organistą był wtedy Jan Malinowski, żonaty z zamożną mieszczanką halicką. Starszy człowiek, prawie że głuchy, obarczony dziatwą, choć materjalnie miał się wcale dobrze (syna miał proboszczem w Rożniatowie), jednak opanowała go

namiętność pieniactwa procesowego. Nie mógł żyć bez procesów a nękał nimi rodzinę swojej żony przez całe swe życie.

Prócz Kościoła parafialnego miał Halicz jeszcze klasztor franciszkański z Kościołem. Obok Halicza, na wyniosłej górze, panującej na dużej przestrzeni niziny ~~[illegible]~~ naddniestrzańskiej wznosił się klasztor OO. Franciszkanów z Kościołem św. Stanisława. Za moich czasów było tam po dwóch lub trzech księży. Mieli swój folwarczek i z tego żyli. Gwardjanem był najpierw ks. Matejkiewicz, wysoki, ~~rosły~~, barczysty człowiek, miły w towarzystwie, szczery w obejściu, dolegały mu jednak cierpienia nerwowe, ciągle czuł się niezdrów i zakłopotany. Po nim był gwardjanem ks. Sobolewski, przyjemny człowiek, zawsze pogodny na duchu, gdy co opowiadał, miał minę, jakby coś tajemniczego miał do wyjawienia. Mawiali zwykle myśliwi, że na trzy kilometry wokół św. Stanisława nie warto się wogóle wybierać ze strzelbą, bo tam już wystrzelał ks. gwardjan nie tylko wszystkie zające, ale nawet żadnego wróbla żywego nie zostawił. Oczywiście było to powiedzenie żartobliwe, a tyle tylko było w tem prawdziwego, że ks. Sobolewski bardzo często wolne chwile spędzał ze strzelbą na ramieniu w okolicy klasztoru. Administratorem folwarku OO. Franciszkanów był braciszek zakonny Józef Turkiewicz, na ~~[illegible]~~ imię i nazwisko taksamo się zwący, jak proboszcz Taciński. Na murowanej ładnej bramie wjazdowej do klasztoru, od strony wewnętrznej, tuż nad łukiem wjazdowym, na przestrzeni około dwu metrów szerokiej a na 3/4 metra wysokiej był wymalowany dawny zamek halicki. Gdy się o tem dowiedziałem, pojechałem na św. Stanisław do klasztoru, oglądnąłem obraz, podobał mi

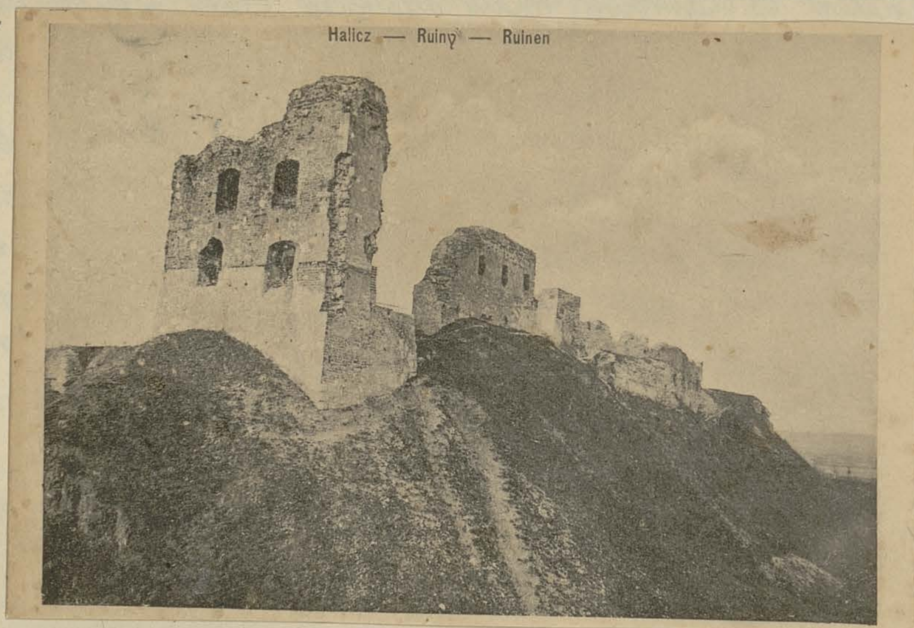
się rysunek, choć w szczegółach surowy, ale pochodził z dawnych czasów i nieistniejące już zamczysko ~~które~~ przedstawiało się wcale imponująco. Postanowiłem to odrysować. Nim się jednak namyśliłem, jakby to uczynić artystycznie a godnie, czy ołówkiem, czy farbami, czy na małym, czy na większym formacie, czy dla siebie, czy dać ów obraz oprawić i umieścić w ratuszu halickim, nim więc przy moich obowiązkach sędziowskich mogłem coś postanowić, minęło kilka miesięcy. Zobaczywszy raz gwardjana, przypomniałem sobie rzecz całą i zapowiedziałem niedługie przybycie. Gwardjan bardzo mię zapraszał, ale czuł się nieco zakłopotanym mówiąc, że cośtam „trochę" przy odnowieniu bramy obraz zamazano. Poszedłem zaraz do klasztoru i przekonałem się, że to „trochę", to jest właściwie prawie całkowite zniszczenie malowidła, bo po zatynkowaniu znaczniejszej części obrazu, pozostało zeń tyle co nic, nie było więc już co odrysowywać. Oglądnąwszy się przytem wokół dziedzińca klasztornego, zauważyłem, że na dużej szklanej werandzie klasztoru siedział na krześle z poręczami i do słońca się grzał zgrzybiały starzec, ledwie dyszący, o twarzy ziemistej, pooranej bróżdami, wydawał się być napół żywym, napół w letargu, bo ciągle drzemał i budził się, dobitny obraz uchodzącego z wiekiem życia w sposób zupełnie naturalny. Był to staruszek Franciszkanin, nie pełniący już żadnych funkcji duchownych, bo zresztą i życie przestawało już w nim funkcjonować. Ile razy ktoś życzy drugiemu dożycia stu lat, zawsze mam przed oczyma obraz tego zgrzybiałego starca i przedstawiam sobie,

że owo dożycie tego wieku równa się takiemu sennemu umieraniu, jakie wówczas widziałem na werandzie klasztornej. W kilka miesięcy później dowiedziałem się, że starzec zasnął na wieki.

Dawniej w Haliczu były trzy ruskie probostwa: jedno to była Kapelanja na Zadniestrzu, zniesiona po wybudowaniu mostu na Dniestrze, a dom księży kupił mieszczanin Popiel. Druga główna parafia była przy cerkwi św. Mikołaja, a trzecia na Załukwi (która za czasów dawnej Polski była przedmieściem Halicza). Cały szereg nagrobków na cmentarzu halickim na górze obok ruin zamku świadczy o tem, jacy i kiedy byli ruscy proboszczowie. Gdy ja mieszkałem w Haliczu, mówiło się jeszcze o proboszczu ruskim Lewickim, bracie ówczesnego metropolity unickiego. ~~Który~~ Proboszcz ten należał do rozbiorców zamku halickiego, bo ze zabranego stamtąd materjału kamiennego i cegieł za przychylnem zezwoleniem rządu austrjackiego, postawił budynek sądowy w rynku, duży dom nad samą Łukwą (obecnie własność mieszczan), dom propinacyjny obok sądu w rynku i kaplicę grobową Lewickich na starym cmentarzu. Po nim był proboszczem ruskim ks. Sabatewicz, ultraaustrjak, zmarł ze zmartwienia, że jego zięciowie porwani nawoływaniem archireja odstępcy Popiela (rodem z Medudy czy Halicza), poszli nawracać unitów na carosławie. Następca jego był ks. Juljan Kopyściański, Temko, Bogu ducha winien, chciał żydów nawracać na grecko-katolicki obrządek, co oczywiście najmniejszego nie odniosło skutku. Za jego czasów już się rozpoczął ruch ukraiński, którego tu dotąd nikt nigdy nie znał. Za moich czasów był ruskim proboszczem ks. Mikołaj Winnicki. Człowiek

w sile wieku, syn powszechnie szanowanego proboszcza w Bursztynie ks. Winnickiego, a zięć poprzedniego proboszcza halickiego Kopystjańskiego. Blondyn o ściągłej twarzy, powoli a dobitnie mówiący, silnie argumentował, w czynach stanowczy i konsekwentny. Należał do tzw. partji staroruskiej; którą oznaczano rusinów nie należących do kierunku ukraińskiego. Prawie wszyscy mieszkańcy haliccy ruskiego obrządku dzielili jego pogląd polityczny. Miał troje drobnych dzieci, mieszkał na probostwie obok drewnianej cerkwi, a probostwo to postawione było na dawnym, zburzonym wale, otaczającym śródmieście Halicza. Przy kopaniu studni na obejściu probostwa w znacznej głębokości znaleziono tram drewniany, zdaje się do starodawnych fortyfikacji należący. Nie stąpał po różach ks. Winnicki. Podczas wojny światowej został przez władze austrjackie w r. 1914 aresztowany, długo go trzymano w więzieniach niemieckich, doręczono mu oskarżenie, które sam czytałem w pewnych obcych aktach karnych, jakie nadeszły do moich rąk do prokuratorji państwa w Czortkowie. Żądano dla niego kary śmierci za należenie do partji staroruskiej, uważanej za rusofilską. Akt oskarżenia pisany był po niemiecku, odpowiadać miał przed sądami wojskowemi austrjackiemi. Jedynie zaszły tymczasem fatalny dla Austrji koniec wojny zapobiegł, że człowieka tego nie zamordowano. Bo Austrja wymordowała wówczas kilka ~~tysięcy~~ tysięcy niewinnych ludzi za rzekome nieprzyjazne usposobienie dla państwa. Proboszcz ruski miał wikarego, coraz innego, bo każdy wkrótce sam gdzieś zostawał proboszczem.

Już około Halicza na Załukwi był wówczas ruskim proboszczem ks. Leon Ławrecki. Znamienna to była postać i powszechnie szanowana, godna przekazania potomności. Miał lat około 60, rześki, ruchliwy, umysłowo bystry, o nieporównanej pogodzie ducha do końca swoich dni. Pochodził ze Sanockiego, był żonaty, miał dwóch synów i dwie córki. Człowiek ogromnie światły, encyklopedja umiejętności, niestrudzony badacz przeszłości Halicza. W domu pani Ławrecka zajmowała się prowadzeniem całego gospodarstwa, tak iż ks. Ławrecki poza swojemi czynnościami duszpasterskiemi mógł się oddawać studjum historycznemu. Nikt nie umiał tyle powiedzieć o starodawnym Haliczu, jak on, nadto oddawał się muzyce, grając na skrzypcach, był niestrudzonym mechanikiem, istne laboratorjum miał w kancelarji parafialnej i na strychu dużego spichlerza. Były tam tokarnie, liczne skomplikowane przyrządy i materjały. Corocznie w lecie urządzał festyn do lasów załukiewskich aż pod granicę Sokoła, tam gościł liczne grono zaprzyjaźnionej inteligencji halickiej a o zmroku puszczał rakiety, które przedtem niemal przez miesiąc sam umiejętnie sporządzał, mając do tego odpowiednie formy i narzędzia. W poszukiwaniach dawnego Halicza badał ks. Ławrecki pola, wzgórza, lasy, nasypy, ruiny po całej przestrzeni pomiędzy Łukwią a Łomnicą aż poza Podgrodzie i Krylos. Chodził ze stalową sondą, badał teren i osiągnął wspaniałe rezultaty. Przed jego domem na ogrodzie było małe muzeum

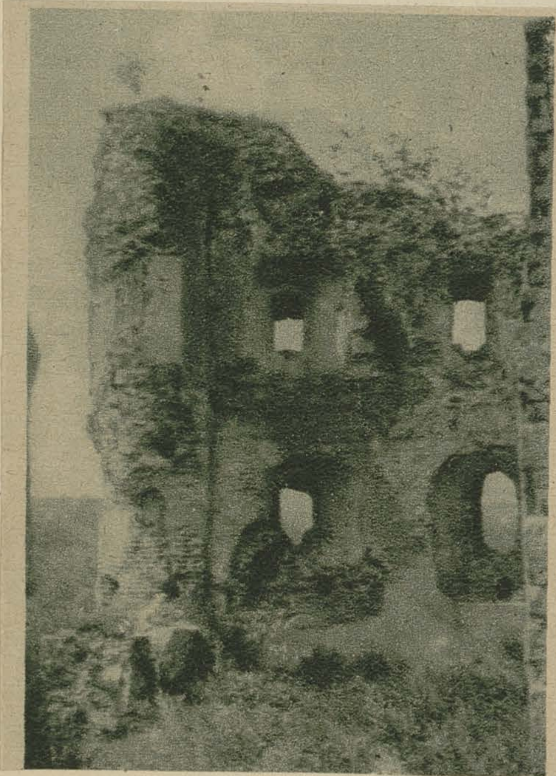


Wschodnia część ruin słynnego zamku halickiego, zbudowanego sumptem Rzeczypospolitej Polskiej. Stan ruin z r. 1904.

różnych resztek sarkofagów, gzymsów, kamieni ciosowych, a o każdem umiał ks. Ławrecki opowiedzieć, jakie miał znaczenie i przeznaczenie i o czem świadczy znalezienie go na tem, czy na owem miejscu. Kilka wartościowych rzeczy oddał do Muzeum dyecezjalnego we Lwowie. Niestety, nie spisał ks. Ławrecki ~~i ogromnie cenne ś~~ swoich wiadomości i jego wielkie zdobycze naukowe zeszły z nim razem do grobu. Chodził ze mną kilka razy po polach Załukwi i pokazywał interesujące szczegóły swoich dociekań: tu przy dzisiejszej drodze z Halicza do św. Stanisława stał na wzgórku żeński klasztor ruski, tam też

znalazł ks. Laurecki mały dzwonek, jaki zwykle używa się w cerkwiach przy ołtarzu. Winnem miejscu okazał mi na krawędzi pól załukiewskich od strony rzeki Łomnicy na wzgórzu zapadłą basztę, jeszcze zaś na innem miejscu na odkupionym od chłopa kawałku pole pokazał mi odkopane przez siebie fundamenty jakiejś nieznanej cerkwi, pod kamiennemi fundamentami znalazły się ogarki, jakby pozostałości po spaleniu dawnych tramów drzewnych. W innem miejscu na chłopskiem polu w Załukwi, pośród powiewnego łanu żyta była odwieczna, kamieniem trwale wycembrowana studznia, widocznie kiedyś wokół niej musiało być domostwo jakiegoś bojara halickiego. Gdzieindziej pokazał mi ks. Laurecki duży kawał pola zielonej koniczyny, a na jakie 80 cm. pod powierzchnią tego pola była mozaikowa posadzka kamyczkowa w romby, jeden żółty, drugi niebieski naprzemian. Z wyglądu jej można było wnosić, że była to posadzka jakiejś cerkwi. Chłop nie chciał żadną mierą pola tego sprzedać ufając, że pod tą posadzką kryją się jakieś tajemnicze skarby. Wreszcie pod górą Kryłoską okazał mi przestrzeń, gdzie były ślady postoju na hibernach legionu rzymskiego (cegła znaczona CX, co tłumaczono ~~[illegible]~~ Kohorta dziesiąta). Wyjaśniał mi ~~[illegible]~~ dalej znaczenie kopców w lasach załukiewskich i koło wsi Sokola, wreszcie zabytki archeologiczne na Kryłosie, który kryje w ziemi wiele skarbów naukowych, dotąd nie zbadanych. Ks. Laurecki był otwartą księgą dziejów tego skrawka ziemi, którą ukochał prawdziwie a szczerze. Rozrywką jego było polowanie,

któremu się oddawał namiętnie. Szafy jego wyglądały jakby zbrojownie a w sezonie polowania był wielce ożywiony. Najczęściej lubiał jeździć na łowy ze sędzią Łuczakowskim. Probostwo ~~halickie~~ załukiewskie było w jego rękach około lat 35. Otaczano go czcią i miłością, był to człowiek jakby wykrojony z ewangelii, o czystej duszy, szlachetnem sercu, głębokim umyśle, Chrystusowej dobroci i rozległej wiedzy. Około roku 1910 umarł ten zacny kapłan wśród następujących okoliczności. W lecie zakupił cegły i kazał je pozwozić na stary cmentarz,



Ruiny południowo-wschodniej wieży zamku halickiego. Ogromnie silna budowa utworzyła jeden lity nierozwalny blok kamienny, widny na górze zamkowej na całą okolicę.

*

pomiędzy cerkwią załukiewską a gościńcem, mówiąc żartobliwie, że będzie sobie składł chatę. Tymczasem żonę z córką wysłał na letnie wywczasy zdaje mi się do Truskawca, sam zaś pozostał w domu ze sługą. Pewnego letniego dnia bawił u znajomych w Haliczu, powrócił późnym wieczorem do domu, położył się do snu, nad ranem, gdy sługa przyszła zabrać ubranie do oczyszczenia, powiedział ~~mu~~ jej ks. Ławrecki, że mu jest niedobrze, kazał jej pójść po lekarza dr. Zinsa do rynku w Haliczu, sługa zlecenie wykonała, a gdy z lekarzem wróciła, ks. Ławrecki już nie żył. Pojechałem z Kołomyi do Halicza na pogrzeb. Zwłoki jego były już w cerkwi w cynkowej trumnie. Pogrzeb miał wspaniały. Odprowadzało go liczne grono przyjaciół i rzesza parafian. Z nawiezionej cegły wymurowano grób, w którym spoczął na wieki a obok niego w niespełna rok później złożono jego żonę. Tak żył i umarł nieoceniony miłośnik ziemi halickiej, przezacny kapłan, artysta życiowy i kustosz zabytków minionych ~~czasów~~ wieków. –

*

Za moich czasów był w Haliczu mały garnizon austrjacki. Na górze za nowym cmentarzem były pobudowane duże podziemne piwnice, a w nich mieściła się znaczna ilość wybuchowych materji. Otóż oddział około 20 żołnierzy strzegł owych składów, nad nimi dzierżył komendę jeden oficer i jeden wachmistrz. Gdy ja byłem w Haliczu, był nim kapitan, późniejszy major Karol Kraus, polak, poważny człowiek, mieszkał w domu emigranta Lesiewicza, w temsamem pomieszkaniu, które

później zajął naczelnik Hordyński (plan p. 13.). Kraus żył w ścisłej przyjaźni z adwokatem Lityńskim i był u niego niemal codziennym gościem. Postąpiwszy na majora, ożenił się ze swoją dalszą krewną, nauczycielką w Rzeszowie, wreszcie się spensjonował, był jakiś czas po moim wyjeździe burmistrzem miasta Halicza, następnie zaś przeniósł się na stały pobyt do Krakowa. Na wodach halickich odbywały się co lata ćwiczenia wojskowe. Coraz nowe oddziały saperów zjeżdżały do Halicza i przeważnie na Dniestrze ćwiczyły się w pracach na wodzie. Ale też co lata topili się żołnierze w Dniestrze lub innych rzekach koło miasta. W lecie 1905 zdarzył się wypadek następujący. Gdy wracałem wieczorem z komisji z Międzyhorzec i wózek zatrzymał się przy rogatce niedaleko Siemakowiec, powiedział nam żyd rogatnik, że właśnie przed kilku godzinami utopił się żołnierz. Po przybyciu do miasta dowiedziałem się, że władza wojskowa chcąc zapobiedz topieniu się żołnierzy, zakazała kąpieli w Dniestrze, a aby zakazu tego nikt nie przekroczył, postawiła na warcie żołnierza, który chodził wzdłuż brzegów Dniestru pod miastem (plan p. 32). Właśnie nadchodził nowy żołnierz, aby zluzować swego poprzednika i objąć po nim wartę, co gdy obaczył ów, zluzować się mający, znikł gdzieś w łęgach. Nowy żołnierz sądził, że poprzednik uczynił figla i schował się przed nim, gdy ~~zaś~~ jednak nawoływania pozostały bez skutku, począł go dokładniej szukać i wtedy pokazało się, że ów żołnierz chciał się skąpać, nie chciał jednak schodzić z patroli, więc czekał aż przyjdzie następca, a zobaczywszy go, skoczył

szybko ze wodę, aby wnet wyjść ze rzeki i powrócić do koszar, ale skoczył w głębię i postradał życie. Spłynął dopiero po kilku dniach.

W r. 1904 obchodzono uroczyście zakończenie ćwiczeń wojskowych. Był popis sprawności wojska przed generalicją i publicznością. Siedząc w biurze popołudniu, usłyszałem kilkakrotny przeraźliwy łomot, jakby ~~to~~ pioruny w pobliżu biły. Wyszedłem na most i zobaczyłem na nim liczne grono oficerów z generałem ze Stanisławowa na czele i całą inteligencję halicką. Szczególnie sporo zebrało się płci pięknej. Odbywały się ćwiczenia w wysadzaniu różnych objektów za pomocą wybuchowych materji (ekrazytu). Na błoniach nad Dniestrem (plan p. 33) na sztucznym nasypie kolejowym ułożone były szyny, oddział złożony z trzech ułanów podłożył i zapalił miny, poczem co rychlej na koniach galopem umykał w odległe miejsce. Po jakich pięciu minutach dał się słyszeć straszliwy trzask i huk, dym i kurz buchnął w górę, szyny kolejowe rozpadły się w drobne kawałki. Potem na Dniestrze (w punkcie planu 34) ustawiona była jakaś struktura wodna z licznych belek. Kilku żołnierzy podpłynęło łódkami, założyli miny i znów po niejakiej chwili gruchnął olbrzymi huk, belki poszły w strzępy, struga wody na wysokość jakich trzech pięter trysnęła wspaniale w górę, a niebawem wodę spłynęły połamane drewna i kawałki rozszarpanych ryb. Wreszcie nastąpiły wyścigi łódek. Na dany znak dwie łódki po dwóch żołnierzy ruszyły z okolic ujścia

Łukwi w kierunku ku ówczesnemu drewnianemu mostowi. (plan p. 35.). Która łódka prędzej by przybyła, miała otrzymać nagrodę. Już szczęśliwi ~~wyścigowcy~~ dotarli do mostu od strony kolei (do punktu 36. planu), ale łódź zawadziła o stare pale, ledwie nieznacznie z wody wysterczające i jeden ułan, węgier zleciał we fale Dniestru. Trzymał się jakiś czas krawędzi łodzi, będąc po szyję we wodzie, lecz silny prąd wody wnet go od niej oderwał, uniósł dalej, ułan znikł pod wodą, jeszcze po drugiej stronie mostu pokazał się nad powierzchnią rzeki, zaraz jednak krótko strzyżona czarna głowa znikła pod wodą i mimo gorliwych poszukiwań łódkami i przez jakiegoś znakomitego pływaka cywilnego, który się rozebrał i popłynął na miejsce katastrofy, nie zdołano ułana odszukać. Generał kazał natychmiast przerwać popisy i dalsza część programu odpadła. Wróciliśmy do domów z niemiłem uczuciem, żal nam było tego młodego życia, które tak niespodziewanie zgasło w naszych oczach. Ułan spłynął dwa dni później koło Jezupola. Na jednej nodze brakło buta, a zwolniona noga była pokaleczona ostrogą drugiego, na nodze pozostałego buta. Widać, że gdy spadł do wody, ~~a~~ ciążyły mu namoknięte buty, tamowały swobodę ruchów i możność ratunku, chciał je zrzucić, zdołał jednak tylko jeden ściągnąć, zrzuceniu drugiego przeszkodziła nieprzytomność i śmierć.

Halicz nadawał się znakomicie na nowo-

czesną twierdzę, ale nadawał się taksamo i Złoczów. Robiono studja, ewentualne koszta jednakże miały być tak kolosalne, że Austrja, naówczas już zubożała nie mogła im podołać. Dlatego rzecz poszła w odwłokę, a zresztą każdy nowy minister wojny miał nowe pomysły. Skończyła się sprawa na pobudowaniu w krąg Halicza około 12 – 18 szańców z nasypami ziemnymi.

*

Lekarzy było za moich czasów dwóch, obaj wyznania mojżeszowego. Starszy z nich Klemens Zins, lat około 40 liczący, mieszkał naprzeciw kościoła (plan nr. 8), żonaty, ojciec dwojga dzieci, brunet, lekko przysadkowaty, prawie łysy, o czarnym wąsie, był człowiekiem rozumnym, ruchliwym, uczynnym. Był także lekarzem kolejowym, stąd bardzo często widziało się go jadącego różnymi pociągami, nie wyłączając towarowych, wysiadał zaś w najbliższej okolicy Halicza do kogoś chorego ze służby kolejowej. Podczas mego pobytu w Haliczu ciężko przechorował się na tyfus. Podczas wojny światowej około roku 1918 umarł przedwcześnie. Drugim lekarzem był Jakób ~~Zins~~ Stok, mieszkał w domu Janowiczowej naprzeciw łacińskiego probostwa (plan n. 7.), brunet, smukły, miły człowiek i skromny, żona jego była zawołaną pianistką. Mieli dwie małe córeczki. Obaj wspomniani lekarze, byli w swoim zawodzie biegli, powszechnie lubiani i cieszyli się wzięciem.

Był także lekarz weterynarji Wolf Geller, ~~także~~ izraelita, niezmiernie skromny i ~~cał~~ cichy, przy

wszystkich polskich obchodach, wieczorkach, przedstawieniach, stale pełnił chętnie obowiązki kasjera. Mieszkał w podwórzowym domu obok mostu, (plan p. 31.).

Apteka mieściła się w dużym, murowanym domu parterowym, o otwartej werandzie, opartej na czterech słupach okrągłych, murowanych, biało bielonych. ~~Leżała~~ przy ulicy ku Międzywodziu (plan p. 37.). Właścicielem jej był Juljusz Ormezowski. Miał podówczas lat około 48, był żonaty, bezdzietny. Człowiek dość chuderlawy, średniego wzrostu, rudawa broda i wąsy były na pół siwe. Zawsze ubrany jak najwykwintniej, bita odeń moda i szyk, nigdy inaczej nie chodził jak tylko wyprostowany jak świeca i to szybkimi krokami; iż zdawało się, że biegnie, lub przynajmniej, że się gdzieś ogromnie spieszy. Ale to było tylko złudzenie, nigdzie się on nie spieszył, bo nie miał czego, bowiem miał tak wiele wolnego czasu, jak nikt inny w Haliczu. Aptekę wydzierżawiał, sam zaś swobodnie mieszkał zdala od niej w pięknym domu, niedaleko kolei (plan p. 38), a bawił się tam pielęgnowaniem kwiatów, czesaniem niedużej brody na dwie połówki i prowadzeniem agencji asekuracyjnej „Florjanki." Jak drobniutko chodził, tak i drobniutko pisał, a jeszcze drobniej mówił. Popularnie nazywano go Julciem, a zdrobnienie to miało podstawę w jego usposobieniu, zachowaniu się i sposobie mówienia, co wszystko razem sprawiało wrażenie, że się ma przed sobą duże, siwiejące już dziecko.

Brał chętny udział w polowaniu, ale tam bywał przedmiotem żartów, bo zwykle w zdenerwowaniu pociągał oba kurki du- ~~bełt~~ bełtówki niemal razem, a zasadniczo pudłował. Lubiał zeń delikatnie żartować ks. Laurecki, ale też lubił jego towarzystwo, bo gdzie się Julcio pokazał, uśmiechały się wszystkie twarze. Na pogrzebie ks. Laureckiego miał także i Julcio jedną z mów, niestety usta zmarłego już się na tę mowę nie mogły uśmiechnąć, ale że duch ks. Laureckiego uśmiechał się szczerze, możemy być pewni. Niemal przy schyłku swego życia wystrzelił Julcio kolosalne głupstwo. Oto dzierżawca apteki Hamerman przekonał Julcia, że dom apteczny nic nie wart, bo pod nim biegnie żyła wody zaskórnej, że domowi grozi zawilgocenie, ~~a~~ ruina i rozsypanie się, że apteka kiepsko idzie i gdyby nie handel herbatą dzierżawcy, dawno by zbankrutował, że nie całe to przedsiębiorstwo apteczne nic nie warte i jeszcze kiedy ~~zapa~~ zapadnie się pod ziemię w bagno zaskórne. Zrażony takiemi fatalnemi wadami domu aptecznego, postanowił Julcio aptekę sprzedać. Kontrakt wnet doszedł do skutku, tenże Hamerman dom i aptekę od Julcia kupił i to na kredyt, a co główna, miał za cenę sprzedaży płacić raty kwartalne właśnie takie, jakie poprzednio płacił jako czynsz dzierżawny. Po kilku latach Hamerman był szczęśliwym właścicielem ładnej apteki i Fratego domu przy ludnej ulicy. Julciowi pozostał jeszcze tylko tytuł aptekarza. W czasach wojennych (1914-1918) popadli Ormezowscy w ciężkie położenie materjalne,

zmarła najpierw ona, potem on.

*

Za czasów przedrozbiorowej Polski, w każdym razie jeszcze do roku 1767 posiadał Halicz ratusz drewniany pośród rynku. Gdy ja mieszkałem w Haliczu nie pozostała nawet tradycja o tym ratuszu, nikt niczego o nim nie wiedział, a rynek był pustym targowym placem. Natomiast ratuszem nazywano dawniejszy klasztor OO. Franciszkanów, położony w rynku (plan p. 1.), gdzie mieszkali zakonnicy przed przeniesieniem się na św. Stanisław. W tymto więc poklasztornym ratuszu mieścił się Magistrat miasta Halicza. Burmistrzem był za moich czasów Piotr Segin, mieszczanin halicki, rusin, człowiek okazały, o czerwonej ściągłej twarzy, poważny i rozumny. Jego zastępcą był Onufry Musiakiewicz, również mieszczanin, także człowiek poważny, szybko się orjentujący, o doskonałej pamięci. Sekretarzem Magistratu był dr. Jerzy Osterman, były sędzia, syn dawnego starosty stanisławowskiego, człowiek bardzo zdolny, energiczny, czynny, jednak liczne przeciwieństwa życiowe nie dozwoliły mu rozwinąć należycie swych zdolności. Z innych urzędników Magistratu pamiętam tylko Janowicza i emerytowanego nauczyciela Musakowskiego, pełniącego funkcję kasjera miejskiego. Policjantów było czterech, a najbardziej znanym z nich był Harasymowicz, tęgi mężczyzna, o fioletowej twarzy a granatowym nosie, chłop silny a zawadjacki, pochopny



Były klasztor pofranciszkański przerobiony został prawdopod. około r. 1800 na ratusz halicki. Na dole pomieszczono Magistrat, szkołę powszechną męską zaś na piętrze. Według ustnych podań kościół został rozebrany, a stał w tem miejscu, gdzie na obrazku są drzewa i skwer. Fotografia pochodzi z czasu około r. 1905.

do krzepiącego napoju. Ale służbę pełnił gorliwie. Raz patrzyłem z okna sądowego na jakieś zbiegowisko na rynku. W środku zgiełku ludzkiego widniał Harasymowicz i jakąś sprawiedliwość doraźną czynił. O co chodziło, nie mogłem wyrozumieć, to tylko widziałem, że chwycił jakichś dwóch drągali za kołnierze, jednego lewą, drugiego prawą ręką i przemocą zaprowadził ich do ratusza.

*

Ludność miasta Halicza rozpadała się na cztery narodowości, równolegle zaś do tego na cztery wyznania. Byli to polacy, rusini, żydzi, i Karaici.

W skład ludności polskiej wchodziła przedewszystkiem przeważna część inteligencji urzędniczej, nadto mieszczanie. Życie polskie grupowało się przy „Sokole". Właśnie za moich czasów tworzono towarzystwo „Sokół" i zakupiono grunt w ulicy za zamkiem (nieopodal rzeźni), gdzie też postawiono budynek (plan Halicza punkt 23.

Część rynku halickiego ciągnąca się od ratusza do kościoła. Za szeregiem parterowych domów żydowskich położone były nieduże ogrody a dalej piękna góra zamkowa ze szczątkami ruin.



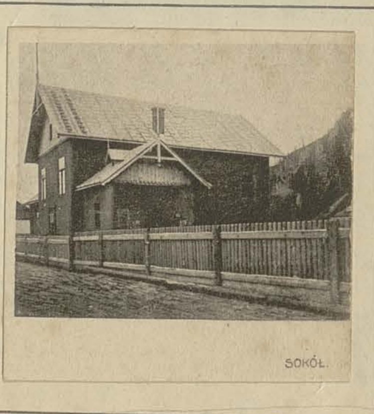
Do gorliwych krzewicieli idei sokolej należał przedewszystkiem młody dziedzic Błudnik Marjan Jaroszyński, owiany duchem narodowym, usposobieniem demokratycznem, hojnie przyczynił się materjalnie do wzniesienia budynku, a dokładniej mówiąc, on go wystawił. Dalej dał gorliwą pracę i swój ostatni grosz pierwszy prezes „Sokoła" emigrant Lesiewicz. Była to pamiętna postać w Haliczu. Starzec, wysoki, barczysty, o silnej budowie ciała, pochodził z Litwy, skąd emigrował z powodu udziału w ruchu narodowym, żył dłuższy czas we Francji i z nią się zżył. Mieszkał w Paryżu i jeszcze ~~[illegible]~~ widział Adama Mickiewicza, ale już ledwie w pamięci mógł słabo odtworzyć jego postać. Tyle tylko pamiętał, że gdy raz był u Chodźki na herbacie, był tam także Mickiewicz. Pamiętał, że Mickiewicza z wielką uprzejmością przyjmowano, nie pamiętał jednak, o czem mówiono, ale utkwił mu przecież ten szczegół w pamięci, że gdy Mickiewicz już miał odchodzić, widocznie na zakończenie jakichś refleksji politycznych podniósł prawą rękę do czoła, jakby rozstawionemi palcami po niem czegoś szukał i rzekł: a mnie się coś tak zdaje, że my się jeszcze kiedyś z Rosją pogodzimy! Wracając do opowiadania o „Sokole" halickim podnieść muszę, że kilku członków wydziału „Sokoła" nietaktownie się z Lesiewiczem obeszło (na tle rachunków z budowy domu sokolego), czem on urażony złożył prezesurę i czuł żal do swoich przeciwników. Sam Lesiewicz miał ładny domek własny (plan p. 13), zajmował

posadę urzędnika drogowego przy wydziale powiatowym, był bezżenny, opowiadał bardzo chętnie swoje wspomnienia z Litwy i Paryża, a dożył bardzo późnego wieku, możliwie jakich 90 lat.

Wreszcie trzecim gorliwym propagatorem idei sokolej był ówczesny wikary halicki ks. Schwarz. Ksiądz ten był tak małego wzrostu, że ledwie trochę był wyższy od ołtarza, a ornat obliczony na normalnego człowieka niemal do kostek mu sięgał. Był cichego usposobienia a pracował gorliwie w duchu narodowym. Z usposobienia był flegmatykiem, cicho mówił i powoli. Z Halicza poszedł na ekspozyta do Liczkowiec. Plany budowy ułożył i robotami kierował inżynier kolejowy Niebieszczański. Tak stanął „Sokół" z drzewa wprawdzie, ale całości odpowiedni, miał dużą salę ze sceną, kilka ubikacji pobocznych, duże boisko za budynkiem i tarasowatą część góry, poprzecinaną ścieżynami. Tam skupiło się życie



„Sokół" w Haliczu w budowie (około r. 1904.)



Bok budynku Sokoła od strony miasta

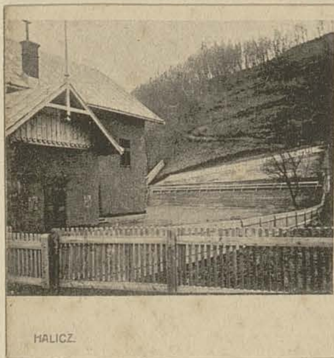
*

polskie. Na scenie dawano przedstawienia amatorskie siłami mieszczańskiemi, na wieczorkach deklamowano i śpiewano, dziatwa szkolna za staraniem ks. wikarego Kaścińskiego dawała „Jasełka", jednem słowem Sokół stał się ostoją życia narodowego, godziwej rozrywki i był szermierzem oświaty wśród mieszczaństwa. Dość gdy wspomnę, że jednym ze zapalonych amatorskich aktorów na scenie był miejscowy kominiarz Rzeszowski, a aktorem amantem był pisarz sądowy Sierocki, mieszczanin kalicki. Niezmiernie gorliwej pracy w „Sokole" oddawały się dwie nauczycielki: Zabłocka i Potocka. Jam widziałem, jak praca ich przed wieczorkiem mickiewiczowskim posunęła się do takich granic, że same zamiatały salę Sokołą. Ale w Sokole nie było niestety zgody wewnętrznej. Na jeden rok, zdaje mi się na 1905 zostałem wybrany do wydziału. Prezesem wtedy był Jaroszyński z Studnik, a zastępcą sędzia Szulakiewicz. Na posiedzeniach wydziału nie można było żadną miarą dojść do zgody. Było kilku, którzy wiecznie mówili, do każdego punktu porządku dziennego zabierali głos, pletli rzeczy bez sensu, byleby gadać i zwalczać każde zdanie i każdą myśl, jaką kto podniósł. Wychodziliśmy z tych posiedzeń zirytowani i niezadowoleni — wreszcie, chcąc odprężyć atmosferę — wnieśliśmy rezygnację. Jak dalej potem szła praca we wydziale, już nie wiem, bo żadną miarą nie chciałem się zgodzić na dalszy wybór. Tak jednak było tylko we wydziale, bo wśród członków szła praca raźnie naprzód i nikt jej nie zamącał.



Front budynku „Sokoła" halickiego.

Rusini mieli swoją inteligencję także wśród sfer urzędniczych, zresztą liczni mieszczanie byli rusinami. A stwierdzić się godzi, że stan mieszczański w Haliczu był bardzo silny, niektórzy mieszczanie odznaczali się dużemi zdolnościami, zresztą zaś cechowała ich powaga i jakaś oryginalna godność, jakby świadomość, iż są potomkami, a przynajmniej następcami słynnych bojarów halickich. Było wśród nich kilkanaście jednostek takich, że gdyby mieli studja wyższe i lepsze doświadczenie na szerszej arenie światowej, byliby w stanie całkiem rozumnie krajem rządzić. Jak polacy w „Sokole", tak rusini grupowali się przy towarzystwie zaliczkowem „Nadzieja". I tam była sala do przedstawień, i tam prowadzono kult narodowy ruski, na którego pulsie trzymał rękę proboszcz ruski



Boisko „Sokoła" i ogród na wzgórzu ze serpentyną ścieżek. Ścieżki te widoczne są także na górnym obrazku.

*

ks. Winnicki.

Rodowity haliczanin dr. Leszek Dziama, syn dawnego sędziego halickiego Marcina Dziamy, tak mi spisał w liście z 3 sierpnia 1925 swoje dawne wspomnienia o mieszczanach halickich:

„Gdym był dzieckiem – pisze dr. Dziama – inny w Haliczu nosili ludzie strój, niż dzisiaj; mieszczanie długie na pętlicach kapoty granatowej barwy, pasy szare, wełniane, czapki zawiesiste z białym, krymskim barankiem. Sireccy i Malinowscy nosili konfederatki. Zasiedziałki golili się stale, nosząc fryzury (o ile nie byli łysi) à la Titus do góry. Harde to było plemię: Gorayskich, Stebnowskich, Toroniów, Studzińskich, Czemeryńskich, Sireckich, Popielów, Punickich. Czemeryński Bazyli wyśpiewywał sobie: jam bojar, szlachcic i pan – a ty mudjo Iwan! przepiję cały reński, bom ja Czemeryński, bo ję chłop ot dziarski; ojciec konfederat barski! Urzędników zwał zawołokami, mieszczan w rodzaju Głuszków, Dociaków, Kłakowiczów, Polaczków przezywał flakami, a gdy dostał raka na ~~lewej~~ twarzy, pojechał do Paryża na operację i żył gdzieś do roku 1877 lub 8. Na ich części, (po lewej stronie za drugim powodziowym mostem, idąc na dworzec), widzimy dziś cały szereg domów, p. Bazyli miał tam kilkadziesiąt morgów po „hamernię" i aż po tzw. Byków. Seginów przezywano wtedy jeszcze węgrami. Czerkawskich zwano wysoką szlachtą, a o Gruszkiewiczach i Bisztygach opowiadano jak jeździli wozami po towary daleko. O Potockich

śpiewane pieśni, wykazujące ~~pieśni ruskiej cerkwi~~ krzywdy ruskiej cerkwi wyrządzone. Janowicze mieli tradycje kozackie, podobnie jak Sandurscy. Ćwikliccy przyszli po roku 1831 i mieli tradycje posiadaczy ziemskich w Królestwie. Maślakowie pochodzili ze wsi Krytosa (djacy). Buczyńscy również mieli być nowymi przybyszami, ale znikli. Uhorczaki, typ węgierski, świeży. Małachowscy, Wisłoccy, Sawiccy, Leszczyńscy i Batowie wszyscy prawili o tem, jakimi panami byli ich przodkowie, ale o Polsce milczeli, wytresowani przez „Gemischte Polizei-Gerichts-Ämter" kierowane przez Tchorznickich, Łozińskich itp. Gdy po bracie ks. Strzeleckiego, Józefie Strzeleckim został pocztmistrzem Konstanty Ozorja Bukowski, podpisujący się hr. i nazwał któregoś z mieszczan chamem, była o to sroga obrazówka w 1879 lub 1880 roku. Na Załuku Skrętowicze i Dębowscy nie bratali się z chłopstwem. Kondraccy rozeszli się jako ekonomowie po świecie za mej pamięci."

Tyle dr. Dziama.

Mieszczanie podupadli z powodu nieszczęśliwego działu gruntów i koniecznego stąd zubożenia, pozostały więc im tylko piękne tradycje w pamięci, każdy dzień bieżący niósł im tylko coraz większy niedostatek.

Żydzi trudnili się handlem i rzemiosłem, a mieszkali w rynku i przybocznych ulicach. Rynek sam miał jednak za moich czasów jeszcze cztery domy katolickie (kupiec Krzyżanowski, mieszczanin Gruszkiewicz,

dwu innych nazwisk nie pamiętam. Było kilka rodzin inteligencji żydowskiej, które posługiwały się językiem polskim, inne rodziny mówiły żargonem żydowskim. Według informacji dr. Dziamy zasiedziałe od dawna w Haliczu były rodziny: Fadenkechtów, Messingerów, Bleimanów, Kirschenów, Fischów i Heliczerów.

Wreszcie czwarta nacja to byli Karaici, godni studjum i poznania. Nie było ich wiele za moich czasów, może jakich 130 osób wszystkiego. Mieszkali przeważnie przy ulicy Karaickiej, tj. tej która się ciągnęła od murowanej cerkwi do drewnianej (na Zaparkaniu). Byli średniego wzrostu, cery ciemnej, bruneci o szerokiej głowie, usposobienia spokojnego i ustępliwego, żyli tylko ze sobą i dla siebie, żenili się w pokrewieństwie, bo wszyscy byli ze sobą skoligaceni, stąd wytwarzał się niepożądany objaw stopniowej degeneracji przez stępienie umysłowe i charłactwo fizyczne. W stroju nie różnili się w niczem od zwykłych mieszczan. Mówili swoim specjalnym językiem tj. mową karaicką, będącą podobno zbliżoną do tureckiej. Gdy jednak który w kłótni wpadł w ferwor, sypał drugiemu wyzwiska po rusku. Słyszałem, że czasem także pomiędzy sobą po rusku mówili. Zajmowali się uprawą roli lub budownictwem drzewnem (szczególnie mostów). Handlem ani jeden z nich się nie trudnił, bo do handlu nie mieli ani skłonności ani zdolności. Między nimi a żydami panowała nienawiść. Mieli swoją oryginalną, czworoboczną bożnicę przy ul. Karaickiej,

† P.

K LECH

286/87

tku Słabkowice, ziemi kieleckiej,

ciężkich cierpieniach, zmarł dnia 3 kwietnia, przeżywszy
icu, o czem zawiadamia pogrążona w smutku
RODZINA.

---

icę śmierci
† P.

Łatkiewicza,

w. Akc. K. Rudzki i S-ka,
odz. 10-ej zrana, w kościele Św. Krzyża przy wielkim
SYNOWIE. 243*

1.

Karaimizm w Polsce.

(Wywiad u p. o. hachmana trockiego, p. Szymona Firkowicza.)

Korzystając z niedawnej bytności w Warszawie głowy Kościoła karaimskiego w Polsce, p. o. Hachama trockiego, p. Szymona Firkowicza, a mając na uwadze małą znajomość wśród ogółu polskiego sprawy karaimstwa polskiego, tudzież istnienie licznych przesądów i utartych, a mylnych sądów o karaimach (np. identyfikwanie ich z żydami), zwróciliśmy się do p. Szymona Firkowicza z prośbą o udzielenie szeregu informacji, zaczynając od podstaw doktryny karaimskiej, kończąc na współczesnym losie tej nielicznej, lecz społecznie pożytecznej, a państwowo lojalnej grupy obywateli polskich wyznania karaimskiego.

P. Szymon Firkowicz na pytania nasze odpowiedział uprzejmie co następuje:

— Na czem polega kult religijny karaimski?

„Religja karaimska opiera się wyłącznie na Starym Testamencie. Biblja jest jedyną świętą księgą przyjmowaną przez wszystkich wyznawców karaimizmu, bez żadnych zmian lub zastrzeżeń. Wszystkie późniejsze nadbudowy i komentarze, jak Talmud, Miszna i t. p. są obce i absolutnie nie do przyjęcia dla karaimów. Poza tą

dalej 2.

3. la Jana Kazimierza (pochowany na cmentarzu w Tro-
kach); matematyk Zarach ben Natan i Aron ben Sala-
mon z Poswola, znakomity teolog, Józef Malinowski —
teolog XVII w."

— Jakie przetrwały dotychczas skupienia karaimski
u nas?

„Obecnie w Polsce główne skupienia karaimskie ist
nieją w 3 dawnych kolonjach: Troki, Halicz, Łuc
i w Wilnie, kolonji powstałej dopiero w w. XIX, w któ
rej ześrodkowuje się głównie inteligencja pracująca.

Brak ścisłej statystyki nie pozwala określić liczby ka
raimów w Polsce, lecz podług obliczeń, dokonanyc
w przybliżeniu przez duchowny zarząd karaimski w Tro
kach, w Polsce jest karaimów około 1500. Ta mała grup
narodowa, posiadając w swojem gronie znaczny ods
tek ludzi z wyższem wykształceniem, ma własny orga
czasopismo kwartalne naukowo-literackie: „Myśl ka
raimska", wydawana w Wilnie, umieszczająca obok fa
chowych artykułów, wiersze oryginalne w języku ka
raimskim i wiadomości z kroniki skupień karaimskic
w kraju i za granicą. Pomimo niewielkiej liczby i wiel
krotnego spokrewnienia rodów w ciągu wieków, n
widać u ludności karaimskiej cech degeneracji, ani f
zycznej, ani psychicznej. Karaimowie troccy przedst
wiają silny typ fizyczny, są naogół rośli i barczyś
a zwłaszcza starzy odznaczają się przeważnie zadziwi
jącą czerstwością. Wpływa na to prawdopodobn
mierna praca fizyczna na roli przy dość wielkim dobr
bycie i stosunkowo wysoki poziom kulturalny i moraln
Społeczeństwo karaimskie posiada wszelkie warstw
od osób z wykształceniem uniwersyteckiem, do wyr
bników dziennych, lecz, pomimo znacznego zróżniczk
wania, panuje w niem duch solidarności, wypływając
z poczucia odrębności religijnej i językowej. Orga
zacja karaimów jest dotychczas nieskoordynowana
względu na rozbieżności kodeksów byłych zaborów

— Czy karaimowie polscy utrzymują stosunki z k
raimami innych krajów?

„Karaimowie polscy nie zaniechali nigdy utrzymyw
nie stosunków z Krymem, swą kolebką i gniazdem. N
mo utrudnień charakteru politycznego, istnieje pomięd
krymskimi a polskimi karaimami korespondencja i w
miana wydawnictw.

Z Turcją, w której również jest wielu karaimów,
łączności jeśli nie jest przerwana, to w każdym ra
znacznie osłabiona. Z Egiptem, gdzie sam Kair lic
około 700 rodzin karaimskich, również istnieje koresp
dalej 4. dencja karaimów polskich, którzy dostają czasopis
(dwutygodnik) karaimskie, wychodzące po arabsku p
„Alittihad". Z innemi kolonjami: we Francji, w A

2

286 c

zasadniczą różnicą pierwszorzędnej doniosłości, która niewątpliwie przyczyniła się do stworzenia odmiennego typu psychologicznego, kultury religijne karaimizmu i judaizmu posiadają dużo różnic wielkiej wagi, jak sprawa kalendarza, świąt, obrządków, odprawiania nabożeństwa, spożywania potraw i t. p.

Przywiązanie do religji u karaimów, pobożność i skrupulatność w spełnianiu praktyk religijnych są bardzo wielkie. Religja przyczyniła się w wysokim stopniu do zachowania języka. Chociaż naszym językiem liturgicznym jest przedewszystkiem hebrajski, który w pewnym stopniu zna każdy karaim, to jednak język narodowy karaimski jest używany w nabożeństwie w bardzo rozległym zakresie. Najważniejsza część nabożeństwa, czytanie Biblji, odbywa się w języku narodowym karaimskim, jak również kazania i t. p."

— Kiedy i wśród jakich okoliczności przybyli karaimi z Krymu do Polski?

„Niewiadomo napewno. Tradycja łączy ich przybycie na Zachód z wyprawami Witoldowemi. Rok przesiedlenia podawany jest przypuszczalnie 1397, ale ścisłych dowodów na to niema. Zgodnie z podaniem, książę litewski Witold sprowadził z Krymu kilkaset rodzin karaimskich. Znalazłszy się na ziemiach polskich, doznali oni wszelkiej opieki i pomocy ze strony ówczesnych królów polskich. Osadzeni pierwotnie w 4 kolonjach: w Trokach na Wileńszczyźnie, w Haliczu i Lwowie na Rusi Czerwonej i w Łucku na Wołyniu, w czasach późniejszych stworzyli kilkanaście kolonji. Tak w tradycjach, jak i w dokumentach „znajdujemy mnóstwo pojedyńczych wiadomości o karaimach, którzy „orężnie służyli" (Syrokomla); jednak głównem zajęciem karaimów polskich było rolnictwo i ogrodownictwo, w którem szczególnie celowali karaimowie troccy, tak, że nawet wyhodowali w ciągu stuleci osobny gatunek ogórka. (Zob. monografję „O ogórku trockim", Jana Krzywko, Wilno, 1926.) To też karaimów, jako rolników nadzielano ziemią i zezwalano im na jej nabywanie. Rząd polski zawsze sprzyjał dążeniom narodowym karaimów. Tak więc znajdujemy oryginalny dokument wojewody zbaraskiego z r. 1576, zezwalający na otworzenie szkółki karaimskiej w Trokach, która niestety, po 350 latach istnienia, przez rząd odrodzonej Rzeczypospolitej była zamknięta. Pomimo pracy na roli, karaimowie polscy wydali z pośród siebie wielu uczonych, wśród których najbardziej znani: Eszacha-rofie, lekarz nadworny kró-

dalej 3.

4. 286 d

ryce, w Chinach, stosunki też są nawiązane."

— Czy karaimowie w dużym stopniu zachowali odrębność wśród polskiej ludności?

„Karaimowie potrafili zachować dużo własnych tradycji, z których większość jest pochodzenia wschodniego, lecz które trudno opisać w krótkim wywiadzie. Najciekawszym elementem odrębności jest język karaimski, należący do wielkiej grupy języków tureckich (turkotatarskich). Kolonje karaimskie, jako małe wysepki etniczne, językowo zupełnie różne od otoczenia, są najdalej na zachód wysuniętemi placówkami języków tureckich. Język swój przynieśli karaimowie z sobą zgórą przed pięciu wiekami z nad morza Czarnego i zachowali go po dziś dzień prawie bez zmiany. Ze wszystkich znanych języków najbardziej zbliża się do karaimskiego język dawnych Połowców, czyli kumanów, całkiem wymarły, a zachowany tylko w t. zw. kodeksie kumańskim z początku XIV wieku. Nauka polska, w osobach swych uczonych orjentalistów, zwróciła uwagę na te ciekawe zjawisko i już mamy początki naukowego badania języka karaimów polskich".

— Jaki jest stosunek żydów do karaimów?

— Z pośród przedstawicieli judaizmu wielu poświęciło swą pracę historji karaimizmu, lecz żaden z nich nie stanął na naukowej wysokości zadania. Dla przedstawicieli judaizmu był to zbyt drażliwy temat, aby zdołali przedstawić oni sprawę karaimizmu w prawdziwem świetle z całą naukową bezstronnością. Różnice, które dzieliły karaimów i żydów-talmudystów zawsze stały na przeszkodzie w nawiązaniu jakichkolwiek bliższych stosunków pomiędzy karaimami a żydami.

Od pierwszych chwil zamieszkania karaimów na ziemiast polskich, starali się karaimowie o zaznaczenie tej różnicy i uświadomienie co do niej otaczającego społeczeństwa, w czem dopomagała karaimom odrębność nietylko wyznania, lecz i języka".

„Współżycie z polskiem, czy innem otoczeniem zawsze i wszędzie lepiej udawało się karaimom niż żydom, w czem niewątpliwie dużą rolę odgrywały głębokie podstawy psychiki i charakteru. Nie mając w dogmatach swej wiary nienawistnej nietolerancji ku innym plemionom, pomimo różnicy wyznania, przyjmowani byli uprzejmie w krajach kędy ich los zaniósł" — powiada o karaimach sławny poeta Syrokomla w swych „Wycieczkach po Litwie" (t. I. Wilno, 1857)".

— Całem gościnnem sercem zapraszamy każdego, interesującego się poważniej sprawą karaimstwa polskiego do Trok, gdzie zresztą już obecnie pracuje nad dziełem swem o karaimach w Polsce jeden z wybitnych polskich historyków — zakończył p. Szymon Firkowicz swe ciekawe opowiadanie.

S. Wojt.

wewnątrz niej stał ołtarz, ławki, mieli biblię darowaną im przez króla Sobieskiego, po jednej stronie był tekst hebrajski, po drugiej łaciński. Mieli nadto kilka cennych darów od Karaitów z Krymu, między innemi kapę niebieską pluszową, ze złotem naszyciem i perłami. Za dawniejszych czasów świątynia ich była bliżej Dniestru położona (na tymsamym karaitku gruntu), a po jej spłonięciu, postawiono przy ulicy nową, dotąd istniejącą. Podobno na miejscu gdzie poprzednia stała świątynia, była ongiś świątynia pogańska. Opowiadali mi, że sprowadził ich do Polski Wielki Książe Witold. Cieszyli się zawsze uprzywilejowanem stanowiskiem, byli bowiem ludźmi cichymi i uczciwymi. Pewien obszar gruntu od strony Pitrycza zwie się dotąd „Karaicki Kąt", stąd wnoszę, że po sprowadzeniu ich do Polski nadano im te grunty pod uprawę, a sądzę, że sprowadzono ich po to, by na rzece Dniestrze utrzymywali przeprawę promową, stąd osiedlono ich nad samą rzeką. Patrjarchą co do wieku był wśród Karaitów halickich za moich czasów starzec z długą siwą brodą Szymon Mortkowicz. Liczył lat około 80, mieszkał tuż naprzeciw Świątyni Karaickiej, a ponieważ ja mieszkałem w domu jego zięcia, tuż obok tej świątyni, często spotykałem tego miłego staruszka. Chętnie opowiadał o Karaitach, o dawniejszych czasach halickich, o ludziach, zdarzeniach, powodziach itp. Onto dzierżył klucze od świątyni, każda wycieczka do niego się zwracała

i on jej po stokroć opowiadał o pochodzeniu Karaitów, o świątyni, o darach z Krymu, a był dumnym ze swojej religii i odrębności. Mówił pięknie po polsku i stanowił wspaniały typ siwego jak gołąb starca, pamiętającego dawne, dawne czasy, oddanego z głębokim pietyzmem dla przeszłości, był jakby łącznikiem wygasłego a nowego pokolenia. On to z innymi budował pierwszy most drewniany w Haliczu około r. 1850. i opowiadał o uroczystem wbijaniu ~~prze~~ pierwszego pala w rzekę. Zmarł całkiem niespodzianie. Pewnego poranka powiedziała mi moja służąca Lisowska niemal ze łzami w oczach: „już niema Szymcia (tak bowiem zwano popularnie Szymona Mortkowicza), wczoraj na rynku spostrzegłam, że przez rynek postępuje jakiś karaicki pogrzeb na Załukiew, pytam kto umarł, dowiedziałam się, że to Szymcio." Rabinem Karaitów był za moich czasów Noachowicz, zamieszkały na Załukwi. Będąc prawie przez cztery lata sędzią opiekuńczym i spadkowym dla miasta Halicza, znałem prawie wszystkich Karaitów, zwłaszcza że mieszkałem wśród nich, przy ulicy Karaickiej, w Karaickim domu. Najgorzej się powodziło dziewczętom karaickim, trudno im było wyjść zamąż, bo nie było młodzieży męskiej, dlatego co pewien czas jakaś Karaitka chrzciła się, lecz zawsze poza Haliczem. Pisał mi profesor dr. Dziama, że ma wiadomość o pamiętnikach swego zmarłego teścia Bolesława Baranowskiego, w których są wzmianki o życiu w Haliczu w latach 1859–1867., a także o Karaitach.

B. JANUSZ (Lwów).

Kultura Karaitów polskich.

Pochodzenie Karaitów. — Wyznanie, język i zwyczaje. — Strój. — Świątynie i ich wnętrza. — Cmentarze i nagrobki.

Kraków, 7 lutego.

Przyszli **Karaici** na **Ruś** i **Litwę** z końcem **XIV. w.** z tatarskich dziedzin **Krymu**, gdzie już z początkiem XIII. w. przywędrowali **z Bizancjum** po opuszczeniu swej kolebki **babilońsko-perskiej**. Jako **sekciarze żydowscy** wyłonili się w VIII. w. po Chrystucie z potopu istnego najrozmaitszych schyzm mozaistycznych, rozpętanego pod wpływem nowatorstw Mahometa i do dziś niezmiennie trwają przy sztandarze, podniesionym ongi przez **Anana**. Uznają tylko **Pięcioksiąg bez talmudu** i stąd ich nazwa spolszczona przez nich samych jeszcze w XVIII. w. na **„Bibljarzy"**. W praktykach religijnych używają języka hebrajskiego — w życiu codziennem **tatarszczyzny**, przemieszanej z **hebrajszczyzną, tureczyzną i słowiańszczyzną**. W parze z temi składnikami językowemi kroczy też ich **typ fizyczny**: mongolsko-słowiańsko-żydowski, na co złożyło się ich pochodzenie rasowe od żydów, współżycie z Tatarami, Turkami i Słowianami, a następnie odsunięcie się od żydowstwa tak gruntownie, iż zczasem wytworzyli niemal **naród odrębny**, za który się zresztą oddawna uważają.

Osiedli u nas **w Trokach na Litwie, Łucku na Wołyniu i Haliczu nad Dniestrem**, gdzie do dziś dopełnia żywota swego historycznego około **2000 dusz**, poczciwych i rzetelnych, ale mało przedsiębiorczych i z gruntu biernych w życiu kulturalnem i społecznem. Nie pragną majątków, poprzestając na dobrobycie o tyle skromnym, byle tylko umożliwił życie dla czci Boga, którego w pokoju chwalić chcą według nauk swego prawodawcy. Wszystko inne dla nich, to „vanitas vanitatum". Mniej się o siebie troszczą, niż inni o nich i stąd to nie znajdziesz Karaity, któryby coś miał głośno do powiedzenia o przeszłości i obyczajach swego ludu. Historję ich piszą inni za nich i to im najzupełniej wystarcza. Z dumą tylko wspominają o swych młodzieńczych, twórczych latach na Wschodzie, których kapitałem żyją już od wieków kilku.

Dzięki tym właściwościom nie można właściwie mówić o kulturze kar., a już najmniej u nas. — O łatwości zestrajania się ich z otoczeniem świadczy szczegół, zanotowany przez podróżnika niemieckiego z początkiem XIX. w., który, opisując przełożonego ich w Haliczu, opowiada, iż ubrany w długą bekieszę niebieską, na głowie nosił **konfederatkę**. Na Litwie starsi pamiętają jeszcze, jak ich dziadkowie chodzili w **kontuszach**, a w memorjale do Sejmu warszawskiego z końca XVIII. w. sami oświadczają, iż **„po polsku chodzą"**. Nie można też mówić



Świątynia Karaitów w Haliczu z r. 1830.

o chałacie kar., bo i pod tym względem niczem nie różnili i nie różnią się od swego środowiska.

Pewne cechy swoiste wykazuje u nich tylko to, co łączy się z **kultem**, a więc **strój duchownych, urządzenie świątyń i cmentarze**, chociaż w tem znów prawie niczem nie różnią się od współbraci żydowskich, co przypisać należy przedewszystkiem wspólnemu językowi obrzędowemu. **Świątynie** budowali dawniej wyłącznie **z drzewa** i dopiero od niedawna posiadają i **murowane**. Stara drewniana **„kenasa"**, rzekomo z XVII w. zachowała się **w Łucku**. Jest to dość obszerny budynek czworoboczny ze ścianami z desek pionowych, nakryty **mansardowo załamanym dachem gontowym** — skromny bardzo od ze-

wnątrz, ponieważ tak nakazywały przepisy dawne, warujące dla kościołów tylko wszelkie wspaniałości. Okazalej natomiast przedstawia się **wnętrze z galerją dla niewiast i chórem śpiewackim, ścianami malowanemi i stropem z rozetowymi kasetonami.** Nawprost wejścia, na podwyższeniu pod ścianą wznosi się **ołtarz renesansowy** z kolumnami i snycerską ozdobą, gdzie chowa się za zasłonami zwoje pergaminowe Pisma św. z srebrnemi koronami i wskazówkami. Po środku stoi wywyższenie, zw. **„bima“**, z którego czyta się rodały. Podobną jest świątynia **w Trokach.**

W **Haliczu** zbudowali Karaici po spaleniu się starej „kenasy“ drewnianej w 1830 r. nową, murowaną, do dziś stojącą. Całą jej ozdobę od zewnątrz stanowi węższa fasada ze schodkową attyką, opatrzoną czworobocznemi wieżyczkami, a zdobną w polu gwiazdą Dawida na tle arabesek we wnęce z obramieniem profilowanem. Wewnątrz znów galerja dla niewiast, ołtarz pod ścianą, „bima“ pośrodku i dekoracyjne tablice z wyjątkami Pisma św. Przed wojną osłaniały ściany i ołtarz piękne **makaty** z XVIII. w., któremi pobożni Haliczanie z domowych zasobów zdobili swą świątynię. Oglądać je można było na arch. wystawie lwowskiej 1885 r., w liczbie 15 okazów, wśród których nie brak było rzeczy wartości muzealnej. Prócz nich wystawiono też **hafty na ręcznikach i bortach**, tudzież piękny **gorsecik** jedwabny — resztki lepszych czasów u Karaitów halickich. Zaprzepaszczeniu uległ też **„narodowy kalendarz kar.“**, spisywana z roku na rok **historja, religijna kronika**, oprawna w złocone ramy.

Obok świątyni najważniejszym zabytkiem Karaitów bywa **cmentarz.** We **Lwowie**, skąd usunęli się z końcem XV. w., wskazują tylko miejsce na starożytnym cmentarzu żydowskim, gdzie chować ich miano ongi, ale dowodnie nie dało się tego stwierdzić. Bezpodstawny zaś jest domysł **Wagilewicza**, iż groby ich znajdowały się na górze **Wronowskich**. — Resztki w postaci trzech nagrobków świadczą o dawnym cmentarzu kar. w **Kukizowie**, gdze przebywali od 1692—1831 r. Na jednym kamieniu zachował się napis hebrajski, głoszący o śmierci **Abr. Babat**, zmarłego w 1831 r. Niemało też ucierpiał w czasie wojny cmentarz **w Haliczu**, którego stare nagrobki podruzgotano i zwalono do Dniestru. **Najstarsze** jego napisy wskazują na sam koniec XVII. w., a jednym z najdawniejszych pomników jest **płyta** na grobie **Józefa**, przezwanego dla wielkiej wiedzy i zasług **Hamaszbirem**, t. j. „szafarzem wiedzy“. Na wzór, jak opiewają inskrypcje podobne, podajemy epitafjum jego. „Niechaj będzie zapisane do ostatniego pokolenia, że tu spoczywa „źródło mądrości“, opłakiwane ze złamanem sercem. Tajemnicami słodkiemi są jego zdania i na wieki niechaj pomnik ten sławi ogółowi imię jego — Józefa z miasta Oron“. Część nagrobków zdobią — jak u Żydów — korony, puhary, dwie dłonie, lwy, jelenie, gwiazdy Dawida itp. **symbole**, sprawiające, że i cmentarze kar. niczem nie różnią się od żydowskich.

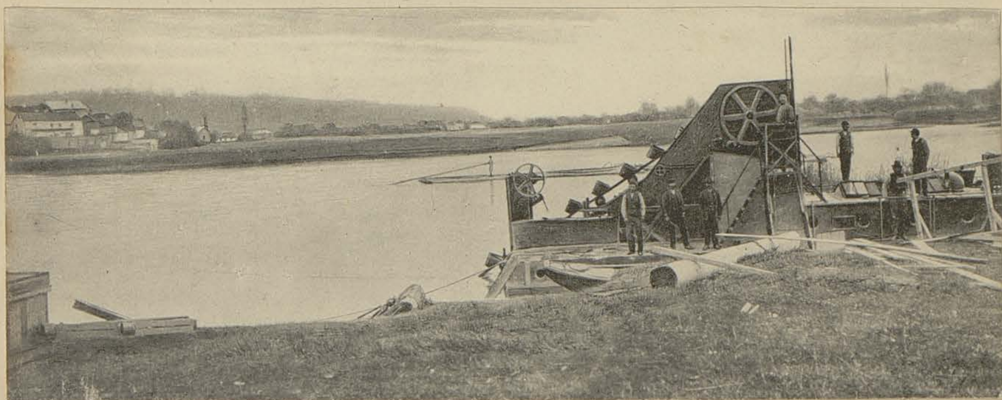
Jakim jest język i właściwości fizyczne tego ludu, takim — jak widzimy — jest i jego **dorobek kulturalny:** na podłożu ogólnożydowskich cech kompozycja pewnych właściwości otoczenia, z którem dobroduszni Karaici od wieków żyją w najlepszej zgodzie



Fragment cmentarza Karaitów w Haliczu z nagrobkiem Józefa Hamaszbira. Obok nagrobek ostatniego z rodu Mamaszbira z genealogją rodu

Choć około roku 1900 Halicz był małem miasteczkiem, a miał aż cztery narodowości, żyły one w zgodzie, zawiści nie było żadnej; każda narodowość rozwijała się swobodnie i pracowała nad sobą. Taka zgoda we współżyciu przeszła w spadku w nowsze czasy z dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Wszakże znaczniejsze rody ruskich mieszczan halickich miały swe tradycje sięgające czasów Polski przedrozbiorowej, mieszczanie brali udział we walkach o wolność narodu, jak o tem świadczy owa nierytmiczna i niesprawnie złożona piosnka Czemeryńskiego. Znamienny był np. fakt podany mi również przez haliczanina Dziamę o ruskim rodzie Skrętowiczów, którzy poprzednio czuli się obywatelami polskimi. Jan Skrętowicz walczył w powstaniu r. 1830 a jego syn kupiec Michał w powstaniu r. ~~1860~~ 1863, a byli oni kuzynami możnego łacińskiego proboszcza ks. Pawulskiego. Już jednak wnuk, względnie syn Hieronim Skrętowicz wszedł w ruch ukraiński, a nastroje ukraińskie do narodu polskiego aż nadto dobrze były i są dotąd znane. Przed rokiem 1860 księża ruscy mówili w domu tylko po polsku, bo polski język był towarzyskim dla inteligencji ruskiej. Proboszcze ruscy haliccy mieli na starym cmentarzu nagrobki polskie, zachowane dotąd, jako widomy znak jedności obywatelskiej obu narodów. Ale lata 1900–1906 były już ostatnią fazą tej złotej harmonji. Systematycznie prowadzona pruska akcja otaczania narodu polskiego wrogim pierścieniem, zapuściła korzonki także w Haliczu. Lecz dzieje tych przemian idą już poza czas objęty mojem opowiadaniem, nie przeżywałem ich w Haliczu, nie mogę więc o nich pisać.

Pod Haliczem na Dniestrze stały na kotwicy trzy statki. Jeden był bagier, który pracował nad pogłębieniem koryta Dniestru w okolicy drewnianej cerkwi. Praca trwała niemal całe lato, ale robota ta nie na wiele się przydała, bo na tak dużą rzekę jak Dniestr potrzebne były przynajmniej 4 bagry. To co to ten jeden bagier wypracował przez dzień, wodę przez noc zamulała i trud był darmy. Drugi zgrabny statek był



Bagier na lewym brzegu Dniestru pod Haliczem. Widać piękną szeroką rzekę, na niej spław drzewa, za rzeką skrawek miasta (Stary Sąd), Tęgi, Łukiew i Załukiew.

przeznaczony do przewozu osób, miał ładny salonik wewnątrz, ale myliłby się każdy, ktoby sądził, że można było tym okręcikiem jeździć. Stał on ustawicznie na kotwicy, załoga w przeważnej części pracowała na bagrze, a ci co na statku dla pilnowania go pozostali, łowili ryby na Dniestrze, wchodząc ciągle w zatargi z dzierżawcami rybołóstwa. Wreszcie trzeci mały statek, nazywający się „Łomnica”, był raczej dużą łodzią motorową.

także stał na kotwicy zupełnie bezczynnie, jakby na pokaz. Wszystkie trzy statki były pod zarządem Starostwa w Stanisławowie a w szczególności Urzędu budowniczego przy starostwie, a radca Pindelski, naczelnik tego Urzędu nie posiadał zgoła inicjatywy, by uruchomić żeglugę na Dniestrze i Łomnicy. Mimoto to na Dniestrze był ruch dość ożywiony, wyłącznie jednak tratwami z drzewem, dla którego były dwie większe przystanie, jedna pod górą św. Stanisława, druga poniżej drewnianego mostu, o jakie 300 metrów od niego odległa, po lewej stronie rzeki.

Most ze moich czasów był drewniany (zobacz obrazek str. 227.), choć silnie i umiejętnie zbudowany, jednak uległ raz rozbiciu. Oto w roku zdaje mi się 1903 lub 1904 na początku zimy spłynęła kra na Dniestrze. Jeszcze w przededniu nieszczęścia wieczorem staliśmy z kolegą sędzią Manciebowiczem ~~staliśmy~~ do późna na moście, patrzyli na wspaniałe posuwanie się złomów lodowych po szerokiej rzece a ogromne bryły uderzały o pale mostu, który drżał od ciosów. Nie przypuszczając niczego niebezpiecznego odeszliśmy do domów, gdyśmy się jednak ~~na~~ nazajutrz rano obudzili, już mostu nie było. Oto z góry nadeszły gęste masy lodu, zrobił się zator na kozłach przedmostowych, poczem lód przesadził kozły, runął na most, obalił go i rozerwał w środkowej części, wskutek czego most wraz z masami lodu uniesiony został w dół rzeki. Także kozły uległy zupełnemu zniszczeniu. Ruch ogromny zrobił się rano

(dalej str. 296.)

Dwa dołączone obrazki razem złożone odtwarzają zachodnią połać rynku halickiego (od strony Łukwi) z r. 1904. Niżej umieszczony obrazek uwidocznia w dole tyły domów drewnianych podzamkowej części rynku, dalej widać płaszczyznę rynku ze studnią i szereg domów zachodniej linii rynkowej. Na pierwszy plan wybija się duża, dwudzielna, piętrowa kamienica o 4 kominach i dwu bramach wjazdowych. W pierwszej z tych kamienic (na lewo od widza) ja mieszkałem na piętrze i z balkonu miałem widok na cały rynek i na górę zamkową. W drugiej kamienicy (na prawo) był hotel Fadenhechtowej. Dalsza kamienica piętrowa na prawo, nieco wyższa od poprzednich była własnością kupca Spirmana. Dalej na prawo są 4 parterowe domy żydowskie, z których pierwszy na lewo (o 5ciu oknach na poddaszu) zamieszkiwały liczne biedne rodziny żydowskie i coraz stamtąd wyruszały smutne pogrzeby. Dalej jest na rynku złożony stos cegieł, obok rozpoczęta budowa. To kupiec Nagel budował kamienicę, ukończoną i zamieszkałą w r. 1906.





Powyższy obrazek odtwarza północno-zachodnią część rynku halickiego z r. 1904. Dobrze widać ratusz, a za nim na lewo wyłania się część ówczesnego budynku sądowego (widać 3 okna na piętrze, właśnie te, gdzie urzędowałem. Na szarym dachu sądu są 2 białe kominy, które posłużą do odszukania budynku na obrazku). Od sądu na lewo jest dom parterowy z nadbudówką o 2 oknach nad bramą. To był dom Singerów (po lewej stronie od bramy sklep żelazny, czarna poprzeczna kreska to szyld sklepowy – po prawej stronie bramy była propinacja i szynk). Widać ujście Łukwi do Dniestru, część Załukwi (wśród sadów), dalej zarysy góry św. Stanisława.

Na dole w prawym rogu obrazku widać dom o szerokim białym blaszanym dachu z dwoma kwadratowemi oknami na poddaszu, o 4 kominach na białem tle. To budynek tow. „Nadzieja" gdzie była ostoja życia towarzyskiego ruskich mieszczan halickich.

na mieście, wyległy tłumy ludzi, by spojrzeć na zniszczenie i odcięcie od świata, policja zagrodziła wylot mostu i ~~nie~~ nie dopuszczała nikogo a tymczasem zabrano się do robienia dużej kładki. Trwała ta ciężka robota około 10 dni, kładka stanęła, ale mogła nią iść jedynie jedna osoba, bo była wiotka, niepewna i fatalnie się huśtała. Każdy wstępując na nią polecał ducha swego Wszechmocnemu. Dopiero gdy kładkę przeszedł na drugi bok, odetchnął spokojnie. Trwała ta kładka kilka miesięcy, zanim naprawiono, a właściwie zanim pobudowano cały środek mostu i kozły i to nie bez wielkich przeszkód w pracach, bo kiedy po kilku tygodniach mozolnej pracy znaczna część pali była już wbita w rzekę, spłynęła nowa kra i pale poprzecinała jakby piłą, tak iż trzeba było dawać znów nowe. Przez cały czas (przerwy mostowej ruch kołowy z koleją odbywał się na Jezupol.

Około r. 1905 zanosiło się na kreowanie starostwa w Haliczu. Rząd chciał je tu otworzyć, ale nie chciało tego miasto. Celem poinformowania się na miejscu przybył do Halicza osobiście namiestnik Andrzej hr. Potocki. Wyruszył cały Halicz na jego spotkanie, a oficjalne powitanie odbyło się przed mostem od strony miasta (plan r. 39.). Był Magistrat, Sąd, wyznania, wszyscy go witali miłe a ruski proboszcz ks. Winnicki po krótkiem powitaniu dał mu do pocałowania krzyż złoty długości około 30 cm. przypominając, że jest to dar jego przodków, bo pochodził z dawnych czasów od rodziny Potockich. Namiestnik wziął od proboszcza krzyż do ręki i z zainteresowa-

waniem go oglądać. W kilka lat później tensam Potocki zo-
stał zamordowany we Lwowie przez ukraińca Sieczyńskiego.

Również za moich czasów budowano kopułę na
starożytnej cerkwi murowanej w Haliczu. Było to około ro-
ku 1904. Najpierw badano fundamenty, czy wytrzymają
nakładkę kopuły. Otóż na ~~pr~~ przestrzeni 4 metrów kwadra-
towych, przy bocznej ścianie od strony zamku, na zewnątrz,
wykopano jamę czworoboczną na około 3 do 4 metry
głęboką, a ta wykazała, że fundamenty są ogromnie sil-
ne. Przytem natrafiono na kilka warstw cmentarza i
dużo kości bielało na ziemi z jamy wydobytych. Stwier-
dzono, że od kilkuset lat poziom gruntu znacznie się pod-
niósł. W przeszło metrowej głębokości natrafiono na pokład
nawozu końskiego, jakby naokoło cerkwi był jaki tabor,
lub obozowisko. Gdy wewnątrz cerkwi zdjęto posadzkę
kamienną celem ustawienia rusztowania do budowy kopu-
ły, okazało się, że pod posadzką jest mnóstwo złomów
dawnych nagrobków, pochodzących widocznie z cmentarza,
okalającego cerkiew, a wrzucono je do cerkwi, by przez
to podnieść płaszczyznę posadzki wyżej, stosownie
do podniesionego poziomu gruntu naokoło cerkwi.
Jedna płyta grobowa była cała, zrobiona z białego piaskow-
ca, a tak świeża i nowa, jakby przed rokiem wykonana.
Na środku niej wykuty był trzyramienny krzyż a naokoło
napis ruski, że pewien (imienia nie pamiętam) Markie-
wicz nagrobek ten postawił jedynemu synowi (znów imię
nie pamiętam do dziś). Rok wskazywał, że ów jedynak zmarł

za panowania Władysława Warneńczyka w Polsce. Kopułę kładli murarze z Sieniawy lub Leżajska. Po rusztowaniu wyszedłem był z Ks. Winnickim aż nad sklepienie cerkwi i przyglądałem się tej budowie.

*

Byłem sędzią opiekuńczym dla miasta Halicza zwracali się więc do mnie haliczanie, abym zaradził na liczne niedomagania. Czyniłem, co mi mój urząd nakazywał, ale czasami strony były natrętne, niepokojąc sąd lada drobnostką. Do takich uciążliwych spraw opiekuńczych należała sprawa Singerów. Tuż obok sądu w rynku był dom Singerów. W swoim czasie byli właścicielami tego domu Juda Singer i jego żona po połowie. Singerowie mieli kilka córek, lecz nim te dorosły, Singerowa umarła. Najstarszą z córek była Fradel, lat 18 licząca, ładna dziewczyna, lecz nieco stara ta okiem ku ojcu, a była wcale wymowna. W miejsce zmarłej matki zapisane zostały jako właścicielki jej niewydzielonej połowy realności owe małoletnie córki. Juda Singer, pozostały wdowiec ożenił się wnet ponownie, a był to człowiek dumny, zacięty, nieustępliwy i ambitny. Prowadził handel towarów żelaznych. W miarę podrastania córek dochodziło często do starć pomiędzy niemi a macochą. Singer stanął po stronie żony i niebawem dom Singerów stał się areną niezgody, swarów, wyrzekań i kłótni. Obijało się to ciągle o sąd a sieroty o lada drobnostkę biegały do sądu. Raz pamiętam w niedzielę zobaczyłem wielkie zbiegowisko koło sądu. Gdy się zbliżyłem do budynku

sądowego, przekonałem się, że to Singerówny znów z jakąś boleścią szturmują o sprawiedliwość. Gdy się znalazłem w biurze, rozpłakane a zgwałtowane dziewczęta wywodziły, że macocha dała im rano kawę, którą czuć było mydłem, a gdy się ojcu żaliły, ten zgromił starszą córkę słownie, a młodszej dał klapsa przecząc, być czuć było kawę mydłem, bo takąsamą on sam pił. Niebawem stosunki w domu Singerów jeszcze bardziej się pogorszyły z powodu miłości pierworodnej Fradli. Oto przy ulicy Karaimskiej mieszkał ubogi a uczciwy żydowin Moldaüer. Miał około dwudziestoletniego syna, który był pisarkiem przy przedsiębiorstwie spławu drzewa na Dniestrze. Pomiędzy tym pisarkiem a Fradel Singerówną zawiązał się stosunek miłosny. Niczem Stolnik na Jacka Soplicę zawziął się Singer na Moldaüera i żadną miarą nie chciał pozwolić na związek małżeński. Sąd poszedł za głosem ojca. „Co, taki prosty żyd chce się żenić z moją córką – wołał Singer – z córką rodnego, członka Kahału, najpierwszego kupca w Haliczu! On chce się żenić z córką inteligentnego obywatela, niedoczekanie jego, nigdy się na to nie zgodzę, to byłby wstyd dla całej mojej familji, Singer nie byłby więcej Singerem"! W gruncie rzeczy Singer tylko o tyle różnił się od zwykłego żyda, że chałat jego nie sięgał po kostki, jak u innych żydów, lecz o 20 centymetrów był krótszy. O to więc małżeństwo szła w domu Singerów walka na noże! „Prędzej życie bym dał – mawiał Singer – niżbym miał pozwolić na małżeń-

stwo, póki ja żyję, nie wyjdzie Fradel za Moldanera, prostaka, szejgica, potamańca!" Fradel ciągle płakała, a Moldaner smutny chodził ponad wodą i spławy zapisywał, schodzili się jednakże pokryjomo po ustroniach Halickich i krzepili zbolałe serca. Były za owych czasów rozpowszechnione losy tureckie, które w każdym niemal banku można było nabyć na spłaty ratalne. Dwaj pisarki od spławów Bergman (żonaty i dzieciaty) i Moldaner, narzeczony Fradli Singerówny kupili sobie na spłaty taki jeden los i ze swej malutkiej pensyjki co miesiąca odsyłali bankowi częściową cenę kupna. Ale Bergman był jeszcze biedniejszy od biednego Moldanera, więc gdy go bieda przycisła, rzekł Moldanerowi posępne słowo: ciężko mi płacić i płacić co miesiąca, dzieci podrastają, wydatki się mnożą, zwróć mi to, coś wydałem, a los będzie twoją wyłączną własnością. Moldaner wystarał się o pieniądze, spłacił los i posiadł go niepodzielnie. Dalej stał się cud. Przy najbliższem ciągnieniu główna wygrana 600.000 franków padła na los Moldanera. Nadszedł do Halicza telegram do Moldanera od Banku o niesłychanem szczęściu, a w 10 minut całe miasto zakotłowało, żydzi z rozognionemi policzkami powybiegali na miasto, naraz zaroiło się w czarnych chałatów jak od mrowia, ruch, wrzawa, podziw, zazdrość, natłok, spadło coś na Halicz, o czem się prorokom nie śniło. Pierwszym, który pobiegł do Moldanera pogratulować

mu szczęścia, był nie kto inny, jak sam Juda Singer we własnej osobie. Tymczasem Moldauer jak oszalały latał w domu od ściany do ściany, chwytał się za głowę i ściskał ją, jakby się obawiał, by nie pękła ze wstrząsu, oczy mu omal z orbit nie wyskakiwały, twarz ~~pał~~ pałała gorączką, krzyczał niedorzeczności, chciał uciekać z domu, to znów rzucał się na łóżko, sam nie wiedząc, co ze sobą począć. Wreszcie za poradą głowaczy żydowskich obwiązano mu głowę mokrym ręcznikiem i położono do łóżka w obawie, aby nie został „meszigene." A w domu Bergmana czarna rozpacz ogarnęła wszystkich, Bergman rwał włosy z głowy, krzyczał z całych sił jakby oszczepem w serce raniony, łamał ręce, targał odzież na sobie, zdawało się, że zmysły postrada lub sobie życie odbierze. „Nędza mnie czeka dozgonna, a Moldauer będzie za mój los magnatem! Lepiej, abym nie żył, ~~puśćcie~~ puśćcie mnie, niech skoczę w najgłębsze miejsce Dniestru!" Dopiero wyjednany w Julciowej aptece brom uspokoił Bergmana, przechorował się kilka dni i złamany powrócił nad brzeg Dniestru, aby dalej zapisywać spławy.

Tymczasem Singer głaskał ze zadowoleniem swoją szaro-rudawą brodę i kogo spotkał, mawiał: co to za porządni ludzie ci Moldauerowie, co za familja! a ten młody, to on taki mądry jak rzadko się widzi, to taki ładny chłopak, nie mam własnego syna, ale ja jego kocham jak syna. Jeżeli ja jemu dotąd nie chciałem pozwolić żenić się, to tylko dlatego, że ja się chciałem przekonać

czy ci młodzi całkiem silnie się kochają. Jak ją się przekonał, że jest tak, to ją już teraz zgadzam się na małżeństwo. Po ślubie Moldanerów przenieśli się Singerowie i Moldanerowie do Stanisławowa, tam urządzili się po magnacku, bo na owe czasy suma 600.000 franków, już nawet po odciągnięciu podatku przedstawiała ogromną fortunę. Singer był wszechwładnym doradcą niedoświadczonego Moldanera i mnożył a mnożył pieniądze, należąc do plutokracji stanisławowskiej. Opowiadał mi sędzia Niementowski, że gdy raz około roku 1910 był w Stanisławowie, widział rozlepione ogromne plakaty pogrzebowe: Juda Singer zmarł a na plakacie były wymienione wszystkie jego liczne tytuły, gdyż jako człowiek obrotny, silny we wymowie a potężny majątkiem zięcia, dawał się wybierać do zarządów różnych instytucji.

To była jedna z moich spraw opiekuńczych. Mam w pamięci kilka innych ciekawych spraw opiekuńczych Śnieszczańskich i Karaickich, ale choć przebieg ich pamiętam, nie zapamiętałem dobrze imion, dlatego nie podobna ich tu podać.

*

Wreszcie wspomnę nieco o mojem własnem życiu podczas pobytu w Haliczu. Mało jest ono interesujące, ale niech rzuci snopek światła na życie jednego ze sędziów na małem miasteczku.

Pierwszem mojem i najgorszem mieszkaniem był domek Pańczaka (plan p. 17.), tuż za cerkwią mu-

rowana położony. Interesujący ~~ta~~ to był człowiek ten Pańczak, Słowak. Kiedyś przed laty obnosił na plecach po kraju płótna i sprzedawał je po wsiach. Gdy zarobił trochę grosza, kupił sobie wózek i konia i obwoził płótno od wsi do wsi i tak dorabiał się coraz pokaźniejszego mająteczku. Wrócił wtedy na Słowaczyznę, ożenił się ze Słowaczką i dalej prowadził handel płótnem, ręcznikami, fartuszkami itp., a zbiwszy niezgorsza grosz, kupił sobie w Haliczu obok cerkwi dom długi, obliczony na trzy partje. Jedną taką część domu o dwu pokojach i kuchni ja zająłem. Pańczak miał wtedy lat około 48, rosły mężczyzna, brunet z dużym wąsem, wiecznie palił porcelanową fajkę na niedługim cybuchu. A, aby się zbytnio nie trudził, sprowadził sobie ze Słowaczyzny młodego krajana i nim się wyręczał. Był bezdzietny, oszczędny, spokojny, dumny na swoje słowackie pochodzenie, co pewien czas przychodziła jakaś gazetka słowacka, którą Pańczak czytał od pierwszego do ostatniego słowa, ona go też i jego słowactwo krzepiła i utrzymywała. Ale miewał swoje chwile wyłomu i to w sposób wielce oryginalny. Oto w jego trzeźwości i oszczędności następowała czasami fatalna reakcja. Od czasu do czasu, może ze dwa razy do roku, po sutym targu, w Haliczu lub w którymś ze sąsiednich miasteczek, mając torbę i kieszenie napchane zarobionemi pieniądzmi, odsyłał Pańczak wieczorem sługę z towarem do domu, sam szedł do szynku, pił

co się włazło, hałasował, podniecał się, wpadał w znakomity humor, fundował wszystkim, kto tylko chciał pić, wreszcie wpadłszy w niepohamowane podniecenie, otwierał skórzaną torbę z drobnemi pieniądzmi, chwytał je garścią i siał niemi po karczmie tak, ~~że~~ jak się sieje zboże na roli, przyczem wołał: bierzcie ludzie, bierzcie, ja kocham wszystkich, mam je, niech ma każdy — znowu zagarnął garść monet, znów rzucał w krąg i wołał: bierzcie ludzie, abyście wiedzieli, że słowak Pańczak z Halicza chce, aby wszystkim było dobrze, pijcie za jego zdrowie i kochajcie go, jak on was kocha. Wiedziała dobrze jego żona, co to znaczy, że po targu Pańczak z pieniądzmi znikał, siadała na wózek, jechała do miejscowości, gdzie był jarmark, pytała pomiędzy ludźmi o słowaka, wreszcie odnajdowała go w jakimś szynku, z trudem zabierała do domu, przeszukawszy poprzednio dobrze podłogę szynkowni, czy niema gdzie jeszcze niepozbieranych rozrzuconych pieniędzy. Wśród dosadnych słów, ale tylko dla słowaka zrozumiałych, pakowała prawie nieprzytomnego Pańczaka na wóz, pięścią na odchodne pogroziła szynkarzowi, śmignęła batem i koń ruszał do domu, wioząc inwalidę. W domu spał Pańczak ze dwa dni, wstawał skruszony, cichy, mały, znów pracował uczciwie koło gospodarstwa, znów szczędził, czytał dokładnie swoją słowacką gazetkę, sumiennie targi odbywał, tanio kupował, drogo sprzedawał, dusił grosz do grosza, aż niespodzianie po jakimś roku, tonął znów gdzieś w szynku, znów pił na umór,

znów siał pieniądzmi i znów zrozpaczona żona zabierała go do domu. Mówiło się w Haliczu: oho Pańczak przepadł, już pojechała żona szukać go po świecie. ~~Ale~~ Pomieszkanie u Pańczaka, choć miało tę zaletę, że było blisko sądu, jednak miało fatalną wadę, bo było wilgotne, gdyż dotychczasowy jeden duży pokój był świeżo podzielony na dwa, ściana nowa była całkiem surowa i wydzielała nieznośną wilgoć, zwłaszcza w porze jesiennej. Z trudów podróży i z wilgoci domowej rozchorowałem się, dostałem silnej gorączki, leżałem spocony jak Łazarz w kompletnem opuszczeniu, biłem w ścianę lichtarzem, ale ze sąsiedniego mieszkania, gdzie mieszkała moja posługaczka, żona policjanta, nikt nie przychodził, bo starsi poszli do pracy, a głuchoniema córka mojego wołania nie mogła słyszeć. Tak przeleżałem do późnego wieczora, myślałem, że życie ze mnie przez ten ciężki dzień wyjdzie, dopiero na kolację posługaczka zrobiła mi herbatę. Wtedy to właśnie, gdy się podźwignąłem, przyjechał do mnie zacny kolega Paklerski ze Sołotwiny, przywożąc służącego, umiejącego gotować, ale że już pozdrowiałem i znalazłem jakiś taki sposób do życia, podziękowałem mu za dobre serce. Tymczasem odchodził z Halicza kandydat notarjalny Kasparek i pokój po nim był do najęcia. Był naprzeciw probostwa łacińskiego dom wdowy Janowiczowej (plan p. 9.). Z frontu mieszkał lekarz dr. Stock, w domu podwórzowym zaś mieszkała wdowa Janowiczowa z córką Heleną. Ładny słoneczny pokój zajmował ów kandydat notarjalny, poszedłem z nim, oglądnąłem pokój i nająłem. Przeprowadziłem się

tam, byłem bardzo zadowolony z tej zamiany, matka i córka sprzątały mi i dawały śniadanie, zresztą były uprzejme i usłużne. Sędzia Niementowski widząc, że miałem wielkie kłopoty z wiktem w Haliczu, zabrał mię do siebie na obiad i kolację, było mi więc przyjemnie, miło, żyłem się z rodziną Niementowskiego i ściśle zaprzyjaźniłem. Ale kolega ten zachorował w r. 1903, musiał na całe lato pojechać do Karlsbadu, podczas kiedy żona z dzieckiem wyjechała do teścia do Horożanki. Ich pomieszkanie jego na przedmieściu na Międzywodziu nie pozostało jedynie na opatrzności bożej, wyprowadziłem się od Janowiczowej i z rzeczami sprowadziłem do mieszkania Niementowskiego, mając pieczę nad swojem i jego mieniem. Tymczasem córka Janowiczowej Helena wyszła zamąż za mieszczanina z Rohatyna i po powrocie Niementowskiego nie mogłem już zająć mojego pokoju u Janowiczowej. Ale też kobieta ta miała odtąd zatrute życie bo córka okazała się niewdzięczną i niedobrą. Przychodziła do mnie Janowiczowa do biura, płakała, narzekała, zasięgała porady. Łagodziłem, jak mogłem jej ciężki los i ~~[illegible]~~ gorzką starość. Począłem więc szukać w Haliczu nowego pomieszczenia.

Wspomniałem o nieszczęśliwym Bergmanie, który nieopatrznie odsprzedał turecki los i postradał majątek. Jeszcze na długo przed tą historją, mieszkał Bergman w oddzielnym domku przy ul. Karaickiej tuż za świątynią karaicką (plan p. 19.). Miał jednak ciągłe zatargi z właścicielem domu Karaitą, zwłaszcza o ogród – więc

karaita na pomieszkanie wypowiedział. Dowiedziałem się o tem, postałem urzędnika sądowego Dzinbaninka, oglądnął je, uznał za odpowiednie i dla mnie wynajął. Niebawem sprowadziłem się do tego domku, miałem dwa pokoje i kuchnię, rozłożyłem swoje mebelki wyrabiane w szkole koszykarskiej w Stryhańcach (a zakupione jeszcze w Sołotwinie), pokupiłem nieco sprzętów nowych i rozpocząłem nowe gospodarstwo. Było więc to już czwarte moje pomieszkanie w Haliczu. Domek bardzo mi się podobał, można było zeń wyjść na ogródek nad Dniestrem, a stąd na jedną z tam, tak iż się na tamie stało pośród rzeki, gdzie był miły widok na cały ruch na rzece. Usługiwała mi Justyna Lisowska, żona Jana, cieśli. Pracowita, wierna, rzetelna kobieta, utrzymywała wzorowy porządek, była ogromnie obowiązkowa, czy burza czy zawierucha, zawsze punktualnie rano przychodziła z odległego przedmieścia Międzyrodzia. Siedziałem więc sobie w domu Karaity, a po hebrajsku napis wyryty na belce sufita głosił, że błogosławiony, kto w tym domu zamieszka. Na objady i kolacje przyjął mię starszy sędzia Łuczakowski, znowu miałem gdzie mile spędzić popołudniowe i wieczorne godziny, a dom Łuczakowskich z trzema małemi, wesołemi dzieciakami, stał mi się jakby przystanią rodzinną i braterskiem ogniskiem.

Tu mieszkałem kilka lat. Zdawało mi się, że to czwarte pomieszkanie będzie trwałe, bo istotnie miało wszystkie zalety i dogodności. Ale stało się inaczej. Oto Łuczakowski został notarjuszem i wyprowadził się do Rożniatowa, po-

straciłem więc możność żywienia się w jego domu, restauracja w mieście była tylko jedna na kolei, więc ubyt daleko odległa, trudno byłoby ~~…~~ tam kilka razy dziennie chodzić, aż oto pojawił się w Haliczu ekskolner Józef Synowiec, zamieszkał w domu Pańczaka i żona jego poczęła prowadzić kuchnię dla kawalerów. Synowiec przynosił obiady i kolacje do mego Karwickiego mieszkania, gdzie też celem stołowania się przychodził nacelnik sądu Hordyński. Trwało to dłuższy czas, aż sędzia Niementowski zwrócił mi uwagę na możność wygodnego zamieszkania przy rodzinie Astanów. Oto Paweł Astan, ormianin, był właścicielem Koziny pod Haliczem. Sprzedał ją i kupił od Pawulskich przy ulicy Sokoła (plan n. 24) dom z obszernym ogrodem. Na tymto ogrodzie postawił Astan nowy dom murowany a na dalszej części kurzeni założył szparagarnię. Otóż Niementowski doradził mię przenieść się do tego nowego domu. Zgodziłem się na to, Astanowie ~~był~~ mię stołowali, płaciłem wcale przystępną cenę, znalazłem się wśród ludzi uczciwych i dobrych, czułem się u nich swojsko, wygodnie i miło, jedno tylko, co mi bardzo dokuczało, to świeżość budynku. Wstawałem codnia rano z bólem głowy, dopiero około godziny jedenastej rano przychodziłem do równowagi. Schnący dopiero niedawny tynk działał na mnie nader niekorzystnie, gdy rano szedłem do biura, każdy słup i każda latarnia dwoiły mi się przed oczyma. Męczyło mię to wielce, a mając na względzie zacność Astanów, nie chciałem im objaśniać mego niedomagania, płynącego z wprowadzenia się do całkiem nowego budynku. Nie było

innej rady, jak wyprowadzić się. Znalazłem pomieszkanie (już szóste z rzędu) w samym rynku w Kamienicy na pierwszem piętrze, zjawili się Synowie i Lisowska, zabrali moje rzeczy i pospiesznie ulokowali w nowem pomieszkaniu. Tu odżyłem, a mając balkon, siadywałem na nim często i oglądałem ruch na rynku (dom ten jest widoczny na obrazku Halicza na stronie 294 tych wspomnień). I znów Hordyński przychodził do mnie na obiady i kolację, Lisowska obsługiwała, Synowcowa wikt przysyłała, było mi tak dobrze, jak rzadko kiedy przedtem, byłbym się stąd nigdzie już nie ruszył, ale nadszedł czas awansu i inne przejścia życiowe, które nadały zupełnie odmienny kierunek mojemu życiu.

Jak wspomniałem, zżyłem się był z Hordyńskim, bez wzajemnego obcowania jednego dnia nie przeżyliśmy. Hordyński przez Hellerów poczynił liczne znajomości w sferach wyższych urzędników kolejowych, tak iż codziennie obracał się wśród rodziny Hellerów, Pileskich i Wohlfeldów. Schodzili się najczęściej w restauracji kolejowej, siadywali do późnego wieczora i w kilka lub kilkanaście osób mile i gwarnie czas spędzali. Czasami schodziły się te rodziny ~~w jedən~~ w domu jednej z nich. Naturalnie, że Hordyński, jako człowiek młody, wesoły, miły, tryskający życiem, a nadewszystko całkiem nowy w Haliczu, był pożądanym gościem, a oczy nadobnej płci tęsknie się ku niemu zwracały. Czasami szedł Hordyński ze mną

do ks. Laurecckiego na Zatuliew, gdzie znów ją miałem prawdziwą biesiadę literacką. Choć rodziny kolejowe były mi znane, jednak dotąd w tych kołach się nie obracałem. Hordyńskiemu brak ~~mię~~ było mnie, gdy szedł na kolej, nieraz więc mnie zachęcał, bym z nim tam chodził rozerwać się, posuwać trochę, napić się herbaty, a wieczorem, po odejściu ostatniego pospiesznego pociągu wrócić razem do domu. Więc poszedłem. Było tam gwarno, swobodnie, towarzystwo dobrane, a wszystkich przewyższał swoją wytwornością starszy inspektor Pileski, Heller bawił opowiadaniami ze zajść życiowych, wszystkich ożywiał Hordyński młodzieńczą werwą swego bujnego temperamentu. Ja, coprawda, małą w tym zespole miałem rolę. Wśród grona tych rodzin znalazła się dziewczyna o niezrównanej dobroci, o duszy otwartej, miłym wdzięku, kornej słodyczy i subtelnem uczuciu. Była to Stefanja Zrębowiczówna, lat 20 kilka licząca, urzędniczka ruchu na dworcu ~~kolejowym w Haliczu~~ kolejowym w Haliczu. Gdym jej ~~[illegible]~~ nie znał osobiście, miałem ją za młodą mężatkę i pomyślałem sobie, że ktoś musi być szczęśliwy, mając tak miłą, młodą żonę. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że mię los z nią zespoli na całe życie. Mijały wtedy na wiosnę 1906 dnie pracy w biurze a na niezapomnianym nigdy rozgwarze wieczornym na kolei. Ile razy obecnie przejeżdżam przez Halicz, zdaje mi się, że z peronu kolejowego dochodzą mię odgłosy moich przyjaciół, że ~~t~~ jeszcze dalej trwa ta młodzieńcza, wiośniana biesiada, że ktoś do mnie woła: panie Marjanie,

porzuć ten duszny wóz kolejowy i tę wędrówkę po świecie, siadaj koło nas, wszak twoje miejsce wolne, czeka zawsze na ciebie. Ale to tylko tak się zdaje, Pileski, Hordyński, Pyrzanowski już w grobie, — niestety to tylko echo minionych przeżyć, bolesne, niepowrotne, złudne. Człowiek tylko ma jedną wiosnę w życiu.

Potem już nie potrzebował mię Hordyński zachęcać do wieczornego spaceru na dworzec kolejowy. Chodziliśmy chętnie obaj i przylgnęli do siebie z całkowitej harmonii dusz. A był on zawsze tak dbałym o mnie, tak wprost tkliwym, tak myśl jego siliła się, aby mi czemś przyjemność wyrządzić, umysł rozjaśnić, urobić jak najlepsze imię wśród ludzi. Dziś te wspomnienia łzy mi wyciskają z oczu, — a myśl biegnie za nim poza grób. Byłyto nasze szczęśliwe wieczory i pamięć o nich snuje mi się ciągle nad miastem Haliczem.

W lecie 1906 wylał Dniestr i Łomnica, woda dosięgała aż toru kolejowego. Kilka dni nie byliśmy na kolei, gdy woda trochę opadła, wojsko łódkami przewiozło nas od drewnianego mostu na Dniestrze aż do „Hamarni", tj. dużej oberży karaity Leonowicza, położonej nieopodal dworca kolejowego. Ucieszyli się nami bardzo nasi przyjaciele, opowiadaliśmy sobie szczegóły, jak powódź wygląda z tej i z tamtej strony Dniestru, — wnet wróciliśmy do miasta przed nocą, bo wojsko odchodziło do koszar.

Ale to były już moje ostatnie miesiące pobytu w historycznym grodzie Haliczu. Opróżniło się kilka posad substytutów prokuratorji i rozpisano konkurs. Miałem w liście kwalifikacyjnej od kilku lat umieszczony dopisek, że mogę ten stopień uzyskać. W gruncie rzeczy raczej wolałbym był otrzymać miejsce starszego sędziego przy sądzie okręgowym w Stanisławowie, ale wtedy właśnie nic wolnego nie było. Wniosłem wprawdzie podanie o posadę substytuta, ale prawie że nie miałem nadziei je uzyskać, bo miałem około 60 poprzedników. Podanie odeszło w świat z kwalifikacją bardzo korzystną, potrzeba jeszcze było osobiście prosić prezydenta o poparcie. Pojechałem więc do Stanisławowa do ówczesnego prezydenta Sahanka, zgłosiłem się w kancelarji prezydjalnej, naczekałem się dość w przedpokoju, narzekając w duszy na ten niemiły obyczaj proszenia za sobą. Wreszcie dopuszczony zostałem do audjencji. Siedział miły, starszy człowiek Sahanek za biurkiem w dużym, pięknie umeblowanym pokoju, na biurku przed nim ~~stała~~ leżała otwarta, świeżo porozcinana nowa książka do czytania. Przypomniałem mu się, ze Sambora i Sołotwiny, naco Sahanek, przepojony jak zwykle majestatem, nieco zmanierowany, z ruchami arcykapłana, ale zawsze dobry, z odcieniem łaskawości odrzekł, że bardzo dobrze mię pamięta i nie ma nic przeciw temu, bym uzyskał proszone miejsce. Po krótkiej ze mną rozmowie, pożegnał się odpowiednio do swej godności

i dalej począł czytać otwartą na biurku powieść. Jak dawniej mógł prezydent spoczywać na laurach i rozjaśniać ostatnie lata swego urzędowania miłą lekturą najnowszych powieści. W szesnaście lat później i ja miałem tosamo stanowisko w Grudziądzu, jakie Sakanek miał w Stanisławowie. Ale stokrotnie inną ~~jest~~ była moja pozycja, miałem ciężkie położenie dla braku ludzi, musiałem zabiegać, naglądać, wszystkiem się interesować, walczyć z trudnościami od góry do dołu. Jedno i tosamo stanowisko po tylu latach zmieniło się niesłychanie.

Niebawem otrzymałem od życzliwych osób ze Lwowa wiadomość o propozycjach, jakie odeszły do Ministerstwa. Podaję to jako charakterystyczny rys owych czasów. Na dwa wakujące miejsca zaproponowano nas czterech. Ponieważ po starszeństwie ja byłem drugi z kandydatów, dlatego należało się spodziewać, że ów starszy służbą odemnie kandydat będzie postawiony na pierwszem miejscu, ja zaś na drugiem, bo zresztą kwalifikacjami nie różniliśmy się. Ale panował wówczas wszechwładnie w sądownictwie prezes apelacji lwowskiej Tchórznicki. U niego w biurze prezydjalnem pracował młodziutki sędzia, który również podał się na konkurs celem uzyskania miejsca substytuta, prosił Tchórznickiego o poparcie, naturalnie uzyskał je, a wobec tak wszechmocnej woli ~~jest~~ prezesa apelacji, nikt się jej oprzeć nie mógł, tego młodszego odemnie sędziego postawiono przedemną, nie zaś na trzeciem miejscu, czyli, że wyszedłem poza

nawias awansu. Nie bardzo się tem zmartwiłem, dziś powiem otwarcie, że prawie byłem zadowolony, ceniłem bowiem wyżej swoją niezależną służbę sądową, niż zależną od czynników kierowniczych służbę prokuratorską. Machnąłem ręką na wszystko i dalej w biurze załatwiałem sprawy opiekuńcze i spadkowe, we wolnych chwilach ze szczególnem upodobaniem chodziłem na piękną wyżynę zamkową, by oglądać wokrąg okolicę, a zresztą dalej spędzałem jasne chwile wśród grona znajomych. Z czasem wyrazał się stosunek subtelnej przyjaźni i powinowactwa dusz pomiędzy mną a Stefanją Zrębowiczówną, szukaliśmy siebie myślami wzajemnie i spędzali wspólne wieczory w gronie przyjaznych rodzin. I ku naszemu obopólnemu szczęściu zespoliły się drogi naszego życia związkiem na dozgonną wędrówkę. Ale nie stało się to w Haliczu, dlaczego opowieść ta należy do następnego rozdziału.

Powrócę do przebiegu wypadków, łączących się z mojem staraniem o prokuraturę. Odeszły propozycje do Wiednia, ale przecież inaczej rzecz traktowano w Ministerstwie. Skreślono młodszego kandydata, choć go popierał Excellencja Tchórznicki, wskutek czego oddano mi to, co mi się po słuszności należało.

Pod koniec czerwca 1906 pewnego wieczora powróciłem wózkiem Ks. Laureckiego z jakiejś komisji do domu. Czekała na mnie Lisowska z kolacją i rzekła,

że posłaniec z poczty czeka na mnie z telegramem. Każdy telegram wzbudza we mnie zawsze niepokój, odebrałem depeszę, otworzyłem i odczytałem, że poprzednik mój na urzędzie sędziego w Haliczu, dr. Słoniewski, podówczas już substytut prokuratorji w Złoczowie donosi mi o mojem mianowaniu na substytuta w Kołomyi, gratulując z tego powodu. Ogarnęło mię uczucie radości na tę wieść o powodzeniu, czułem zadowolenie z uznania i z widoków na lepszą przyszłość. Sto myśli tłoczyło się przez głowę, radość i obawa mieszały się ze sobą, stałem przed nową kartą mego życia. Rozmyślałem o tem w samotnem pomieszkaniu, wahadło zegara stukało miarowo wśród nocnej ciszy, przypominając, że z każdą chwilą idzie życie naprzód, co się raz przeżyło, nie powraca więcej; skończył się mój urząd sędziego w miasteczkach galicyjskich, stanąłem przed problemem nowych dróg życia i nowych stosunków z ludźmi. Gdym nazajutrz rano zdążał do biura, otwarło się na piętrze sądu (w rynku) okno naczelnika, Hordyński wymachiwał urzędową „Gazetą Lwowską", w której wydrukowane było moje mianowanie i zdala wołał: „dzień dobry, panie prokuratorze!" i prosił do siebie do biura. Zaczęły się serdeczne gratulacje sędziów i urzędników, cieszyliśmy się wszyscy i wspólnie radowali. Od owej chwili, jak mię Hordyński przez okno nazwał prokuratorem, czternaście następnych lat urząd ten piastowałem. Dopiero w r. 1919, kiedy Hordyński już nie

żył, przestałem być prokuratorem i w niepodległej Polsce zostałem sędzią Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, o czem będzie wzmianka we wspomnieniach poznańskich. Otrzymałem liczne życzenia od znajomych, bo taki był wówczas zwyczaj, o którym nie pisałbym zresztą jako o błahostce ludzkiej, lecz czynię to dlatego, że jedna gratulacja była wielce znamienna. Oto od mojego przyjaciela sędziego Michała Drohomireckiego z Kołomyi otrzymałem kartkę tej treści: gratuluję awansu, ale nie zazdroszczę szefa! Ponieważ Drohomirecki był poprzednio substytutem prokuratorji w Kołomyi, lecz po kilku latach przeszedł z powrotem do sędownictwa, dlatego ta treść kartki nieco mię zaniepokoiła. Bóg wie w jakie stosunki ja tam wejdę, skoro tak mi pisze człowiek bardzo dla mnie życzliwy. Ale fakt był dokonany, potrzeba się było z nim liczyć! Posłałem do Wiednia moją togę do przerobienia ze sędziowskiej na prokuratorską, zamówiłem nowe kodeksy karne z Wiednia niemieckie, z Krakowa polskie, po nadejściu tych książek wziąłem się do forsownej nauki, bo nie pracując w dziale karnym, dość mi się prawo karne w pamięci zatarło. Tymczasem cudowne letnie dnie nęciły mię swoją zielenią, świeżością i powabem, ciepłe wieczory lipcowe w Haliczu, owiane ożywczem tchnieniem lekkiego chłodu z czterech rzek, schodzących się w nizinie halickiej, były tak rozkoszne, że nie potrzeba było wyjeżdżać gdzieindziej nad brzegi obcych wód, bo się miało miły pobyt w domu.

Lato 1906 było tak piękne i rozkoszne, jakby Halicz chciał się ze mną pożegnać swoją delikatną, łagodną, ożywczą aurą.

Rychło nadszedł czas odjazdu. Przywiązany do mnie Synowicz zajął się spakowaniem rzeczy i transportem na kolej, poczciwa mieszczanka Lisowska żałowała, że odjeżdżam z Halicza, obiecywała przyjechać kiedyś do Kołomyi i popatrzeć, czy mnie tam dobrze. Naturalnie nie ziściło się to nigdy, bo ta kobieta zapracowana nie miała jednej godziny wolnej; a cóż dopiero kilku dni!

I znów zajechał dorożkarz halicki ze swoją dryndą przed moje mieszkanie, znów złożyłem swoje tobołki na koźle i znów, jak przed czterema latami, znękane koniska wiozły mię na kolej, abym we wędrówce życiowej do nowej zawinął przystani. Na dworcu kolejowym w Haliczu zebrała się gromadka znajomych, wszyscy sędziowie i urzędnicy sądowi, serdeczny uścisk pożegnania i to przeważnie na wieki, żal za bratnimi duszami, za wzgórzem zamkowem, za temi ruinami, które mi tyle razy śpiewały dumę dziejową, za tą ziemią historyczną, po której znane i nieznane ludy stąpały od tak dawna, jak dawną jest ludzkość



Ówczesny znaczek pocztowy.

w tym kraju. Pociąg ruszył, jeszcze nieme oznaki pożegnania przyjaciół i znajomych, mignęły poprzed okna wagonu budynki kolejowe i domki przedmiejskie i kaplica na cmentarzyku Zalipia, a w oddali sczerniałe resztki baszty zamkowej coraz znikały i znikały, jakby chowały się w zieleń konarów starych drzew wyżyny zamkowej. Niebawem zniknęło mi z przed oczu wszystko z Halicza, nie zniknęło tylko w duszy wspomnienie. A oto zachował się niemy świadek mego pożegnania z Haliczem — bilet kolejowy z dnia 12 lipca 1906, opiewający na przestrzeń Halicz - Korolówka, bo tak się podówczas sprzedawało bilety do Kołomyi (na jedną stację dalej). Kto nań patrzy, widzi w nim zwykły karton, który się wrzuca do kosza, do mnie jednak przemawia on wymownie, z nim przeżyłem ważny przełom w życiu, dlatego go dotąd zachowałem i niech on starczy za ozdobę tych wspomnień.



*

W Haliczu zasiadł na mojem krześle nowy sędzia i jak za moich czasów, tak i dalej cisnęli się ludzie do niego po prawo, zapisywał nowe arkusze papieru, tworzył nowe akta, wrastał w stosunki miejscowe, szukał coraz lepszego mieszkania

w mieście a wytchnienia na górze zamkowej, ksiądz Laurecki na nowo rozsnuwał przed nim historję tego starożytnego grodu, Synowiec go karmił a Lizowska sumiennie obsługiwała — i jak ziemia regularnie obraca się naokoło swej osi, tak regularnie toczyło się dalej życie w Haliczu. Zmieniają się tylko ludzie, ale fala społecznego ruchu idzie wciąż miarowo i jednostajnie naprzód. Tak było i tak będzie zawsze, dopóki stanie ludzkiego imienia.-

Z pobliża Halicza.



Miasto Bursztyn podczas wojny światowej w latach 1914–1918 uległo częściowemu zburzeniu. Obrazek powyższy odtwarza Bursztyn z czasów przedwojennych z r. 1911, i daje pojęcie o dawnym wyglądzie miasta.

Budynek obok kościoła o oknach po 12 szyb był szkołą powszechną i mieszkaniem dyrektora. Sale szkolne mieściły się w części budynku od strony widza i do szkoły wchodziło się przez drzwi od ulicy. Drugie wejście widoczne na obrazku od strony kościoła prowadziło do mieszkania dyrektora, którym w latach około 1875–1910 był Franciszek Czarnecki, pochodzący z Kopyczyniec.

Kołomyja

Wspomnienia zastępcy prokuratora.

Kołomyja.

Lata 1906 – 1911.

Choć Kołomyja jest bardzo starem miastem, o dziejach jej przeszłych mało co wiemy. Co prawda, nie znalazła ona dotąd swego historyka, któryby wyzyskał wszystkie źródła dziejowe. Istniejąca broszurka Wajgla o przeszłości Kołomyi blade tylko rzuca światło na tę sprawę, choć przecież i to cenić należy jako dobrą wolę i przysługę autora. Już sama nazwa Kołomyi jest czemś zagadkowem, bo nie wiedzieć, od czego tę nazwę wywieść. Ze wszystkich fantazji najprawdopodobniejsza jest możliwość pochodzenia jej nazwy od łacińskiego wyrazu colonia. Bóg jeden wie, kiedy i jakich ludów stopy pierwszy raz wkroczyły na miejsce, gdzie dziś leży Kołomyja i kto założył tu ludzką osadę. Położenie miasta zdaje się

wskazywać, że ludzie tu od bardzo dawna zamieszkali, bo mieli od północy żyzne przestrzenie pod uprawę roli, od południa bory ciągnęły się aż do Karpat, środkowy zaś punkt nad spławną rzeką Prutem nadawał się znakomicie na osiedle ludzkie. W czasach pokojowych było dość ziemi, by wykarmiła ludzi i stada zwierząt domowych, zaś w czasach burz wojennych nieprzebyte a głębokie bory kryły zbiegłą ludność i jej dobytek przed chciwą ręką wroga. Z prehistorji tych okolic nie wiemy niczego, z czasów Słowiańszczyzny tak jak nic się nie dochowało, dopiero z czasów złączenia Rusi z Polską, a więc od wieku XIV spotykamy tu i ówdzie wzmianki o Kołomyi. Zbierając rzecz pokrótce, da się powiedzieć, że prastare miasto Kołomyja położone było dawniej na innem miejscu, bo bliżej Prutu, w okolicy dzisiejszej ulicy Staromiejskiej, że stało się ważnym punktem handlowym, bo dla braku dróg ~~handlowych~~ lądowych, rzeki stanowiły arterje komunikacyjne. Niezawodnie więc tędy z okolic czarnomorskich szły ku północy drużyny handlowe i one to w tak dogodnym punkcie, w jakim leży Kołomyja, założyły jakąś „colonię" ~~stan~~ strażnicę nad Prutem i tak możliwie powstała Kołomyja. Aż do roku 1627 było miasto z powodu pobliża górskiej rzeki narażone na wylewy i ciągłe zniszczenia, w tymto jednak ~~roku~~ rozsądny pan Kamieniecki przeniósł je na stosowniejsze miejsce, tj. na dalszy wzgórek „przy stanie plebańskim", tam też rozbudowało się pięknie nowe miasto zaopatrzone w zamek

obronny – i do dziś na tem miejscu zostaje, choć ze zamku nic nie pozostało. Magistrat miasta Kołomyi miał bogate archiwa, ważne źródła historyczne tego grodu i jego przeszłych dziejów, ale gdy się ratusz w pierwszej połowie XIX wieku spalił, spłonęły także i dokumenty, z wielką szkodą dla miasta i dla historji wogóle. Stąd wiadomości z dziejów Kołomyi są tylko ułomkowe. Miała ona swój rozkwit, miała i czasy klęski i ruiny. Ręce twórcze budowały w niej zamki, domy, kościoły, klasztory, ale ręce nieprzyjacielskie paliły ten gród kresowy i często go niszczyły, a w pamiętnym roku 1589 Turcy wymordowali prawie całą ludność Kołomyi. Sąsiadujący a niespokojni hospodarowie wołoscy, raz hołd w Kołomyi składali i na kolanach ślubowali wierność i przyjaźń Rzeczypospolitej, to znów napadali Pokucie i Kołomyję, grabili, łupili jej majątek, palili wszystko i uchodzili do swych mołdawskich borów. Miała więc Kołomyja w swym rozwoju wiele przeszkód i coraz musiała dźwigać się z popiołów i żmudną a znojną pracą dążyć do dalszego rozwoju i rozkwitu, w jakim ją widzimy w obecnych czasach.

*

Rozległe miasto Kołomyja miało za moich czasów nieco ponad 40.000 mieszkańców. Choć nie zskanalizowane i bez wodociągów, przecież Kołomyja była miastem zdrowem. Wartka rzeka Prut orzeźwiała

całą okolicę, a od niedalekich gór tchnął powiew miłej świeżości. Kołomyja weszła do pieśni ludowej jako stolica Huculszczyzny, smętna dumka o niej światu głosiła jako o grodzie nadobnym, w którym warto żyć i być i na zawsze go wspominać. Drobny taniec ludowy, tańczony zapamiętale na śmierć i życie nosi nazwę Kołomyjki, wszakże odwieczna Kołomyja była ośrodkiem pieśni i mitu, tańca, zabawy i miłej a gwarnej rozkoszy. Ale jest i uszczypliwa gadanina na niekorzyść Kołomyi, jako o jakiejś pierwiastkowej sadybie ludzkiej, o sto mil odległej od ostatniego punktu cywilizacji europejskiej. Tak jednak nie było, owszem Kołomyję cechowało wiele stron dodatnich a wcale oryginalnych. Jakże zresztą Kołomyja głośną jest w całej Polsce przez swego poetę, w tem to kresowem mieście wychował się poeta Karpiński. Jak Polska długa i szeroka, codzień o brzasku porannym i o zmierzchu wieczornym rozbrzmiewa jego głęboki hymn pochwalny



Kołomyja uczciła pomnikiem swego poetę Karpińskiego.

na cześć Wszechmocnego Stwórcy. „Kiedy ranne wstają zorze" śpiewa starzec i śpiewa dziecko – i magnat zamożny i prostaczek w siermiędze, a ze strudzonych codziennym znojem piersi rwie się ku niebu po zachodzie słońca kojąca pieśń wieczorna „Wszystkie nasze dzienne sprawy, przyjm litościwie Boże prawy." Z pokolenia na pokolenie przechodzą te pieśni pokory, zachwytu i tęsknoty, powstałe w głębi duszy skromnego a cichego, lecz sercem i umysłem wzniosłego poety kołomyjskiego. Słusznie więc Kołomyja się nim szczyci.

Jak powiedziałem, Kołomyja była miastem wielce rozległem, jej utrzymanie kosztowało bardzo wiele, a przecież miasto co mogło robiło, by zaopatrzyć się w potrzebne urządzenia i wygody. Oryginalnem następstwem rozległości Kołomyi było to, że na odleglejszych ulicach, któremi szło się po bardzo dobrym kamiennym chodniku, przy gazowem oświetleniu, obok chodnika powiewał nieraz i falował łan pięknego żyta. Czyż taką sielankę widziało się w innem mieście galicyjskiem! Brzmi to zaraz na jakąś śmieszność, choć to była miła oryginalność, bo miasto miało długie ulice i nieraz na dalszem przedmieściu jedno domostwo od drugiego było oddzielone obszernem polem. Pamiętam raz w Samborze szedłem ulicą Lwowską ku dworcowi, a na moście szło szybko jakichś dwóch ludzi po mieszczańsku ubranych i coś żywo rozprawiali. Doleciało moich uszu, jak jeden tłumaczył drugiemu: Kołomyja to ci „zażywne miasto."

Jeszcze wtedy Kołomyi nie znałem, ale gdym się w niej osiedlił, nieraz sobie to przelotne zdanie przypominałem. Bo było to prawdziwe. Szło się ulicą ku przedmieściom, zdawało się, że już się miasto kończy, tymczasem nieco dalej znów się wyłaniała jakaś nowa grupa domów, jakby oddzielna osada, skończyła się ta, pojawiała się nowa – jednem słowem rozległe, ogrodowe, jak słusznie powiedział nieznany przechodzień: zarzyzne miasto.

Całkiem inną opinję o swym zewnętrznym wyglądzie miałaby Kołomyja, gdyby nie fatalne położenie dworca kolejowego. Postawiono go na nieszczęście miasta na odległem polu na tzw. Kosaczowie. Jechało się doń pierwotnie błotną drogą przez puste pole. Dopiero z biegiem czasu przy tej odludnej dotąd drodze zaczęła biedniejsza ludność kłaść nędzne, tanie domki. Tak powstała tzw. górna Jagiellońska ulica, przedstawiająca opłakany wygląd z szeregiem domów i domków skleconych bez ładu i składu, ~~godnej~~ godnych jakiejś zapadłej, małej mieściny, ale nie stolicy Huculszczyzny. Stąd kto wjeżdżał do Kołomyi tą właśnie wjazdową, wcale długą ulicą, odnosił fatalne pierwsze wrażenie, jakby wjeżdżał do jakiegoś obskurnego miasteczka, zacofanej nory. A do tego wszystkiego ta właśnie ulica z powodu bardzo ożywionego ruchu, nie mając kostkowego bruku, lecz będąc

jedynie szutrowaną przedstawiała bądź jedną, długą, lśniącą falę rzadkiego błota, bądź w dnie pogodne zamglona była kurzawą prochu. Wszystko to, co o wyglądzie Kołomyi krążyło po świecie niekorzystnego, to należy odnieść do tego nieznośnego, brzydkiego, rażącego oko wjazdu. Tylko ten, kto by jadąc z dworca zamknął oczy, a popatrzył dopiero na rynek, miałby o wiele lepsze zdanie. Czworoboczny rynek przedstawiał się wcale mile, a smukła wieża ratuszowa w jednym rogu rynku, harmonijna struktura fary w drugim, dodawały powagi i zakroju wielkomiejskiego. Na skwerze rynku wśród drzew i zieleni rysował się mile wspomniany pomnik z białego piaskowca poety Karpińskiego.

Rynek był środowiskiem ruchu handlowego, a dzielił się na dwie części, pryncypalną, tj. tę po której stał pomnik Karpińskiego i mniej wystawną, tj. część od strony Korolówki. Na samym środku rynku było kilkanaście kamienic, powstałych z biegiem czasu na miejscu dawnych bud targowych. O wiele lepiej by było, gdyby, gdyby tych kamienic, i tak nie pierwszorzędnej struktury wcale nie było, a na środku rynku by stanął kształtny ratusz. W przeważnej części były w rynku sklepy żydowskie, z katolickich pamiętam handel kolonjalny Ilnickiego, restaurację Fritza, aptekę Sidorowicza, handel ~~XX~~ bławatny Strihafki (później Zielenieca

kiego, a inny Romanowicza, dalej aptekę Stenzla, drogerję Turzańskiego i księgarnię Żyborskiego. Oryginalne były kramy na skupnicy miejskiej. Miasto pobudowało przy mniej wytwornej części rynku skupnicę tj. budynek z licznemi małemi kramikami i wynajmowało je za niską cenę biedniejszym kupcom, rzeźnikom, masarzom i piekarzom. Ale gdy jakiś znaczniejszy kupiec wskutek niepowodzeń musiał się wyprowadzić z lepszej części rynku i zadowolić się jedynie kramikiem na skupnicy, oznaczało to upadek i nieszczęście, niemal wyjście poza nawias świata kupieckiego. Raz około r. 1910 idąc przez te kramy spostrzegłem mojego dawniejszego kupca szkłem i porcelaną. Cóż pan tu robi - zagadłem go! Na to ten stary człowiek ze siwą głową rozpłakał się jak dziecko, żal mu krtań ściskał, a ocierając oczy z łez odrzekł: ot, czegom się dorobił na stare lata, muszę się dziś po tych nędznych kramach tułać, doprowadziła mnie do tego bezwzględna konkurencja chciwego sąsiada! Nadeszła tymczasem jego żona, również starsza żydówka, a widząc męża tak zgnębionego, pocieszała go, że jeszcze nie jest tak źle, bo właśnie najęli dwa kramiki sąsiednie i ulokowali tam swój handel, a choć nie jest zbyt wytwornie, przecież nie jest znów zbyt ubogo. Żal mi się zrobiło tych ludzi, chciałem nawiązać z nim znów interesy kupieckie, zamówiłem więc zaraz u niego ramy do lustra, które jeszcze i tak mogło bez ram jakiś czas stać, bo było zbędne. Przyszedł do mnie do domu, zabrał lustro i wykonał robotę bardzo sumiennie.

Może największą oryginalnością Kołomyi a zarazem jej oszpeceniem i nieszczęściem była tzw. lokalka, tj. kolej lokalna z Kołomyi do Peczeniżyna. Po prostu mówiąc, wzięto miasto na kawał, bo aby jego zgodę na koncesję uzyskać tłumaczono, że owa kolej lokalna będzie odgrywać rolę tramwaju, łączącego miasto ze zbyt odległym dworcem kolejowym, a nadto będzie się silnie przyczyniać do wzmożenia ruchu handlowego, zwożąc publikę z okolic podmiejskich do miasta. W istocie była to ironja. Pozwolono zeszpecić miasto założeniem toru na ludnych ulicach i rynku, lokomotywa okopcała budynki i wstrząsała niemi, a nie było roku, by kilka osób nie szło do grobu przez przejechanie. Tylko bachorki żydowskie miały z niej zadowolenie, bo na rynku czepiały się bądź zderzaków, bądź ławeczek wchodowych przy wagonach i tak jechały aż do przystanku „Dębowej Krynicy” lub na Wincentówkę, zanim je personal kolejowy groźbą i krzykiem nie odpędził.

Prócz handlowego śródmieścia miała Kołomyja – jak powiedziałem – obszerne przedmieścia, które dzieliły się na bliższe i dalsze. Bliższe, to były piękne ulice o domach bądź piętrowych, bądź parterowych, obok których ciągnęły się obszerne ogrody warzywne i sady. Były to mieszkania inteligencji, wcale licznie w tem mieście osiadłej. Dalsze przedmieścia były siedzibą mieszczan, tworzących tu stan zamożny, zasobny, godność swoją ceniący.

Były to zasiedziałe rody mieszczańskie Piskozubów, Cie-sielskich, Sanojców, Białoskórskich i innych. Gospodarstwa ich, to były ładne dworki, opasane sadami i ogrodami a ciągnęły się na szerokiej przestrzeni starego miasta, ku rzece Prut.

Pod względem narodowym dzieliła się ludność Kołomyi na polską, ruską i żydowską.

Polacy stanowili najliczniejszy element i mieli znaczną przewagę w inteligencji. Były dwa ogniska, w których rozwijała się kultura polska, a to Sokół i TSL (tj: Towarzystwo Szkoły Ludowej). W Sokole był długoletnim prezesem adwokat Haczewski. Sokół hartował ducha i ciało, piękny gmach sokoli był ostoją i strażnicą polskości dla wszystkich polskich warstw i stanów, idea sokola jednoczyła wszystkich i zwracała ich serca i umysły ku idei narodowej.

T.S.L., rozsiane po całym kraju położyło dla podtrzymania polskiego ducha wśród warstw najszerszych, dla krzewienia mowy polskiej, pieśni polskiej, i polskiej książki niezmierne zasługi. Zwłaszcza we wschodniej Małopolsce zasługi tego Towarzystwa były niespożyte i nigdy niezapomniane. To była najwspanialsza dźwignia ducha narodowego wśród najszerszych warstw polskich. Tysiące dusz polskich uratowało ono od zruszczenia, pod strzechy wieśniacze szła książka polska,

przy ognisku domowem w najbiedniejszej nawet chacie czytano dzieje polskie, znikały ze ścian tych domków naniesione przez urlopników obrazki rozmaitych Kajzerów, erzherzogów i feldmarszałków, a natomiast ustawiano w ramki Kościuszkę, Mickiewicza, Sobieskiego. Aby nie odbiegać od tematu głównego, da się pokrótce powiedzieć, TSL. położyło wiekopomne zasługi dla narodu polskiego na tej połaci ziem dawnej Rzeczypospolitej. W łonie tego Towarzystwa pracowały cicho, bez rozgłosu, nie dla chwały i reklamy, lecz dla górnej idei najszlachetniejsze jednostki, najsubtelniejsze dusze. Na czele ich stał w Kozłowej zasłużony lekarz powiatowy dr. Milewski, gorący patrjota, niestrudzony pracownik, skromny, wytrwały, pełen poświęceń. Obok niego był sekretarzem TSL sędzia Jan Kapuściński (bratanek znanego patrjoty Kapuścińskiego, straconego przez Austrjaków), pracujący dla idei narodowej na tem stanowisku niezmordowanie i z ogromnem poświęceniem. Imiona ich winny być zawsze w niezatartej pamięci a praca stawiana wzór przyszłym pokoleniom. Siedziałem w sądzie w jednem biurze z Kapuścińskim i widziałem jak przychodzili do niego z różnych okolic prostaczkowie, nieraz z koszem lub z prostym workiem, odnosząc jedne książki, a zabierając drugie. Szczególnie utkwił mi w pamięci jeden rosły, ładny chłop, blondyn, lat około 30 liczący, ubrany w siermięgę nieśmiaczą, w szczelną koszulę a w huculskie krypcie na nogach.

Cóż to był za niestrudzony i niepohamowany krzewiciel polskości, z jakim zapałem on szerzył polską książkę i polskie słowo wśród najszerszych warstw, docierał do każdej chatki polskiej, do każdej rodziny ze swym grubym worem na plecach, który zawierał kilkadziesiąt książek polskich. A gdy sobie dziś w wolnej, wyśnionej, cudem złączonej Polsce pomyślę o tym prostym chłopie z kresów, cichym, zasłużonym patrjocie, nie sięgającym po zaszczyty i nagrody i mam przed oczyma jego wielkie zasługi bezimienne, a dla idei narodowej tak cenne, to widzę w nim jednego z tych licznych, licznych pracowników, którzy każdy na swój sposób i w granicach swych sił kładli fundamenty pod przyszły gmach odrodzenia narodowego. Ale też ze smutkiem przedstawiam sobie, że gdyby on dziś w tej swojej sierminędze, w kapeluszu z żytniej słomy i w góralskich sandałkach, ze swym historycznym workiem na plecach, z którego setki rodzin polskich karmił polską książką, pokazał się gdzieś na zachodniej połaci Państwa, poza naszemi kresami wschodniemi, wystawionoby go na pośmiewisko, nazwanoby „austrjackim mongołem" i obrzucono uszczypliwemi docinkami, bo po naszem historycznem zjednoczeniu niemal do dobrego tonu należało wykpiwać Polaków z byłej Galicji.

Poważną dźwignię w podniesieniu oświaty narodowej stanowiło Towarzystwo Biblioteki im. Kraszewskiego w Kołomyi. Rozkwit jego datował się od pomieszczenia w domu im. hr. Starzeńskich. Za moich właśnie czasów wzrasta w życie wielko

pomna fundacja hr. Starzeńskich i znany dom przy ul. KrasZewskiego stał się akropolis polską, w nim się umieściły polskie towarzystwa świątowo-narodowe, tam były zebrania, odczyty, narady, ciągle tam było jak w ulu, jedni wychodzili, drudzy przychodzili, pełno było w godzinach popołudniowych ludzi młodych i starych, miejscowych i zamiejscowych, miejskich i wiejskich. Bo duch narodowy w tej odległej polskiej placówce był silny, poczucie narodowe wnikało wszystkiemi arterjami w najszersze kręgi, idea polska była na wzniosłej wyżynie.

Rusini dzielili się na dwa odcienie, oba radykalne, wzajemnie między sobą się zwalczające, ale jednolicie idące przeciw Polakom. Starorusini, zwani także rusofilami mieli swego przewodnika w adwokacie Włodzimierzu Dudykiewiczu. Byłto człowiek rosły, barczysty, z poważną brodą czarną, na głowie powiewała bujna czarna czupryna, niestrudzony mówca, o dużej kulturze, namiętny, despotyczny, bezwzględny. Gdy mówił po rusku, wplatywał rosyjskie wyrazy. Był ciągle podejrzany przez władze austrjackie, które mu nie dowierzały i miał szczęście, że przed ostatecznym wybuchem wojny światowej umknął z rodziną do Rosji (do Rostowa nad Donem) bo inaczej byłby poniósł niezawodną śmierć. Miał dom własny przy ul. Wałowej, był ojcem dwóch córek. Starsza była zamężna za malarzem Rosjaninem, młodsza była niezamężną. Do tej partji należeli: w Kołomyi właściciel

ruskiej drukarni Bitons i adwokat Jurczenko, zresztą część inteligencji ruskiej i część włościaństwa.

Drugim odcieniem Rusinów byli Ukraińcy, czyli młodorusini, wyznający ideę odrębności narodowej. Prowodyrem ich był adwokat Trylowski, organizator Siczy chłopskich, zdecydowany nieprzyjaciel Polaków, kierownik całego zasobu agitatorów, którzy szerzyli nienawiść do wszystkiego, co polskie, podkopywali wiarę, mącili spokój mas chłopskich. Trylowski majątku nie posiadał, owszem, był w niepomyślnych stosunkach majątkowych, przeniósł następnie kancelarję adwokacką z Kołomyi do Peczeniżyna, skąd miał ułatwiony dojazd do pobliskiej Huculszczyzny. Był wysokiego wzrostu, włosy ciemne blond w niewielkiej ilości na głowie, ale zato w nieładzie, broda krótka rozczochrana, twarz pełna jakby obrzękła, na nosie binokle w opłakanym stanie, chodził szybko, mówił uszczypliwie, nieraz za daleko się w słowach zapędzał i wchodził w konflikt ze sądem. Jako poseł zasypywał parlament austrjacki interpelacjami o rzekomych krzywdach ~~ludności~~ ukraińskich. Gdy wyjeżdżał na zwiedzanie Siczy, a robił to co niedzielę i święta, wdziewał na głowę dużą czapkę ze siwego baranka, nazywano go bowiem atamanem Siczy, ta więc oryginalna czapka nadawała mu wobec mas jakiegoś odznaczającego wyrazu, jakoby nielada to była głowa, skoro spoczywa pod tak potężnym kołpakiem. W mowach do mas gromił wszystko, co istniało na świecie, a raj obiecywał słuchaczom, toteż wybrano go w swoim czasie na posła odrazu z kilku okręgów

Ale, jak zmienna jest fortuna. Około roku 1910 były drugie wybory, pospólstwo widząc niespełnione obietnice, dawane hojnie przy poprzednich wyborach nie chciało głosować na Trylowskiego i dopiero przy silnym nacisku Namiestnictwa (pod egidą Staniczykow zostającego) i przy drakońskie dokonywanych wypełnieniach, ledwie, ledwie z bardzo ciężką biedą przeszedł Trylowski z jednego zaledwie okręgu. Nimb jego przed wojną światową (1914) upadał coraz bardziej. Ukraińcy mieli swoją siedzibę we wspaniałym Narodnym Domu przy ul. Kościuszki.

Liczni Żydzi w Kołomyi dzielili się na 3 warstwy. Plutokrację stanowili magnaci pieniężni, jakich było kilkunastu, ci żyli dostatnio, wygodnie, dochody same pchały się im w ręce. Powiem, że wszyscy ci Żydzi, lub prawie wszyscy mówili żargonem, trzymali się po staroświecku i silnie byli przywiązani do obrzędów religijnych. Warstwę średnią stanowił żywioł inteligencji żydowskiej, ta mówiła wyłącznie po polsku, do niej także należał stan kupiecki, w znacznej części (choć nie przeważającej) mówiący w domu po polsku, ale mile lgnący do niemczyzny. Wreszcie trzecią warstwę stanowił gmin żydowski, a to liczni przekupnie, woźnicy, zarobnicy. A byli pomiędzy nimi i awanturnicy i pijacy, jak zwykle pomiędzy najniższym tłumem, co o tyle było oryginalne, że w innych miastach galicyjskich tego najniższego typu się nie spotykało. Pomiędzy tymi zabijakami sławny był żyd „Ignac" ze zawodu tragarz.

Bił on innych, bili jego inni, bo bitka, to był jego żywioł. Raz przyszedł on do mnie do biura do Prokuratorji i oskarżył kilku swoich przeciwników, także Żydów, o ciężkie pobicie w szynku. „Tak mię bili i bili – prawił Ignac, – że już nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, począłem przez miasto uciekać i dopiero gdy znalazłem się w domu, spostrzegłem, że nie mam kilku zębów, bo mi powybijali. Żal mi się zrobiło za zębami, poszedłem napowrót do szynku, począłem szukać i znalazłem je na podłodze." Tu wyjął z kieszonki kamizelki kilka zębów i pokazał je na dowód, że prawdę mówi. Dochodzenia sądowe wykazały jednak, że Ignac łgał jak najęty, bo to były zęby przed kilku latami wyrwane, a i to było wątpliwe, czy to były jego, czy też pożyczone od kogoś, kto je kiedyś dał wyrwać a trzymał na pamiątkę.

Kołomyja miała kilka bożnic i kilku rabinów większych i mniejszych. Najwspanialszą uroczystością żydowską za moich czasów był pogrzeb tor. W jednej z bożnic wskutek nieostrożności z ogniem popaliły się tory. Zgodnie z rytuałem tory pochowano na cmentarzu żydowskim. Jakie 4 do 6 tysięcy Żydów wyległo na ulicę, każdy cisnął się jak najbliżej do szczątków nakrytych czarnem suknem, ogromny pochód posuwał się powoli ulicą Rudolfa ku polom za miastem, gdzie rozciągał się cmentarz, wiele żydówek było zapłakanych a Żydzi szli ze zasmuconemi twarzami.

Kosmopolitycznym punktem zbornym dla inteligencji i wojskowości było Kasyno, ulokowane w rosskim Narodnym domu. Zbierali się tam wieczorami wojskowi i cywilni różnych nacji dla pogawędki i gry w karty.

Władzą miejską był Magistrat, umieszczony w ratuszu. Ratusz w rogu rynku postawiony był na starodawnym cmentarzu. Przy kopaniu fundamentów (zwłaszcza gdy stawiano dobudówkę dla straży ogniowej), natrafiono na liczne kości ludzkie. Burmistrzem był za moich czasów Jan Kleski, z pochodzenia kiedyś czeskiego, bezżenny, zamożny, lubiał wesoło i zabawnie żyć (wtenczas w trójce z adw. Haczewskim i dyrektorem kasy oszczędności Balickim). Był dobrej tuszy, owalnych form, jako burmistrz był staranny i zapobiegliwy. Zresztą miastem trudno było rządzić, dochody zaledwie z ciężką biedą pokryły wydatki, a rozległość obszaru, na jakim miasto się rozciągnęło, wymagała ogromnych funduszów już choćby na utrzymanie dróg i chodników. Duże znaczenie w Magistracie miał wiceburmistrz Funkenstein, wyznania mojżeszowego. Za młodych lat był pisarzem pokątnym, później z ramienia licznej żydowskiej ludności został radnym i wiceburmistrzem miasta Kołomyi. Przez długie lata pełnił ten urząd, tak iż się z Magistratem zrósł niepodzielnie. Wysoki, smukłej postawy, chudej, czerwonej twarzy, zawsze ubrany w długi, czarny, po kolana sięgający surdut, chodził niezmiernie powoli;

podpierając się laską, stąpał ostrożnie, jakby się obawiał pośliźnięcia i upadku. W istocie bowiem skleroza znaczne postępy u niego czyniła. Żydzi uważali go za swego orędownika w Zarządzie miasta. Zdarzały się wypadki, że np. jakiegoś żydowinę ukarano grzywną 2 koron za wylanie nieczystości na ulicę. Żyd nie mogąc zapłacić tej sumy, szedł do burmistrza Kleskiego, prosząc o odpisanie i darowanie. „Nie mogę tego zrobić, żadną miarą nie mogę – mówił burmistrz – muszę stać na stanowisku legalnem, inaczej wkradłaby się samowola i bezrząd". Żydowin znów błagał o darowanie, bo cóż go tam obchodziła teorja burmistrza o samowoli i bezrządzie, aż ostatecznie burmistrz kierowany ludzkością wyjmował z kieszeni jedną koronę, dawał ją żydowi i mówił: „połowę ci daję z własnej kieszeni, drugą połowę sam dołóż i zapłać, a na drugi raz nie lej pomyj na ulicę." Żydowin brał koronę, kłaniał się, dziękował i odchodził – ale nie do kasy płacić, lecz prosto do biura wiceburmistrza Funkensteina. „Ratuj mię nasz opiekunie, nasz zastępco, przyjacielu, ja na ciebie głosował, za tobą chodził i zjednywał wyborców, bo ja wiedziałem, żeś ty naszym ojcem i dobrodziejem. Oto na mnie biednego nałożono dwie korony kary, skądże mam to zapłacić, mam sześcioro dzieci i chorą żonę, szklaneczkę wody wylała na ulicę, już zaraz kara! Zdejm ze mnie tę karę, a ja ci będę na zawsze wdzięczny." Funkenstein kazał dać akta, zobaczył że wina pewna, kara

słuszna, trudno ją znieść – ale z powodu notorycznego ubóstwa uznaje ją za nieściągalną i każe odpisać. Żydowin znów się kłania, dziękuje i błogosławi dobre ~~serce~~ serce wiceburmistrza, wychodzi z Magistratu z uśmiechniętą twarzą, rozważając w duchu, że przecież są dobrzy ludzie na świecie! Nie tylko, że kary nie zapłacił, ale jeszcze jedną koronę w kieszeni do domu przyniósł, jakby w nagrodę za to, że potężny cebrzyk pomyj na sam środek ulicy wylał. Ale Frankenstein rósł w popularność wśród mas żydowskich, a tem samem zrósł się dożywotnio z godnością wiceburmistrza.

W drugim rogu rynku, od strony dawnego zamku był kościół parafialny z końca XVIII wieku, zaś na potrzeby tak dużego miasta zupełnie za mały. Wnętrze nie przedstawiało nic szczególniejszego. Proboszczem i dziekanem był wtedy ks. Zygmunt Pawłowski (ur. 1837 ord. 1862). Niewielkiego wzrostu, blondyn, przygnieciony wiekiem, człowiek o gołębiej duszy, niezmiernie zacny i gorliwy kapłan. W życiu publicznem udziału nie brał, dzierżył się tylko probostwa i kościoła. Dożył bardzo późnego wieku i otrzymał godność prałata. Za młodych lat był ongiś wikarym w Kopyczyńcach i podczas gdy ja w latach około 1880 chodziłem tam do szkoły, starzy ludzie jeszcze go pamiętali. Miał dwóch wikarych. Za moich czasów byli nimi ks. Jan Ślęzak i ks. Kluss. Pierwszy rażyny, okrągły, lat około 40 liczący, zdolny, wymowny, szczery

polak, został następnie około r. 1910 proboszczem w Śniatyniu (po śmierci ks. Fischera), tu jednak w niespełna rok po osiedleniu się na parafii, nagle życie zakończył. Drugim wikaryem był ks. Kluss, nie tęgiego zdrowia, ruchliwy i czynny, postanowił przenieść się do Ameryki. Zamiar swój urzeczywistnił, był w Ameryce około jeden rok, poczem powrócił do Kołomyi, jednak już nie na parafię, lecz jako katecheta szkół powszechnych.

Gdy tu piszę o duchownych kołomyjskich, przychodzą mi na myśl jeszcze dwaj oryginalni a nieszczęśliwi księża, jakich widziałem w Kołomyi. Otóż aż do roku ~~1898~~ 1908 lub 1909 można było często spotkać na ulicach miasta księdza ubogo ubranego zwykle w ciemno powiciałą, dobrze już wyszarzałą narzutkę i stary cylinder. Był kaleką, bo nie miał lewej ręki. Chodził szybko, jakby się spieszył lub od ludzi uciekał. Palił namiętnie papierosy. Lat miał około 50, brunet, o twarzy chudej, bladej, zrzadka golonej. Nigdy go nie było widać w kościele. Był to ks. Skowroński, człowiek umysłowo chory, pensjonowany proboszcz z Jakoben na Bukowinie. Miał jakąś małą pensyjkę od rządu, mieszkał przy rodzinie w Kołomyi, a żył przeważnie ze wsparcia od miejscowego proboszcza ks. Pawłowskiego. Co kilkanaście dni zasiadał do stołu i pisał doniesienia na swego dobrodzieja ks. Pawłowskiego, zarzucając mu nadużycia, grabienie kościelnego majątku, zabieranie kościelnych pieniędzy itp. Widziałem go kilka razy, jak mając pod pachą lewej ułomkowej tylko ręki pismo z doniesieniem

na ks. Pawłowskiego, wsuwał się cichaczem i skrycie do kancelarji Prokuratorji, kładł pismo orzeczenie na stole, odwracał się i czemprędzej umykał. Pisma takie odrazu wrzucało się do pieca. W r. 1908 lub 1909 umarł ten nieszczęśliwy obłąkaniec, a ks. Pawłowski sprawił mu własnym kosztem przyzwoity pogrzeb.

Innego rodzaju umysłowo chorego księdza spotkałem również w Kołomyji. Gdzieś około r. 1910, gdy siedziałem w urzędzie przy pracy, wszedł do biura wysoki, okazały duchowny, ubrany w suknię kapłańską z mantylą i z purpurowemi guzikami, na rękach miał purpurowe rękawice, powagi dodawały duże okulary, z twarzy biło dostojeństwo i wysoka godność. Miał wówczas lat nieco nad 50. Pozdrowiwszy Boga siadł przy biurku i począł opowiadać, co go do Prokuratorji w Kołomyji sprowadza. Otóż twierdził on, że podał rządowi projekt nowego opodatkowania spirytusu. Rząd ma stąd mnogie miljony dochodu i jemu za to, że wymyślił tak doskonały sposób opodatkowania, dał na własność dobra w górach kołomyjskich i na Bukowinie. Wymienił mi Kosmacz, Akreszory i inne miejscowości. Jednakże rząd zwleka z oddaniem dóbr, a jemu się spieszy, by je już raz odebrać. Powiedziano mu we Lwowie, iż to jest zależne od Prokuratorji w Kołomyji, a więc on tu w tym celu przyjechał, abym raz na zawsze tę sprawę uregulował. Wyjął przytem cały plik papierów i począł mię przekonywać, że ma zupełną słuszność. Patrzyłem

na to wszystko ze zdziwieniem, ale i z zakłopotaniem. „Proszę patrzeć, co mam za dochody, oto moja książeczka poborowa" rzekł dygnitarz duchowny i dał mi do przeglądu książeczkę płatniczą, z której wyczytałem, że był to ks. Andrzej Majka, emerytowany wikary ze Żółkwi. Gdy czytałem ten napis tytułowy książeczki, machnął ks. Majka ręką i rzekł lekceważąco: „ot popisali głupstwa – wikary, wikary, no Boże drogi, kiedyś i ja byłem wikarym, dziś przecież jestem nuncjuszem papieskim na całą Polskę i jako takiemu należy mi się duża pensja nie datek wikarego"! Zrozumiałem, że mam do czynienia z człowiekiem obłąkanym i nie drażniąc go, zbyłem, że rzecz obecnie nie aktualna itp. Odszedł nie zbyt zadowolony. Po jakich trzech lub czterech miesiącach później, gdy siedziałem przy rozprawach karnych, spostrzegłem, że pomiędzy publicznością w sali rozpraw siedzi „ks. Nuncjusz". Gdy rozprawy się skończyły, przyszedł do mnie do biura i żalił się, że moja bezczynność pozbawia go możności odpowiedniego życia. „Miałem takąsamą sprawę w Jaśle – prawił ks. Nuncjusz – gdym prokuratorowi rzecz opowiedział, zaraz poszedł do telefonu, połączył się z cesarzem, przedstawił mu moją sprawę i z rozkazu cesarskiego już dobra jasielskie będą wkrótce oddane. Tylko tu w Kołomyi rzecz utyka, a na tych dobrach najwięcej mi zależy. Miałem w ostatnich czasach poważną szkodę,

— prawił nieszczęśliwy członek — papież posłał mi cały wagon pieniędzy jako zaległą pensję za kilka lat, ale nieszczęście chciało, że wagon po drodze przepadł a nie można dojść, gdzie zniknął. Włochy mówią, że przepadł w Austryi, Austrya mówi, że przepadł we Włoszech, jedni składają winę na drugich, a tymczasem papierki nie ma z czego żyć." Właśnie wtedy górskie potoki wylały, powiedziałem mu, że żaden urzędnik w góry do jego dóbr nie pojedzie, bo jest powódź, może życie stracić, nie mogę brać na siebie tej odpowiedzialności. Bardzo niezadowolony i zgnębiony opuścił biuro. Przyjechał jeszcze raz do mnie już w towarzystwie Ks. Staufera, administratora kościoła w Zabłotowie i gorąco prosił o oddanie dóbr. Byłem zawsze w kłopocie, co odpowiedzieć temu nieszczęśliwcowi, że nie można mu owych ośm górskich wsi oddać w posiadanie. Przeważnie żył ks. Majka przy proboszczu żółkiewskim i ten go wspomagał. Wolno mu było odprawiać codziennie cichą mszę sobotnią, miał więc nieco dochodów mszalnych. Zresztą wspierało go duchowieństwo. Umarł w Żółkwi około r. 1916.

Prócz kościoła parafialnego, był w mieście jeszcze kościół jezuicki. Powstał on około roku 1900 przy następującej sposobności. Noszono się ze zamiarem znacznego rozszerzenia parafialnego kościoła, lecz trudno to było urzeczywistnić, gdyż wąskie miejsce koło kościoła na to nie zezwalało. Potrzeba więc było

pomyśleć o budowie innego, nowego kościoła. Proboszcz Partowski przeznaczył na tę budowę fundusz, mający pierwotnie służyć na rozszerzenie parafii, resztę miały dać składki. Tymczasem zaszedł w Kołomyi szczególny wypadek. Przy wyborach do któregoś z ciał prawodawczych upadł kandydat chrześcijański hr. Starzeński, a wyszedł żyd. Powstał istny bunt chrześcijan, ruszyły przedmieścia ku centrum miasta, kto żył na owych szerokich przedmieściach kołomyjskich, chwytał drąg w ręce i leciał „bić żydów." Jako znamienny fakt podnoszę, że także niemcy z Baginsbergu ruszyli przeciw żydom. Zapanowała trwoga niesłychana, żydzi pochowali się i pozamykali domy, władze skonsygnowały wojsko i policję, z wysiłkiem zaledwie udało się zapobiedz pogromowi. Gdy się ta wyprawa antiżydowska uciszyła, głoszono, że koniecznem jest działać ku umoralnieniu mas, a najlepiej to mogą zrobić Jezuici. A więc nowy kościół będzie oddany Jezuitom. Tak się też stało. Gdy przybyłem do Kołomyi, już kościół i konwent OO. Jezuitów były od kilku lat czynne. Superjorem był wówczas ks. Hrubant. Raz w sali spraw sądowych, której okna wychodziły na ów kościół, powiedział mi adwokat Zipser: widzi pan, jakie tam mnóstwo cegieł w tym kościele, są tam i moje, bo i my żydzi dawaliśmy składki na tę świątynię, aby okazać naszą tolerancję i zbudować przybytek umoralnienia mas, bo już w Kołomyi dochodziło do niemożliwej nienawiści wyznaniowej!

Opowiadano mi, że na miejscu gdzie obecnie

stoi kościół jezuicki, dawniej stał dom parterowy z dużym ogrodem. Mieszkał w nim emerytowany kapitan Białoskórski, bezżenny, znamienna, zamaszysta postać, ideolog fizycznego wychowania młodzieży szkolnej. Trzymał w tym domu kilkunastu studentów, pilnował ich i hartował, utrzymując w rygorze wojskowym.

Cerkwie w Kołomyi były dwie. Cerkiew główna, murowana, przy ul. Sobieskiego, zbudowana była na miejscu dawnego klasztoru dominikańskiego.



Cerkiew w Kołomyi z widokiem na ulicę Sobieskiego. Przed cerkwią są widoczne szyny ówczesnej kolei lokalnej.

*

Przechowała się tradycja, że podczas napadu Turków, zostali Dominikanie przez tłuszczę muzułmańską wywieszani na cmentarzu obok kościoła. Możliwie było to

w r. 1589. Dominikanów ulokował kr. Jagiełło w r. 1412. Dziś z Dominikanów śladu niema.

Druga cerkiewka drewniana, niewielka była na ruskim cmentarzu, obok ruskiego probostwa. Kiedyś dawniej była inna parafialna cerkiew przy dzisiejszej ulicy Szewczenki, obok obecnej wikarówki ruskiej. Na tem miejscu stoi tylko wśród domków duży drewniany krzyż na oznakę, gdzie się kiedyś odprawiało służbę bożą. Przy tejże cerkwi była dzwonnica z harmonijnemi dzwonami, o których pieśń głosi: „już nam więcej nie zadzwonią dzwony w Kołomyi." Dziś trawa porosła na miejscu, na którem w nie dzwoniono, echo ich zginęło w przestworzu, a tylko w pieśni gminnej trwale pozostało. Bardzo mało kto wie o tem, że tam kiedyś stała cerkiew.

Proboszczem ruskim za moich czasów był ks. Mikołaj Semenów. Miał wówczas lat około 42. Szatyn, smukły, twarz ściągła i miła, wyraz oblicza odtwarzał wewnętrzną dobroć i inteligencję. Zawsze wytworny, uprzejmy, taktowny – jednak niezmiernie nieszczęśliwy. Życie jego było pasmem niedoli i cierpień o tyle smutniejszych, że niewinnie znoszonych. One to wpędziły go przedwcześnie do grobu. Pochodził z Oleszy pod Tłumaczem, gimnazjum skończył w r. 1886 w Stanisławowie, teologię na Uniwersytecie lwowskim. Jako ksiądz unicki ożenił się z córką ruskiego proboszcza w Sapohowie w pow. borszczowskim, potem był wikarym w Krzywczu obok Sapohowa. W życiu małżeńskiem był bardzo szczęśliwym, ale niestety, szczęście to było zbyt krótkie. Ku jego rozpaczy, żona po przeszło jednorocznem pożyciu zmarła.

Wtedyto ks. Semenów przeniósł się do Wiednia na wikarego przy tamtejszej cerkwi, począł na nowo pracować na Uniwersytecie i złożył tam doktorat teologji. Zamierzał zostać profesorem teologji w kraju z ~~histor~~ historji kościelnej. Jako pracę habilitacyjną opisał studjum z historji Zakonu Krzyżackiego. Następnie pracował jako wikary przy katedrze stanisławowskiej za czasów biskupstwa Szeptyckiego. Wtedyto właśnie był tam również wikarym ks. Chomyszyn, późniejszy następca Szeptyckiego na biskupstwie stanisławowskiem. Między obu wikarymi nie było sympatji, a nikt nie przypuszczał, jakiemi drogami pójdzie dalej ten rozdźwięk dwóch odrębnych struktur ~~ch~~ duchowych. Ks. dr. Semenów objął potem posadę katechety w gimnazjum kołomyjskiem, a gdy niebawem opróżniła się posada proboszcza unickiego w Kołomyi, rada miejska zaproponowała go na proboszcza. Został więc ks. Semenów proboszczem, sprowadził się na probostwo na Nadwórniańskiem Przedmieściu, pięknie się urządził, jak na proboszcza kołomyjskiego przystało i cieszył się powszechnym szacunkiem. Był szczerze Cerkwi oddany, szerzył prawdziwą miłość Boga i miłość bliźniego, jego wysoka kultura odbijała się echem w podniosłych kazaniach, był przeciwnikiem jątrzeń narodowych, żył w zgodzie z Polakami i duchowieństwem łacińskiem, jednem słowem był kapłanem stojącym na wyżynie swego powołania. Ale niebawem los zawistny

skierował jego górne życie na ciernistą drogę. Niektórzy okoliczni proboszczowie wielce byli z tego niezadowoleni, że intratne a zaszczytne probostwo kołomyjskie znalazło się w rękach człowieka samotnego, nie mającego obowiązków rodzinnych, choć wielu innych, mających liczną rodzinę i ciężkie obowiązki musiało nędzieć po odległych wioskach zdala od szkół dla dzieci, ograniczonych na małe pobory parafialne. Szmer niezadowolenia powiał w prawo i w lewo. A znów inni mówili, że byłoby bardzo wskazane a nawet konieczne, aby w Kołomyi, jako siedzibie radykalnego ruchu ukraińskiego znalazł się na stanowisku ruskiego proboszcza ukrainiec zdecydowany, popierający ten ruch wszelkimi sposobami i środkami. Był więc ks. Semenów przedmiotem jawnej zawiści i zazdrości, wypowiadanej najczęściej po różnych praznikach (tj: odpustach). W tymto właśnie czasie zasiadł na stolicy biskupiej w Stanisławowie wspomniany już ks. Chomyszyn, wyniesiony na tę godność przez Metropolitę Szeptyckiego. Kołomyja należała właśnie do unickiego biskupstwa w Stanisławowie. Z chwilą intronizacji biskupa stanisławowskiego los proboszcza kołomyjskiego był przekreślony. Biskup a proboszcz, to były dwa przeciwne bieguny pod względem poglądu na sposób życia z ludźmi i światem. Zmierzyli się niebawem obaj, biskup był oparty o swoje dostojeństwo, proboszcz o wysoki poziom kultury. Dalsze wypadki wykażą, kto zwycięży. Pierwszym zwiastunem taktyki nowego

biskupa było nadanie na miejsce jednego z wikarych ruskich do Kołomyi znanego na cały kraj z gwałtownego i burzliwego usposobienia ukraińca ks. Korostila. Między proboszczem a wikarym zapanowały jak najgorsze stosunki. Wikary stał się butnym i wyzywającym i doszło do niesłychanej rzeczy w dziejach katolickiej cerkwi. Oto podczas jakiejś wymiany słów porywczy wikary uderzył proboszcza ks. Semenowa w zakrystji cerkwi parafialnej. Taka gorsząca niesubordynacja winna była ~~była~~ się spotkać z najcięższą karą na wikarym. Ale wikary miał silne plecy za sobą, nie stało mu się zgoła nic, owszem wręcz przeciwnie, on odniósł nagrodę a proboszcz karę. Zapyta czytelnik, czy to wogóle jest do pomyślenia, aby tak się stać mogło. Na to oczywista odpowiedź, że tak absolutnie być nie powinno, ale, niestety, tak się stało. Zajście proboszcza pozostało bez echa, bo tymczasem zaszło coś ważniejszego. Oto pewna kobieta poszła do spowiedzi do ks. Korostila i w trakcie wyznawania grzechów wyjawiła coś intymnego na proboszcza. Ks. Korostil kazał jej po spowiedzi przyjść do siebie i prywatnie to wyznać. Kobieta tak uczyniła, wskutek czego Korostil mógł już obłudnie powiedzieć, że wie o sprawie nie ze spowiedzi, ale z innego opowiadania. Sidło na proboszcza było już nastawione. Dziwnym prawdziwie wypadkiem, ks. biskup Chomyszyn

niebawem po owem wyznaniu tej kobiety zapragnął przeprowadzić wizytację kanoniczną probostwa Kołomyjskiego. Na tę wiadomość przygotował się uroczyście proboszcz Kołomyjski, wzniesiono ładną bramę tryumfalną koło Domu Narodnego przy ul. Kościuszki, biskup zajechał uroczyście do cerkwi i odbyła się wizytacja według przepisu rytuału liturgicznego. Ale ks. biskup nie zajechał do proboszcza, lecz do znajomego swego kapitana Panasiewicza. Przywołano i przesłuchano ową kobietę i ks. biskup na miejscu zasuspendował ks. proboszcza Semenowa a sacris i z pobierania dochodów z probostwa, tak iż proboszcz nagle pozostał bez kawałka chleba.
To był pierwszy akt tej tragedji życiowej unickiego proboszcza Kołomyjskiego. Wdał się proboszcz zaraz w proces administracyjny i ten wypadł na jego korzyść, grunty mu oddano do użytku, dochody jednak z jura stolae pobierali wikarzy. Proboszcz popadł w niedostatek, pozaciągał długi na życie, wpadł w ręce lichwiarzy, wśród których obfite miał żniwo pierwszy lichwiarz Kołomyjski Elo Kammler. Tymczasem rozpoczął się długi proces kanoniczny, proboszcz opierał się na niedozwolonem złamaniu tajemnicy spowiedzi, biskup na grzechu proboszcza. Proboszcz przegrał proces w dwu pierwszych instancjach. Nie wiem z czyjej inicjatywy oddano rzecz w ręce biskupa unickiego Czechowicza w Przemyślu, ten zachęcał proboszcza na dobro cerkwi, aby się z biskupem przejednał i dobrowolnie

rzecz załagodził. Proboszcz Semenów odparł, że gotów ~~jest~~ jest do najdalszych ustępstw, że czuje się zgoła niewinnym, owszem grubo pokrzywdzonym, a gdy zapytał biskupa Czechowicza, jak sobie przedstawia owo pojednanie, usłyszał odpowiedź, by zrezygnował z probostwa kołomyjskiego a następnie będzie mógł kompetować o inne. Proboszcz na to odrzekł, że dziś jeszcze przynajmniej na plebanji mieszka, a gdyby to zrobił, co biskup proponuje, znalazłby się zupełnie na bruku w jednej koszuli, bo lichwiarze i tak ruchomości zabrali. Wtedy dopiero dostałby może probostwo jakieś „z łaski" i to niezawodnie takie, o jakie nawet nikt w djecezji nie chciał kompetować. Chciał się zresztą zgodzić na rezygnację pod warunkiem, że zgóry otrzyma zapewnienie otrzymania bądź kanonji, bądź profesury na Uniwersytecie, bądź odpowiedniego probostwa. Tego mu jednak przyrzec nie chciano a rokowania ugodowe się rozbiły. Podczas kiedy biskup Czechowicz rozmawiał z ks. Semenowem, w dalszych pokojach biskupa przemyskiego oczekiwał rezultatu biskup Chomyszyn. Tymczasem wniósł proboszcz o rewizję procesu do najwyższej instancji sądu duchownego w Rzymie i miał nadzieję na powodzenie. Ostatnie fundusze, jakie mógł ściągnąć dał na przekład aktów procesu z języka ruskiego na łaciński. Przekładu dokonał jeden z księży ruskich w Przemyślu. Proboszcz ogromnie gryzł się swojem ciężkiem nieszczęściem, sto myśli mu do głowy przychodziło, jakby

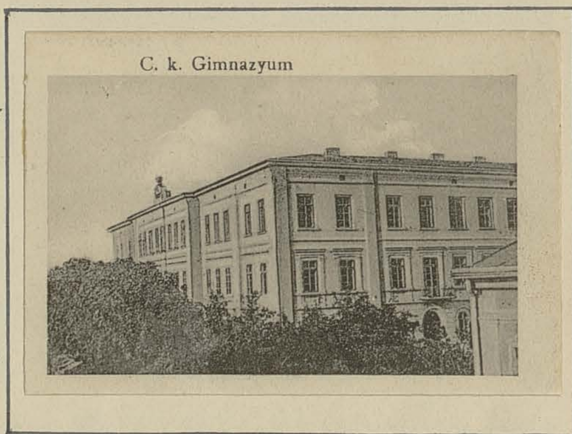
wybrnąć z przykrego położenia, nie wykluczał nawet przejścia na obrządek łaciński, ale to były tylko refleksje smutnych przejść i rozpaczliwych zmagań z losem. Siedział na probostwie na Nadwórniańskiem ~~Probostwie~~ (Przedmieściu) osamotniony, odsunięty od cerkwi i duszpasterstwa, pozbawiony środków do życia i tylko jednem się pocieszał i w jedno wierzył, że prawda zwycięży. W tym stanie rzeczy opuściłem Kołomyję. Co dotąd napisałem, wiem od samego Semenowa, to co dalej napiszę, wiem od ludzi. Otóż zniszczony biedą i brakiem środków do życia przyjął posadę tymczasowego urzędnika we Wydziale Powiatowym w Kołomyi, żył z niewielkiej pensyjki i oczekiwał wyniku procesu w Rzymie. Wybuchła wojna światowa w r. 1914, wyemigrował do Wiednia, gdzie żył w ciężkich warunkach, a tymczasem proces w Rzymie przegrał, wiadomość o tem podkopała jego zdrowie, niebawem potem zmarł we Wiedniu, nie powróciwszy niestety na swoje probostwo kołomyjskie. Tak się skończyła tragedja życiowa ks. dr. Mikołaja Semenowa. A ks. ~~Ks~~ Korotil został proboszczem ruskim w Jezierzanach pod Czortkowem, jednak w kilka lat później w młodym wieku tamże umarł.

Na dwu rozległych przedmieściach kołomyjskich, skolonizowanych przez Niemców były dwa kościoły. Na Baginsbergu, niemieckiej kolonji ewangelickiej był kościół tegoż wyznania (pobudowany w r. 1874) i probostwo ewangelickie. Niemcy ci odznaczali się uczciwością, pracowitością,

~~dosko~~ i byli doskonałymi sędziami przysięgłymi. Na drugiem niemieckiem przedmieściu na Marjahilfce była parafja katolicka, gdyż niemcy tamtejsi byli katolikami. Odznaczali się awanturniczością i bijatykami.

*

Szkolnictwo było w Kołomyi silnie rozwinięte. Były dwa gimnazja męskie, a to polskie pod kierownictwem dyrektora Józefa Skupniewicza, człowieka starszego, poważnego i poważanego, doświadczonego pedagoga, twórcy parku zabaw dla młodzieży, przy końcu ul. Staromiejskiej, niedaleko Prutu. Drugie gimnazjum było ruskie pod dyrekcją Sofrona Niedzielskiego, również poważanego i rozumnego człowieka. Oba gimnazja były w jednym, obszernie rozbudowanym gmachu obok Łacińskiego kościoła parafialnego.


C. k. Gimnazyum


Bursa Polska

Polska i ruska młodzież miały bursy bardzo dobrze zorganizowane. Dla młodzieży żeńskiej utrzymywały gimnazjum prywatne SS. Urszulanki w ładnym budynku naprzeciw

kościoła jezuickiego. W tymsamym budynku był konwikt dla córek rodzin zamożnych. Miejscowe dziewczęta uczęszczały do gimnazjum tego za dopłatą. Było wreszcie kilka szkół wydziałowych i powszechnych, a cała tzw. Skowrońszczyzna, niedaleko sądu, była jakby jedną wielką, żeńską kolonją szkolną. Dla dziewcząt było także seminarjum nauczycielskie prywatne, mieszczące się w domu nieocenionej fundacji im. hr. Starzyńskich. Były wreszcie trzy szkoły zawodowe, funkcjonujące doskonale. Prym wiodła szkoła garncarska. Mieściła się we własnym budynku w dolnej części miasta, kierował nią dyrektor Klimaszewski, a jej wyroby nosiły cechy swoistych motywów. Dzbany, wazy i misy w tej szkole wyrabiane miały tak piękne kształty i gustowne ornamenty kwiatowe, iż śmiało mogły iść na wystawy nawet zagranicę. Szkołę tę utrzymywał fundusz krajowy. Druga szkoła zawodowa była stolarska, umieszczona przy ul. Sobieskiego, w dużej kamienicy nad potokiem. Była to szkoła państwowa, dobrze zorganizowana i prowadzona przez fachowego inżyniera i kilku innych nauczycieli. Wydawała rzemieślników pierwszorzędnej miary. Trzecia zawodowa szkoła była szewska, do niej jednak chodzili uczniowie z warsztatów tylko na naukę popołudniową. Mieściła się w budynku gminnym obok parku.

*

Z władz państwowych starostwo mieściło się przy ul. Jagiellońskiej, w starym lecz obszernym domu. Starostą był Pawlikowski, tensam, o którym wspominałem w rozdziale



Zakład SS. Urszulanek przy ul. Kraszewskiego. Za nim widać wśród drzew parterowy dom Fronczaków (oznaczony na dachu =), w którym mieszkałem po przyjeździe z Halicza

o Jarosławin, jako o komisarzu rządowym tegoż miasta. Był to już starszy człowiek, wyniosłej postaci, średniej tuszy, o twarzy dużej, owalnej, golonej, na głowie tkwiły resztki siwiejących włosów. Stateczny, poważny, rozumny, taktowny, o szczerze polskim podkładzie duchowym. Zastępcą starosty był ruchliwy, uprzejmy nadkomisarz Sowiński, szczery polak i zacna dusza.

Na czele dyrekcji skarbowej stał dyrektor Neuman,

którego nie znałem. Dyrekcja skarbowa miała bardzo liczny zastęp różnorodnych urzędników.

Wojska w Kołomyi było dość. Koło parku były koszary 24. pułku piechoty o jasno szarych wyłogach, zwanego pułkiem Kołomyjskim. Służyli w nim huculi z całej połaci Huculszczyzny. Nadto był pułk obrony krajowej w obszernych koszarach przy ul. Bańkowskiego, wreszcie pułk konnicy, załogujący na Kosaczowie, za dworcem kolejowym. W nim około roku 1911 służył młody rotmistrz arcyksiążę Karol, późniejszy ostatni cesarz austrjacki. Był dopiero co ożeniony z księżniczką Zytą. Mieszkali przy ulicy Ewangelickiej.

*

Wstąpmy wreszcie do instytucji, w której pracowałem, tj. do sądu i do prokuratorji Państwa. Instytucje te mieściły się tuż obok kościoła jezuickiego w najętej kamienicy słynnego na owe czasy bogacza Rammlera. Był to duży budynek, rozczłonkowany na różne ramiona, niezgrabny, niekształtny, ale przecież pakowny, mieścił jakotako wszystkie biura i sale rozpraw przy dość ściśle zastosowanym systemie szczędzenia miejsca.

Prezydentem sądu był wtedy Władysław Seredowski, ostowiek nad 60 lat liczący, średniego wzrostu, okrągłej tuszy, siwe włosy głowę pokrywały, twarz pełna, prawie rumiana, krótką, strzyżoną, białą brodą okolona.

zwykle usunięty, na pozór nawet dobrotliwy, nie lubiał chodzić, chód mu sprawiał trudność, stąpał powoli, ciężko, a najtrudniej mu było chodzić po schodach. Był bezżenny, mieszkał naprzeciw sądu w kamienicy Manissalego, ormianina, miał przy sobie siostrę, wdowę po notarjuszu i ta prowadziła mu gospodarstwo domowe. Dawniej był Seredowski prokuratorem we Lwowie, potem także radcą apelacyjnym, wreszcie został prezydentem Sądu obwodowego w Kołomyi. Pełniąc długie lata służbę w Prokuratorji, owładnął prawo karne znakomicie, był więc doskonałym kryminalistą. W dziale cywilnym mniejsze miał doświadczenie. Z domu prawie się nie wychylał. Raz tylko widziałem go, że szedł na spacer od sądu aż do ul. Jagiellońskiej, skąd zaraz powrócił. Nadto corocznie na imieniny cesarskie szedł w mundurze do kościoła w rynku na urzędowe nabożeństwo. Zresztą siedział bądź w domu, bądź w biurze.

Nie mając ni dzieci ni rodziny, mało miał zrozumienie dla potrzeb ludzi, posiadających obowiązki rodzinne. Mało powiedziałem, że nie miał wyro-



Starostwo w Kołomyi.

zmienia, często nie miał i serca. Pamiętam, jak sędzi Zdańskiemu zachorowała matka staruszka we Lwowie na raka i dnie jej były policzone. Zdański na niedzielę jeździł z Kołomyi do Lwowa, by matkę odwiedzić i jeszcze ostatnie słowa z nią zamienić. W niedzielę nie było żadnych czynności w sądzie, ale Zdański jedynie z uprzejmości urzędowej prosił Seredowskiego o urlop niedzielny, który kilka razy otrzymał. Raz po sesji w sobotę, znów Zdański prosił o urlop niedzielny, naco Seredowski dał do zrozumienia, że nie jest z tych jego niedzielnych wyjazdów zadowolony i kwestjonował, czy wyjazdy te są konieczne. Gdyśmy wyszli ze sesji, Zdański był bardzo oburzony i powiedział do mnie, że odtąd będzie zawsze jeździł do Lwowa na dnie świąteczne, jak długo matka żyje i nie będzie o tem uwiadamiał Seredowskiego. Tem dziwniejsze było zachowanie się prezydenta, że kiedyś był on podwładnym jego ojca nadprokuratora Zdańskiego i właśnie on przyczynił się do wyniesienia Seredowskiego na wyższe stanowisko. Inny przypadek był jeszcze przykrzejszy. Był pisarzem w sądzie powiatowym niejaki Chęciński, człowiek starszy, powszechnie lubiany, brał bowiem udział w życiu narodowem a nawet pisywał wiersze. Jemu to umarła zamężna córka w Tłumaczu. Gdy poszedł prosić Seredowskiego o urlop pogrzebowy, nie chciał mu go Seredowski dać, argumentując: poco właściwie pan tam pojedzie, córki już nie ma, już nie żyje a pogrzebem

przecież zajmie się mąż. Był więc Seredowski niemal pozbawiony uczuć ludzkich i to mu zawsze współpracownicy jego zarzucali. Jako urzędnik był niezmiernie ścisły, ogromnie wymagający, bezwzględny, skrajnie skąpy w oznaczaniu kwalifikacji. Nie cieszył się więc w sądzie sympatją. ~~i za~~ Utrzymywał jednak w sądzie surowy rygor, bo w czasach przed wojną światową było to jeszcze możebne. Jakoś około r. 1910 podczas ferji letnich zastał każdy z nas rano na biurku bilet wizytowy prezydenta Seredowskiego. Oznaczało to jego pożegnanie. Spensjonował się, przeniósł się do Lwowa, tam stale ze siostrą zamieszkał, chorował ciężko na nogi, wreszcie licząc około 70 lat, tamże zmarł.

Po nim został prezydentem Gotkowski, poprzednio również radca apelacyjny we Lwowie. Jako szlachcic miał wielkie względy u prezydenta apelacji Tchórznickiego. Gotkowski był ruchliwy, rozgadany, żywy, lubiący gwarne kółko bliskich znajomych, przybył do Kołomyi niejako na sezon, nie miał bowiem zamiaru pozostać tu na stałe, lecz objął to stanowisko, aby się potem przenieść do Sambora. Był żonaty, bezdzietny. Jako człowiek, przewyższał o całe niebo Seredowskiego, ale jako pracownik był jego antitezą. Nie lubiał siedzieć w biurze i nie lubiał pisać, opowiadano, że nawet korespondencję ze żoną kazał załatwiać sekretarzowi Trzcieskiemu, a choć nie wiem, czy to było prawdziwe, ale z pewnością nie wykluczone. Był to jednak umysł bystry, charakter prawy,

człowiek dobry. Po jakiś pół roku odszedł istotnie do Sambora.

Po nim został prezydentem Kołomyjskiego sądu radca Sądu Najwyższego we Wiedniu Łysiak, rusin. Postać smukłej, oblicze jego miało wyraz zatroskany, miał lat około 55, ojciec licznej rodziny, z dzieci najstarsze córka wydana była za kapitanem, polakiem, inne zaś dzieci były jeszcze na utrzymaniu ojca. Jako prawnik był wybitny, ścisły w służbie i przykładnie pracowity. Czuł się szczęśliwym, że powrócił z Wiednia do kraju, dał dzieci do szkół Kołomyjskich a syna na praktykę do miejscowej Kasy Oszczędności. Niebawem i zięć kapitan otrzymał posadę w Kołomyi, dość że początki ułożyły mu się jak najlepiej. Ale był to rok 1910, wojna z Rosją wisiała już w powietrzu, gromadziły się chmury od wschodu i zachodu, wszczynano przyjaciół i nieprzyjaciół państwa i wtedyto popadł we wielką niełaskę rządu austrjackiego rusin odcienia staroruskiego, zwani zwykle rusofilami. Który rusin nie był ukraińcem, był uważany za rusofila, a tem samem za nieprzyjaciela państwa austrjackiego. Łysiak nie był ukraińcem, a więc eo ipso stał się odrazu persona ingrata, choć o jakiemś wrogiem usposobieniu wobec Państwa nigdy mu się nawet nie śniło. Poczęto myśleć nad sposobem usunięcia go ze służby — i obmyślano rzecz dość niezgrabnie. Kiedyś poprzednio był Łysiak nadradcą sądowym w Stanisławowie.

Tam pewne, stałe grono osób w oznaczony dzień tygodnia schodziło się na kolację na rybę w jednej z restauracji. Restaurator czy restauratorka kiedyś miała wspomnieć Łysiakowi, że jakiś jego krewny został niesłusznie oskarżony o bankructwo. Łysiak znów w rozmowie z radcą sądowym Proskurnickim zapytał o tę sprawę, a w konkluzji machnął ręką, jako na rzecz błahą. Po latach kilku chciano Łysiaka wysadzić z posady prezydenta, gdzieś jakąś drogą odgrzebano ten szczegół, Excellencja Tchórznicki (niezawodnie na wskazówkę z góry) uderzył we wielki dzwon, wyolbrzymiono całą rzecz do przesady i dano Łysiakowi do zrozumienia, że powinien ustąpić. Z ciężkiem sercem to zrobił i w mowie pożegnalnej w sądzie wyraził swój żal, że go po wyrzuceniu z Wiednia i po kilku miesiącach po powrocie do kraju pozbawiono stanowiska. Aby podołać obowiązkom rodzinnym, prowadził potem w Kołomyi adwokaturę.

Po nim został w r. 1911. prezydentem sądu Antoni Wilecki, prokurator ze Złoczowa. Człowiek ogromnych rozmiarów, dużego rozmachu, średniej pracowitości, w odniesieniu do sędziów absolutny, w zetknięciu z innymi urzędnikami szorstki. Był żonaty, bezdzietny. Gdym odjeżdżał z Kołomyi w r. 1911, zostawiłem go na stanowisku prezydenta sądu. Potem przeniósł się na takiesame stanowisko do Przemyśla, widocznie w pragnieniu większego zaszczytu.

Sąd okręgowy miał także wiceprezydenta. Gdy przybyłem do Kołomyji w r. 1906 posada ta na razie była nieobsadzona. Dopiero około r. 1908 zamianowany został wiceprezydentem radca ze Lwowa dr. Włodzimierz Kozicki. Znałem go doskonale ze Sambora, gdy tam był radcą. Szczery, serdeczny, miły, koleżański, jednem słowem kochany człowiek. Był synem powstańca, który we walce o wolność Polski życie swoje położył w r. 1863 pod Radziwiłłowem. Po wyczytaniu jego nominacji do Kołomyji, ucieszyłem się tem szczerze i napisałem mu do Lwowa serdeczny list. Czekałem kilkanaście dni i nie doczekałem się odpowiedzi. Trochę mię to zdziwiło, ale zagadka wnet się rozwiązała. Niebawem przybył Kozicki do Kołomyji, ale byłto zupełnie odmienny i całkiem inny człowiek niż był w Samborze, przemienił się duchowo nie do poznania. Był żonaty z Gostkowską, córką profesora Politechniki lwowskiej. Jej siostra była Moraczewską, żoną inżyniera, znanego socjalisty. Zasady socjalistyczne może nawet nieco w radykalniejszej mierze udzieliły się całej rodzinie, stąd Kozicki przerobił się w typ człowieka zimnego, obojętnego a dawna jego miękka serdeczność, która go tak znamiennie cechowała, znikła bezpowrotnie. Człowiek z tak pięknemi tradycjami rodzinnemi jak Kozicki, mógł stanąć na czele Polonji kołomyjskiej, stać się dźwignią tutejszego życia narodowego i przejść do historji tego miasta — jednak, niestety, tak się nie stało. W sądzie żył

Kozicki jedynie z radcą Kozaczkiem, dla innych był obojętnym. Po kilku ~~latach~~ latach pobytu w Kołomyi został Kozicki prezydentem sądu w Tarnopolu, a wiceprezydentem został w Kołomyi w miejce niego radca Metella z Brzeżan, rusin, choć pracowity, jednak w sobie zamknięty, mało ze siebie dający i dla grona sędziowskiego jakby ciągle obcy. Gdy opuszczałem Kołomyję, on zajmował miejsce wiceprezydenta.

Sądy Obwodowy i Powiatowy w Kołomyi miały cały długi szereg nadradców, radców, sędziów, a gdybym o każdym spisał to co wiem, tworzyłoby to spory tom. Nie jestto jednak celem niniejszej pracy — choć z drugiej strony przecież i tym niestrudzonym pracownikom należy się wzmianka. Nie każdy mógł być prezydentem, choć wielu było godnych zasiąść na tem krześle.

Po wiceprezydencie najstarszym był nadradca Szypajło, rusin, człowiek wiekowy, powolny, rozważny, niezmiernie sumienny. Z innych sędziów wyszczególnić należy dr. Wiktoryna Mańkowskiego, polaka, znakomitego jurystę, chlubę i ozdobę sądu Kołomyjskiego, później prezydenta sądu w Sanoku, wiceprezydenta sądu Apelacyjnego we Lwowie, prezesa senatu sądu Apelacyjnego w Poznaniu i niezmordowanego a bardzo wybitnego członka i wiceprezesa Komisji Kodyfikacyjnej po powstaniu odrodzonej Polski. Z tym sędzią spotkamy się jeszcze w rozdziale o Poznaniu. Wybitnym sędzią był radca Wyspiański.

Małego wzrostu, brunet, ruchliwy, ogromnie uzdolniony, po Mańkowskim pierwszy prawnik w sądzie kołomyjskim, później radca apelacyjny we Lwowie. Kozaczek, radca sądowy, polak, człowiek zdolny, bystry, biegły w każdym dziale, wzorowo pracowity. Karatnicki, rusin-ukrainiec, wybitnie zdolny i znakomity prawnik, późniejszy prezydent sądu w Brzeżanach. Radca Stanisław Nowodworski, polak, człowiek o wybitnej inteligencji, o nieskazitelnym charakterze i szlachetnej duszy. Był dwa razy żonaty. Pierwsza żona zmarła śmiercią gwałtowną, gdyż zajęła się na niej odzież wskutek rozbicia lampy naftowej. Miał liczne dzieci, a córeczki jego były najlepszemi uczennicami w liceum Urszulanek. Żył w serdecznych stosunkach z radcą Czerwińskim, o którym w dalszym ciągu wspomnę. Nowodworski był najpierw radcą, potem nadradcą, po spensjonowaniu się zaś prowadził adwokaturę. Ponieważ za młodych lat był sędzią w Kopyczyńcach, dlatego mieliśmy na temat tego miasteczka wiele do opowiadania. Umarł śmiercią tragiczną podczas wojny światowej w r. 1914 lub 1915. Oto gdy Rosja zalała wojskiem Galicję i zajęła Kołomyję, przyszedł jakiś żołnierz rosyjski do jego mieszkania i w kuchni domagał się natarczywie jedzenia, względnie żądał kilku jaj. Gdy mu odmówiono, żołnierz domagał się tego butnie i natarczywie. Zirytowany natrętnością wyszedł Nowodworski do kuchni i krzyknął do żołnierza, że niema obowiązku żywienia rosyjskich żołnierzy i wezwał go do opuszczenia

mieszkania. Żołnierz zareagował na to ~~ztr~~ groźbą strzelania, na co Nowodworski krzyknął: ano spróbuj! Żołnierz podniósł karabin i wystrzelił prosto w głowę Nowodworskiego. Ten padł trupem na miejscu, pozostawiając liczną rodzinę w ciężkiej rozpaczy. Osobiście żyliśmy w zażyłych stosunkach. Po moim odjeździe onto nadesłał mi naszą wspólną fotografię z listem z datą Kołomyja 7. grudnia 1911, którą tu dołączam.

Z dalszych sędziów nadmienić należy nadradcę Bernackiego. Blondyn, szczupły, bardzo uzdolniony, prawy i zacny człowiek. Za młodych lat jako przystojny auskultant był rozrywany. Niestety człowiek ten ciężko chorował, mowę miał utrudnioną, dlatego nie prowadził rozpraw, lecz wykonywał sędziowstwo bez styczności ze stronami. Bernacki i Wilecki byli przyjaciółmi od dziecięcych lat, jak długo Wilecki bawił w Kołomyi, zawsze się ich widziało obu razem chodzących. ~~Ben~~ Pamiętnym radcą był Józef Czerwiński, rusin, człowiek o postawie niemal olbrzymiej, jakby wśród drzew dąb kilkusetletni. Gdy się nań patrzyło, zdawało się, że on dopiero przeżyje wszystkich. Stojąc koło niego, czułem się niejako przygnieciony jego ogromem, zakłopotany, czem tak nikły, wąski, mały, wobec tego kandydata do ~~st~~ setnych lat. Myślałem sobie nieraz, że gdy ten człowiek umrze, nie będzie można znaleźć trumny dla niego. Łysy, z długą brodą, pięknem, pogodnem

obliczem, był człowiekiem bez skazy, chodzącą uczciwością
i głęboką zacnością. W pracy był niestrudzony, w poczuciu
sprawiedliwości niezmiernie subtelny. Życie domowe miał
zatrute chorobami rodzinnemi. Żył w ścisłej przyjaźni
z radcą Nowodworskim. Rozmawiając często o nieśmier-
telności duszy, umówili się, że który z nich prędzej
umrze, będzie się starał drugiemu dać znać o swojem
zagrobowem istnieniu wszelkiemi dostępnemi środkami.
Uśmiechnęli się obaj – niewiedząc komu los wskaże rolę
informatora a komu informowanego. Niebawem potem role
te wyjaśniły się. Pewnego wieczora, możliwie w r. 1909 praco-
wał Czerwiński do późna w biurze, pisząc wyrok cywil-
ny. W trakcie pisania motywów wyroku, nim zdanie mógł
dokończyć, zrobiło mu się niedobrze. Zszedł z piętra na par-
ter do odźwiernego i przy jego pomocy doszedł do pobliskie-
go swego mieszkania przy ul. Romanowskiego (na Kamlerów-
ce obok sądu). W kilka godzin później Czerwiński żyć prze-
stał. Zmarł wskutek wady aorty, licząc lat około 45. Był
rodzonym bratem Adolfa Czerwińskiego, późniejszego dłu-
goletniego prezesa Apelacji lwowskiej. Podczas konduktu
pogrzebowego przemawiał obok Sądu radca Kozaczek po
polsku a na cmentarzu adwokat Dudykiewicz po rusku
podnosząc, że „to był sędzia sprawiedliwy, który wstając
rano modlił się do Boga, aby przez dzień nadchodzący
nikomu krzywdy nie zrobił." Sprawiliśmy mu grób

368a

Kołomyja 7 grudnia 1911.

Zacny i kochany panie Prokuratorze!

Pracujący z Tobą spólnie w ces. Prokuratoryi Państwa i w Trybunale przesyłają Ci, niezapomnianemu druhu, fotografię, która niechaj

do str. 367

…ym kosztem.
…iej umarła
…ężem. Gdy
…rób Czerwi-
…arta się do
…órkę położo-
…e wodzie pod-
…wać w tem
…órki okazał
…le przecząca.
…ein wpisują
… Grudziądza,
…wej Gąsiorow-
… 19 listopa-
…ione. Oto
… są pies-
…ziecka i
…nierzczęśli-
… ile trodz
…
…lotowiek, dość
…m, miał
…onaty, miał
… 14 umar-
…owodu złe-
go leczenia przez lekarzy. Odtąd życie tych ludzi było złamane, posępne, bez treści. Jedynym spacerem

obliczem
i głęboka
sprawiedl
zatrute
z radcą
telności
umrze,
zagrobow
uśmiech
informa
te wyjaśn
wał Czer
ny. W tr
dokończ
ter do od
go swego
ce obok s
stał. Zma
rodzonym
gołetniej
pogrzebow
polsku
podnosz
rano modlił się do Boga, aby przez dzień nadchodzący nikomu krzywdy nie zrobił! Sprawiliśmy mu grób

Ci przypomina, że pozostawiłeś tu szczerych przyjaciół, ceniących Twoje stałe serce – oby budziła ona w Tobie te same uczucia względem nas, z jakiemi do Ciebie się odnosimy.
Ściskamy szlachetną

Stoń Twojej

Ks. Mieczysław Bosterowski

Ożarski Kowalski

Stanisław Nowodworski

Michał Drahomirecki

Ignacy Dąbrowski

Duran

Dr. Karol Schneider

Mikołaj Horącik

Michał Jelszczyński

Jaworowicz

Witold Hlawaty

...ym kosztem.
...iej umarła
...eżem. Gdy
...rób Czerwiń-
...arła się do
...órka położo-
...e rodzie pod-
...rać w tem
...órki okazał
...le przecząca.
...eim wpisuję
... Grudziądzu,
...wej Gąsiorów-
... 19 liczą-
...ione. Oto
... są pier-
...ziecka i
...nieszczęśli-
... ile Irodz

...ctoniek, dość
...m, miał
...onaty, miał
... 14 umar-
...owodu złe-

go leczenia przez lekarzy. Odtąd życie tych ludzi
było złamane, posępne, bez treści. Jedynym spacerem

obliczem
i głęboka
sprawiedli
zatrute
z radcą
telności
umrze,
zagrobow
uśmiech
informa
te wyjaśn
wał Czer
ny. W tr
dokończe
ter do od
go swego
ce obok s
stat. Zma
rodzonym
goletniego
pogrzebow
polsku
podnosz
rano modlił się do Boga, aby przez dzień nadchodzący nikomu krzywdy nie zrobił! Sprawiliśmy mu grób

368 b

Ci przypomina, że pozostawiłeś tu szczerych przyjaciół, ceniących Twoje zalety serca – oby budziła ona w Tobie te same uczucia względem nas z jakiemi do Ciebie się odnosimy.

Ściskamy szlachetn

286

e

zew

ce

Tak

iła

iła

sam

na

Wełd

hełm

ząg
grób

368 c

Noe Twojej

Ś. Mieczysław Bołtrusowiec

Ożarski Kowal...

Stanisław Nowodworski

Michał Drahomirecki

Ignacy Dutz

Ferens

Dr Karol Schmeier

Mikołaj Horwicz

Michał Pełszczyński

Jaworowicz

Witold Hulewicz

ym kosztem.
iej umarła
nężem. Gdy
rób Czerwin-
darła się do
órka położo-
e wodzie pod-
rać w tem
órki okazał
le przecząca.
rim wpisuję
Grudziądza,
wej Gąsiorów-
19 listopa-
ione. Oto
się pies-
ziecka i
nieszczęśli-
ile środ

człowiek, dość
m, miał
onaty, miał
14 umar-
owodu złe-
go leczenia przez lekarzy. Odtąd życie tych ludzi
było złamane, posępne, bez treści. Jedynym spacerem

obliczem
i głęboka
sprawiedl
zatrute
z radcą
telności
umrze,
zagrobow
Uśmiech
informa
te wyjaśn
wał Czer
ny. W tr
dokończ
ter do od
go swego
ce obok s
stał. Zma
rodzonym
goletnieg
pogrzebow
polsku
podnosz
rano modlił się do Boga, aby przez dzień nadchodzący
nikomu krzywdy nie zrobił!" Sprawiliśmy mu grób

murowany i nagrobek wspólnym składkowym kosztem. Niebawem po nim, bo w jakie pół roku później umarła jego żona i pochowano ją w jednym grobie z mężem. Gdy odwalono płytę, okazało się, że murowany grób Czerwińskiego napełniony jest wodę, która także wdarła się do trumny. Cmentarz kołomyjski, choć na wzgórku położony, miał tę fatalną wadę, że cały tonął we wodzie podskórnej. Dlatego właśnie niemiło było umierać w tem mieście. Pytałem Nowodworskiego, czy Czerwiński okazał mu się kiedy po śmierci. Odpowiedź była stale przecząca. W obecnej chwili, gdy tę wzmiankę o Czerwińskim wpisuję w wspomnienia kołomyjskie, przebywa stale w Grudziądzu, gdzie to właśnie piszę, u swojej ciotki majorowej Gąsiorowskiej sierota po Czerwińskich Anna, lat około 19 licząca, kaleka na obie nogi, częściowo obezwładnione. Otóż gdy była jeszcze dzieckiem w Kołomyi, wyniosła ją piastunka po kąpieli nadwór, wiatr owiał nogi dziecka i stąd powstał na całe życie niedowład. Ileż ten nieszczęśliwy ojciec tem się nagryzł, ile porad zasięgał, ile środków stosował — wszystko nadaremnie.

Radca Werbowy, rusin, starszy człowiek, dość otyły, twarz owalna ze siwym grubym wąsem, miał dom własny przy ul. Bańkowskiego. Był żonaty, miał jedyną córkę, ta jednak, licząc lat około 14 umarła na dyfteryę, jak Werbowy twierdził z powodu złego leczenia przez lekarzy. Odtąd życie tych ludzi było złamane, posępne, bez treści. Jedynym spacerem

dla nich była droga na ruski cmentarz na Nadwórniańskie przedmieście, do ukochanego grobu, który zamknął na wieki całe ich szczęście.

Radca Ferall Ludwik, polak, właściciel dwu domów przy ul. Bańkowskiego, syn miejscowego lekarza. Był żonaty, miał jedną córkę, którą bardzo kochał. W Sądzie prowadził dział karny, znane były jego wyprawy jako zbyt przewlekłe, stąd kto miał zasiadać przy rozprawach prowadzonych przez Feralla, mawiał: mam dziś dzień feralny. Był miłym gadułą, gościnnym w domu, towarzyskim w gronie sędziów.

Radca Nivelińśki, rusin, bardzo zacna dusza, czysty charakter, przyjacielski, serdeczny. Był żonaty, bezdzietny, miał dom niedaleko mostu na Prucie, z werandy jego pomieszkania roztaczał się piękny widok ku Karpatom. Umiał tkać piękne dywany smyrneńskie. Z nim to jeździłem do Jabłonowa, odwiedzić naczelnika tamtejszego Sądu Sienkiewicza, dawnego kolegę z czasów sołotwińskich. Przeszedł w r. 1911. na emeryturę, później niebawem umarł.

Radca Jasieniecki, rusin, żonaty, bezdzietny, niezmiernie cichy, spokojny, pobożny. Był sędzią śledczym dla ważniejszych spraw. Wcześnie przeszedł na emeryturę i zamieszkał we Lwowie.

Radca Roman Zdański, polak, człowiek o dużej kulturze, pięknie prowadził rozprawy karne, szlachetny, prawy, ludzki, wesołego usposobienia. Żoną jego była

Bogdanowiczówna, córka właściciela ziemskiego z Ostrowczyka koło Horodenki. Godzien osiągnąć w sądownictwie zaszczytne wyższe stanowisko, niestety zbyt wcześnie umarł na ~~gła~~ gruźlicę gardła.

Radca Leibschang, spolszczony niemiec, bardzo zdolny prawnik, mógł o przejściach swego życia opowiadać całymi dniami, bo jako student gimnazjalny, po jakiejś awanturze szkolnej umknął do Ameryki, przechodził ciężkie koleje życia, był sto razy na wozie i pod wozem, powrócił do kraju, pokończył studja, był sędzią w Kutach, potem radcą w Kołomyi, wreszcie sędzią apelacyjnym we Lwowie, gdzie też przedwcześnie zakończył życie również na gruźlicę gardła.

Radca Jan Czerniawski, radykalny rusin, ukrainiec, zapalczywy, namiętny, dziwaczny. Radca Plahner, tarnopolanin, wyznania mojżeszowego, był szczególnie doskonałym sędzią śledczym, bystry, zdolny, niezależny. Radca Henner, również wyznania mojżeszowego, pracowity, ambitny, pochodził ze znanej w kraju rodziny fotografów, przemyślanin. Miał w Kołomyi dom własny obok koszar piechoty (nieopodal parku). Wreszcie jako sędziowie śledczy fungowali Zygmunt Rybicki, sędzia średnich zdolności, zapracowany, przygnieciony troskami rodzinnemi, nie cieszył się względami prezydenta Seredowskiego, stąd nie mógł postąpić na radcę, dopiero po jego ustąpieniu został radcą w Brzeżanach, gdzie też niebawem umarł. Młodszy lecz

bardzo dzielny sędzia Hlawaty, prowadził trudne śledztwa wzorowo, zmarł niestety przedwcześnie, zostawiając czworo dzieci.

Sąd powiatowy miał za moich czasów jako naczelników Wileckiego, Kozaczka i Nowodworskiego, nadto cały szereg młodszych sędziów. Byli więc w tym sądzie: chorowity, ale długie lata żyjący Nechay, zażywny bez nieszczęśliwy Felsztyński, który od lat kilkunastu miał sparaliżowaną żonę, sam się zajmował gospodarstwem, żonę troskliwie pielęgnował, nawet sam ją czesał. Wesoły sędzia Lityński Bolesław, szlachcic polski, zagorzały ukrainiec. Michał Drohomirecki, mój serdeczny przyjaciel jeszcze za czasów, jak we Lwowie na prawach mieszkaliśmy razem przy ul. Kochanowskiego nr. 4. W Kołomyi był najpierw zastępcą prokuratora, potem jednak przeniósł się na sędziego do sądu powiatowego, gdzie też niebawem został radcą. Człowiek o znakomitych zdolnościach, bystrym umyśle, doskonały prawnik, niezmordowany pracownik, rychło się wybił na czoło w szeregu sędziów. Był żonaty, miał czworo artystycznych dzieci, bo wszystkie były zawołanymi muzykami. Podczas wojny światowej internowany był przez Moskali na Sybirze, skąd powrócił dopiero po powstaniu Polski. Niebawem został sędzią apelacyjnym we Lwowie, gdzie prawie nagle umarł w r. 1928 na zapalenie płuc. Dziwnem zrządzeniem losu, trzej byli sędziowie kołomyjscy, a to Lityński, Mańkowski i Drohomirecki, jeden po drugim w niedługich odstępach czasu pomarli w latach 1926–1928 w jednym i tymsamym domu przy ul. Kochanowskiego nr. 8 we Lwowie (własność Pour-

towej Kasy Oszczędności). Dalszymi sędziami byli powolny lecz stateczny Marcinkiewicz, zagadkowy człowiek Gawlik, sympatyzujący z rusinami polak Pawłowicz, dalej dwaj moi koledzy z gimnazjum stanisławowskiego, a to polak Dobrucki i rusin Tracz. Jako innych sędziów pamiętam jeszcze Kopystjańskiego, Zięhę, Koziołka, Łepkiego, zresztą personel sędziowski ulegał ciągłym zmianom.

Słynnym w sądzie był najstarszy sekretarz Szczeciakowski. Schodził już na emeryturę, bo lata swoje wysłużył. Miał domek własny przy ul. Bańkowskiego, a niedomagając na stare lata na żołądek podejrzewał, że to jest zamach żydów na jego życie. Wyszukiwał w talmudzie cytaty, że należy chrześcijan tępić, wypisywał je starannie z jakiegoś tłomaczenia i cierpiąc na tym punkcie istne zboczenie umysłowe, pisywał coraz nowe doniesienia do prokuratora, że go żydzi trują. Mniejwięcej doniesienia te tak wyglądały: Donosiłem już nieraz, że mię żydzi chcą otruć, jako gorliwego katolika. Jego podstępnego zamachu dopuszczają się na mnie tak, że sypią truciznę do mleka i do pieczywa. Widząc ze wszech stron wzmożoną zbrodniczą akcję, zaprzestałem wogóle pić mleko, po bułki zaś wyprawiam się w inne części miasta, sądząc, że mię tam nikt nie zna. Ale żydowskie oko jest czujne, wszakże pisze talmud w księdze 68, wiersz 53 „miej otwarte źrenice na twojego wroga w dzień i w noc i ścigaj go, aż nędzne życie odda.” Wszędzie mię poznają i podsuwają pieczywo za-

trute, znaną tylko żydom truciżną. Wczoraj późnym wieczorem o zmroku, by nie być poznanym poszedłem do kramów miejskich, kram nr. 31., kupiłem dwie bułki i dwa rogalki, spożyłem je w domu, lecz wnet poczułem bole w żołądku, kolki w prawym boku, skrzypienie wątroby i kurcze w mięśniach szyi. To są niezawodne oznaki otrucia, to jest zbrodnia haniebna, podstępna, to jest zamach na ludzkie życie, proszę bezzwłocznie wkroczyć, zbadać rzecz całą i szajkę zbrodniarzy stawić przed sądem, aby im wymierzyć zasłużoną a odstraszającą karę. Takich pism tego maniaka był cały stos. Nikt na nie nie reagował. Co dziwna, Szczeciakowski wypełniał swoje obowiązki urzędowe gorliwie i bez błędu, cierpiał tylko na ostrą manję prześladowczą w kierunku owego wmówionego w siebie trucia.

W kancelarji prezydenta sądu był słynny sekretarz Trzecieski. Człowiek ten zapomniał o własnej osobie, zapomniał o świecie, o domu, o rodzinie, siedział w aktach od rana do ciemnej nocy i pracował do upadłego. Podziwiałem tę jego niezwykłą wytrzymałość, bo istotnie osiągnął rekord ponyśleć się tylko dającej wytrzymałości.

Muszę wreszcie jeszcze o jednej osobie urzędowej Sądu Kołomyjskiego wspomnieć. Zaraz na początkach mego urzędowania, gdym siedział przy rozprawach, zawezwał przewodniczący woźnego Marynicza, by wywołał początek rozprawy. Od drzwi sali rozpraw wysunął się

człowiek starszy, siwiejący, w dużych okularach, powolny w ruchach. Z oblicza jego uderzała inteligencja z odcieniem smutku. Przyjrzałem mu się kilka razy bacznie i przypomniałem z moich lat dziecinnych. Damian Marynicz był za młodych lat około r. 1879 członkiem straży skarbowej w Boryszkowcach nad Zbruczem, gdzie moi rodzice naówczas mieszkali. Jako dziecko chodziłem ponad Zbrucz, przyglądając się żołnierzom rosyjskim. Nieraz po austryjackiej stronie widziałem Marynicza, młodego, zawsze żwawego, wesołego, znało go na miejscu niemal każde dziecko, był bowiem popularny i lubiany. W kilka lat później został Marynicz w nocy napadnięty w Germakówce i tak pobity, że mała była nadzieja utrzymania go przy życiu. Twierdził, że go przemytnicy pobili za to, iż tępił kontrabandę, ale opinja w Germakówce głosiła, że przystojny a młody Marynicz zawarł bliższą znajomość z jakąś ładną germakowiecką mieszczką i miewał z nią schadzki po nocach. Ale zapomniał o ruskiej piosnce:

Oj ne chody Hryciu – na wyczernyci,
Bo na wyczernyci – sami czariwnyci!

Była i ta nadobna bogdanka może nie tyle czarownicą, ile zdradliwą i gorszą od czarownicy. Zdradziła przed mężem zalecanki Marynicza, mąż zasiadł się na miejscu schadzki, przybrał kilku zbójów do pomocy i gdy Marynicz z bijącem sercem wyczekiwał przybycia bogdanki,

wypadli rywale, pobili Marynicza do nieprzytomności i uszli. Nazajutrz ciężko rannego ludzie odnaleźli i zawieźli do szpitala. Sprawcy zostali rzekomo niewykryci. Po odbyciu kuracji szpitalnej, Marynicz wyszedł ze złamanem zdrowiem, ze zmniejszoną zdolnością do pracy, żyć nie miał z czego i ledwie wystarał się o posadę ~~woź~~ woźnego. Ożenił się, miał jedno dziecko. Przywołałem go na przerwie w sali rozpraw do siebie i kazałem nazajutrz przyjść do mnie do biura. Zdziwił się, skłonił cicho i odszedł – jak spostrzegłem – zaniepokojony. Nazajutrz wsunął się do mego biura skromnie, czekając, co go ma spotkać, sądził bowiem, że ktoś wniósł na niego doniesienie. Gdym mu przypomniał jego młode lata, jego pobyt w Boryszkowcach, jego wesołe młodzieńcze usposobienie, Maryniczowi stanęły łzy w oczach, myśl uleciała w przestworze młodych lat, z uczuciem jakiejś tęsknoty powtarzał co chwila: tak, tak, to jestem ja, tensam Marynicz, dawniej wesoły, rumiany, śpiewny, dziś złamany i zepchnięty na woźnego! Jakąż mi pan radość sprawił, że mię poznał, że się do mnie odezwał, że mi przypomniał lepsze, szczęśliwsze czasy! Odtąd Marynicz miał ~~we mnie~~ we mnie orędownika, kilka razy przychodził o różne porady, pomiędzy innemi starał się o policzenie do służby poprzednich lat spędzonych przy Straży skarbowej, ~~a~~ a przerwanych owym nieszczęśliwym wypadkiem w Germakówce. Napisałem mu do Ministerstwa podanie, na które Kamieńsky się poraszył. Ale wszystko było darmo.

Jakoś w r. 1910 lub 1911, gdy wróciłem do Kołomyi z letnie-go urlopu, ujrzałem na murach pożółkły, widniejący jesz-cze tu i ówdzie na murach ruski plakat pogrzebowy. Da-mian Marynicz zmarł.

*

W budynku sądowym pomieszczony był także urząd, w którym pełniłem służbę publiczną przez lat sześć. Była to Prokuratorja Państwa. Na czele jej stał podówczas prokura-tor Karol Kowalski, lat około 58 liczący. Pochodził z Brzeżan i tam kończył gimnazjum jako celujący i pierwszy uczeń w klasie. Następnie na Uniwersytecie lwowskim zapisał się na prawo, ale chodził także na wydział filozoficz-ny, bo podówczas to było dopuszczalne. Studjował więc pra-wo i matematykę, a z amatorstwa muzykę. Po ukończeniu przepisanych lat złożył rygorozum matematyczne, miał jeszcze złożyć filozoficzne, a stałby się doktorem filozofji. Ale tymczasem podczas wakacji spensjonował się dawny profesor, który wykładał filozofję, a wstąpił nowy pro-fesor Czerkawski, z inną konstrukcją naukową. Potrze-bały chyba było zapisać się na nowo na jego wykłady, gdy jednak tymczasem bardziej naglity egzaminy prawni-cze, by dojść do samodzielnego bytu, poszło rygorozum filozoficzne raz na zawsze w odwłokę. Kowalski był sędzią w Czortkowie (tam na cmentarzu jest wspólny na-grobek jego ojca i jego dziecka), poczem został zastępcą prokuratora w Kołomyi, podczas kiedy prokuratorem

był wtedy Marjan Rybczyński. Po śmierci Rybczyńskiego został Kowalski prokuratorem, ale do końca życia tego żałował. Żona mię do tego namówiła, mawiał, żałuję bardzo, żem się podawał, dziś moi uczniowie wyższe odemnie zajmują stanowiska, a ja ciągle jestem prokuratorem w Kołomyi. Kowalski był ogromnie niepokaźny. Małego wzrostu, szatyn grubo siwiejący, włosy w nieładzie, twarz okrągła golona, wąsy rudawe naprzód najeżone, strój zaniedbany i mało wytworny, kapelusz prastary – to była zewnętrzna postać mojego szefa. Jako prawnik karny, doskonały, człowiek mądry, bystry, zwięzły. Jego formy towarzyskie względem osób ~~względem osób~~ podwładnych mu w urzędzie były wcale niesalonowe i graniczyły z opryskliwością, stąd jego zastępcy często się zmieniali, nie mogąc z nim ~~[illegible]~~ dojść do harmonji. Za młodu był zabawny i towarzyski, pod starsze lata nieco za wiele używał kminkówki, która rujnowała mu wielce jego zdrowie. W roku 1910 dwa razy doznał zawodu awansowego, pierwszy raz odczuł to przykro, chodził posępny, małomówny, ale ostatecznie niepowodzenie przebolał. Drugi raz jeszcze ciężej go to dotknęło, męczyła go bezsenność, wstawał w nocy, chodził po pokoju, chętnie się wywnętrzał z doznanego niepowodzenia, wyszukiwał przyczyny i konstruował je dziwacznie. Przychodził do biura zmęczony i zniechęcony, użalał się, że podupadł na zdrowiu, stał się małomównym i widać było, że trawił w sobie żal i doznany zawód. Byłem wtedy najstarszym zastępcą i widząc prokuratora przygnieconego i złamanego, starałem się być mu jak naj-

bardziej pomocnym. Gdy raz w listopadzie 1910 przyszedłem do niego rano do biura, Kozalski siedział przy biurku i coś pisał, lecz zobaczywszy mię, odłożył pióro i rzekł: dobrze, że pan nadszedł, nie mogę więcej pracować, jestem chory i to coraz gorzej, nie mogę już referatu dokończyć. Poradziłem go, by poszedł do domu wypocząć kilka dni, Kozalski powstał z krzesła, ubrał futro, barankową czapkę silnie zacisnął na głowę i na uszy, a opierając się ciężko na ostro okutej lasce, odszedł do domu, aby już więcej nie wrócić do urzędowania. Rozwinęła się u niego najpierw choroba wątroby, potem popadł w zadumę a wreszcie w chorobę umysłową. W kilka tygodni później, gdy dłużej późno wieczorem w urzędzie pracował, posłyszałem w sąsiednim biurze głos kobiecy i męski naprzemian. ~~Wnet~~ Wszedł do mnie kolega Gruber i oznajmił, że właśnie prokurator przyszedł. Zdziwiło mię to bardzo, wyszedłem do niego i poprosiłem do biura. Wnet wyjaśniło się o co idzie. Otóż Kozalski przy zamąconej świadomości naparł się w domu, że musi iść do biura i podjąć z powrotem urzędowanie i wyrzucał rodzinie, że go niepotrzebnie w domu trzyma, że mu nie daje pracować itp. Począł się ubierać i zrzędzić, co widząc żona, nie mogła puścić samego człowieka chorego, poszła więc z nim razem aż do urzędu. Tu usiadł przy swojem biurku, wziął do ręki akt, który ja właśnie miałem w opracowaniu, zapytał mię, o co tu chodzi, a po mojem wyjaśnieniu złożył go we czworo i schował do kieszeni surduta. Mówił jak człowiek obłąkany, wreszcie wstał,

zrobił ręką szeroki giest i zakomenderował: „A teraz proszę panów na herbatkę". Ledwie wyprosiłem, że ów akt z kieszeni wyjął i mnie oddał. Wnet ze żoną odszedł do domu — na wieki. Prawie rok potem, gdy choroba czyniła coraz groźniejsze postępy, oddano do Zakładu obłąkanych w Kulparkowie, gdzie też umarł. Jego własny dom był na rogu ulic Kraszewskiego i Bańkowskiego (róg od strony Jezuitów).

Gdy przybyłem do Kołomyi (rok 1906) prokurator miał dwóch zastępców, potem utworzono nową trzecią posadę. Był wtedy zastępcą Adam Strawiński, pochodzący z Niżborga koło Kopyczyniec. Brunet, łysy, nieco pochyło się trzymający, pracowity do upadłego, ścisły rygorysta, bezwzględny. Był żonaty z Rozwadowską, miał jednego synka, którego kochał nad życie, jednak dziecko było bardzo wątłe, czem ojciec bardzo się martwił i wątpię, czy udało się utrzymać je przy życiu. Koleżeński i uczynny, szczery polak z odcieniem konserwatywnym. Niebawem odszedł na sędziego do Żółkwi, później był naczelnikiem sądu w Łatowiskach, potem w Delatynie, następnie wiceprezesem sądu okręgowego w Złoczowie, prezesem sądu okręgowego w Czortkowie (1924), w końcu prezesem sądu apelacyjnego w Krakowie (1928).

Drugim zastępcą byłem ja.

Był nadto przydzielony do prokuratorji młody sędzia Jan Kapuściński. Blondynek, niski człowiek, wybitnie zdolny, szybki, bystry pracownik, kochany kolega, zagorzały polak pracujący niezmiernie gorliwie w Towarzystwie Szkoły Ludowej, będącej podówczas dźwignią idei narodowej i kultury pol=

skiej wśród najszerszych warstw. Był żonaty, bezdzietny. Z Kołomyi odszedł na inne stanowisko, poczem był zastępcą prokuratora w Tarnopolu, gdzie jednak umarł około r. 1912.

Po odejściu Strawińskiego i Kapuścińskiego otrzymaliśmy równocześnie dwóch nowych zastępców prokuratora: Karola Bilińskiego i Władysława Sentka. Biliński pochodził ze Samborszczyzny, pracownik szybki ale nerwowy, nawet popędliwy, stąd urzędowanie jego obfitowało od czasu do czasu w pewne zgrzyty czyto ze sądem, czy z prokuratorem. Był żonatym i natenczas bezdzietnym. Po powstaniu Polski został naczelnikiem sądu we Wejherowie na Pomorzu a po przejściu na emeryturę prowadził tamże adwokaturę pospół z adwokatem Mamisalym, ormianinem z Kołomyi. Sentek pochodził ze zachodniej Galicji. Studja ukończył dzięki szlachetnej pomocy znanego filantropa ks. kanonika krakowskiego Spisa, który niezamożnych akademików w całości lub częściowo utrzymywał, aby im dać możność dokończenia studjów. Sentek zawsze to z wdzięcznością wspominał. Po ukończeniu Uniwersytetu Krakowskiego przeniósł się do Galicji wschodniej, był sędzią w Ottynii, ożenił się z ormianką Bohosiewiczówną i miał liczną dziatwę. Był pracownikiem cichym i spokojnym. Z Ottynii powołano go do Sekretarjatu Najwyższego Sądu w Wiedniu, a stamtąd z kwalifikacją celującą został zastępcą prokuratora w Kołomyi. Pracował i tu cicho a gorliwie, zresztą był domatorem,

oddanym całkowicie rodzinie. Biliński i Sentek żyli w przyjaźni, niemal codzień się odwiedzali, a gdy Sentek zachorował na zapalenie opłucnej, Biliński okazał się jego najtroskliwszym opiekunem. Z prokuratorem Kowalskim nie łączył ich jednak najlepszy stosunek. Wśród zmiennych kolei losu pracowaliśmy w prokuratorji w tym zespole około dwa lata.

Było wówczas zarządzenie, że corocznie w maju szef urzędu pisał na ułożonym w liczne rubryki blankiecie kwalifikacje podwładnym urzędnikom i odsyłał to do wyższej władzy. Naturalnie kwalifikacje takie były tajne. W jakiś dzień majowy r. 1909 poszedł Sentek do kancelarji Prokuratorji i zastał tam referaty prokuratora Kowalskiego o kwalifikacjach, zaglądnął w nie i zdumiał się. Powrócił do naszych biur i podniecony zawołał: czy wy wiecie, jaką my z Bilińskim mamy kwalifikację? Obaj „dobrą", (co oznaczało w praktyce nie wystarczającą do awansu). Spojrzeli obaj na siebie zdumieni, bo tak miernej oceny nie spodziewali się, zwłaszcza Sentek, po poprzedniej celującej. Sentek usiadł na krześle koło swego biurka, robota go się już nie brała, zamyślił się długo, bo to o czem się dowiedział było niemal klęską, wreszcie wstał i wyszedł z biura mówiąc, że musi szukać wyjścia z tej sytuacji. Udał się wprost do adwokata Haczewskiego i umówił się z nim o warunki wstąpienia do jego kancelarji w charakterze kandydata adwokackiego, gdyż tam wtedy taka posada była wolna. Biliński niemal równocześnie przeniósł się do prokuratorji w Samborze. Obaj więc odeszli, a w ich miejsce przyszli dwaj nowi zastępcy,

a to Postępski i Gruber, z którymi pracowałem razem

[Kt]o wygrał na przewrocie majowym?

[Z] za kulis Sądownictwa wojskowego i Intendentury.

Jak już donosiliśmy, jednem z pierwszych pociągnięć [no]wego ministra spraw wojskowych po przewrocie ma[jo]wym, było usunięcie dotychczasowego przewodniczą[ce]go Najwyższego Sądu Wojskowego gen. Pika i mia[no]wanie na jego miejsce żyda generała Krzemińskiego [z] domu Friedman. Powiadają, że gen. Krzemiński nale[ża]ł do najwyższej komórki spisku, przygotowującego [za]mach majowy. Z tem zaś, że spisek w wojsku istniał, [a] rokosz majowy nie był „odruchem wojska" oburzo[ne]go na skłamany „napad na Sulejówek" — oficerowie [s]piskowi dziś już wcale się nie kryją, op[o]wiadając o [t]em publicznie.

A spisek miał szczególne powody do odwdzięczenia [si]ę Izraelowi po udanym zamachu, w nikim bowiem nie [z]nalazł tak ochotnych wykonawców, jak w żydach. Ży[dz]i niemal uprzedzali intencje wodzów rokoszu. Oto np. [k]wiatki z sądownictwa wojskowego.

Gdy po wybuchu rokoszu szef dep. IV. i naczelny [p]rokurator gen. Gruber zjawił się w biurze, został na[ty]chmiast aresztowany przez swoich podwładnych płk. [Li]ebkind-Lubodzieckiego i płk. Menkes-Mecnarowskie[go], którzy kazali naczelnego prokuratora odwieźć do [wi]ęzienia na ulicę Dziką — do płk. Wiesenberg-Orskie[go]. Aresztowano też podówczas kpt. Heydukowskiego, [kt]órego do więzienia odwoził niejaki Majblum.

W rezultacie na miejsce gen. Grubera mianowano [na]czelnym prokuratorem gen. Dańca. Żydzi, którzy are[sz]towali swego przełożonego, pozostali na swych sta[no]wiskach...

Niemniej ochotnie poparli rokosz majowy żydzi z in[te]ndentury. Aprowizacją wojsk rokoszowych zajęli się: [pp]łk. Jerzy Zapolski z domu Landau, ppłk. Goldwasser, [mj]r. Hochstimm i por. Goldman.

Obecnie ppłk. Zapolski-Landau jest szefem war[s]zawskiej intendentury rejonowej. Pod jego rządami in[te]ndentura ma obecnie w niedzielę całodzienne urzędo[w]anie. Cóż Landaua mogą obchodzić święta katolickie! [Pe]wne zaś światło na gospodarkę pana szefa rzucić mo[że] fakt, że zakupuje on siano u dostawcy Bronsztajna [(o]czywiście żyda) w cenie 14.85 zł. za centnar, gdy ce[na] rynkowa wynosi 8 zł. Ale ppłk. Zapolski-Landau [k]orzysta z wysokiego poparcia gen. Krzemińskiego, [F]riedmana. Jest nietykalny.

Ppłk. Goldwasser, (ten nawet tyle sobie trudu nie [za]dał by się wychrzcić) — w uznaniu zasług majowych [zo]stał szefem biura badań Dep. VII, zaś mjr. Hochstimm [je]st kierownikiem biura badań w D. O. K. I.

Więc...

Kto wygrał na przewrocie majowym?

(„Poranna Gazeta Warszawska").

382 a

...gi (1911).
..., polak, lwowianin,
...kiego wzrostu, blon...
...płowy niewielki, zna...
...nie między mło...
... bibliotekarz a po...
...charzów prawa." Uczyn...
...roś szlachetny, bar...
...y, był Rochanyn Ko...
...rzyszedł do Kotomyi
...ojem odejściu z Koto...
...jednał w r. 1912 prze...
...wika sądu powiatowego
...ukraińskiej w r. 1918/19
...ińców i niegodziwe
..., nabawił się choroby
...ntodego życia tego
...e. Był chlubą naszego

...ka z Brodów, był po...
...tąd go do nas mimo
... postaci, wybitnych
... przejmował się swoje...
...y pomocy i współpra...
... Postępski i Gruber
...sił podołać ciężkim

oddanym całkowicie rodzinie. Biliński i Sentek żyli w przy-
jaźni, niemal c
wet na zapalenie,
liwszym opiekune
ich jednak najlep
pracowitością z p
Było wówczas zan
pisał na utworzony
podwładnym urzę
turalnie kwalifik
jony r. 1909 posz
zastał tam refera
cjach, zaglądnął
biur i podniecony
lińskim mamy K
w praktyce nie w
na siebie zdumie
się, zwłaszcza Sent
na krześle koło sweg
zamyślił się długo
klęskę, wreszcie w
szukać wyjścia z t
Haczewskiego i
do jego kancelarji w
gdyż tam wtedy ta
równocześnie przem
się odeszli, a w ich

382b

Jan Kasp

Zgon nastąpił w Zakopanem. — Śmi wrażenie. — Cała prasa warszawsk

Zakopane, 2. 8. (Tel. wł.) Wczoraj późnym wieczorem rozeszła się po Zakopanem żałobna w iż wielkie serce najwybitniejszego poety polskiego przestało, że Jan Kasprowicz zamknął swe powiek

Śród licznej rzeszy przebywającej na wywczas publiczności ze wszystkich ziem Polski, wyw wieść ta głębokie wrażenie, budząc żal powszechny



Sprzeczne inf

Warszawa, 2. 7. (AW.) Pogłoski, podane pr „Gazetę Warszawską Poranną“ o zamiarze ustąpie marszałka Piłsudskiego z stanowiska ministra sp

Program

Warszawa, 2. 7. Obecna sesja sejmowa zost zakończona w ciągu dni najbliższych.

Sejm zbierze się ponownie już w połowie w

Każdej chwi

może nastąpić — tak mówi n

a to Postępski i Gruber, z którymi pracowałem razem aż do końca mego pobytu w Kołomyi (1911).

Dr. Mieczysław Postępski, polak, lwowianin, syn urzędnika skarbowego, niewielkiego wzrostu, blondyn, włosy do góry uczesane, wąsik płowy niewielki, znany był w swoim czasie we Lwowie powszechnie między młodzieżą akademicką jako długoletni bibliotekarz a potem prezes towarzystwa „Biblioteka słuchaczów prawa." Uczynny, serdeczny, przyjacielski, nawskroś szlachetny, bardzo zdolny a przytem skromny i cichy, był kochanym kolegą i znakomitą siłą urzędową. Przyszedł do Kołomyi ze Śniatyna, gdzie był sędzią, po mojem odejściu z Kołomyi objął kierownictwo prokuratorji, jednak w r. 1912 przeniósł się na stanowisko radcy i naczelnika sądu powiatowego w Kossowie. ~~Bo~~ Podczas ruchawki ukraińskiej w r. 1918/19 uwięziony został niewinnie przez ukraińców i niegodziwie traktowany (zamknięto go w piwnicy), nabawił się choroby nerkowej, która przecięła pasmo młodego życia tego człowieka bez skazy. Zmarł w Kossowie. Był chlubą naszego sądownictwa.

Edward Gruber, syn urzędnika z Brodów, był poprzednio sędzią w Buczaczu i stamtąd go do nas mianowano. Wysokiego wzrostu, okazałej postaci, wybitnych zdolności, w pracy niezmordowany, przejmował się swojemi obowiązkami do głębi. Tylko przy pomocy i współpracy tak doskonałych pracowników jak Postępski i Gruber można było przy tak skąpej liczbie sił podołać ciężkim

obowiązkom, jakie spoczywały na prokuratorji kołomyj-skiej. Gruber potem przeniósł się do Lwowa a po wskrzeszeniu Polski w latach 1918/20 jako organizator sądów wojskowych oddał znakomite usługi, został więc w r. 1923 generałem i naczelnym prokuratorem polskiej siły zbrojnej. Po przewrocie majowym w r. 1926 przeszedł na emeryturę i wykonywał adwokaturę w Warszawie, ograniczając swoje agendy do spraw karnych.

Prócz tych urzędników prawniczych ~~pr~~ miała prokuratorja także urzędników zwykłych. Głównym z nich był starszy oficjał Gludovits, z pochodzenia Chorwat, spolszczony zupełnie, poważny, miły człowiek. Drugim był oficjał Przestalski, cichy, skromny pracownik (pochodził z Kałusza), dalej pracował u nas pomocnik kancelaryjny Pompajn (stryj owego „szlachcica węgierskiego" wspomnianego w rozdziale o Sołotwinie), starzec zgrzybiały, małego wzrostu, nie mający ani jednego zęba, zawsze punktualny i wytrwały w pracy, wreszcie młody pracownik Wróblewski, pracowity i sumienny, ale pismo miał bardzo niewyraźne, stąd przeważnie czynny był przy maszynie do pisania.

To była cała prokuratorja kołomyjska, w której pracowałem lat sześć, a do której jeszcze w ciągu tego opowiadania powrócę.

*

W ścisłej łączności ze sądownictwem pozostawał notarjat i adwokatura. Notarjuszów miała Kołomyja za moich czasów dwóch. Starszy z nich Kapko, młodszy Jeliszewski, obaj rusini, pierwszy był nieco szorstki w obejściu, stąd liczniejszą klientelę miał drugi.

Adwokatów był długi szereg, a ciągle się zmieniali, starzy ubywali, nowi przybywali, co roku były zmiany raz większe, drugi raz mniejsze. W adwokaturze pracowali trzej sędziowie emerytowani, a ponieważ wiekiem byli to najstarsi adwokaci, dlatego o nich najpierw wspomnę. Najbardziej wiekowym był Władysław Kawecki, lat około 80 liczący, miał dom własny z dużym ogrodem przy ul. Franciszka Józefa. Za młodszych lat był sędzią w Turce, Narolu i Jazłowcu, potem naczelnikiem sądu w Czortkowie, radcą w Stanisławowie, a gdy kreowano nowy Sąd obwodowy w Kołomyi (około r. 1876) został Kawecki tu przeniesiony i tu do swej śmierci pozostał. Bardzo miły staruszek, chodząca opowieść o dawnych czasach, szlachetna dusza. Był powszechnie znanym i szanowanym, dla każdego umiał znaleźć jakieś miłe słowo. Mieszkaliśmy przy jednej ulicy, często stykaliśmy się, zawsze mu mówiłem, że jest zupełnie pewnym kandydatem do setki lat życia. Ale los inaczej zrządził i to w sposób wcale nieoczekiwany. Było to w niedzielę dnia 1. maja 1910. W tym dniu ukochany syn Kaweckiego awanzował na kapitana. Idąc przedpołudniem tegoż dnia do biura, spotkałem

~~spotkałem~~ Kaweckiego na rogu ul. Jagiellońskiej i gratulowałem. Właśnie staruszek nadszedł z przeciwnej strony, bo powracał z Kościoła jezuickiego, był wielce uradowany, uśmiechnięty i szczęśliwy. „Nie mnie się należy gratulacja, nie mnie, ale synowi – mówił Kawecki – ale od życzliwych osób przyjmuję dobre słowo i serdecznie dziękuję". Po kilku następnych grzecznościowych zdaniach, pożegnaliśmy się i rozeszli. Tego dnia ja ze żoną pojechałem do Zabłotowa do jej rodziny. U Kaweckiego tymczasem zebrało się ~~zebrało się~~ grono jego przyjaciół i dzielili z nim radość z powodu zaszczytnego odznaczenia. Kawecki wszystkim bardzo był rad i gościł ich serdecznie. Znane w Kołomyi były wyroby jego znakomitych win z gron porzeczkowych. Często je znajomym darowywał i zadowolony był, gdy ktoś wyraził mu swoje uznanie. Toteż i tego dnia, chcąc swoich przyjaciół ugościć, poszedł do piwnicy po wina porzeczkowe. Zabawił tam dość sporo, a gdy zbyt długo nie powracał, ktoś z rodziny poszedł zbadać przyczynę. Niestety, znaleziono staruszka bez życia. Idąc, padł w ostatnim pokoju pomieszkania martwy a tylko w kieszeni surduta tkwiąca flaszka z porzeczniakiem świadczyła o tem, że to się stało w drodze powrotnej. Na głowie miał duży siniec od uderzenia o kant kufra. Niewiadomo, czy zmarł wskutek apopleksji czy wskutek potknięcia się i uderzenia głową o kufer.

Drugim emerytem, prowadzącym adwokaturę był spolszczony rusin Wołoszyński, starzec o białej jak

śnieg głowę, zmarł nagle podczas nabożeństwa w kościele jezuickim. Trzecim był nadradca Mieczysław Morawski, człowiek barczysty, rosły, silny, zdolności bardzo dobrych, miły w życiu towarzyskiem. Miał dom własny przy ul. Krasickiego. Dotąd, mimo późnego wieku pełni adwokaturę i z pewnością przeżyje wiek cały.

Z całego szeregu adwokatów pozostało mi kilku w pamięci. Stanisław Haczewski miał najznaczniejszą kancelarję w Kołomyi, żył na szerokiej stopie, trzymał konie, miał dom własny przy ul. Kościuszki, był długoletnim prezesem Sokoła i radnym miasta. Obrotny, mowny, dowcipny, miał przyjaciół ale miał i antagonistów. Adwokat Kraśniatr mieszkał naprzeciw Haczewskiego, również we własnym domu. Zdolny prawnik, silnie bronił swojej strony procesowej, mówił przekonywująco, nieco jakby w płaczliwym tonie. Obaj sąsiedzi pomarli około r. 1924 niemal równocześnie. Renert Wiktor przybył z Jarosławia i po dwu latach przeniósł się z Kołomyi do Śniatyna. Marjan Jurkiewicz, młody adwokat wybijał się naprzód wśród rzeszy innych. Adwokat Dębicki, starzec o wyglądzie lorda angielskiego, sama jego powaga popierała sprawę, której bronił. Był to rusin, zrobił duży majątek na prowadzeniu spraw polskich i ormiańskich szlachciców, kupił sobie wieś Bełełuję. Oryginalny człowiek, choć po rusku niemal nie umiał, był zapalonym ukraińcem i łożył duże sumy na cele narodowe ukraińskie. Umarł podczas wojny światowej (około 1917 r.)

O adwokatach Dudykiewiczu i Trylowskim już napisałem poprzednio. Dudykiewicz jako adwokat kazał sobie płacić sute wynagrodzenie, Trylowski materjalnie stał źle. Adwokat Juryczenko, starowanin, najpierw szedł wspólnie z Dudykiewiczem w sprawach narodowych i organizacyjnych, następnie jednak wskutek absolutnego charakteru Dudykiewicza, odsunął się od niego i prawie że nie brał udziału w życiu politycznem. Dudykiewicz w pierwszych początkach wojny światowej święcił prawdziwy tryumf (choć lepszej spodziewał się nagrody za swoją przychylność dla Rosji). Dołączony wycinek z „Dziennika Kijowskiego" z 16. września 1914 (n. st. 29. września) zawiera treść mowy Dudykiewicza na cześć Rosji i cara.

Nadto byli liczni żydzi adwokatami. Trachtenberg, były burmistrz miasta Kołomyi i były poseł, który na tych zaszczytach cały swój majątek stracił. Zipser przeważnie obrońca karny, muzyk i zawołany ogrodnik. Cały wolniejszy czas od zajęć adwokackich spędzał w ogrodzie, pielęgnując kwiaty i drzewa owocowe, a miał własny dom i ogród owocowy przy ul. Franciszka Józefa. Milgrom, starszy człowiek, miał klientelę drobnych żydów i w zarządzie gminy żydowskiej miał głos wielki. Adwokaci Hutles, Landau, Allerhand, Rittigstein, Waller, Schalbaum, Schorr (kilkakrotny kandydat na posła z partji socjalistycznej), byli pracownikami uczciwymi, sumiennymi, dbającymi o wyżynę swojego zawodu. Osobno wspomnę o adwokacie Marmaroszu, znanej na terenie kołomyjskim

pierwszy metropolita Halicki i pierwszy me-

Ze Lwowa. I

Rok 1914.

Najwyższa Depesza do Generał-Gubernatora Galicyi z Carskiego Sioła.

Proszę zakomunikować deputacyom ruskich organizacyi galicyjskich, które będąc u Pana, złożyli wyrazy miłości i oddania, Moje serdeczne podziękowanie i Moje pozdrowienie wiele cierpiącemu ruskiemu narodowi. Wraz ze mną cała Rosya cieszy się z odbywającego się połączenia drogiej każdemu Rosyaninowi dawnej Rusi Czerwonej. Panu osobiście życzę zupełnego powodzenia.

MIKOŁAJ.

Powyższa depesza została otrzymana w odpowiedzi na Najpoddańszą depeszę, wysłaną przez Generał Gubernatora Galicyi dn. 9 września treści następującej:

Carskie Sioło.

Jestem szczęśliwy donieść Waszej Cesarskiej Mości, że dziś była u mnie deputacya 19 kulturalnych oświatowych i ekonomicznych ruskich organizacyi Galicyi i prosiła mnie w imieniu galicyjskiego ruskiego narodu złożyć u Cesarskich stóp uczucia wierności, oddania, synowskiej miłości i wdzięczności dla ich rodzimego Białego Ruskiego Cara, który Czerwoną Ruś wyzwolił z pod kilkowiekowej niewoli i zjednoczył ją z Matką Rosyą.

Hr. Bobryńskij.

We wtorek dn. (9) 22 września przedstawiła się JE. Generał Gubernatorowi Galicyi hr. Bobryńskiemu deputacya 19 kulturalnych, oświatowych i ekonomicznyzh ruskich organizacyi Galicyi. W jej imieniu przemówił dr. Włodzimierz Dudykiewicz w te słowa:

Jaśnie Wielmożny i Wielce Czcigodny Hrabio, Jerzy Aleksandrowiczu!

„Nieubłagany jest bieg historyi. Dokonywa się wielkie dzieło zbierania ruskiej ziemi, na które błogosławił Wielkiego Księcia Iwana Kalitę, orędownik ziemi ruskiej i wyraziciel bólu Rusi Czerwonej, Św. Piotr,

II

„Wreszcie prosimy Cię, Jaśnie Wielmożny Panie, przedłożyć do stóp Jego Im-

żandarmi i austryackie sądy aresztowały i poddawały nieludzkim znęcaniom się, rzucały i tysiącami wywoziły do austryackich więzień ruskich ich ojców i matki, braci i siostry, którzy nic nie zawinili, a prześladowano ich tylko za to, że są ruskimi, że za ruskich się uznawali, czuli i otwarcie podawali. Chcemy mieć nadzieję, że jest to ostatnia ofiara męczeńskiej naszej ojczyzny Czerwonej Rusi, że to ofiara wybawienia i że życie naszych rodzin, jęczących w austryackich więzieniach ruskich niewinnych więźniów będzie zachowane.

„I prosimy Cię, Jaśnie Wielmożny Panie, w imieniu narodu starego ruskiego Halicza przedłożyć do stóp Jego Imperatorskiej Mości, Cesarza całej zjednoczonej przez Niego Rusi, nasze i naszego narodu uczucia niewypowiedzianej radości i bezmiernej wdzięczności za oswobodzenie naszej ojczyzny i złączenie jej z wolną Rusią państwową, nasze, naszej oswobodzonej ojczyzny i naszego wolnego ruskiego narodu wiernopoddańcze uczucia, uczucia płomiennej miłości do swego przyrodzonego Ruskiego Białego Cara, Cesarza Zjednoczyciela, i bezgranicznej wierności Jego Panującemu Cesarskiemu Rodowi, i zapewnienie o naszej gotowości honorem i sumieniem, wiarą i prawdą nie tylko dalej służyć naszej ściślejszej ojczyźnie, lecz i całej naszej ruskiej ojczyźnie i o szczerem i namiętnem pragnieniu Czerwonej Rusi wzięcia swobodnego udziału w kulturalnej pracy całego zjednoczenia ruskiego świata.

„Ciebie zaś, Wielce Czcigodny Panie, Hrabio Jerzy Aleksandrowiczu, którego imię rodowe jest znane, blizkie i drogie całej Czerwonej Rusi, witamy całem sercem i gratulujemy Ci wysokiego mianowania na trudny i odpowiedzialny, lecz i wdzięczny posterunek organizatora oswobodzonej i zjednoczonej ruskiej ziemi i z głębi duszy życzymy Ci zupełnego powodzenia w urzeczywistnieniu włożonego na Ciebie świętego zadania rychłego, zupełnego i nie bolesnego połączenia Czerwonej Rusi i stykających się z nią ruskich ziem z państwową Rusią. Niech Najwyższy obdarzy Cię rozumem i wielką siłą, abyś się stał współpracownikiem Cesarza-Zjednoczyciela!

Mukdenem, naturalnie na daleko większą skalę niż pierwowzór prowadzonej. Jak podówczas generał Nogi na lewem skrzydle japońskiem oskrzydlał na czele III armii, armię generała Kaulbarsa między Chun-che i Lao-che, tak obecnie feldmarszałek French usiłuje otoczyć żelaznym pierścieniem drugą armię niemiecką, pod komendą generała Klucka czy też jego następcy (bo jak donoszą nadchodzące z Londynu informacyi, ma być generał Kluck z zajmowanego stanowiska usunięty). Sytuacya w centrum wojsk walczących również przypomina swą względną nieruchomością sytuacyę na polach Mandżuryi w roku 1905, wreszcie sam zewnętrzny obraz obecnej bitwy ogromnie przypomina Mukden. Wówczas walka trwała 19 dni (od 6-go do 25-go lutego) w tej liczbie 14 dni na całym froncie, obecnie trwa ona dwunasty dzień (zaczęła się bitwa na prawym brzegu Aisne — 4-go września st. st.) i koniec jej jeszcze nie jest tak blizki prawdopodobnie, jak się tego z poszczególnych szczęśliwych dla sprzymierzeńców momentów spodziewać można było.

Z nadchodzących z pola walki na zachodnim froncie informacyi wnioskować można, że niemcy dokładają wszelkich starań, by ostatecznemu rozbiciu swego prawego skrzydła zapobiedz. Wzmożony ruch wojsk w rejonie Mons—Valenciennes—Cambrai—St. Quentin, a także informacya o przeniesieniu sztabu szóstej armii niemieckiej do St. Quentin uzasadniają przypuszczenie, że niemcy, kosztem osłabienia swych szeregów na alzacko-lotaryńskim froncie, większość wojsk swych z frontu tego do północo-wschodniej Francyi przerzucili. W takim razie rejon pomiędzy Orse'ą a Sonimą będzie widownią jeszcze bardziej zażartych walk niż te, które się na nim w ciągu ostatnich dni toczyły.

W innych częściach frontu zmian zasadniczych nie dostrzegamy. Symptomatyczną i potwierdzającą informacyę o przerzuceniu szóstej armii niemieckiej do północno-wschodniej Francyi jest wiadomość o zmniejszeniu liczby wojsk niemieckich w Lotaryngii i Wogezach. W istocie przed rozstrzygnięciem walnej bitwy na prawym brzegu

stu iście niemieckim ciężkim bluffem. Oto co pisze podporucznik francuski.

„Niemcy zasypują nas ogromnymi pociskami ważącymi 40 kilogramów z olbrzymich dział. Wczoraj np. pomiędzy 2 a 4-ą wystrzelili 180 pocisków, co razem z wystrzelonymi z rana 50 pociskami stanowi 230. I te 230 pocisków zabiły ogółem 4 żołnierzy i 28 koni z bateryi naszej, która się jeszcze okopać nie zdążyła. Rannych zaś mieliśmy zaledwie 12 szeregowców piechoty.

Bardzo ciekawe są zresztą te pociski niemieckie. Strach bierze gdy się słyszy ich polot i widzi jak padają, zresztą wybuchają przy zetknięciu się z ziemią w której robią dziurę głęboką lecz w niewielkim bardzo obwodzie. Po za stożkiem działania są one najzupełniej nie szkodliwe. Sam widziałem zresztą jak pocisk, który spadł o 1 metr zaledwie od szeregowca przewrócił go pędem powietrza lecz nie zabił.

Mają prócz tego działa niemieckie jeszcze jedną bardzo dobrą dla nas stronę. Oto pociski lecą tak wolno, że od usłyszenia detonacyi do upadnięcia pocisku upływa tyle czasu, iż możnaby było pobiedz do Paryża na mały aperitif i jeszcze w porę powrócić na pozycyę. Cóż dopiero mówić, o wybraniu bezpiecznego miejsca i spokojnem ukryciu się. Wierz mi, iż to co opowiadają o niszczącem działaniu artyleryi niemieckiej jest, wogóle rzecz biorąc wierutną bajką.

— **Richepin o wojnie.** W „Petit Journal" znajdujemy artykuł sławnego poety Jana Richepin o wojnie:

„Jesteśmy potomkami zwycięzców pod Jeną, którzy wówczas umieli prześladować zwyciężoną bestyę, umieli zmienić jej odwrót w ucieczkę, a ucieczkę w pogrom. Pragniemy dziś uczynić to, co oni. Pragniemy wespół z naszymi dzielnymi małymi p i o u p i o u s, którzy w ciągu sześciu tygodni awansowali na starych wojaków, wespół z rezerwistami i pospolitem ruszeniem, wespół ze sprzymierzeńcami naszymi: wzniosłymi belgami, chłodnymi, wytrwałymi i dumnymi anglikami, wespół z rosyanami, nieprzeparcie zdążającymi na Berlin i Wiedeń, wespół ze szlachetnym królem Albertem i ze wspaniałomyślnym Cesarzem Rosyjskim, wespół z o-

pierwszy metropolita Halicki i pierwszy metropolita moskiewski i wszech Rusi.

„Dzieło Św. Piotra, metropolity Halickiego i Moskiewskiego oraz Moskiewskiego Hosudara, Iwana Kality, dzieło zbierania ruskiej ziemi, prowadzili dalej Rurykowicze i Romanowowie. Zjednoczona została Wielka i Mała Ruś przez Cara Aleksieja Michajłowicza, wróciła ruskiemu tronowi część oderwanych ruskich ziem Imperatorowa Katarzyna II. Imperator Aleksander Aleksandrowicz, Twórca Pokoju, radośnie witany w pogranicznej Poczajowskiej Świątyni przez halickich i bukowińskich włościan, przyjął ich łaskawie i dodał nadziei słowami, że zna ich i kocha, że pamięta i nie zapomni o nich.

„Lecz ojczyzna Św. Piotra pozostawała poza państwową Rusią, Św. Piotr urodził się w Haliczczyźnie w Russko-rawskim powiecie nad rzeką Ratą, Ojczyzną Św. Piotra—ojczyzna nasza, kolebka ruskiego narodu!

„I oto i nad nią zajaśniało słońce swobody. Toczy się ono ze wschodu na zachód, opromieniając swym blaskiem co raz większe i większe przestrzenie ziem podkarapackich.

„Po ciągłych, długich, krwawych walkach mężna armia austryacka ustępuje przed nieodpartym naciskiem zwycięskiego wojska rosyjskiego, które na życzenie swego Cesarza niepowstrzymanie dążąc naprzód, morzem swej szlachetnej krwi zmywa piętno niewoli z kolebki ruskiego narodu. I dopiero dziś panującemu Cesarzowi, Mikołajowi Aleksandrowiczowi, pozwolił Bóg zakończyć wielkie dzieło jego przodków, święte dzieło zbierania ruskiej ziemi. Jednocząc z Rusią państwową ojcowiznę św. Włodzimierza Wielkiego, Czerwieńskie grody, Ruś Jarosława, Osmomysła, Romana, Daniła i Lwa, On ostatecznie łączy i jednoczy ruską ziemię.

„I zjawiłeś się, Jaśnie Wielmożny Panie, w naszej ojczyźnie, a w tem stołecznem, suwerennem ruskiem mieście Lwowie, jako przedstawiciel Jego Majestatu, jako poseł Ruskiego Białego Cara w Czerwonej Rusi. My, jej synowie, jej słudzy i pracownicy, obdarzeni zaufaniem naszego narodu, wolną jej wolą postawieni na czele jej narodowych, kulturalno-oświatowych i ekonomicznych instytucyi i dlatego prawowici przedstawiciele

„Wreszcie prosimy Cię, Jaśnie Wielmożny Panie, przedłożyć do stóp Jego Imperatorskiej Mości naszą najpokorniejszą prośbę, aby Jego Cesarska Mość najmiłościwiej pozwolić raczył Czerwonej Rusi wysłać do swego, przez Boga jej danego, Ruskiego Cesarza swych przedstawicieli w celu złożenia Mu uczuć oswobodzonej przez Niego odwiecznie ruskiej ziemi, od dziś i na wieki nieodłącznej części jednej i nierozdzielnej Świętej Rusi". 388c

J Eksc. p. Generał-Gubernator odpowiedział w następujące słowa:

„Panowie! Ja naturalnie pośpieszę najpoddaniej donieść Jego Cesarskiej Mości o wyrażonych przez was wiernopoddańczych uczuciach halicko-ruskiego narodu do jego rodzimego Ruskiego Cara.

„Od siebie powiem wam niewiele — przecież my jesteśmy wszyscy dzieci jednej Matki Rusi i rozumiemy się wzajemnie bez słów. I wy i ja wiemy i czujemy, że dokonało się wielkie historyczne dzieło — dzieło zbierania w jedno ruskiej ziemi, jak to proklamował już 5 sierpnia Zwierzchni Wódz Naczelny—niema już ujarzmionej Rusi.

„Nasze wojsko uwalnia Czerwoną Ruś od jej odwiecznych ciemięzców, a nam przy waszym współdziałaniu dziś należy dołożyć wszystkich starań do duchowego i materyalnego zjednoczenia Halickiej Rusi z pozostałą Rosyą. W dniach prześladowań i ciężkich prób pozostaliście wierni ruskiej idei, zachowaliście ruskie poczucie, ruską wiarę, dziś zaś w dniach narodowej ruskiej swobody będziecie pracować nad odtworzeniem Czerwonej Rusi w jej dawnej krasie i sławie.

„Lecz proszę was pamiętać tylko o jednem, że wielkie to dzieło powinno być prowadzone nietylko z zamiłowaniem i energią, lecz stopniowo z cierpliwością, rozumem i państwowym zmysłem; żadnego łamania dokonywać nie należy, strzedz się zupełnie naturalnego uczucia zemsty, i co najważniejsze, nie dopuszczać nawet myśli o religijgijnym sporze.

„Jestem pewien, że będziemy z wami szli ręka w rękę i że szczęśliwa od dziś Ruś Halicka zawsze będzie cieszyć naszego wspólnego Ojca, który teraz stał się rzeczywiście Carem Wszech Rosyi".

iż męztwo swoie dawne uwieńczyło przyzwoitem postępowaniem w pokoiu; wszystkie narody, przez których kraie przechodziło, tę sprawiedliwość iemu oddaią. Szczycę się tem woyskiem, chcę go mieć mocnem i wielkiem tak iak Polskę szczęśliwą.—Brat móy wkrótce przybędzie i nie zapomni o tych, którzy tak dobrze się zasłużyli.

Kommendanci brygad i pułków zechcą przygotować wszystko, czego będzie potrzeba do świetnego wystąpienia. Tych dni kilku użyią do musztry, ażeby Wielki Xiążę ze wszech względów mógł bydź kontent z woyska.

(podpisano) *Krasiński.*

TEODOR SOŁŁOHUB.

STANCE DLA POLSKI.

W „Birżewych Wiedomostiach“ z dnia 17 b. m. zamieszczono piękny, gorący wiersz: „Stance dla Polski“, pióra znakomitego rosyjskiego poety Teodora Sołłohuba. Wiersz ten w przekładzie polskim podajemy poniżej za „Tygodnikiem Ilustrowanym“.

O, nie! Tyś nigdy nie umarła!
I w pętach siejąc życia kwiat,
Tyś znamię grobu z siebie zdarła,
Królowa śród więziennych krat!

Napróżno kładli cię w mogile,
Patrzyłaś dumnie w czarną dal,
Przeciwstawiając groźnej sile
Nadzieje, pieśni, czynów stal!

Poetów twoich, dobra macierz,
Umiałaś zawsze wiernie czcić,
Ich pieśń proroczą, gdyby pacierz,
Każąc kościołom serc swych bić!

Dla ciebie synów twoich blizny,
Dla ciebie ich natchnienia cud,
Każdy ich trud był dla Ojczyzny
Nad Wisłą, czy u Newy wód.

I ninie w dobie wielkiej bitwy,
Ja nie przeklinam krwawych dni,
Z twojemi złączyć swe modlitwy...

...kała się jedynie próbą ofenzywy i dalszej akcyi na innych frontach za sobą nie pociągnęła. Forsowanie Niemna w tak wązkiej części — jak na linii Druskieniki Sopoćkinie zaledwie około 35 kilometrów wynoszącej, za zasadniczą operacyę strategiczną przy konfiguracyi na tak olbrzymią skalę jak obecna nad brzegami Niemna, Biebrzy i Narwu — żadną miarą uważana być nie może. W istocie nowy, późno w nocy otrzymany komunikat Agencyi Petrogradzkiej donosi, że nie tylko wojska, które na linii Sopoćkinie Druskieniki operowały, ale i cały front niemiecki w gubernii suwalskiej, a więc na linii Szaki—Wyłkowyszki—Suwałki — cofa się wstecz. Nie wiemy, czy ten ruch wojsk cesarza Wilhelma zwiastuje zmianę zasadniczą w planie kampanii w tej części teatru wojny, czy niemcy, dając za wygranę zamiarom zaczepnym, zamierzają przytrzymywać się tu nadal wyłącznie defenzywy, czy też jest to manewr taktyczny, mający na celu przygotowanie się do akcyi generalnej. Ale względy ogólnikowe: geograficzna niedogodność forsowania obronnej linii Niemna, z pozostawieniem niezdobytemi linii na Biebrze i Narwi — czynią to pierwsze przypuszczenie prawdopodobniejszem. Jak sądzimy niemiecka linia na wschodnio-pruskim froncie nosi na sobie raczej cechy osłony przed nowym pochodem rosyan w głąb prowincyi wschodnich. Z nadchodzących do nas bardzo skąpych i lakonicznych informacyi o ruchach wojen niemieckich na pograniczu niemieckiem, można wnioskować, że znaczne ożywienie panuje głównie na linii wytworzonej przez łuk Wisły; pomiędzy Krakowem na południu a Toruniem na północy. Trwająca dotychczas okupacya Kalisza i Częstochowy da się wytłumaczyć ściśle strategicznym zamiarem wyrównania frontu: Kalisz—Wieluń—Częstochowa—Kraków, tembardziej, iż w rejonach bezpośrednio za tą linią położonych a więc pomiędzy Inowrocławiem, Ostrowem i Opolem, dały się zauważyć ruchy wojsk niemieckich. Przytem, ten fakt, iż austryacy bez próbowania dalszej walki Galicyę Zachodnią, a wraz z nią i tak dogodny dla bitwy place d'armes pomiędzy Wisłoką a Sanem rosyanom oddają, cofając się ku Krakowowi — potwierdza przypuszczenie, że sztab austryacki rezygnuje z samo-

gnięciem walnej bitwy na prawym brzegu...

oryginalnej osobistości. Był on wyznania mojżeszowego, mógł liczyć lat około 36. Bezżenny, cała twarz golona, podłużna, siwiejący brunet, ruchliwy jak żywe srebro rozlane, gdzie się pojawił, uśmiechały się do niego ~~[illegible]~~ oblicza. Marmarosz był hermafrodytą, mówił cieniutko, jak kobieta i usposobienie miał kobiece, co odbijało się przedewszystkiem na jego stroju. Znany był powszechnie pod nazwą „Kozio". Nieraz na przerwie w sa-

chcemy. Wobec powagi chwili, która nadchodzi, jest rzeczą niesłychanej wagi, ażebyśmy się umieli powstrzymać od indywidualnych, nieskoordynowanych, poczuciem odpowiedzialności zbiorowej nie przejętych enuncyacyi i decyzyi, które w odpowiedniej chwili mogą być jako argumenty użyte i zastosowane.

388e

Z tej racyi mapę Polski etnograficznej Cz. Jankowskiego, bez względu na to, czy odpowiada ona lub nie czynnikom decydującym, uznać musimy za utwór conajmniej przedwczesny.

J. B.

halicko-ruskiego narodu stajemy przed Tobą, Jaśnie Wielmożny Panie, aby oświadczyć Ci, że Czerwona Ruś zawsze nazywała się częścią ruskiej ziemi, zamieszkująca ją rdzenna ludność czuła się zawsze ruskim narodem, że Czerwona Ruś, znalazłszy się pod panowaniem Habsburgów, najsumienniej spełniając swoje tradycyjne obowiązki w stosunku do austryackiej monarchii i jej dynastyi, nigdy nie przestawała bronić swego ruskiego oblicza, walczyć o kulturalną i narodową jedność ruskiego narodu i cierpieć za niego. W szeregach austryackiej armii wiele setek tysięcy ruskich mieszkańców kraju spełnia swój obowiązek, przelewając swą krew. Lecz w tym czasie, kiedy ruscy synowie bez oporu udawali się do szeregów austryackiej armii, austryacka administracya, austryaccy

iż męztwo swoie dawne uwieńczyło przyzwoitem postępowaniem w pokoiu; wszystkie narody, przez których kraie przechodziło, tę sprawiedliwość iemu oddaią. Szczycę się tem woyskiem, chcę go mieć mocnem i wielkiem tak iak Polskę szczęśliwą.—Brat móy wkrótce przybędzie i nie zapomni o tych, którzy tak dobrze się zasłużyli. 388d

Kommendanci brygad i pułków zechcą przygotować wszystko, czego będzie potrzeba do świetnego wystąpienia. Tych dni kilku użyią do musztry, ażeby Wielki Xiążę ze wszech względów mógł bydź kontent z woyska.

(podpisano) *Krasiński.*

...zała się jedynie próbą ofenzywy i dalszej akcyi na innych frontach za sobą nie pociągnęła. Forsowanie Niemna w tak wązkiej części — jak na linii Druskieniki Sopoćkinie zaledwie około 35 kilometrów wynoszącej — za zasadniczą operacyę strategiczną przy konfiguracyi na tak olbrzymią skalę jak obecna nad brzegami Niemna, Biebrzy i Narwu — żadną miarą uważana być nie może. W istocie nowy, późno w nocy otrzymany komunikat Agencyi Petrogradzkiej donosi, że nie tylko wojska, które na linii Sopoćkinie Druskieniki operowały, ale i cały front niemiecki w gubernii suwalskiej, a więc na linii Szaki—Wyłkowyszki—Suwałki — cofa się wstecz. Nie wiemy, czy ten ruch wojsk...

...dzielnej roli i zamierza ze swem wojskiem utworzyć prawe skrzydło zastępów cesarza Wilhelma. Wszystko to jeszcze baczniejsza każe nam zwrócić uwagę na przebieg wypadków na pograniczu Królestwa z Poznańskiem i Szląskiem. Sytuacya na rosyjsko-niemieckim teatrze wojny wyjaśni się zapewne w ciągu dni kilka. Będziemy wówczas dokładnie wiedzieli skąd głównego napadu niemców na Królestwo spodziewać się mamy. 388f

Wojna francusko-angielsko-niemiecka.

Sytuacya na francuskim teatrze wojny wciąż pozostaje nierozstrzygnięta. Akcya, prowadzona na ogromnym froncie, nabiera cech przeciągłej, uporczywej walki, pod wieloma względami przypominając bitwę pod...

...zu, musiały być robione na maszynie, n... może być przeto kładzione na karb zezw... rzęcenia poszczególnych bardziej krwioż... czych jednostek. Bagnety tego rodzaju zn... leźli francuzi na pobojowisku pod wsią V... vreddes w pobliżu Meaux, przy zabitych s... regowcach 47 pułku piechoty niemieckiej.

— **Niemieckie działa ciężkie.** W „D... peche de Toulouse" znajdujemy list podp... rucznika 49 pułku artyleryi francuskiej, pis... ny z placu boju do jednego z mieszkańc... Tuluzy. W liście tym znajdujemy bardzo c... kawe szczegóły o niemieckiej artyleryi cię... kiej, o której krąży tyle fantastycznych op... wiadań. Jak się okazuje opinia o strasz... wem działaniu tych potworów wyrobu Krupp... bynajmniej nie jest uzasadnioną i cała cię... ka artylerya niemiecka jest zdaje się ...

oryginalnej osobistości. Był on wyznania mojżeszowego, mógł liczyć lat około 36. Bezżenny, cała twarz golona, podłużna, siwiejący brunet, ruchliwy jak żywe srebro rozlane, gdzie się pojawił, uśmiechały się do niego ~~twarze~~ oblicza. Marmerosz był hermafrodytą, mówił cieniutko, jak kobieta i usposobienie miał kobiece, co odbijało się przedewszystkiem na jego stroju. Znany był powszechnie pod nazwą „Kozio". Nieraz na przerwie w sali sądowej, gdy sędziowie udali się na naradę a na sali został prokurator i obrońca, Kozio przystępował do mnie a gadając niepohamowanie, mniejwięcej tak mię zagadywał: Co pan może powiedzieć o tej mojej szpilce w krawatce, bo zauważyłem, że pan na nią bacznie spoglądał. (Tu wskazał na podłużną klamerkę na krawatce, najeżoną brylantami). Pan myśli, że to szpilka, panie, pan się myli — mówił dalej głośno — pan się myli, oniech się pan bliżej przypatrzy, widzi pan, to jest niby szpilka, ale przerobiona z broszki, niech pan lepiej popatrzy, pod spodem jest łańcuszek do zapinania, aby jej nie zagubić. Ho-ho, co to kosztuje, co kosztuje! Jak przed pięciu latami przyjechałem do Wiednia — prawił Kozio szybko — moja ciocia Gutherzowa bardzo się mną ucieszyła (co to za bogata osoba!) darowała mi tę broszkę i dała przy Sefansplatzu u znakomitego, zaufanego złotnika to przerobić na szpilkę do krawata. Albo ten brylant w tym pierścieniu (tu błyknął wspaniałym brylantem, osadzonym na grubym

złotym pierścieniu), proszę dobrze patrzeć, o – widzi pan – nasada jest platynowa, tak zawsze bywa przy kosztownych brylantach, a z drugiej strony, o – niech pan patrzy, widzi pan, ażur, a jaki delikatny, taki pierścień może nosić najbogatszy człowiek w świecie! Ile mnie już za niego dawano! ale go nie sprzedam, to pamiątka po moim stryjecznym stryju, kupcu kawonów z Mołdawji, – a pan jadł już kiedy kawona? Radzę panu tylko duże, podłużne kupować! Na pragnienie .. niezrównane. Byłby jeszcze długo mówił Kozio, nieskończenie szybko a gadatliwie przeskakując z tematu na temat – lecz właśnie wyszedł Trybunał ze sali obrad i ogłosił wyrok, skazujący klienta Kozia na rok kryminału. Kozio zanotował skrzętnie karę w swoich papierach, klijent ręce rozłożył do swego obrońcy, jakby chciał powiedzieć: aleś mnie wybronił! Kozio coś mu począł cicho tłumaczyć, że robił co mógł, że przemawiał za nim pół godziny, że kara ustawowa jest do lat pięciu, więc i tak go od czterech lat kryminału uratował – a zresztą trzeba pisać zażalenie do Wiednia, poczem znikli obaj wśród gromady ludzi, tłoczących się do sali na następną rozprawę. Całe zachowanie się Kozia było dziecinne, studenckie a zawsze komiczne.

Obrońcami karnymi byli także dwaj emerytowani naczelnicy sądów z gór, a to Braun z Nadwórny, starszy człowiek, pobożny i szczęśliwy w życiu domowem, nadto Ozanderna z Delatyna, zdolny, lecz niestety, wychopny do śniadaniek, co wcześnie podcięło jego życie.

Lekarzy miała Kołomyja za moich czasów kilkunastu. W sądzie znawcami stale byli czterej: Jaworski, Maresz, Lewicki i Milewski. W wolnej praktyce pracowali w mieście Kozakiewicz, Hulles, okulista Łunierski, dentysta Offe, a może i inni, których po upływie lat długich nie zapamiętałem. Weterynarzem miejskim był Mogilnicki.

*

Oszczędności swoje składali Kołomyjanie w doskonale rozwijającej się miejskiej Kasie oszczędności, pomieszczonej we własnym wspaniałym gmachu przy ulicy Kościuszki. Na jej czele stał dyrektor Balicki, dawny urzędnik rachunkowy Dyrekcji skarbowej. Później wybił się na czoło osobistości wpływowych w mieście. Balicki był człowiekiem sprytnym, zdolnym, bystrym. Trójka przyjacielska: Balicki, Kleski, Haczewski decydowała w Kołomyi o losach miasta. Obok nich blisko w życiu publicznem stali radca sądowy Kozaczek, dyrektor skarbowy Neuman i przedsiębiorca Zima. Kasjerem Kasy Oszczędności był Biberowicz, znany dawniej dyrektor popularnego, objazdowego teatru ruskiego. Kasa Oszczędności miała w swoim budynku dużą salę teatralną z ogromną galerją. Tu gościły przejezdne trupy teatralne, tu odbywały się amatorskie przedstawienia i bale karnawałowe. W tej to właśnie sali wprowadzono pod koniec r. 1910 niewidziane dotąd w Kołomyi nowość: kino. Początkowo chodzili na wyświetlane obrazy studenci, subjekci sklepów, panny ze szwalni itp.

dopiero później zaczęła napływać lepsza publiczność, a za kilka miesięcy szedł do kina kto żył i sala była stale nabita. Pierwotnie dawano 6 do 8 obrazów jednoaktowych. Więcejaktowy był rzadkością. Zreguły filmy były kolorowane, a pochodziły z wytwórni Pathe Frères z Paryża. Szczególnymi ulubieńcami publiczności byli artyści filmowi Moritz i Max Linder. Moritz padł na wojnie światowej w r. 1914. Max Linder przeżył Moritza o lat 10, a jak tragicznie zginął, świadczy dołączony obok opis.

*

Kołomyja miała kilka drukarni. Największa była Miziewicza przy ul. Kościuszki, gdy jednak Miziewicz uzyskał dostawę papierowych nakryć na sól na całą Galicję i robił na tem doskonałe interesy, nie chciał już zajmować się żmudnem przedsiębiorstwem drukarskiem i wydzierżawił drukarnię Władysławowi Aksentowiczowi, o którym obszerniej wspomniałem w rozdziale o Stanisławowie. Aksentowicz włożył duży kapitał w drukarnię, posprawiał nowe typy i ornamenty drukarskie, wprowadził ulepszenia w drukarni, zjednał fachowego, biegłego drukarza Dolińskiego i postawił drukarnię na odpowiedniej wyżynie, sam zresztą nieustannie jej pilnował. W tej to właśnie drukarni drukowała się „Gazeta Kołomyjska", tygodnik wydawany przez Aksentowicza. Nie było to wydawnictwo we wielkim zakresie, ale lokalna gazetka, informująca Kołomyjan o stosunkach miejscowych a pobieżnie także o głównych wydarzeniach z szerokiego świata. Aksentowicz wiele ponosił trudu, zbierając

Jak Maks Linder popełnił samobójstwo?

11/1925 392a

Kraków, 4 listopada.

(—) Cała prasa europejska wstrząśnięta została wiadomością o **tragicznej śmierci Maksa Lindera i jego małżonki.** Podaliśmy już życiorys tego ulubionego komika ekranu, który samem pojawieniem się budził huragany śmiechu wśród publiczności. Obecnie możemy podzielić się z czytelnikami **bliższymi szczegółami tej tragedji.**

Jak wiadomo, Maksa Lindera i jego żonę służba hotelowa znalazła w sobotę zbroczonych krwią, która tryskała z przeciętych żył. Przewieziono ich do szpitala, gdzie pani Linder wkrótce zmarła. Maks Linder walczył przez całą noc ze śmiercią. Koło godziny piątej nad ranem wydał ostatnie tchnienie. Linderowie mieszkali od miesiąca w hotelu Baltimore, położonym w najelegantszej dzielnicy Paryża. W piątek wieczorem Maks Linder surowo

zabronił służbie wchodzić do swego apartamentu.

W sobotę zjawiła się w hotelu matka pani Linder, aby odwiedzić córkę. Wówczas służba oświadczyła, że pan Linder zabronił kogokolwiek wpuszczać do siebie. Teściowa, pani Peters, upierała się pomimo tego przy wejściu do pokoju. Z początku pukała dłuższy czas, nie otrzymując jednak żadnej odpowiedzi, **kazała wyłamać drzwi.** W pokoju panowała zupełna ciemność. Gdy zapalono światło, zobaczono Maksa Lindera i jego żonę, **leżących na łóżku w kałuży krwi.** Oboje oddychali jeszcze, a z przeciętych arteryj płynęła krew. Przewieziono ich do kliniki, gdzie, jak już powiedzieliśmy, pani Linder wkrótce zmarła. Badanie lekarskie stwierdziło, że zarówno ona jak jej mąż **zażyli przedtem sporą dawkę weronalu i morfiny.**

Na stole pokoju hotelowego **znaleziono sześć listów Lindera,** jeden do jego rodziców, drugi do przyjaciół, trzeci do córeczki, czwarty do brata, piąty do notarjusza i szósty do jednego z paryskich dziennikarzy. Z tych pozostawionych listów wynikałoby, że

Maks Linder działał w porozumieniu ze swoją żoną.

Naprzód dał jej sporą dawkę weronalu i gdy już była zupełnie oszołomioną, **przeciął jej arterje, poczem sam popełnił samobójstwo.**

Już od dwóch lat występowały u Maksa Lindera **oznaki depresji psychicznej. Przed dwoma laty Maks Linder, liczący lat 49, poślubił 18-letnią pannę Peters.**

Skutkiem niesnasek z żoną i ustawicznej z jej strony podejrzliwości, niejednokrotnie wyrażał **życzenie wspólnej z nią śmierci.** Już w ubiegłym roku Linder wraz z żoną popełnili zamach samobójczy w jednym z hoteli wiedeńskich. Usiłowali wówczas otruć się weronalem. **Poraz drugi Linder targnął się na swoje życie w jednym ze swoich hotelów szwajcarskich.** Linderowie bawili w Szwajcarji wraz ze swoją małą córeczką na wywczasach letnich.

Prawdziwe nazwisko Maksa Lindera brzmiało Levilles. **Karjerę swoją rozpoczął on w cyrku,** poczem występował w Variete, wreszcie zaczęto mu dawać małe rólki w teatrze. Naprzód grywał w teatrze w Bordeaux, a następnie w różnych teatrach paryskich. Po raz pierwszy grał do filmu w r. 1905 i osiągnął odrazu pomyślne wyniki. Wkrótce zasłynął jako **świetny wykonawca ról komicznych.** W roku 1916 odbył tournee po Stanach Zjednoczonych, które mu przyniosło pokaźną sumę pieniędzy. Maks Linder znajdował się w najlepszych stosunkach majątkowych, popularność jego nie słabła, mógł więc majątek swój powiększać ciągle. Na krótko przed śmiercią zawarł on kilka bardzo korzystnych kontraktów. Podobno w **przeciągu niecałych dwu miesięcy zarobił miljon franków.** Przed kilku tygodniami Maks Linder zrezygnował ze stanowiska kierującego w prezydjum związku reżyserów kinowych. Od tego czasu neurastenja jego tak silnie potęgowała się, że w końcu doprowadziła do katastrofy.

Historja małżeństwa Maksa Lindera.

Jak już poprzednio wspomnieliśmy, Maks Linder, zanim istotnie zdołał odebrać sobie życie, popełnił dwa zamachy samobójcze. Zdenerwowanie Maksa Lindera miało swoje źródło w **nieszczęśliwem małżeństwie.** Przed dwoma laty poślubił młodziutką dziewczynę, w której się namiętnie zakochał. Historja tego małżeństwa była wielce romantyczną, ponieważ Linder narzeczoną swoją, której rodzice nie chcieli dać przyzwolenia na ten związek małżeński, **z domu rodzicielskiego uprowadził.** Pani Linder była córką bogatego wydawcy dziennika, nazwiskiem Peters. Już jako siedmioletnie dziecko poznała słynnego komika filmowego w czasie pobytu w Szwajcarji. Po dziesięciu latach **spotkała go znowu przypadkowo w Paryżu.** Linder nie byłby zapewne poznał dawnej Lili Peters, gdyby mu się sama nie przedstawiła. Oświadczyła następnie, że

odbierze sobie życie, jeżeli Linder się z nią nie ożeni.

Małżeństwo to stało się **prawdziwem nieszczęściem dla Maksa Lindera.** Młoda mężatka urządzała mężowi **ciągłe sceny zazdrości.** Te skandale małżeńskie wpływały nadzwyczaj deprymująco na artystę. Linder zniechęcał się nawet do swoich kreacji we filmie i coraz bardziej **okazywał skłonność do melancholji.** W czasie pobytu w Wiedniu przychodziło często do gwałtownych scen pomiędzy małżonkami i doprowadziło to wówczas do pierwszego zamachu podwójnego samobójstwa. Wówczas jednak zdołano Linderów, którzy zażyli weronalu, uratować. Wkrótce potem p. Linder w Szwajcarji urodziła dziewczynkę. Zdawało się, że to radosne wydarzenie przywróci spokój w burzliwem małżeńskiem życiu. — Wkrótce jednak zaczęły się znowu niesnaski. Małżeńska tragikomedja zakończyła się tragicznym zaiste epilogiem.

...ie Rosji ...tanaście?

...ę w bolszewickich szkołach.

...dziewano się **doprowadzić do tego ideału aby nauczyciel ludowy miał 28 rubli minimalnej płacy** miesięcznej. Dotychczas bowiem płaca ta była naogół **o wiele niższa,** w większości wypadków obracała się **koło 10 rubli miesięcznie,** czyli nie wynosiła nawet trzeciej części najniższego minimum egzystencji.

Połowa dzieci bez nauki.

Według danych statystyki sowieckiej, **ciągle jeszcze conajmniej połowa dzieci w wieku szkolnym, liczonych na 15 miljonów głów, pozostaje poza wszelką szkołą.** Jeżeli zaś druga połowa szkołę przechodzi, to **tylko dzięki znacznemu skróceniu w niej kursów.** Przy czteroletnim kursie nauki, obecny stan szkolnictwa pozwala na nauczanie zaledwie **42 procent wszystkich dzieci.** Stosunki pod tym względem **są bardzo niejednostajne.** Gdy moskiewski okręg przemysłowy zdolny jest pomieścić w swoich szkołach czteroletnich 70 proc. dzieci, to na Syberji liczba ta spada już do 25 proc., w Turkiestanie zaś **nawet tylko do 9 proc.**

Poziom szkół niższy niż za caratu!

Jeżeli pod względem **ilościowym** stan szkolnictwa powszechnego w Rosji sowieckiej przedstawia się mizernie, to już — jak wyrozumieliśmy — **nędznie pod względem jakościowym.** Naogół szkoły **nie mają odpowiednich budynków, środków naukowych, przedewszystkiem zaś kwalifikowanych nauczycieli pedagogów.** Nauczyciel w Rosji sowieckiej przedstawia typ istoty chyba **najbardziej przez los pokrzywdzonej.** Władza sowiecka narzuca mu przedewszystkiem **przekonania komunistyczne, które musi głosić, propagować i komentować w taki sposób, aby nie narazić się na zarzut herezji kontrrewolucyjnej** czy mienszewickiej. Obok obowiązków szkolnych, ma on mnóstwo innych, zwykle jeszcze cięższych niż **ściśle zawodowe** — więc uczestniczenie w miejscowych sowietach, udzielanie rad w najrozmaitszych sprawach, sekretarzowanie na tysiącznych zebraniach. Źle płatni i różnymi ubocznymi obowiązkami przeciążeni nauczyciele, nie mogą oczywiście poświęcać się wyłącznie swoim głównym zadaniom. To też **szkoła ludowa sowiecka, mimo wszystkich reform i wysiłków, stoi na poziomie jakościowo i ilościowo niższym, niż stała już za caratu bezpośrednio przed wojną.** Główna przyczyna tego tkwi w ogromnem zubożeniu społeczeństwa.

Patiomkinowskie szkoły!

Ponieważ jednak bolszewicy wychowanie **następnej generacji w duchu swojej doktryny** uważają za najważniejszy cel swoich dążeń, przeto wysiłki ich w celu **rozwinięcia szkoły** i przystosowania jej typu do **swoich potrzeb,** są istotnie bardzo wielkie.

NA MARGINESIE.

382 b

Niepokojący pochód Wschodu na polski Zachód.

(i.). Kilka dzienników podało wiadomość, że wybitny poseł obozu narodowo-demokratycznego, jedna z najtęższych głów ekonomicznych tego stronnictwa, referent komisji budżetowej i w swoim czasie kandydat na ministra skarbu — przeszedł na prawosławie dla łatwiejszego uzyskania rozwodu ze swoją żoną i poślubienia innej kobiety.

Jest to oczywiście jego sprawa najściślej prywatna, do której mieszanie się jest nie wskazane — tembardziej, gdy się nie zna motywów czynu. Bywają w życiu człowieka sytuacje, z których wyjście może nastąpić tylko na drodze złamania jakiegoś nakazu czy też konwenansu moralnego, bez zastosowania czego musiałoby się złamać jakieś jeszcze wyższe prawo moralne. I w danym wypadku oczywiście może zachodzić taki konflikt, że uregulowanie swojego życia rodzinnego mogło nastąpić tylko przez zmianę wyznania.

Mimo to wszystko, rejestrujemy ten wypadek jako zjawisko bardzo charakterystyczne i znamienne dla pewnego kierunku myśli **wśród inteligencji narodowo-demokratycznej.** Jest to już wypadek jeden z dziesiątków tysięcy. Chrześcijańsko-demokratyczny poseł Bitner stwierdził niedawno, że w Warszawie w ciągu jednego roku wśród inteligencji nastąpiło 27.000 rozwodów, połączonych z przejściem na prawosławie. Robi to wrażenie, jakby jakiegoś zwycięskiego pochodu schyzmatyckiego, wschodniego bizantynizmu na polski zachód.

Obecny wypadek posła Zdziechowskiego, szczególnie zwracający uwagę wskutek tego, że poseł Zdziechowski jest jednostką wyjątkowo wybitną, zrobił tembardziej przykre wrażenie **w kołach katolickich i narodowo myślących Małopolski.** Jeżeli nawet okoliczności nie dawały tu innego wyjścia moralnego, jak zmianę wyznania, to ze stanowiska narodowego byłoby może bardziej pożądane przejście **na inne wyznanie chrześcijańskie,** a nie przejście na prawosławie, nadające charakter wzmożenia tego **pochodu wschodniej bizantyńskiej schizmy w Polsce,** o którym mówiliśmy wyżej. Mamy bowiem **Polaków wszelkich wyznań chrześcijańskich,** a nawet **niechrześciańskich** (mahometanie i t. d.), do których grupy dana jednostka może się przyłączyć. **O Polakach jednak prawosławnych właściwie mówić trudno,** gdyż prawosławie niejako integralnie złączone jest z rosyjskością i ze wschodem. Wzmaganie się tego wyznania w Polsce jest specjalnie u nas niepożądane, jako **jednoczesne wzmaganie się wpływów wschodu,** w swoim rodzaju nasuwanie się jeszcze głębsze na czoło narodu polskiego **czapki Monomacha.**

NADESŁANE.

Za dział ten Redakcja nie bierze żadnej odpowie-

lokalne wiadomości przez cały tydzień, ale też dla mieszkańców Kołomyi były to szczegóły interesujące i gazetka ta była miłem pismem kresowem, bo w niej domorośli literaci, miejscowi poeci i kołomyjscy politycy głos zabierali. Dlatego jest ona cennym obrazem życia Polonji kołomyjskiej z owych czasów. Od śmierci Akreatowicza (1912) „Gazeta Kołomyjska" przeszła w inne ręce i odtąd się nią nie interesowałem, zwłaszcza że już nie mieszkałem wtedy w Kołomyi. Około r. 1910 powstał konkurencyjny tygodnik „Kurjer Kołomyjski" wydawany przez żydów, niebawem jednak upadł. Wychodziła także jedna gazeta żargonowa w Kołomyi, jedna staroruska wydawana przez drukarza Biłousa i radykalne czasopismo ukraińskie „Prapor", dające powody do ciągłej konfiskaty. Konfiskowaliśmy także często i „Kurjera Kołomyjskiego", a pamiętam jak w samą wielką sobotę 1911, wieczorem pojawił się Kurjer i pomieścił artykuł wyśmiewający obrzęd „święconego", podnosząc, że chyba na to potrzebne „święcenie" pokarmów, aby się je przez to lepiej trawiło. Zamiast iść na rezurekcję, musiałem przeprowadzać urzędowanie z konfiskatą.

*

Kołomyja miała zawsze świeżość aury, bo leżała w niewielkiej odległości od gór, nad wartką rzeką górską i wśród wielu ogrodów. W środku miasta był ładny ogród spacerowy, złożony z dwu części, ulubione miejsce

wytchnienia, przechadzek, schadzek i festynów. Okolica Kołomyi o podgórskim charakterze nęciła także do wycieczek, toteż w niedziele i święta roiło się wszędzie w mieście i za miastem od mrowiska ludzkiego. Jedni spacerowicze szli do Oskrzesiniec, inni mniej wytrwali do Korolówki, gdzie obok browaru Weissa był ogród, w nim bufet porządny a niedrogi i miejscowe piwo korolówieckie. Wogóle cały browar był pięknie położony wśród zieleni, miał schludne budynki dla pracowników browarowych, dawał nawet lokal na pocztę a stacyjka kolejowa miała prawie wyłącznie za zadanie ułatwienie wycieczkowcom powrotu do Kołomyi wieczornym pociągiem. Ładownia towarowa przeznaczona była do wysyłki pociągami poszukiwanego piwa korolówieckiego. W dnie świąteczne był ogród browaru w Korolówce rzęsiście obsiadły przez gości różnych stanów, muzyka grała rześko, ludowa huśtawka kołysała amatorów tej zabawy a na kręgielni latały kule, zwalając mniej lub więcej pionków, zależnie od tego, czy kręglarzom mniej lub więcej statkowała głowa po całym szeregu piw korolówieckich. W otwartym baraku koło bufetu panował ścisk i natłok zupełnie podobny do tego, jaki się widzi przy bufecie w teatrze podczas przerwy. Młody, rosły a opasły czech, pracownik browarniany i dzierżawca bufetu, ocierał pot kroplisty z czoła, pił jedno piwo za drugiem i usługiwał wraz ze swoją rodziną dzielnie a wytrwale. Zwaliśmy go żartobliwie „elementar", bo ser

ementalski (ementaler) w rozmowie ówczesnej nazywał jakby „ele-
mentarz", zwłaszcza po zachmieleniu głowy (co ku zgryzocie
jego żony zdarzało się co niedzieli przy największym na-
tłoku gości). W tymże baraku stał także duży automat
do grania, podobny do kaflowego pieca. Za wrzuceniem mo-
nety grał wybraną arję. Dla dzieci był atrakcją, bo coraz,
wspierając się na palcach wrzucały do otworka wyproszoną
od ojca lub matki monetę i automat grał a grał me-
talicznym dźwiękiem skoczne melodje ku uciesze miłej
gromadki kołomyjskich dzieciaków. Obok ogrodu browar-
nianego miała Korolówka po przeciwnej stronie toru kole-
jowego przy stacyjce kolejowej lasek niewielki, lecz cienisty.
Przy gościńcu, w dolinie rzeczki Korolówieckiej pracowały

Niezbyt szczęśliwie ujęty obrazek browaru słabe daje wyobrażenie o tem miłem miejscu wycieczkowem Kołomyjan. Ogród był po prawej stronie obrazu.



sezonowi dzierżawcy ogrodów Bułgarzy, którzy uprawiali ja-rzyny a nawadniali teren dażem kołem obracanem przez kierat koński, wlewającem wodę rynnami drewnianemi po całej przestrzeni warzywnego ogrodu. Była więc Korolówka miłem miejscem wycieczkowem, tem przystępniejsza, że dogodnie połączona z Kołomyjską koleją. Jako specjalną oryginalność podnieść należy, że linja kolejowa z Korolówki do następnej stacji Matyjowiec (a może i dalej) była tak prosta, jakby sznurem wymierzył. Toteż późnym wieczorem, gdy nadchodził pociąg od strony Zabłotowa ku Kołomyi, już od Matyjowiec, na jakie 5 do 6 kilometrów widać było ze stacyjki Korolówieckiej światło lokomotywy, nikłe, małe, jakby gwiazdka na ziemi świeciła, coraz to gasła, to znów się pokazywała w miarę tego, jak teren był niższy, lub wyższy od poziomu. W miarę im światło było bliższe i większe, widać ~~~~ je było wyraźniej, aż gdy wreszcie od dłuższego czasu sygnalizowany migotem światła pociąg nadjechał i stanął w Korolówce, wiara wycieczkowa wśród wrzawy szturmem zdobywała miejsca a przeładowany pociąg odwoził tłumy do miasta.

Prócz Korolówki był także Werbiąż miejscem wycieczkowem, miał także ogród przy tygastym browarze, a i tu, choć na mniejszą nieco skalę, były rozrywki podobne do korolówieckich, przyczem nie tylko piwo, ale można było także dostać herbaty, mleka lub kawy. Do miasta można było wracać wraz sławną lo-kalką Kołomyjską, która jednak bardzo nieregularnie kursowała.



Udatny obrazek mostu na Prucie pod Kołomyją. Część jego od strony lewej była silnie podstemplowana i wzmocniona, gdyż tą stroną biegła linja kolei lokalnej. Za mostem widać pierwsze budynki malowniczego Werbiąża i korony drzew starego ogrodu bro-zewiańskiego.

Takato była Kołomyja za dni moich. Wieczorem 12 lipca 1906 zajechałem do niej pierwszy raz w życiu i na razie zamieszkałem w narożnym domu rynku i ulicy Jagiellońskiej, tj. w hotelu Belle Vue. Ledwie ułożyłem walizę w pokoju hotelowym,

zaraz wyszedłem popatrzeć, jak wygląda moja siedziba nowa. Obszedłem tylko rynek, bo wskutek późnej pory nie mogłem się zapuszczać dalej. Część od Kramów miejskich nie robiła budującego wrażenia, lecz część przednia (od Kościoła do ratusza i od ratusza do ul. Kościuszki) mile się przedstawiała, dużo publiki używało wieczornej przechadzki, wmięszałem się w tłum obserwując go bacznie, polska mowa panowała wszechwładnie, publikę cechował spokój, uprzejmość, kultura.

Nazajutrz odwiedziłem w sądzie mojego przyjaciela sędziego Michała Drohomireckiego i poinformowałem się o stosunkach miejscowych. O pomieszkanie było wogóle trudno, wynalezieniem ~~znale~~ zajął się faktor żydowin. Szukał bezskutecznie kilkanaście dni, tak iż począłem go nawet podejrzewać o zmowę z hotelarzem.

W dwa dni po przybyciu zgłosiłem się do urzędu i przedstawiłem się u sędzie. Był zwyczaj, że się to czyniło we fraku, czemu naturalnie musiałem się poddać. Otóż tak wystrojony udałem się przedewszystkiem po prokuratorji, aby poznać prokuratora i współpracowników i objąć urzędowanie. Gdym wszedł do kancelarji prokuratorji, znalazłem tam dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki, okazały, o twarzy miłej, inteligentnej, drugi niskiego wzrostu, w kramarskiem szarem ubraniu, o dużej siwiejącej czuprynie, wichrowato na głowie pokurzonej a rudawy wąsik wystrzelał naprzód. Nie wiedziałem, kim są i z kim mam najpierw mówić. Zwróciłem się odruchowo do owego okazałego pana i zapytałem,

czy mówię z panem prokuratorem, bo jego to w pierwszej chwili miałem za prokuratora. On jednak wskazał na owego drugiego mężczyznę jako na prokuratora. Przedstawiłem mu się, weszliśmy do jego biura, lecz krótko tam byłem, bo prokurator Kowalski należał do ludzi mało mówiących, wnet poznałem moich kolegów zawodowych i innych urzędników, potem licznych sędziów a na drugi dzień już przy nowem mojem biurku układałem kodeksy i inne przybory do prowadzenia rzemiosła urzędniczego. Czułem pewną trwogę, bo występ na publicznej arenie przy pulpicie prokuratorskim był czemś nowem w mojem życiu. Wziąłem się do przeglądu aktów, koledzy biurowi Strasiński i Kapuściński służyli mi swoją radą i doświadczeniem i jakoś wnet stanąłem jakotako na nogach. Tymczasem znalazłem pomieszkanie. Tuż naprzeciw jezuickiego kościoła był dom parterowy wdowy po geometrze Franczakowej. U niej nająłem dwa pokoje i tam zamieszkałem. O ile jednak moja gospodyni była bardzo dobrą kobietą i dbała o swego lokatora, o tyle pomieszczenie było niezdrowe, bo nieznośny grzyb toczył się fatalnie (dom ten jest oznaczony na obrazku na str. 357)

Nie mogłem jednak odrazu wrosnąć w stosunki kołomyjskie. Żal mi było za Haliczem, za moimi przyjaciółmi, za ich gwarem, oddaniem, życzliwością i sercem. Chodziłem po Kołomyi, jakbym był na jakiejś wycieczce – myśli moje i dusza pozostały w Haliczu. Pisywałem

więc stąd kartki do Halicza, jakbym chciał w ten sposób mówić dalej z ludźmi, z którymi się zżyłem i zespoliłem, jakbym tem chciał nadal z Kołomyi żyć życiem halickiem. Na odpowiedź czekałem z upragnieniem. Najmilsze były od Stefanji Zrębowiczówny. Niebawem poznałem jej rodzinę w Zabłotowie, tam bowiem mieszkała jej matka, siostra Marja zamężna ze sędzią Praxmajerem i brat Roman Zrębowicz, literat. Wszyscy razem tworzyli zespół miły, zgodliwy, owiany atmosferą miłości rodzinnej. Zabłotów był blisko Kołomyi, zaledwie trzecia stacja kolejowa ku Czerniowcom, można było po godzinach urzędowych pojechać do Zabłotowa a następnym pociągiem wieczornym powrócić do Kołomyi. Toteż odwiedzałem ich często, zwłaszcza że i Stefanja powróciła z Halicza do rodziny. Niebawem zżyłem się z nimi duszą i myślą, moja samotność w Kołomyi ciężyła mi niezmiernie, czułem potrzebę stworzenia koło siebie ~~z~~ ogniska domowego, toteż obrałem sobie Stefanję Zrębowiczównę za moją dozgonną towarzyszkę życia i ślub nasz odbył się dnia 30. października 1906 w kościele zabłotowskim. Na tę uroczystość przybyli z Halicza moi przyjaciele ks. Laurecki, sędziowie Hordyński i Niementowski i inżynier Wohlfeld z rodziną. Sprowadziłem także z Halicza do usług oddanego mi Józefa Synowicza. Odtąd nie byłem sam na świecie, z żoną zespoliły się nasze dusze, nasze dążenia i praca wspólna. W niej znalazłem ukojenie

w znojach życiowych i pomoc w zmaganiach z losem.

Zamieszkałem w nowem pomieszkaniu w domu owego słynnego bogacza kołomyjskiego Rammlera przy ulicy Sobieskiego, niebawem jednak córka Rammlera wychodziła zamąż, musiałem więc z tego pomieszkania ustąpić i przenieść na inne, mniej dobre przy ulicy Rudolfa nr. 23. (biegła ona z rynku, obok kościoła ku Korolówce). Tamto dnia 27 września 1907 nad ranem przyszedł na świat nasz syn Franciszek i z chwilą, jak zakwiliło w naszem cichem dotąd mieszkaniu dzieciątko, zaczęła się nowa epoka w naszem życiu. Jeżto wyśkr cisnęło mi się do głowy, gdym usłyszał, że przyszedł na świat syn! Od tego dnia cały wspólny wysiłek mój i żony skierowany był na zapewnienie szczęścia naszemu dziecku. Prawie że zapomnieliśmy o własnych osobach, nie pragnęliśmy niczego dla siebie, ale pragnęli wszystkiego dla dziecka. Któż przeliczy te nieskończone wysiłki i trudy olbrzymie, te noce nieprzespane, te łzy radości i trwogi, jakie matka poświęca swemu dziecku. Trudno w języku ludzkim znaleźć wyraz na określenie tego tytanicznego poświęcenia, zaparcia się samego siebie, przekreślenia własnego jestestwa, na jakie wysila się matka. A właśnie moja żona z całą ofiarnością, poświęciła całe swoje życie i całą młodość temu dziecku, prawie że nie istniał odtąd dla niej świat, bo światem dla niej

było to dziecko, nie istniało szczęście inne, jak szczęście dziecka.

Nieco lepsze pomieszkanie znaleźliśmy przy ul. Baśkowskiego nr. 13. w domu malarza kościelnego Orzechowskiego a w końcu od r. 1910 całkiem dobre przy ul. Franciszka Józefa nr. 37 (niedaleko parku), gdzie mieszkaliśmy do końca naszego pobytu w Kołomyi.

*

Wróćmy teraz do ~~Kołomyi~~ prokuratorji, aby wspomnieć, jak mi się życie ułożyło w tymto warsztacie mojej pracy. Zastępca prokuratora pracował bądź w swojem biurze w urzędzie, bądź uczestniczył przy rozprawach. W biurze była praca spokojniejsza, mniej miłe było siedzenie przy rozprawach a najmniej ponętne było siedzenie przy rozprawach przed sądem przysięgłych. W Kołomyi były cztery senaty karne ciągle urzędujące (trzy orzekające i jeden odwoławczy), nadto cztery razy do roku odbywały się kadencje sądu przysięgłych.

Gdybym chciał pisać o przeważnej części moich spraw przed przysięgłymi, musiałbym napisać osobną książkę. Płynęły one jedne za drugiemi jak woda w Prucie i płyną dotąd taksamo. Bywały one takie i owakie, a zawsze wynik ich był niepewny, bo psychika przysięgłych była nieobliczalna. Wygrywałem sprawy, o których sądziłem, że są beznadziejne i przegrywałem sprawy najoczywiściej

pewne. Raz w sprawie o jakąś kradzież, popełnioną na odchodne ze służby przez sługę, w której oskarżona przyznała się do kradzieży i nie umiała zgoła niczego na swoje usprawiedliwienie podać, po zamknięciu rozprawy udali się przysięgli na naradę, a gdy powrócili ogłosili werdykt uwalniający. Powstała konsternacja na sali, radca Zdański, siedzący najbliżej przysięgłych zapytał najbliższego przysięgłego, czy może mylnie odczytano wynik, wszakże oskarżona sama mówi, że ukradła a werdykt brzmi, że nie ukradła. Na to odpowiedział ów zapytany przysięgły: nie panie radco, my ją uwolnili, bo obawialiśmy się, aby za wielkiej kary nie dostała.

Innym razem w sprawie o podpalenie, wszystkie dowody wypadły na niekorzyść oskarżonej, ona sama niezbyt się opierała, zapadł jednak werdykt uniewinniający. Gdy przewodniczący prezydent Seredowski ogłosił wyrok uwalniający, oskarżona uważała to za jakiś akt podstępu, usiadła dalej na ławie oskarżonych i nie chciała wierzyć, że ma iść do domu, sądząc, że ją biorą na jakiś kawał.

Dziwnie w kilku sprawach niektórzy radcy sympatyzowali z oskarżonymi. Raz radca Lityński prowadził sprawę przeciw jakiejś chłopce także o podpalenie, gdzie wszystkie dowody pośrednie świadczyły tak ściśle przeciw niej, iż co do winy nie można było mieć wątpliwości. Ale przychylność Lityńskiego dla oskarżonej była i dziwna i bezgraniczna. Wiem, że jednym z do-

wodów był fakt odgrażania się oskarżonej poszkodowanemu w taki sposób, iż to wskazywało na jej zaplanowany zamiar podpalenia. Nie pamiętam dziś słów, ale mniej-więcej brzmiały one: czekaj, czekaj, ty jeszcze uciekniesz stąd w jednej koszuli! Przewodniczący przeszedł nad tym szczegółem szybko a pobieżnie, więc po przesłuchaniu odnośnego świadka zapytałem go, jak rozumiał te słowa groźby i do czego one odnosić się miały. Na to przewodniczący nie dopuszcza do odpowiedzi świadka, lecz sam wymachując rękami woła: ale-ale, ~~pewnie~~ pewnie sobie pomyśleliście: pies, który dużo szczeka, nigdy nie ukąsi. Uśmiechnął się świadek i rzekł: tak, pewnie, świetny sądzie, pewnie, że i tak być może. W tymto tonie brzmiała cała rozprawa, zapadł naturalnie wyrok uwalniający a Łotyński tak się rozczulił nad oskarżoną, że po rozprawie zabrał ją do siebie do domu i kazał jej w kuchni dać objad. Jakże to ogromnie było obrażające i powagę sądu i naruszające poczucie prawne. Najoczywistsza podpalaczka nie tylko, że uszła bezkarnie, jeszcze ją sędzia kazał ugościć.

Podobny kawał urządził drugi radca Czerniawski. Była sprawa o rabunkowe morderstwo, w której przewodniczył ten radca przed przysięgłymi. Rzecz miała się tak. Gdzieś na pograniczu powiatów zabłotowskiego i peczeniżyńskiego, w pewnej wiosce odbywał się tzw. prażnik (tj. odpust). Jakiś majętniejszy chłop, zdaje mi się djak udał się do tej wsi

i gościł u znajomych. Oskarżony, ruski chłop podpatrzył go, zaczaił na polach i kiedy ów djak powracał przez pola do domu, napadł go, luszmą zabił, obrabował, trupa za nogi ściągnął przez łąkę i zepchnął z urwistej zboczy do bagna, a rzeczy zrabowane ukrył częścią w brogu w sianie, częścią na roli wśród rozrytej przy orce ziemi i poszedł spać. Nad ranem ludzie idący z praźnika usłyszeli stękanie od strony bagna, po śladach startej rosy na trawie poszli ku bagnu, zobaczyli nieszczęsną ofiarę nieprzytomną, pogruchotaną, ledwie go zaczęli przenosić na inne miejsce, żyć przestał. Żandarmerja austrjacka wnet sprawcę wykryła, znalazła nawet koszulę zbója pokrwawioną, on sam wtedy wskazał kryjówkę zrabowanych rzeczy i przyznał się do winy. Zbój stanął przed sądem przysięgłych, werdykt zapadł uznający go winnym. Trybunał udał się na naradę, radził się długo a po powrocie do sali rozpraw ogłosił uchwałę, jakoby sędziowie przysięgli się pomylili, przekazano więc sprawę następnej kadencji. Powstała konsternacja w sali, każdy w głowę zachodził, co właściwie się stało i na czem właściwie miała polegać ta pomyłka. Ale takie było dziwne przekonanie niektórych sędziów.

Najbardziej interesującą rozprawę przed sądem przysięgłych jaką miałem, była sprawa o morderstwo w rodzinie Sokołowskich ze Żabiego. Wogóle, co kadencja rozgrywały się przed przysięgłymi rozprawy

o różne zbrodnie z gór, które mogły stanowić znakomitą powieść. Ileż w nich było intrygi, tragizmu, przebiegłości, sprytu, planu, fantazji! Sokołowskich rodzina należała do najzamożniejszych w Żabiu. Kilku braci, ludzi młodych, gospodarowało na spadkowem gospodarstwie. Bracia nienawidzili jednego z nich, garbatego, bezżennego Dmytra, bo ich zdradził w sprawie ekscesów siczowych, a nadto za długo im żył, choć innym braciom śpieszyło się posiąść po nim spadek. Udali się więc o poradę do znanego zawadjaki i gwałciciela Hawrysza, również w Żabiu zamieszkałego i ukuli cały plan. Zabiją Dmytra, majątkiem się podzielą, a kto wie, czy także Hawrysz nie pozbędzie się swej żony i zaślubi młodą siostrę Sokołowskich Annę. Zbrodnia więc suto miała się opłacić. Najęto dwóch ludzi do zbrodni, jednego grajka skrzypkowego a drugiego jakiegoś zabijakę, ci wczesnym rankiem udali się do domu Dmytra, zastali go samego w chacie, pozdrowili po chrześcijańsku, usiedli na ławie, pogadali, a gdy się Dmytro odwrócił do skrzyni, jeden ze zbójów ugodził go obuchem siekiery w tył głowy i życia pozbawił, poczem obej sprawcy uszli w góry. Żandarmerja po dużym wysiłku i nadzwyczajnej pracy, idąc śladem drobnych szczegółów, wpadła na trop sprawców, przygotowała ogromny materjał, aresztowała winnych i oddała w ręce sprawiedliwości. Radca Plahner doskonale przeprowadził śledztwo, grajek przyznał

się do winy i wydał innych spólników zbrodni. Rozpisano rozprawę na dziesięć dni, bo z tą sprawą o morderstwo były złączone liczne inne przewinienia reszty oskarżonych, gdy jednak przyszło do rozprawy, gwajek odwołał swe zeznania, kłamiąc, jakoby były wymuszone. Cały żmudny aparat dowodowy wykazał jednak winę oskarżonych, których zasądzono na dość jednakże łagodną karę. Wtedy przewinęła się przez salę rozpraw ogromna ilość osób, rzekłbym połowa Żabiego. Co za typy, co za swada, co za swoboda górska u tych ludzi. Patrzyłem na to wszystko jakby na jakiś dramat na scenie, odegrany przez ludzi niemal pierwotnych.

Inną znów sprawę mieliśmy niezmiernie uciążliwą. Zbankrutował żydowski bank w Zabłotowie. Czterech, czy pięciu kierowników banku zasiadło na ławie oskarżonych. Zwołana była specjalna kadencja przysięgłych do osądzenia tej jednej sprawy. Przewodniczył jej wybornie radca Drohomirecki. Rozprawa trwała sześć tygodni a przysięgłym postawiono około 380 pytań. Skończyła się zasądzeniem. Któżby zresztą zliczył tę mnogość spraw a zarazem mnogość pracy, jaka się przerobiło prawdziwie w pocie czoła. Pracowaliśmy – dosłownie mówiąc – od rana do nocy, żmudnie, uciążliwie a wytrwale.

*

Późną jesienią 1910 zachorował prokurator

Kowalski. Nie wiedząc, że to choroba poważniejsza, nie donosiłem o tem wyżej, z natury rzeczy bowiem, jako najstarszy ze zastępców byłem pod nieobecność prokuratora ~~jego zast~~ kierownikiem prokuratorji. Sprawy które pozostawały w okręgu kołomyjskim, ja podpisywałem, co jednak miało iść do władz przełożonych do Lwowa lub Wiednia, posyłałem do Kowalskiego do domu i on to podpisywał. Gdy jednakże jednego razu zamiast podpisu na akcie, Kowalski umieścił szereg liczb i nakreślił jakieś krocie, które mu się rzekomo należą od skarbu Państwa, poznaliśmy, że człowiek ten nie włada już rozumem, doniosłem o chorobie do Nadprokuratorji i odtąd poczęła się sprawa o jego spensjonowanie.

Wśród tych stosunków nadeszło lato 1911. Na ferje pojechałem do rodziców na Podole do Germakówki nad Zbruczem. Rozkoszowałem się swobodą i pięknym krajobrazem Podola, niemal codziennie chodziłem na wysoki, odwieczny wał zwany „wałem Trajana", po całorocznej pracy odpoczywałem w prawdziwie uroczych gajach podolskich i ani się spodziewałem, jak mi mój kolega zawodowy Postępski z Kołomyi doniósł, iż niebawem stale na Podolu zamieszkam, bo bawiący w rodzinie w Kołomyi prezydent sądu lwowskiego Czerwiński przywiózł tam wiadomość, iż jestem zaproponowany na prokuratora do Czortkowa. Ucieszyło mnie to podwójnie, raz że zostanę samodzielnym prokuratorem, a powtóre

że powrócę do swoich stron ojczystych. Wszak cała nasza rodzina pochodziła z tych stron i tu przeważnie zamieszkała. Wnet została nominacja ogłoszona w dzienniku urzędowym. Począłem zwijać gospodarstwo w Kołomyi, aby wracać na wschód, z którego wyszedłem. Pojechałem na jeden dzień do Czortkowa rozglądnąć się za mieszkaniem i nająłem je obok sądu u budowniczego Jana Korzeniowskiego. Wtedy po raz pierwszy przyglądnąłem się uważniej temu podolskiemu miastu. Skromne było, ale miłe. Na noc wyjechałem z powrotem do Kołomyi i przybyłem tu nad ranem. Kołomyja wobec Czortkowa była pięknem, dużem miastem o wygodnych chodnikach, gdy na to wszystko spoglądnąłem, zwłaszcza gdy przechodziłem przez park miejski o świeżej, rzeźwej atmosferze, żal mi było Kołomyję opuszczać. Ale nie było dużo czasu do rozmyślania, potrzeba się było zbierać i iść w świat. Wszak takie były koleje życia urzędniczego.

Odchodziło nas wtedy z Kołomyi do Czortkowa trzech, a to: wiceprezydent sądu Ignacy Dzerowicz, radca Jan Sosenko i ja. Sędziowie i adwokaci urządzili nam wspólne pożegnanie w sali restauracji Fritza przy ul. Jagiellońskiej. Były mowy liczne, jak zwykle przy takich sposobnościach, zwracał się do mnie radca Postępski i żegnał mię serdecznie,

żegnałem i ja wszystkich, po wieczerzy rozeszliśmy się a wielu, wielu biesiadników pożegnałem na wieki; bo w tem życiu już się nigdy nie zobaczymy.

Przybył przed moje pomieszkanie duży wóz meblowy, zabrał nasze rzeczy i odjechał, zaś ja dnia 23 października 1911 z żoną i czteroletnim synkiem wsiedliśmy na kolej i przez Stanisławów, Buczacz udaliśmy się do Czortkowa.

Ludna, handlowa, miła stolica Huculszczyzny, wiekowa, nad Prutem rozsiadła Kołomyja, pozostała za nami daleko, daleko.

do s.283. Sokół w Haliczu.

" s.289 Świątynia Karaitów w Haliczu z 1830 r

" " 290 Nagrobki " " "

" " 292 Dniestr w Haliczu.

" " 294 i 295 Zachodnia częśc Rynku w Haliczu przed 1906.

" " 319 (321) Kościół w Bursztynie - 1911

" " 326 Kołomyja -pomnik Karpińskiego.

" " 347 Cerkiew Ruska w Kołomyji.

" " 355 Gimnazjum i Bursa w Kołomyji.

" " 357 Zakład Urszulanek w Kołomyji.

" " 359 Starostwo w Kołomyji.

" " 367/8 List z 7.XII.1911 od Stanisława Nowodworskiego z Kołomyji i innych pracowników Prokuratorii i sądu : podpisani: Michał Felsztyński , Mieczasław Postępski, Edward Gruber, G.Żarski, Michał Drohoworecki, ,Karol Schweinrer i inni.

" " 397 Kołomyja most na Prucie.

Listy i illustracje do rkp B.J. 77/51 t.II -

Marian Ostrowski : Na przełomie wieków t.II.

<do s.15 List Osw.Balzera .Lwów 31.3.1925

" " 27 Ogólny widok Lwowa.

" " 68 Żywy obraz na wieczorku Mickiewiczowskim w Samborze 22. maja 1898

" " 71 Rynek w Samborze /fotogr./.

" "117 Grupa sędziów i urzędników sądu w Sołotwinie 1899 /fot./

" " 119 Wacław Paklerski-sędzia w Sołotwinie 1900-3

" " 203 Marian Ostrowski " " " 1899-902 /fot.

" " 218 Plan śródmieścia miasta Sołotwiny - z pamięci,

" " 224 " " " Halicza wedle stanu z 1906.

" " 227 Mosty w Haliczu

" " 229 Nowy most na Dniestrze w Haliczu /1925/

< " " 243 List Stanisława Łuczakowskiego 9.5.1929

" " 243 Fotografia sędziów halickich z 1906 /Hordyński, Szulakiewicz, Niementowski, Ostrowski, Monciebowicz/.

" " 249 Pawilon na zamku w Haliczu,

" " 267 Ruiny zamku w Haliczu w r.1904.

" " 269 " " "

" " 278 Ratusz w Haliczu fot.1905

" " 279 " i rynek "

" " 281 Sokół w Haliczu.

